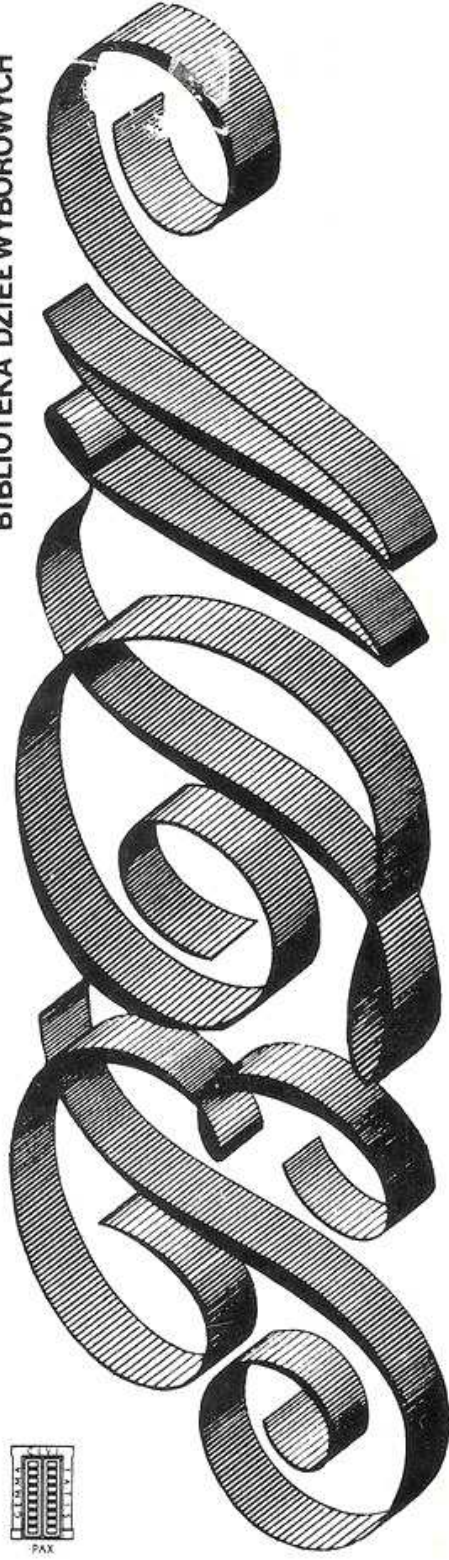


Graham **Greene**

Sedno sprawy



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH



**Graham
Greene**

Sedno sprawy

**Przełożył
Jacek Woźniakowski**

Instytut Wydawniczy Pax

*Le pécheur est au coeur même de la chrétienté...
Nul n'est aussi compétent que le pécheur en
matière de chrétienté.
Nul, si ce n'est le saint.*

CHARLES PÉGUY

Księga pierwsza

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Wilson siedział na balkonie hotelu. Różowe kolana oparł o żelazną balustradę. Była niedziela. Dzwon katedry wzywał na ranną mszę. Po drugiej stronie Bond Street tkwiły w oknach gimnazjum młode Murzynki w granatowych szkolnych bluzkach, próbując bezskutecznie ułożyć w fale włosy skręcone jak drucziane sprężyny. Wilson gładził młodzieńczy zarost i dumiał czekając na gin z piołunówką.

Siedział patrząc na Bond Street, z twarzą zwróconą ku morzu. Jego bladość zdradzała, że niedawno zszedł na ląd; dowodził tego także brak zainteresowania pensjonarkami z przeciwka. Był niby luźna wskazówka barometru, stojąca wciąż jeszcze na »Pogodzie«, podczas gdy jej towarzyszka dawno przesunęła się ku »Burzy«. Czarni kanceliści sunęli pod balkonem w kierunku kościoła, ale ich żony w jaskrawych popołudniowych sukniach – błękitnych i wiśniowych – nie budziły zainteresowania w Wilsonie. Był na balkonie sam, nie licząc brodatego Hindusa w turbanie, który już przedtem próbował mu wróżyć. Ani godzina, ani dzień nie nadawały się dla białych ludzi; znajdowali się z pewnością na plaży, o osiem kilometrów stąd, ale Wilson nie miał samochodu. Czuli się nieznośnie samotny. Po obu stronach szkoły blaszane dachy schodziły ku morzu. Karbowana blacha nad głową Wilsona dzwoniła i zgrzytała, kiedy lądował na niej sęp.

Ukazało się trzech oficerów marynarki handlowej z konwoju, który stał w porcie. Zostali momentalnie otoczeni przez małych chłopców w szkolnych czapkach, których monotonna paplanina dochodziła słabo do uszu Wilsona niby wierszyk dziecinny: – Pan kapitan chcieć zyk, zyk, moja siostra ładna dziewczynka nauczycielka, pan kapitan chcieć zyk zyk. – Brodaty Hindus marszczył się nad jakąś zawiłą kalkulacją na odwrocie koperty – horoskop czy koszty utrzymania? Kiedy Wilson znów spojrział na ulicę, oficerowie już sobie wywalczyli przejście, a chłopcy roili się wokół samotnego marynarza: poprowadzili go triumfalnie w kierunku burdelu opodal posterunku policji, niby do ochronki.

Czarny boy przyniósł gin. Wilson ciągnął go powolutku, bo nie miał nic lepszego do roboty, chyba wrócić do swego dusznego, brudnego pokoju i czytać powieść albo wiersze. Wilson lubił wiersze, lecz pochłaniał je skrycie jak narkotyk. „Skarbczyk poezji” towarzyszył mu wszędzie, ale zażywał go nocą, w małych porcjach – szczypta Longfellowa, Macaulaya, Mangana.

*Powiedz, jak roztrwońiesz skarbiec twego ducha,
Jak cię przyjaźń zdradziła, miłość oszukała...*

Miał gust romantyczny. Na pokaz trzymał Wallace'a. Namiętnie pragnął niczym nic odróżnić się zewnętrznie od innych ludzi: nosił wąsy niby krawat klubowy – był to najwyższy współczynnik pospolitości – ale zdradzały go oczy, psie oczy, oczy setera, żałośnie skierowane ku Bond Street.

– Przepraszam – odezwał się jakiś głos – czy pan Wilson?

Spojrzał na mężczyznę w średnim wieku, ubranego naturalnie w szorty khaki, z wychudzoną

twarzą barwy siana.

- Tak, to ja.
 - Czy mogę się przysiąść? Nazywam się Harris.
 - Bardzo mi przyjemnie.
 - Pan jest nowym buchalterem UAC?
 - Tak jest. Napije się pan?
 - Napiję się soku cytrynowego, jeśli pan pozwoli. Nie mogę pić alkoholu w południe.
- Hindus wstał i zbliżył się z uszanowaniem.

– Pan mnie sobie przypomina, panie Harris. Może pan powie swemu znajomemu o moich zdolnościach. Może zechciałby przeczytać moje listy polecające... – Plik zatłuszczonych kopert tkwił stale w jego ręku. – Czołowi przedstawiciele towarzystwa.

- Wynocha. Odwał się, stary draniu – powiedział Harris.
- Skąd pan wiedział, jak się nazywam? – spytał Wilson.
- Zobaczyłem na jakiejś depeszy. Jestem cenzorem depesz – odrzekł Harris. – Co za robota! Co za dziura!

– Już z góry widzę, panie Harris, że pański los bardzo się zmienił. Gdyby pan chciał pójść ze mną do łazienki...

- Odwał się, Gunga Din.
- Czemu do łazienki? – zaciekał się Wilson.
- Zawsze tam wróży. Przypuszczam, że to jedyny pokój do dyspozycji. Nigdy nie przyszło mi do głowy spytać, dlaczego.

- Długo pan tu siedzi?
- Osiemnaście cholernych miesięcy.
- Prędko do domu?

Harris popatrzył ponad blaszanymi dachami w stronę portu.

– Ciągłe wieją przeciwne wiatry – rzekł. – Ale kiedy nareszcie będę w domu, nigdy więcej mnie tu nie zobaczycie. – Zniżył głos i powiedział jadowicie nad sokiem: – Nie znoszę tej dziury. Nie znoszę tych ludzi. Nie znoszę tych cholernych Negrów. Pan wie, że nawet nie wolno nam ich tak nazywać.

- Mój boy wydaje mi się całkiem do rzeczy.
- Boy jest zawsze do rzeczy. To prawdziwy Murzyn. Ale ci, niech pan spojrzysz, niech pan spojrzysz na to stworzenie ustrojone w boa z piór. To nie są nawet prawdziwe Negry, tylko faceci z Antyli; a jednak trzęsą Wybrzeżem. Urzędnicy w składach, rada miejska, prawnicy, mój Boże! Wszystko dobrze, tam, w Protektoracie. Nie mam nic przeciw prawdziwemu Negrowi. Pan Bóg stworzył różne barwy skóry. Ale ci tutaj, mój Boże! Rząd się ich boi, policja się ich boi... Niechże pan spojrzysz – mówił Harris – niech pan spojrzysz na Scobiego.

Sęp załopotał skrzydłami i przesunął się po blaszanym dachu; Wilson spojrział na Scobiego. Spojrział bez zainteresowania, stosując się do wskazówki obcego człowieka, i zdawało mu się, że nic szczególnie ciekawego nie wiąże się z krępyim siwym mężczyzną idącym samotnie ulicą. Nie mógł wiedzieć, że była to jedna z tych chwil, których się nigdy nie zapomina: na pamięci powstała blizna, ranka, która zaboli, ilekroć złączą się pewne rzeczy – smak ginu w południe, zapach kwiatów pod balkonem, dźwięk karbowanej blachy, brzydki ptak przesuwający się po dachu z łopotem skrzydeł.

- Tak ich kocha – powiedział Harris. – Śpi z nimi.
- Czy to jest mundur policji?
- Tak. Naszej znakomitej policji. „Zgubionej nie odnajdą rzeczy...” zna pan ten wiersz?
- Nie czytuję wierszy – odparł Wilson. Jego wzrok podążył za Scobiem wzdłuż tonącej w

słońcu ulicy. Scobie stanął i zamienił parę słów z czarnym człowiekiem w białej panamie; minął ich czarny policjant salutując sprężysto. Scobie poszedł dalej.

– Gdyby tak dobrze poszukać, pewnie by się okazało, że jest na żołdzie Syryjczyków.

– Syryjczyków?

– To istna wieża Babel – powiedział Harris. – Ludzie z Antyli, Afrykańczycy, Hindusi, Syryjczycy, Anglicy, Szkoci w Urzędzie Robót Publicznych. Księża irlandzcy, księża francuscy, księża alzaccy.

– A co robią Syryjczycy?

– Robią forszę. Prowadzą wszystkie składy w głębi kraju i większość składów tutaj. „Prowadzą” też diamenty.

– Myślę, że jest tego mnóstwo.

– Niemcy dużo płacą.

– Czy on tu nie ma żony?

– Kto? Aha, Scobie. Niby tak, ma żonę. Może gdybym miał taką żonę, też bym spał z Murzynkami. Poznają pan niedługo. To lokalna intelektualistka. Lubi sztukę, poezję. Urządziła kiedyś wystawę sztuki na rzecz rozbitków. Wie pan, jak to wygląda: wiersze o wygnaniu pisane przez mechaników, akwarele malowane przez maszynistów, wycinanki ze szkółek misyjnych. Biedny stary Scobie. Napije się pan?

– Chyba tak – odrzekł Wilson.

Scobie skręcił w James Street wzdłuż Sekretariatu. Ten budynek ze swoimi długimi balkonami przypominał mu zawsze szpital. Przez piętnaście lat Scobie przyglądał się coraz to nowym pacjentom; regularnie po osiemnastu miesiącach odsyłano niektórych do domu, poźółkłych i nerwowych, a inni zajmowali ich miejsce: sekretarze kolonialni, sekretarze rolnictwa, skarbnicy i dyrektorzy robót publicznych. Przyglądał się wykresom temperatury każdego z nich: pierwszy wybuch bezsensownej złości, za dużo picia, nagle przestrzeganie zasad po roku pobłażliwości. Czarni urzędnicy obnosili po korytarzach swoją pielęgniarzką łagodność niby doktorzy; z pogodą, wyrozumiałością i uszanowaniem przyjmowali każdą zniewagę. Pacjent miał zawsze rację.

Za rogiem, naprzeciw starego drzewa bawełnianego, wokół którego zebrali się pierwsi osadnicy w dzień wylądowania na nieprzyjaznym wybrzeżu, stały budynki sądu i posterunek policji, wielki kamienny gmach, niby chełpliwa przechwałka ludzi słabych. W tej masywnej skorupie człowiek tłukł się po korytarzach jak wyschnięta pestka. Nikt nie dorastał do tak patetycznego pomysłu. Ale sama idea nie była głębsza niż jeden pokój. W ciemnym, wąskim korytarzu od tyłu, w sali rozpraw i w celach Scobie zawsze wyczuwał odór ludzkiej nędzy i niesprawiedliwości – była to woń ogrodu zoologicznego, trocin, odchodów, amoniaku i braku wolności. Budynek szorowano codziennie, ale tego zapachu nie dało się wygnać. Więźniowie i policjanci nosili go w fałdach ubrania jak dym papierosów.

Scobie wszedł po wielkich schodach i skręcił na prawo krytym gankiem do swego biura: stół, dwa kuchenne krzesła, szafa, para zardzewiałych kajdanków wiszących jak stary kapelusz na gwoździu, szafka na papiery; ktoś obcy uważałby, że to pusty, niewygodny pokój, ale dla Scobiego to był dom. Inni ludzie budują poczucie domu powoli, przez kumulację: nowy obraz, coraz więcej książek, dziwny przycisk na biurko, popielniczka nabyta nie wiadomo po co podczas jakichś wakacji. Scobie budował swój dom przez redukcję. Kiedy zaczynał piętnaście lat temu, miał znacznie więcej rzeczy niż teraz. Była tu wówczas fotografia jego żony, barwne skórzane poduszki kupione na targu, fotel, wielka kolorowa mapa portu na ścianie. Mapę pożyczycyli sobie młodszy. Nie była mu już potrzebna: całą linię wybrzeża kolonii miał w oczach.

Jego rewir sięgał od Kufa Bay do Medley. Jeśli chodzi o poduszki i fotel, stwierdził wkrótce, że tego rodzaju komfort w dusznym mieście oznacza gorąco. W miejscu, gdzie coś dotykało dała lub otaczała je, występował pot. Na ostatku fotografia jego żony stała się niepotrzebna z powodu obecności jej samej. Przybyła do niego w pierwszym roku tej niby-wojny i teraz nie mogła odjechać; niebezpieczeństwo łodzi podwodnych umocowało ją tak jak te kajdanki na gwoździu. Poza tym była to bardzo dawna fotografia, a Scobie nie miał już ochoty przypominać sobie tej nie uformowanej jeszcze twarzy, spokojnego i łagodnego wyrazu nieświadomości, warg rozchylonych posłusznie w uśmiechu, którego żądał fotograf. Piętnaście lat kształtuje twarz, łagodność zanika ze wzrostem doświadczenia – a Scobie zawsze zdawał sobie sprawę z własnej odpowiedzialności. On prowadził: doświadczenie, które do niej przyszło, było doświadczeniem wybranym przez niego samego. On uformował jej twarz.

Zasiadł przed pustym stołem i niemal równocześnie czarny sierżant stuknął głośno obcasami w progu.

– Pan?

– Co nowego?

– Komisarz chciał rozmawiać, pan.

– Jest co na liście karnej?

– Dwa czarni ludzie bić się na targu, pan.

– O mammy?

– Tak, pan.

– Co jeszcze?

– Panna Wilberforce chce widzieć pan. Mówię, pan do kościoła, ona przyjść potem; ale ona siedzieć. Ona mówić, ona nie pójść.

– Która to panna Wilberforce, sierżancie?

– Nie wiem, pan. Ona z Sharp Town, pan.

– No dobrze, załatwię ją po rozmowie z komisarzem. Ale nikogo więcej, pamiętaj.

– Tak jest, pan.

Scobie idąc korytarzem do pokoju komisarza ujrzał dziewczynę siedzącą samotnie pod ścianą. Rzucił przelotnie okiem – niejasne wrażenie młodej czarnej twarzy afrykańskiej i jaskrawej bawełnianej sukni – już jej nie pamiętał. Rozmyślał, co też powinien powiedzieć komisarzowi. Chodziło mu to po głowie od tygodnia.

– Niech pan siada – komisarz był starym, pięćdziesięcioletnim człowiekiem. Wiek liczyło się według lat, które ktoś przesłużył w kolonii. Komisarz miał dwadzieścia dwa lata służby i był tu najstarszy, a gubernator był sobie sześćdziesięcioletnim młodzieniaszkiem w porównaniu z byle zarządcą okręgu mającym za sobą pięć lat doświadczenia.

– Idę na emeryturę, panie Scobie, po tym turnusie.

– Wiem.

– Myślę, że wszyscy wiedzą.

– Słyszałem, jak ludzie o tym gadają.

– A przecież pan jest drugim człowiekiem, któremu to komunikuję. Czy mówią, kto obejmie moje stanowisko?

– Wiedzą, kto go nie obejmie – rzekł Scobie.

– To cholerne świństwo – powiedział komisarz. – Nie mogę już zrobić nic więcej niż to, co zrobiłem. Ma pan talent do robienia sobie nieprzyjaciół, panie Scobie. Jak Arystydes Sprawiedliwy.

– Nie myślę, żebym był taki znów sprawiedliwy.

– Ale chodzi o to, co pan zamierza dalej robić. Przysyłają z Gamby jegomościa, nazywa się

Baker. Jest młodszy od pana. Czy chce pan podać się do dymisji, czy pójść na emeryturę, czy prosić o przeniesienie?

- Chcę zostać – odparł Scobie.
- Pańskiej żonie się to nie spodoba.
- Siedzę tu zbyt długo, by móc odejść.

„Biedna Luiza – pomyślał sobie. – Gdybym był oddał decyzję w jej ręce, gdzie byśmy teraz byli?” I przyznał otwarcie, że nie byłiby tutaj, tylko w jakimś znacznie lepszym miejscu, w lepszym klimacie, z lepszą pensją, na lepszym stanowisku. Korzystałaby z każdej okazji, by to stanowisko poprawić; sterowałaby zgrabnie ku coraz wyższym szczeblom nie drażniąc kłębowiska żmij. „Ja ją tu wpakowałem” – rozmyślał z tym dziwnym przedsmakiem winy, który odczuwał zawsze, jak gdyby był odpowiedzialny za coś w przyszłości, czego nawet nie mógł przewidzieć. Powiedział głośno:

- Pan wie, że lubię to miejsce.
- Tak mi się wydaje. Zastanawiam się, dlaczego.
- Ładnie tu wieczorami – odparł mgliście Scobie.
- Czy zna pan ostatnią historyjkę, którą ukuli przeciwko panu w Sekretariacie?
- Przypuszczam: że jestem na żołdzie Syryjczyków?
- Tak daleko jeszcze nie doszli. To będzie następny etap. Nie: śpi pan z czarnymi dziewczynami. Pan wie, co w tym siedzi, panie Scobie; trzeba było flirtować z którąś z ich żon. Czują się obrażeni.

– Może powinienem spać z czarną dziewczyną. Wtedy nie musieliby już wymyślać czego innego.

- Człowiek, który tu był przed panem, spał z całymi tuzinami dziewczyn – rzekł komisarz.
- Jakoś to nikomu nie szkodziło. Wykombinowali inną sztukę. Powiedzieli, że pije w ukryciu. Dzięki temu czuli się lepsi pijąc publicznie. Co to za bydlę, panie Scobie.

- Pierwszy zastępca sekretarza kolonialnego to porządny gość.
- Tak, pierwszy zastępca sekretarza kolonialnego jest niczego sobie. – Komisarz zaśmiał się.
- Straszny człowiek z pana. Scobie Sprawiedliwy.

Scobie wrócił korytarzem. Dziewczyna siedziała w półmroku. Nogi miała bosc; stały obok siebie jak odlewy w muzeum. Nie należały do jaskrawej bawełnianej sukni.

- Panna Wilberforce? – spytał Scobie.
- Tak, proszę pana.
- Nie mieszkasz tutaj, prawda?
- Nie. Ja mieszkam w Sharp Town, proszę pana.
- Chodźmy.

Wszedł do swego pokoju i usiadł za biurkiem. Nie było na nim ołówka, więc otworzył szufladę. Tutaj – i tylko tu – zebrały się różne przedmioty: listy, gumy, rozerwany różaniec; ołówka nie było.

- O co chodzi, panno Wilberforce?

Dostrzegł zdjęcie jakiejś grupki na plaży; jego żona, żona sekretarza kolonialnego, dyrektor oświaty trzymający coś jakby zdechłą rybę, żona skarbnika kolonialnego. Tyle białego ciała – wyglądali jak zebranie albinosów; wszystkie usta rozdziawiał uśmiech.

Dziewczyna odezwała się:

- Moja gospodyni, ona włamać się tamta noc do moja mieszkanie. Przyjść, jak ciemno, i zwalić przegrodę, i ukraść skrzynkę, gdzie wszystkie moje rzeczy.
- Masz pełno sublokatorów?
- Tylko trzy, proszę pana.

Wiedział dokładnie, jak to wygląda; lokator brał jednopokojową budę za pięć szylingów tygodniowo, stawiał kilka cienkich przegródek i odnajmował tak zwane pokoje po pół korony lokatorom „drugiego stopnia”. Na umeblowanie każdego pokoju składały się: pudło zawierające trochę szkła i porcelany „darowanej” przez chlebodawcę, czyli skradzionej chlebodawcy, łóżko sklecone ze starych skrzyń i lampa naftowa. Szkło tych lamp nigdy nie trwało długo. Małe odsłonięte płomyki były zawsze gotowe skoczyć na rozlaną gdzieś naftę; ogień lizał dyktowe przepierzenia i wzniecał niezliczone pożary. Czasem jakaś gospodyni wpadała do swego domu i obalała niebezpieczne przegrody. Czasem kradła lampy lokatorów, a skutki tego postępku rozchodziły się coraz szerszymi kręgami kradzieży lamp, aż sięgały dzielnicy europejskiej i stawały się przedmiotem klubowych plotek. „Nie można utrzymać lampy w domu za żadne skarby świata.”

– Twoja gospodyni – rzekł ostro Scobie do dziewczyny – ona mówi, ty robić wielki bałagan; za dużo lokatorów, za dużo lamp.

– Nie, proszę pana. Nie być palaver z lampami.

– Palaver z mammy, co? Ty zła dziewczyna?

– Nie, proszę pana.

– Czemu ty przyjść tu? Czemu nie do kaprała Laminah w Sharp Town?

– On brat moja gospodyni, proszę pana.

– Ach tak? Ta sama matka, ten sam ojciec?

– Nie, proszę pana. Ten sam ojciec.

Rozmowa biegła jak rytualne odpowiedzi księdza i ministranta. Scobie wiedział dokładnie, co by było, gdyby jeden z jego ludzi prowadził śledztwo w tej sprawie. Gospodyni opowiadałaby, że prosiła już najemcę, aby zwał przegrody, a kiedy to nie skutkowało, sama musiała się wziąć do dzieła. Mówiłaby, że nigdy nie było skrzynki z porcelaną. Kaprał potwierdziłby jej zeznanie. Okazałoby się, że n:c jest bratem gospodyni, tylko pozostaje z nią w jakimś nieokreślonym i prawdopodobnie mało zaszczytnym stopniu pokrewieństwa. Łapówki noszące godną nazwę prezentów wędrowałyby z rąk do rąk. Ukoiłoby się fale oburzenia i gniewu, które wyglądały tak prawdziwie. Przegrody stanęłyby ponownie; nikt nie słyszałby więcej o skrzynce, a kilku policjantów byłoby bogatszych o parę szylingów. W początkach swojej służby Scobie rzucał się z zapalem w tego rodzaju śledztwa i zawsze w końcu znajdował się w sytuacji stronnicej; zdawało mu się, że popiera biednego i niewinnego lokatora przecie, bogatemu i winnemu właścicielowi domu. Odkrył jednak wkrótce, że wina i niewinność były równie względne jak bogactwo. Poszkodowany lokator okazywał się zarazem bogatym kapitalistą, który zarabiając na pojedynczym pokoju pięć szylingów tygodniowo, sam mieszka za darmo. Później Scobie próbował dławić te sprawy w zarodku. Dyskutował ze stroną oskarżającą i wykazywał, że śledztwo na nic się przyda, a z pewnością będzie kosztować masę czasu i pieniędzy; parokrotnie odmawiał nawet prowadzenia śledztwa. Wynikiem tej biernej postawy było ciskanie kamieni w szyby jego samochodu, dziurawienie opon i przezwisko „Złego Człowieka”, które przyłgnęło do niego na przeciąg całego długiego, przykrego objazdu. Przejmował się tym bez sensu, w upale i wilgoci; nie umiał lekko traktować takich spraw. Zaczął już wtedy pragnąć zaufania tych ludzi. Owego roku dostał czarnej febry iomalże nie musiał wycofać się ze służby wskutek złego stanu zdrowia.

Dziewczyna czekała cierpliwie na jego decyzję; umieli być nieskończenie cierpliwi, jeśli było trzeba – tak samo, jak nie znali żadnych granic w złości, jeśli mogli coś na tym zyskać. Siedzieli cały dzień spokojnie na podwórzu białego człowieka, żeby błagać o coś, czego nie był w stanie załatwić, albo wrzeszczeli, bili się i przeklinali, byle ich pierwszych obsłużono w sklepie. „Jakaż ona śliczna” pomyślał. Dziwne; piętnaście lat temu nie byłby dostrzegł jej piękności – małych,

wysokich piersi, cienkich przegubów rąk, jędrnej wypukłości młodych pośladków; nie odróżniałyby się od swoich towarzyszek: Czarna. W tamtych dniach uważał swoją żonę za piękność. Biała skóra nie przypominała mu wtedy albinosa. Biedna Luiza.

- Daj ten papierek sierżantowi przy biurku – powiedział.
 - Dziękuję, proszę pana.
 - W porządku. – Uśmiechnął się. Spróbuj powiedzieć mu prawdę.
- Patrzył na nią, kiedy wychodziła z ciemnego biura, jak na piętnaście zmarnowanych lat.

Scobiego „wymanewrowano” w nie kończącej się wojnie o mieszkania. Podczas ostatniego urlopu stracił bungalow na Cape Station (było to główne skupisko europejskie) na rzecz wyższego urzędnika służby zdrowia, niejakiego Fellowesa. Został usunięty do kwadratowego piętrowego domu, zbudowanego pierwotnie dla jakiegoś syryjskiego handlarza, poniżej dawnej siedziby Scobiego, na kawałku osuszonego bagna, który zamieniał się ponownie w bagno z nadejściem pory deszczowej.

Z okien miał Scobie widok wprost na morze, ponad szeregiem domów kreolskich. Po drugiej stronie drogi charczały ciężarówki w wojskowym parku samochodowym, a sępy spacerowały niby indyki po pułkowym śmietniku. Za domem, na paśmie niewielkich wzgórz, leżały bungalowy wśród niskich chmur; lampy płonęły cały dzień, w szafach pleśń osiadała na butach – ale jednak były to domy dla ludzi na tym samym co on szczeblu. Jak wiele znaczy dla kobiet duma, duma z samych siebie, ze swych mężów, z otoczenia. Rzadko są dumne, jak mniemał Scobie, z rzeczy niedostrzegalnych.

- Luizo – zawołał – Luizo!

Nie było powodu, by wołać; jeśli nie znajdowała się w salonie, mogła być tylko w sypialni (kuchnia była po prostu szopą w podwórzu, naprzeciw tylnego wejścia); a jednak miał zwyczaj wzywać ją po imieniu – zwyczaj, którego nabył w dniach troski i miłości. Im mniej potrzebował Luizy, tym wyraźniej uświadamiał sobie własną odpowiedzialność za jej szczęście. Gdy wołał jej imię, krzyczał jak Kanut przeciw fali – fali jej smutku, niezadowolenia i rozczarowania. W dawnych czasach odpowiadała; ale nie nabierała nawyków tak jak on, nie była też jak on fałszywa, mówił sobie czasem. Dobroć i litość nie miały nad nią władzy; nigdy by nie udawała wzruszenia, którego naprawdę nie czuła. Ulegała całkowicie chwilowemu osłabieniu i równie nagle wracała do siebie, jak zwierzę. Kiedy odnalazł ją w sypialni pod moskitierą, przyszedł mu na myśl pies czy kot: była tak zupełnie „do niczego”. Włosy miała zmatowiałe, oczy zamknięte. Stał zupełnie cicho, jak szpieg na obcym terytorium; był zresztą naprawdę na obcym terytorium. Jeśli bowiem dla niego dom oznaczał redukcję rzeczy do stałego, przyjacielskiego, niezmiennego minimum – dla niej polegał na kumulacji. Toaletka była zastawiona słoikami i fotografiami: on sam jako młody człowiek w dziwnie staroświeckim mundurze oficerskim z ostatniej wojny; żona prezesa sądu, którą Luiza chwilowo uważała za przyjaciółkę; ich jedynaczka, która trzy lata temu umarła w Anglii, w szkole: pobożna twarzyczka dziewięcioletniej dziewczynki w białym welonie od pierwszej komunii; niezliczone zdjęcia samej Luizy: w grupach pielęgniarek, podczas pikniku u admirała na Medley Beach, wśród błot Yorkshire z Teddy Bromleyem i jego żoną. Wyglądało, jakby gromadziła dowody, że i ona ma przyjaciół, jak inni. Patrzył na nią przez muślinową siatkę. Jej twarz powlekał żółtawy odcień atabryny; włosy, które kiedyś miały barwę miodu, pociemniały i lepiły się od potu. Były to chwile brzydoty, kiedy kochał ją, kiedy litość i odpowiedzialność osiągały moc namiętności. Litość kazała mu odejść, nie byłby w stanie zbudzić swego najgorszego nieprzyjaciela – nie mówiąc o Luizie. Na palcach zszedł po schodach. (Schodów wewnętrznych nie było nigdzie w tym mieście bungalowów, poza gmachem Sekretariatu; Luiza próbowała uczynić z nich przedmiot dumy za pomocą chodnika i obrazków

na ścianie.) W salonie stały półki pełne jej książek; kilimy na podłodze, maska murzyńska z Nigerii, znowu fotografie. Książki trzeba było co dzień wycierać, aby usunąć z nich pleśń. Niezbyt dobrze udało jej się ukryć za zasłonami spizarkę, stojącą czterema nogami w emaliowanych miedziankach z wodą, która chroniła od mrówek. Boy kładł starannie tylko jedno nakrycie do obiadu.

Boy był mały i przysadzisty, miał szeroką, brzydką i miłą twarz plemienia Temne. Jego bose stopy klapały na podłodze jak puste rękawiczki.

– Co jest pani? – spytał Scobie.

– Brzuch boli – odrzekł Ali.

Scobie wziął z biblioteki gramatykę języka Mende; była wsunięta na najniższą półkę, gdzie nie wpadała w oczy jej stara, zniszczona okładka. Na górnych półkach stały cienkie tomiki ulubionych autorów Luizy: nie najmłodszy współczesny poeta i powieści Virginii Woolf. Nie mógł się skupić: było za gorąco, a nieobecność żony działała jak gadatliwy towarzysz, przypominający mu jego odpowiedzialność. Widelec spadł na podłogę. Scobie patrzył, jak Ali wyciera go ukradkiem o rękaw, patrzył z czułością; byli razem od piętnastu lat, o rok dłużej, niż trwało jego małżeństwo; długi to czas, jeśli chodzi o utrzymanie służącego. Ali był najprzód „małym boyem”, później chłopcem kredensowym w czasach, gdy trzymało się czterech ludzi do posługi; teraz był służącym. Po każdym urlopie Ali stał na pomoście czekając, by rozlokować jego bagaż między trzech czy czterech obszarpanych tragarzy. Podczas przerw urlopowych wielu ludzi próbowało ukraść mu Alego, lecz ten nigdy nie zawiódł: czekał zawsze, poza wypadkiem, kiedy siedział w więzieniu. Nie było w tym nic hańbiącego, po prostu przeszkoda, której nikt nie może stale wymijać.

– Tiki – jęknął żalony głos. Scobie wstał natychmiast. – Tiki... Poszedł na górę.

Jego żona siedziała pod moskitierą; przez moment miał wrażenie, że widzi kości i surowe mięso, ale litość szła tuż za tym okrutnym obrazem i wyparła go.

– Czy czujesz się lepiej, kochanie?

Luiza odparła:

– Była tu pani Castle.

– To wystarczy, aby się rozchorować – rzekł Scobie.

– Opowiadała mi o tobie.

– Cóż opowiadała o mnie?

Posłał jej radosny, sztuczny uśmiech; wielka część życia to odkładanie nieszczęścia na kiedy indziej. Nigdy nie traci się na zwłóce. Miał niejasne poczucie, że jeśli tylko odwlekać, śmierć wyjmuje w końcu wszystkie sprawy z rąk ludzkich.

– Powiada, że komisarz idzie na emeryturę i że cię pominęli.

– Jej mąż mówi za dużo przez sen.

– Czy to prawda?

– Tak. Wiedziałem o tym od dawna. To naprawdę nieważne, kochanie.

Luiza powiedziała:

– Nigdy więcej nie będę w stanie pokazać się w klubie.

– No, nie jest tak źle. Wiesz, to się zdarza.

– Podasz się do dymisji, prawda, Tiki?

– Nie sądzę, żebym mógł to zrobić, kochanie.

– Pani Castle stoi po naszej stronie. Jest wściekła. Mówi, że wszyscy o tym gadają i plotkują. Prawda, kochanie, że nie jesteś na żołdzie Syryjczyków?

– Nie, kochanie.

– Byłam tak zgnębiona, że wyszłam przed końcem mszy. To takie podłe z ich strony, Tiki.

Nie możesz tego tak zostawić. Musisz pomyśleć o mnie.

– Tak, robię to. Cały czas.

Usiadł na łóżku, wsunął rękę pod siatkę i dotknął ręki żony. Małe paciorki potu ukazały się na miejscu, gdzie skóra przylgnęła do skóry. Powiedział:

– Naprawdę myślę o tobie, kochanie. Ale jestem tu piętnaście lat. Czułbym się zagubiony gdzie indziej, nawet gdyby mi dali inną posadę. Wiesz, to nie jest dobra rekomendacja: być pominiętym przy awansie.

– Moglibyśmy pójść na emeryturę.

– Niełatwo utrzymać się z emerytury.

– Jestem pewna, że mogłabym trochę zarabiać pisaniem. Pani Castle mówi, że powinnam zostać zawodową literatką. Tyle przeżyć... – powiedziała Luiza spoglądając przez namiot z białego muslinu na swoją toaletę. Spojrzała stamtąd inna twarz, otoczona białym muslinem. Luiza odwróciła wzrok. Dorzuciła:

– Gdybyśmy tylko mogli pojechać do Afryki Południowej. Nie znoszę tutejszych ludzi.

– Może mógłbym wyrobić ci przejazd. Ostatnio nie było na tej trasie wielu zatonięć. Powinnaś mieć wakacje.

– Ty także chciałeś kiedyś iść na emeryturę. Liczyłeś lata. Robiłeś plany dla nas wszystkich.

– No cóż, człowiek się zmienia – odparł wymijająco.

Powiedziała bezlitośnie:

– Nie myślałeś wtedy, że będziesz ze mną sam.

Przycisnął spoconą rękę do jej ręki.

– Co za głupstwa, kochanie. Musisz wstać i zjeść coś niecoś...

– Tiki, czy ty kochasz kogokolwiek prócz siebie samego?

– Nie, kocham tylko siebie i tyle. No i Alego. Zapomniałem o Alim. Naturalnie, jego też kocham. Ale ciebie nie...

Wypowiadał te zużyte, mechaniczne żarty gładząc jej rękę, uśmiechając się, łagodząc...

– A siostrę Alego?

– Czy on ma siostrę?

– Oni przecież wszyscy mają siostry. Czemu nie byłeś dziś na mszy?

– Wiesz przecież, kochanie, że musiałem być dziś rano na służbie.

– Mogłeś to jakoś przełożyć. Nie jesteś bardzo wierzący, prawda, Tiki?

– Ty wierzysz za nas oboje, kochanie. Chodź, zjedz coś.

– Tiki, myślę sobie czasem, że zostałeś katolikiem, żeby się ze mną ożenić. To właściwie nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, prawda?

– Słuchaj, kochanie, trzeba zejść na dół i coś przegryźć. Potem musisz koniecznie pojechać samochodem na plażę, trochę się przewietrzyć.

– Jaki całkiem inny byłby ten dzień – odezwała się patrząc spoza siatki – gdybyś był wrócił do domu i powiedział: Kochanie, mam zostać komisarzem...

Scobie rzekł powoli:

– Wiesz co, w takim miejscu podczas wojny... to ważny port, Francuzi Petaina tuż za granicą... Cały ten szmugiel diamentów z Protektoratu... potrzebują kogoś młodszego.

Nie wierzył zupełnie w to, co mówił.

– Nie pomyślałam o tym.

– To jedyny powód. Nie możesz nikogo winić. Wojna.

– Wojna psuje wszystko, prawda?

– Daje szansę młodszemu.

– Kochany, może zejść i skubną trochę zimnego mięsa.

- Słusznie, kochanie.
- Cofnął rękę. Ociekała potem.
- Powiem Alemu.
- Ali! – krzyknął idąc do drzwi.
- Massa?
- Połóż dwa nakrycia. Pani lepiej.

Pierwszy nikły wiatr przybiegł od morza wiejąc nad krzakami między chatami Kreolów. Sęp wzbil się ciężko z blaszanego dachu i opadł z łopotem na sąsiednie podwórze. Scobie głęboko wciągnął oddech. Czuł się wyczerpany i zwycięski: przekonał Luizę, by przelknęła trochę mięsa. Zawsze brał na siebie odpowiedzialność za to, by istotom, które kochał, nie przestawało być dobrze. Jedna z nich jest już bezpieczna, na zawsze, a druga zje za chwilę obiad.

Wieczorem port wypiękniał, może na pięć minut. Laterytowe drogi, które w ciągu dnia były takie brzydkie i gliniaste, nabrały delikatnej, kwietniowej, różowej barwy. Jest to pora błogości. Ludzie, którzy opuścili port na zawsze, przypominają sobie czasem w szare, wilgotne, londyńskie wieczory rozkwit, i blask, więdnący niemal w tej samej chwili, w której, się go dostrzeża. Dziwią się, czemu nienawidzili wybrzeża, i póki nie dopiją szklanki, tęsknią do powrotu.

Scobie zatrzymał morrisa na jednym z zakrętów biegnącej w górę drogi i obejrzał się. Przybył o sekundę za późno. Kwiat spłówił już od dołu, od miasta: białe głązy, które znaczyły krawędź stromego wzgórze, lśniły jak świece w młodym zmierzchu.

- Ciekawa jestem, czy tam ktoś będzie, Tiki.
- Z pewnością. To przecież Wieczór Książki.
- Spiesz się, kochanie. Tak gorąco w aucie. Będę zadowolona, kiedy się zaczną deszcze.
- Naprawdę?
- Gdybyż mogły popadać tylko jeden czy dwa miesiące, a potem przestać.

Scobie dał stosowną odpowiedź. Nigdy nie słuchał, kiedy żona mówiła. Pracował spokojnie przy równym prądzie dźwięków; ale jeśli zabrzmiała nuta rozterki, natychmiast ją spostrzegał. Niby telegrafista z otwartą na kolanach powieścią umiał nie zwracać uwagi na żadne sygnały poza hasłem okrętu i znakiem SOS. Nawet lepiej pracował, kiedy mówiła, niż kiedy milczała, bo póki jego bębni rejestrowały te spokojne dźwięki: klubowe plotki, uwagi na temat kazań księdza Ranka, treść nowej powieści, nawet skargi na pogodę – wiedział, że wszystko jest w porządku. Zatrzymywała go w pracy cisza – cisza, podczas której mógłby podnieść wzrok i zobaczyć żyły czekające w oczach na jego troskliwość.

- Podobno w zeszłym tygodniu zatopili wszystkie chłodnie.

Kiedy mówiła, rozważał, jak ma postąpić ze statkiem portugalskim, którego oczekiwano po rannym otwarciu portu. Neutralne statki przyływały co dwa tygodnie. Była to dla niższych urzędników sposobność do przewietrzenia się: zmiana pożywienia, kilka szklanek prawdziwego wina, nawet okazja do kupienia w magazynie okrętowym jakiejś niewielkiej ozdoby dla dziewczyny. W zamian za to mieli tylko pomagać policji w badaniu paszportów i rewidowaniu kajut osób podejrzanych; całą ciężką, nieprzyjemną pracę wykonywała żandarmeria. Trzeba było w luku okrętowym przesiewać worki ryżu szukając diamentów przemysłowych albo w upale kuchni pakować ręce do puszek ze smalcem i patroszyć pięknie nadziewane indyczki. Próba znalezienia kilku diamentów na statku o wyporności piętnastu tysięcy ton była absurdem; żaden zły król z bajki nie dał nigdy żadnej gęsiarce tak niemożliwego zadania. A jednak z tą samą regularnością, z jaką przyływały statki, nachodziły telegramy szyfrowe; Taki i taki podróżuje pierwszą klasą, podejrzany o przewóz diamentów. Następujący członkowie załogi podejrzani... Nikt nigdy nic nie znalazł.

Scobie pomyślał: „Tym razem kolej na Harrisa. Może z nim pojechać Fraser. Jestem za stary na takie wyprawy. Niechże się chłopcy trochę zabawią”.

– Ostatnim razem połowa książek przyszła uszkodzona.

– Naprawdę?

„Sądząc po ilości aut – myślał – nie ma jeszcze wielu ludzi w klubie.” Zgasił latarnie i czekał, aż Luiza się ruszy; ale ona siedziała dalej. Lampka zegarów oświetlała jej pięść.

– No, kochanie, dojechaliśmy – powiedział tym rażnym głosem, który nieznanymi uważali za oznakę głupoty. Luiza odezwała się:

– Czy myślisz, że już wiedzą?

– Co wiedzą?

– Że cię pominięto.

– Moja droga, myślałem, żeśmy już skończyli mówić o tym. Pomyśl o wszystkich generałach, którzy zostali pominięci od roku 1940. Któż by się kłopotał o podkomisarza?

– Ale oni mnie nie lubią – rzekła.

„Biedna Luiza – myślał – to straszne nie być lubianą.” Cofnął się myślą do własnych doświadczeń za czasów tamtego dawnego objazdu, kiedy czarni dziurawili opony samochodu i pisali na nim obelżywe słowa.

– Moja droga, co za głupstwa. Nie znałem nikogo, kto by miał tylu przyjaciół – ciągnął nieprzekonująco. – Pani Halifax, pani Castle... – Zdecydował, że lepiej ich nic wyliczać.

– Wszyscy tam czekają – powiedziała – czekają na moje wejście. Wcale nie chciałam jechać do klubu dziś wieczór. Wracajmy do domu.

– Nie można. O, nadjeżdża samochód pani Castle. – Próbował się roześmiać. – Jesteśmy w pułapce.

Zobaczył, jak pięść otwarła się i zamknęła; lepki puder leżał jak śnieg w bruzdach skóry na zgięciach palców.

– Och, Tiki, Tiki – rzekła po chwili – nie opuścisz mnie nigdy, prawda? Nie mam żadnych przyjaciół, odkąd wyjechali Tomkowie Barlow.

Podniósł i ucałował jej wilgotną dłoń; więziła go żalosna wymowa niepowabności Luizy.

Ramię w ramię, jak para policjantów na służbie, weszli do salonu, gdzie pani Halifax wydzielala książki z czytelni. Rzadko kiedy jest tak źle, jak się tego obawiamy: nie było powodu do przypuszczeń, że stanowili temat rozmowy.

– Jak się macie! – zawołała do nich pani Halifax. – Przyszła nowa książka Clemence Dane’a.

Była to najpocziwsza kobieta w tej miejscowości, miała długie, rozczochrane włosy; w książkach z czytelni znajdowały się szpilki do włosów, którymi zakładała przeczytane strony. Scobie uznał, że może bezpiecznie zostawić żonę w jej towarzystwie, bo pani Halifax nie miała krzty złośliwości i żadnych zdolności plotkarskich. Odznaczała się pamięcią zbyt lichą, by móc w niej cokolwiek przechować; czytała w kółko te same powieści nie wiedząc nawet o tym.

Scobie przyłączył się do jakiejś grupki na werandzie. Fellowes, inspektor sanitarny, rozmawiał oburzony z Reithem, pierwszym zastępcą sekretarza kolonialnego, i z oficerem marynarki wojennej, niejakim Brigstockiem.

– Przecież to jest klub – mówił – a nie poczekalnia kolejowa.

Odkąd Fellowes zabrał mu dom, Scobie starał się usilnie go lubić; jeden z przepisów, którymi się w życiu kierował, kazał mu umieć przegrywać. Ale czasem było mu bardzo trudno lubić Fellowesa. Upalny wieczór nie służył inspektorowi: rzadkie i wilgotne rudawe włosy, spiczaste wąsiki, wyłupiaste oczy, purpurowe policzki i tradycyjny krawat szkoły w Lancing.

– Racja – rzekł Brigstock chwiejąc się z lekka.

– Co się stało? – zagadnął Scobie.

Reith odparł:

– On uważa, że jesteśmy za mało ekskluzywni.

Mówił ze swobodną ironią człowieka, który w swoim czasie był zupełnie ekskluzywny, który właściwie wykluczył od swego samotnego stołu w Protektoracie wszystkich prócz siebie samego.

Fellowes powiedział zapalczywie: – Są granice – i dla dodania sobie otuchy musnął swój szkolny krawat.

– Słusznie – rzekł Brigstock.

– Wiedziałem, że się na tym skończy – ciągnął Fellowes – gdy tylko daliśmy wszystkim miejscowym oficerom członkostwo honorowe. Można się było spodziewać, że prędzej czy później zaczną sprowadzać niepożądanych osobników. Nie jestem snobem, ale w takim miejscu trzeba umieć stawiać granice; chodzi przecież o kobiety. Tu jest całkiem inaczej niż w kraju.

– Ale co się stało? – powtórzył Scobie.

– Członkowie honorowi – mówił Fellowes – nie powinni mieć prawa wprowadzania gości. Dopiero co mieliśmy tu szeregowca. Armia może sobie być demokratyczna, jeśli chce, ale nie naszym kosztem. Jest jeszcze inna sprawa: nie starczy alkoholu. Jest go i tak mało, nawet bez tych bubków.

– Rzecz ważna – rzekł Brigstock chwiejąc się coraz bardziej.

– Chciałbym wiedzieć, o czym właściwie mowa – powiedział Scobie.

– Dentysta z czterdziestego dziewiątego pułku przyprowadził cywila, jakiegoś Wilsona, i ten Wilson chce zostać członkiem klubu. To stawia wszystkich w bardzo kłopotliwej sytuacji.

– Co macie mu do zarzucenia?

– Jest jednym z kancelistów U AC. Może wejść do klubu w Sharp Town. Po co się pcha tutaj?

– Tamten klub nie funkcjonuje – powiedział Reith.

– To ich wina, no nie?

Ponad ramieniem inspektora Scobie dostrzegął olbrzymią rozległość nocy. Świeące muszki migały tu i tam nad krawędzią wzgórze; latarnia łodzi patrolującej zatokę odróżniała się od nich tylko tym, że nie gasła.

– Pora na zaciemnienie – odezwał się Reith. – Wejźmy lepiej do środka.

– Który to jest Wilson? – spytał go Scobie.

– O, tam, to on. Biedak wygląda na opuszczonego. Jest tu dopiero od kilku dni.

Wilson, skrepowany samotnością, stał w gąszczu foteli udając, że ogląda jakąś mapę na ścianie. Jego blada jak wapno twarz błyszczała wilgocią. Najwidoczniej kupił sobie tropikalne ubranie od jakiegoś handlarza, który mu wcisnął trudny do zbycia materiał koloru wątroby, dziwacznie prążkowany.

– Pan Wilson, nieprawdaż? – rzekł Reith. – Widziałem dziś pańskie nazwisko w książce sekretarza kolonialnego.

– Tak, to ja – odparł Wilson.

– Nazywam się Reith. Jestem pierwszym zastępcą sekretarza. To major Scobie, podkomisarz.

– Widziałem pana dziś rano przed hotelem, panie majorze – powiedział Wilson.

„Jest coś bezbronnego – pomyślał Scobie – w całej jego postawie; stoi tu i czeka, czy ludzie okażą się dlań życzliwi, czy nieżyczliwi, i chyba nie wie, czego bardziej ma się spodziewać. Jest jak pies. Nikt jeszcze nie narysował mu na twarzy linii, które określają człowieka.”

– Napijmy się, panie Wilson.

– Chętnie, panie majorze.

– Oto moja żona – rzekł Scobie. – Luizo, pan Wilson.

– Słyszałam już o panu Wilsonie – powiedziała sztywno Luiza.
– Widzi pan, jest pan sławny – rzekł Scobie. Jest pan kimś z miasta, a włamał się pan do klubu Cape Station.

– Nie wiedziałem, że robię coś niewłaściwego. Zaprosił mnie major Cooper.

– To mi przypomina rzekł Reith że muszę się umówić z Cooperem. Zdaje mi się, że mam ropień. – Ulotnił się.

– Cooper powiedział mi o czytelnicy, więc pomyślałem, że może...

– Czy lubi pan czytać? – spytała Luiza i Scobie spostrzegł z ulgą, że Luiza będzie miła dla tego biedaka. Z Luizą grało się odrobinę na ślepo. Umiała czasem być najgorszym snobem w klubie. „Pewnie teraz sądzi – pomyślał z litością Scobie że nic może sobie pozwolić na snobizm. Wita z radością każdą nową twarz, która nie w i e .

– Cóż – powiedział Wilson i zaczął rozpaczliwie szarpać rzadkiego wąsa – cóż...

Wyglądało, jakby zbierał siły do jakiegoś wielkiego wyznania albo do wielkiego wykręcenia się.

– Powieści kryminalne? spytała Luiza.

– Cóż, powieści kryminalne, i owszem – przemówił niepewnie Wilson. – Trochę powieści kryminalnych.

– Jeśli chodzi o mnie – rzekła Luiza – lubię poezję.

– Poezję – powiedział Wilson – tak. – Odjął niechętnie palce od wąsów i coś w jego psim wejrzeniu pełnym wdzięczności i nadziei nasunęło Scobiemu radosną myśl: „Czy naprawdę znalazłem dla niej przyjaciela?”.

– Ja też lubię poezję – rzekł Wilson.

Scobie odszedł do baru. Znowu ciężar spadł mu z serca. Wieczór nie był zmarnowany; wróci do domu zadowolona, położy się zadowolona. Podczas jednej nocy nastrój się nie zmienia. Zadowolenie dotrwa do chwili, kiedy on sam pójdzie na służbę. Będzie mógł zasnąć...

Dojrzał w barze grupę swoich podwładnych. Byli tam Fraser i Tod, i nowy człowiek z Palestyny noszący przedziwne nazwisko: Thimblerigg. Scobie zawahał się, czy wejść. Bawili się dobrze i nie chcieliby zapewne towarzystwa wyższego oficera.

– To ci wielki nachał – mówił Tod. Rozmawiali zapewne o biednym Wilsonie. I zanim Scobie zdążył się poruszyć, usłyszał głos Frasera:

– Ale ma za swoje. Już go dopadła nasza Lusja literatka.

Thimblerigg zachichotał wesoło, bańka ginu wzdęła się na grubej wardze.

Scobie szybko wrócił do salonu. Wpadł z impetem na fotel i zatrzymał się. Odzyskiwał powoli zdolność widzenia, ale pot zalewał mu prawe oko. Palce, którymi go otarł, trzęsły się jak u pijaka. Powiedział sobie: To nie jest klimat dla wzruszeń. To klimat dla podłości, chytrości, snobizmu, ale cień nienawiści czy miłości wytrąca człowieka z równowagi. Przypomniał sobie Bowersa, odesłanego do kraju za uderzenie adiutanta gubernatora podczas przyjęcia, i Makina, misjonarza, który skończył w domu wariatów.

– Cholernie gorąco – odezwał się do kogoś, kto zamajaczył niewyraźnie obok niego.

– Licho pan wygląda, Scobie. Napijmy się.

– Nie, dziękuję. Mam jechać na inspekcję.

Koło półek z książkami Luiza rozmawiała radośnie z Wilsonem, ale czuł złość i snobizm tego świata krążące wokół niej jak wilki.

„Nie pozwolą jej nawet cieszyć się książkami” – pomyślał i ręka znowu zaczęła mu drżeć. Zbliżając się usłyszał, jak mówiła łaskawym głosem, niby miłościwa monarchini:

– Musi pan kiedyś przyjść do nas na obiad. Mam mnóstwo książek, które pana zainteresują.

– Tak bym się cieszył – odparł Wilson.

– Niech pan po prostu zatelefonuje. Zjemy, co będzie.

Scobie myślał: „Cóż warci są tamci, że mają czelność szydzić z każdego?” Znał wszystkie jej błędy. Ileż razy drażnił go jej protekcyjny stosunek do obcych. Znał każde powiedzenie, każdą intonację, którymi odpychała innych. Czasem bardzo chciał ją ostrzec: nie noś tej sukni, nie mów tego więcej – jakby matka pouczała córkę – ale musiał milczeć, mając bolesną świadomość, że ona tracić będzie przyjaciół. Najgorzej było, kiedy wyczuwał u swych kolegów dodatkową porcję przyjaźni dla siebie, jak gdyby mu współczuli. „Jakie macie prawo – chciał wtedy krzyknąć – krytykować ją? To moje dzieło. Ja ją taką zrobiłem. Nie zawsze była taka.”

Podszedł nagle i powiedział:

- Moja droga, muszę objechać rewiry.
- Już?
- Żałuję, ale już.
- Zostanę tu, kochanie. Pani Halifax mnie odwiedzie.
- Chciałbym, żebyś ze mną pojechała.
- Co? Na objazd rewirów? Wieki całe już nie jeździłam.
- Właśnie dlatego bym chciał, żebyś się wybrała.

Podniósł jej rękę i pocałował; było to wyzwanie. Obwieszczał całemu klubowi, że nie potrzebują mu współczuć, że kocha żonę, że są szczęśliwi. Ale nikt z tych, co się liczyli, nie zauważył tego – pani Halifax grzebała w książkach, Reith dawno już odjechał, Brigstock tkwił w barze, Fellowes był zbyt zajęty rozmową z panią Castle, by cokolwiek spostrzec – nikt nie widział, tylko Wilson.

Luiza powiedziała:

– Pojadę innym razem, kochanie. Ale pani Halifax właśnie obiecała, że odwiedzie pana Wilsona tą drogą koło nas. Chciałabym mu pożyczyć jedną książkę.

Scobie poczuł ogromną wdzięczność dla Wilsona.

– To świetnie – rzekł. – Świetnie. Ale niech pan u nas zaczeka i napije się czegoś. Odwiozę pana do hotelu. Nie wrócę późno.

Położył dłoń na ramieniu Wilsona modląc się cicho: „Nie pozwól, żeby była zbyt protekcyjna. Nie pozwól jej się ośmieszyć, pozwól jej zatrzymać przynajmniej tego przyjaciela”.

– Nie żegnam się – powiedział – pewien jestem, że się zobaczymy, jak wrócę.

– Bardzo pan łaskaw, panie majorze.

– Niechże pan nie mówi do mnie tak służbowo. Nie jest pan przecież policjantem. Niech pan podziękuje za to swojej gwiazdce.

Scobie przyjechał później, niż zamierzał. Zatrzymało go spotkanie z Yusefem. W połowie zбочa zauważył auto Yusefa, które utknęło na skraju drogi. Yusef spał spokojnie na tylnym siedzeniu. Latarnie samochodu Scobiego oświetliły wielką, nalaną twarz i kosmyk białych włosów spadających na czoło; wydobyły z mroku zarys ogromnych ud, ciasno opiętych w białe płótno. Koszula Yusefa była otwarta na piersi; skręty czarnego owłosienia zwiły się wokół guzików.

– Czy mógłbym pomóc? – spytał Scobie rad nierad. Yusef otworzył oczy; złote zęby wprawione przez jego brata dentystę zaślniły natychmiast jak lampka elektryczna. „Jeśli teraz przejedzie tędy Fellowes, cóż za historię będzie miał na jutro rano dla sekretariatu – pomyślał Scobie. – Podkomisarz spotyka się potajemnie w nocy z kupcem Yusefem”. Udzielić pomocy Syryjczykowi było prawie tak samo niebezpieczne, jak doznać od niego pomocy.

– O, major Scobie – powiedział Yusef. – Przyjaciela poznasz w potrzebie.

– Czy mógłbym jakoś pomóc?

– Siedzimy tu już pół godziny – rzekł Yusef. – Samochody przejeżdżały, a ja myślałem sobie, kiedy też pokaże się Dobry Samarytanin.

– Nie mam benzyny, aby namaścić pańskie rany, panie Yusef.

– Ha, ha, panie majorze, to doskonale. Ale gdyby mnie pan zwyczajnie podwiózł do miasta... Yusef ulokował się w morrisie opierając wielkie udo o hamulec.

– Może by pański boy wsiadł z tyłu?

– Niech zostanie tutaj – rzekł Yusef. – Naprawi samochód, jak zobaczy, że tylko w ten sposób może się dostać do łóżka.

Złożył wielkie tłuste dłonie na kolanie i dodał:

– Major ma bardzo ładny wóz. Major musiał dać za niego czterysta funtów.

– Sto pięćdziesiąt – odparł Scobie.

– Ja bym majorowi dał czterysta.

– Nie jest na sprzedaż. Gdzież bym kupił drugi samochód?

– Nie teraz, ale może wtedy, jak pan będzie wyjeżdżał.

– Nie wyjeżdżam.

– O, ja słyszałem, że major podaje się do dymisji.

– Nie.

– My, kupcy, słyszymy tyle różnych rzeczy, ale to wszystko niepoważne plotki.

– Jak idą interesy?

– Tak sobie, w sam raz.

– A ja słyszałem, że pan zebrał podczas wojny ładny majątek. To naturalnie niepoważne plotki.

– Cóż, major wie, jak to bywa. Mój skład w Sharp Town idzie doskonale, bo ja jestem na miejscu i mam go na oku. Mój skład na Macaulay Street idzie nie najgorzej, bo siostra pilnuje interesu. Ale te składy na Durban Street i Bond Street to one idą źle. Ciągłe oszukaństwo, na każdym kroku oszukaństwo. Żaden mój rodak nie umie czytać i pisać, ja też nie umiem i wszyscy mnie oszukują.

– Opowiadają, że pan ma w głowie wszystkie towary ze wszystkich swoich składów.

Yusef zachichotał i rozpromienił się.

– Mam niezłą pamięć. Aleja przez to nie mogę spać w nocy. Jeżeli ja nie wypiję dużo whisky, to ja ciągle myślę sobie o Durban Street i o Bond Street, i o Macaulay Street.

– Na którą z tych ulic mam pana teraz podwieźć?

– Och, teraz pójdę do domu spać. Mieszkam w Sharp Town, jeżeli pan major łaskaw. Czy nie wpadłby pan na jedną szklaneczkę whisky?

– Niestety, jestem na służbie.

– To bardzo uprzejmie ze strony majora, że mnie pan podwiózł.

Czy pozwoli pan, że okażę swoją wdzięczność posyłając pani majorowej zwój jedwabiu?

– Właśnie takich rzeczy bym nie chciał, panie Yusef.

– Tak, tak, wiem. To bardzo przykre te plotki. A wszystko przez to, że jest trochę Syryjczyków takich jak Tallit.

– Chciałby pan, żeby Tallit zszedł panu z drogi, prawda, panie Yusef?

– Tak, panie majorze. To by był zysk dla mnie, ale i korzyść dla pana majora.

– Sprzedał mu pan w zeszłym roku trochę tych fałszywych diamentów?

– Och, panie majorze, pan przecież nie wierzy, żebym kogoś tak wykorzystywał. Kilku bardzo biednych Syryjczyków poniosło wielkie straty na tych diamentach. Co to był za wstyd tak oszukiwać rodaków.

– Nie powinni byli działać wbrew prawu kupując diamenty. Niektórzy z nich mieli czelność

skarżyć się policji.

– Ciemni biedacy.

– Pan nie był taki znów ciemny, co, panie Yusef?

– Jeżeli major ciekaw, to ja odpowiem majorowi, że to Tallit. Inaczej po co by on mówił, że ja sprzedałem mu diamenty, co?

Scobiejechał powoli. Tłoczno było na wyboistej ulicy. Szczupłe czarne postacie kręciły się bez przerwy jak długonogie pająki w przyćmionych żółtych światłach reflektorów.

– Jak długo jeszcze będzie brakować ryżu, panie Yusef?

– Pan major wie tyle samo, co ja.

– Wiem, że biedota nie może dostać ryżu po urzędowej cenie.

– A ja słyszałem, że nie mogą dostać swojej części darmowego przydziału, jeżeli się nie okupią policjantowi przy bramie.

Była to zupełna prawda. Można było na tej kolonii odparować każdy zarzut – pięknym za nadobne. Zawsze dało się wskazać gdzie indziej jeszcze głębszą korupcję. Fabrykanci plotek w Sekretariacie pełnili pożyteczną funkcję: nie pozwalali zapomnieć, że nikomu nie można wierzyć. To było lepsze od kwietyzmu. „Dlaczego – zastanawiał się Scobie skręcając, by wyminąć zdechłego psa – dlaczego tak bardzo kocham te strony? Czy może dlatego, że tutaj natura ludzka nie zdążyła się zamaskować?” Nikt by tu nie mógł mówić o niebie na ziemi. Niebo tkwiło sztywno na swoim właściwym miejscu, po drugiej stronie śmierci, a po tej stronie kwitły niesprawiedliwość, okrucieństwo i podłość, które gdzie indziej tak sprytnie chowano pod korcem. Tu można było kochać ludzi prawie tak, jak Bóg ich kocha, wiedząc o nich wszystko najgorsze: nie kochało się pozy, ładnej sukni, sprytnie podrobionych uczuć. Poczuli nagłą sympatię do Yusefa. Powiedział:

– Dwa minusy nie dają plusa. Pewnego dnia, panie Yusef, poczuje pan moją nogę na swoim tłustym tyłku.

– Może być, panie majorze, ale może też być, że zostaniemy przyjaciółmi. A tego to ja bym chciał więcej niż czego bądź na świecie.

Zajechali przed dom w Sharp Town i służący Yusefa wybiegł z latarką, żeby mu poświecić.

– Panie majorze – rzekł Yusef – tak by mi było przyjemnie poczęstować pana szklaneczką whisky. Myślę, że mógłbym dużo zrobić dla pana. Ja jestem bardzo patriotyczny, panie majorze.

– To dlaczego gromadzi pan bawełniane zapory przeciw petainowcom? Będą więcej warte niż angielskie funty.

– »Esperança« przychodzi jutro, co?

– Zapewne.

– To strata czasu tak przeszukiwać wielki statek za diamentami. Chyba że wiadomo z góry, gdzie są. Wiadomo, że kiedy statek wróci do Angoli, któryś marynarz zamelduje, gdzieście zagłądali. Będziecie przesiewać cały cukier w luku. Będziecie przeszukiwać smalec w kuchniach, bo ktoś kiedyś powiedział kapitanowi Druce, że można rozgrzać diament i wpuścić do puszki ze smalcem. Przejrzycie naturalnie kajuty i wentylatory, i szafki, i tubki z pastą do zębów. Czy myślicie, że znajdziecie kiedyś bodaj jeden diament?

– Nie.

– Ja też myślę, że nie.

Lampy naftowe płonęły na wszystkich rogach drewnianych piramid wzniesionych z pak. Poprzez czarną leniwą wodę rozróżniał z trudem zarys okrętu ćwiczebnego; był to wysłużony statek, leżący – tak mówiono – na rafie butelek po whisky. Scobie stał chwilę spokojnie, wdychając ciężki zapach morza. Nie dalej niż kilometr stał na kotwicy cały konwój, ale Scobie dostrzegał tylko długi cień ćwiczebnego okrętu i szereg czerwonych światełek, jakby tam była

ulica. Nie słyszał nic od strony wody – tylko samą wodę klaszczącą o mola. Uderzał go zawsze czar tego miejsca: opierał tu stopy na samym skraju dziwnego kontynentu.

Gdzieś w ciemnościach gryzły się dwa szczury. Te nadwodne szczury były wielkie jak króliki. Krajowcy nazywali je świniami. Piekli je i jedli. Ta nazwa pozwalała odróżnić je od szczurów portowych rodzaju ludzkiego. Idąc wzdłuż toru kolejki Scobie skierował się ku targowisku. Za rogiem składu natknął się na dwóch policjantów.

- Jest co nowego?
- Nic, pan.
- Przeszliście tamtędy?
- O tak, pan, my właśnie iść od tamta strona.

Wiedział, że kłamią; nigdy by nie poszli bez opieki białego oficera w tamten kąt przystani na boisko ludzkich szczurów. Szczury były tchórzliwe, ale niebezpieczne – chłopcy szesnasto-, siedemnastoletni, uzbrojeni w brzytwy lub kawałki zbitych flaszek; roili się wokół składów, rozkradali, co się dało, jeśli znaleźli łatwe do otwarcia skrzynie, obsiadali jak muchy każdego pijanego marynarza, który się im nawinął, przy nadarzającej się okazji próbowali porządnąć policjanta, który naraził się jednemu z ich nieprzeliczonych krewnych. Bramy nie chroniły przed nimi portu; przyplływali z Kru Town albo z którejś przystani rybackiej.

- Chodźmy – rzekł Scobie – zobaczymy jeszcze raz.

Policjanci powlekli się za nim ze znużoną cierpliwością, kilometr w jedną stronę, kilometr w drugą. Tylko śwynie biegały po nabrzeżu i klaskała woda. Jeden z policjantów powiedział ważnym tonem:

- Spokojna noc, pan.

Z demonstracyjną gorliwością błyskali na wszystkie strony latarkami, oświetlając porzuconą ramę samochodu, pusty wagonik, róg brezentowej płachty, butelkę pod ścianą składu, z liśćmi palmowymi wepchniętymi w szyjkę zamiast korka.

– Co to jest? – spytał Scobie. Jednym z jego służbowych koszmarów na jawie była bomba zapalająca: tak łatwo się ją fabrykowało. Co dzień przybywali ludzie z terytorium francuskiego z przemysłem bydła – puszczało się ich bardzo chętnie, bo chodziło o mięso. Po tej stronie granicy trenowało się tubylczych sabotażystów na wypadek inwazji; dlaczego by nie mieli tego robić po tamtej stronie?

- Trzeba to obejrzeć – powiedział, ale żaden z policjantów się nie ruszył.
- Tylko lekarstwo dla krajowcy, pan – rzekł jeden z nich trochę drwiąco.

Scobie podniósł ciemną butelkę. Kiedy wyciągnął liście palmowe, smród psiej uryny i jakiejś nieznanej zgnilizny buchnął z otworu jak gaz. Któryś nerw w głowie zapulsował nagłą irytacją. Bez żadnego powodu Scobie przypomniał sobie czerwoną twarz Frasera i chichot Thimblerigga. Zemdlilo go od smrodu; poczuł, że liście palmowe brudzą mu palce. Cisnął butelkę w morze. Głodna gęba wody przyjęła ją jednym mlaśnięciem, ale zawartość rozpyliła się po drodze i całe to bezwietrzne miejsce zaczęło wonieć kwasem i amoniakiem. Policjanci milczeli. Scobie czuł ich niemą dezaprobatę. Powinien był zostawić butelkę na miejscu. Umieszczono ją tam w określonym celu, w związku z określoną osobą, ale teraz, kiedy jej zawartość została uwolniona, było tak, jakby pozwolono złej myśli wędrować ślepo przez powietrze, aby skrupić się – być może – na niewinnym.

– Dobranoc – powiedział Scobie i odwrócił się raptownie na pięcie. Nie uszedł jeszcze dwudziestu metrów, kiedy usłyszał szuranie ich butów oddalające się pośpiesznie od niebezpiecznego terenu.

Scobie pojechał na posterunek policji przez Pitt Street. Przed burdelem po lewej stronie ulicy siedziały na trotuarze dziewczyny; wyszły trochę na powietrze. W gmachu policji, wśród zasłon

zaciemnienia, woń małpiej klatki gęstniała z biegiem nocy. Dyżurny sierżant zdjął nogi ze stołu w sali rozpraw i stanął na baczność.

– Jest co nowego?

– Pięć pijani i nieporządni, pan. Ja ich zamknąć do duża cela.

– Nic więcej?

– Dwa Francuzi, pan, bez przepustki.

– Czarni?

– Tak, pan.

– Gdzieście na nich trafili?

– Na Pitt Street, pan.

– Zobaczę się z nimi rano. Co słyhać z łodzią? Czy funkcjonuje? Chcę pojechać na »Esperançe«.

– Jest popsuta, pan. Pan Fraser próbował naprawić, pan, ale cały czas humbug.

– O której pan Fraser zaczyna służbę?

– O siódmej, pan.

– Powiedz mu, że nie potrzebuje jechać na »Esperançe«. Sam pojedę. Jeśli łódź nie będzie gotowa, zabiorę się z żandarmerią.

– Tak jest, pan.

Siadając z powrotem do samochodu i dusząc leniwy starter Scobie myślał, że człowiek ma przecież prawo do takiego odwetu. Odwet dobrze działa na charakter: z odwetu wyrasta przebaczenie.

Zaczął gwizdać jadąc z powrotem przez Kru Town. Czuł się prawie szczęśliwy; trzeba mu było tylko zupełnej pewności, że nic się nie stało w klubie po jego wyjściu, że w tym momencie, o godz. 22.55, Luiza jest pogodna i zadowolona. Mógł stawić czoło następnej godzinie, gdy ta nadejdzie.

Zanim wszedł do domu, okrążył go od strony morza, aby sprawdzić zaciemnienie. Usłyszał szmer głosu Luizy; zapewne czytała wiersze. Pomyślał: „Na Boga, jakie prawo ma ten bałwan Fraser, aby nią za to gardzić?” Ale gniew odszedł i tym razem, jak łachmaniarz, kiedy Scobie pomyślał o rozczarowaniu Frasera nazajutrz rano: nic z portugalskich odwiedzin, nic z podarku dla dziewczyny, tylko kołowrót biura w upale przez cały dzień. Macając ręką po drzwiach, by znaleźć klamkę – nie chciał bowiem zapalać latarki – Scobie skaleczył się o drzazgę.

Wszedł do oświetlonego pokoju i zauważył, że z jego prawej dłoni kapie krew.

– Och, kochany – powiedziała Luiza – co ci się stało? – i zakryła twarz. Nie znosiła widoku krwi.

– Czy mógłbym pomóc, panie majorze? – spytał Wilson. Próbował wstać, ale siedział na taborecie u stóp Luizy i trzymał na kolanach stos książek.

– Głupstwo – rzekł Scobie. – Po prostu draśnięcie. Mogę to sam opatrzyć. Powiedz tylko Alemu, żeby przyniósł butelkę wody.

W połowie schodów usłyszał, jak Luiza podejmuje przerwany wątek.

– Śliczny wiersz o kolumnie.

Wszedł do łazienki zakłócając spokój szczura, który leżał na chłodnym brzegu wanny jak kot na płycie grobowej.

Scobie przysiadł na krawędzi wanny i oparł rękę tak, by krew kapiała do wiadra klozetowego. Poczucie domu otoczyło go zupełnie tak samo jak w biurze. Pomysłowość Luizy niewiele mogła tu działać. Emaliowana, odrapana wanna z jednym kurkiem, który zawsze przestawał funkcjonować przed końcem pory suchej, blaszany kubeł pod sedesem, wypróżniany raz na dzień, umywalnia z drugim bezużytecznym kurkiem, gołe deski podłogi, zaciemnienie z

zielonego płótna. Jedynym udoskonaleniem, które udało się Luizie wprowadzić, była korkowa mata koło wanny i lśniąca, biała szafka apteczna.

Reszta tego pomieszczenia należała w całości do niego. Stanowiła jakby szczątek młodości Scobiego, przenoszony z domu do domu. Tak samo wyglądała przed laty w jego pierwszym mieszkaniu, zanim się ożenił. Oto miejsce, gdzie był zawsze sam.

Wszedł Ali klapiąc różowymi podeszwami na podłodze. Niósł butelkę filtrowanej wody.

– Tylnie drzwi zrobić humbug – wyjaśnił Scobie. Wyciągnął rękę nad umywalnię, podczas gdy Ali lał wodę na ranek. Boy wydawał ciche, współczujące gdaknięcia; miał ręce łagodne jak dziewczyna. Kiedy Scobie rzekł niecierpliwie: – Dosyć – Ali nie zwrócił na to uwagi.

– Za dużo brud – powiedział.

– Teraz jodyna. – W tym kraju najmniejsze draśnięcie zieleniało, jeśli się je zaniedbało przez godzinę. – Jeszcze – powiedział Scobie – zalej całe – i drgnął, gdy go zapiekło. Z fałowania rozmowy na dole wyłonił się wyraz „piękno” – i zapadł znowu w głąb.

– Teraz elastoplat.

– Nie – rzekł Ali – nie. Lepszy bandaż.

– Dobrze, niech będzie bandaż.

Przed laty nauczył Alego bandażowania; teraz boy robił to fachowo jak lekarz.

– Dobranoc, Ali. Idź spać. Nie będę cię już potrzebował.

– Pani chce pić.

– Nie. Ja się tym zajmę. Możesz iść spać.

Został sam; usiadł znów na brzegu wanny. Ranka trochę go rozdrażniła, zresztą nie chciał się przyłączać do tej dwójki na dole, bo jego obecność peszyłaby Wilsona. Mężczyzna nie może słuchać kobiety czytającej wiersze w obecności kogoś trzeciego. „Gdybym był koteczkiem, piszczałbym miauu miauu” – nie, nie o to mu chodziło. Nie drwił, po prostu nie mógł zrozumieć takiego obnażania intymnych uczuć. A poza tym było mu dobrze, kiedy tak siedział – tam gdzie przedtem leżał szczur – w swoim własnym świecie. Zaczął myśleć o »Esperançy« i o robocie na następnym dzień.

– Kochanie – zawołała ku schodom Luiza – czy już się dobrze czujesz? Czy mógłbyś odwiedzić do domu pana Wilsona?

– Mogę iść piechotą, proszę pani.

– To nie ma sensu.

– Ależ naprawdę.

– Już idę – zawołał Scobie. – Naturalnie, że pana odwiozę. – Kiedy zszedł do nich, Luiza czule ujęła w dłoń jego obandażowaną rękę.

– O, biedna ręka – powiedziała. – Czy boli?

Nie bała się czystego, białego bandaża; ręka była jak pacjent w szpitalu z prześcieradłem podciągniętym schludnie pod samą brodę. Można było przynosić winogrona i nie wiedzieć nic bliższego o niewidocznej ranie po skalpeli. Przyłożyła wargi do bandaża i zostawiła na nim plamkę pomarańczowej szminki do ust.

– Nie, wszystko dobrze – rzekł Scobie.

– Naprawdę, panie majorze, mogę iść piechotą.

– Ale nic podobnego. Proszę, chodźmy, niech pan wsiada.

Lampka zegarów rzuciła plamę światła na przedziwne ubranie Wilsona. On sam wychylił się z auta i zawołał:

– Dobranoc pani. Było cudownie. Nie wiem, jak mam dziękować.

Słowa jego wibrowały szczerością; zadźwięczały dzięki temu jak obcy język – jak język angielski w Anglii. Tutaj intonacja zmieniała się w ciągu paru miesięcy; głos stawał się zbyt

wysoki i nieszczerzy albo płaski i czujny. Łatwo było zgadnąć, że Wilson świeżo przyjechał z kraju.

– Niech pan znowu niedługo do nas wpadnie – powiedział Scobie, kiedy zbliżali się do hotelu, przypominając sobie szczęśliwą twarz Luizy.

Ból skaleczonej ręki zbudził Scobiego o drugiej nad ranem. Leżał zwinięty jak sprężyna zegarka na brzegu łóżka, próbując trzymać się jak najdalej od Luizy: gdziekolwiek się stykali – choćby tylko dwa palce znalazły się obok siebie – zjawiał się pot. Nawet kiedy leżeli oddzielnie, drgał między nimi żar. Blask księżycy leżał na toalecie jak chłód, oświetlając buteleczki, słoiki z kremem i brzeg ramki do fotografii. Scobie zaczął natychmiast łowić uchem oddech Luizy.

Wydobywał się nieregularnie, urywanie. Nie spała. Wyciągnął rękę i dotknął gorących, wilgotnych włosów; leżała sztywno, jakby strzegła tajemnicy. Z sercem zmartwiałym, wiedząc, co znajdzie, zsuwał palce w dół, póki nie dotknęły jej powiek. Płakała. Poczuł ogromne znużenie, kiedy brał się w garść, by ją pocieszyć.

– Droga moja – powiedział – kocham cię.

Zawsze tak zaczynał. Pocieszanie, tak samo jak akt płciowy, urobiło sobie własny schemat.

– Wiem – odparła – wiem. – Zawsze tak odpowiadała.

Zganił się za brak serca, bo przyszło mu do głowy, że jest druga nad ranem; to może się ciągnąć godzinami, a o szóstej zaczyna się praca. Odgarnął jej włosy z czoła i rzekł:

– Już niedługo przyjdą deszcze. Będiesz się wtedy lepiej czuła.

– Czuję się dobrze – powiedziała i zaczęła szlochać.

– Co ci jest, kochanie? Powiedz. – Przełknął ślinę. – Powiedz twemu Tiki. – Nie znosił imienia, które mu nadała, ale zawsze skutkowało. Powiedziała:

– Och Tiki, Tiki, ja już dalej nie mogę.

– Myślałem, że było ci przyjemnie dziś wieczorem.

– Tak, ale pomyśl, czuć się przyjemnie dlatego, że miły był kancelista U.A.C. Tiki, dlaczego oni mnie nie lubią?

– Nie mów głupstw, kochanie. Wszystkiemu winne te upały: wyobrażasz sobie nie wiadomo co. Wszyscy cię lubią.

– Tylko Wilson – powtórzyła z rozpaczą i wstydem i znów zaczęła szlochać.

– Wilson jest całkiem miły.

– Nie chcą mieć go w klubie. Wcisnął się tam z dentystą. Wszyscy będą się wyśmiewać z niego i ze mnie. Och, Tiki, Tiki, pozwól mi wyjechać i zacząć od początku.

– Naturalnie, kochanie, naturalnie – odrzekł spoglądając przez siatkę i przez okno na spokojne, płaskie, zatrute morze. – Tylko dokąd?

– Mogłabym pojechać do Afryki Południowej i poczekać aż do twojego urlopu. Tiki, ty już prędko pójdziesz na emeryturę. Przygotuję ci dom, Tiki.

Odsunął się od niej odrobinę, a potem szybko, na wypadek, gdyby coś zauważyła, ucałował jej wilgotną rękę.

– To będzie masę kosztować, kochanie.

Nerwy jego napinały się i drżały na samą myśl o emeryturze; modlił się zawsze, aby śmierć przyszła pierwsza. W tej nadziei ubezpieczył się, premia była wypłacalna tylko na wypadek śmierci. Pomyślał o domu, o prawdziwym domu: wesole, wzorzyste firanki, półki pełne książek Luizy, ślicznie wyłożona kafelkami łazienka, nigdzie żadnego biura – dom dla dwojga do samej śmierci, nigdy więcej żadnej zmiany, póki nie zapanuje wieczność.

– Tiki, nie mogę tu już dłużej wytrzymać.

– Będę musiał to rozważyć, kochanie.

– Ethel Maybury i Collinsowie są w Południowej Afryce. Mamy tam przyjaciół.
– Ceny są wysokie.
– Mógłbyś przestać płacić któreś z tych głupich ubezpieczeń, Tiki. I mógłbyś tu oszczędzać. Tiki, beze mnie. Mógłbyś jadać w kasynie i obejść się bez kucharza.
– Kucharz niewiele kosztuje.
– Ziarno do ziarnka. Tiki.
– Tęskniłbym za tobą – powiedział.
– Nie, Tiki, nie tęskniłbyś – odparła. Zaskoczyła go szczerłość jej smutnego nagłego zrozumienia.
– A zresztą – powiedziała – nie ma dla kogo oszczędzać.
– Postaram się coś wymyślić – rzekł łagodnie. – Wiesz, że jeżeli to możliwe, wszystko dla ciebie zrobię, wszystko.
– Tiki, to nie jest tylko taka ranna pociecha? Zrobisz coś naprawdę?
– Tak, kochanie, jakoś to urządzę.
Zdziwił się, że tak szybko zasnęła. Była jak zmęczony tragarz, który zsunął ciężar z ramion. Spała, nim skończył zdanie, ściskając jego palce jak dziecko, oddychając swobodnie jak dziecko. Ciężar leżał teraz obok niego. Przygotowywał się, by go podjąć.

Rozdział drugi

O ósmej rano po drodze na molo Scobie zaszedł do banku. Biuro dyrektora było cieniste i chłodne; szklanka wody z lodem stała na kasie ogniotrwałej.

– Dzień dobry, panie Robinson.

Robinson miał wpadniętą pierś, był wysoki i zgorzkniały, bo nie dostał stanowiska w Nigerii. Powiedział:

– Kiedyż się skończy ta obrzydliwa pogoda? Deszcze się spóźniają.

– Już się zaczęły w Protektoracie.

– W Nigerii – rzekł Robinson – zawsze było wiadomo, czego się trzymać. Czym mogę panu służyć, panie Scobie?

– Pozwoli pan, że usiądę?

– Proszę bardzo. Ja nigdy nie siadam przed dziesiątą. Pozycja stojąca ułatwia prawidłowe trawienie.

Zaczął niespokojnie wędrować po pokoju na szcudlastych nogach; pociągnął łyk wody z niesmakiem, jakby to było lekarstwo. Na jego biurku Scobie dostrzegł książkę pod tytułem: »Choroby dróg moczowych«, otwartą na kolorowej ilustracji.

– Czym mogę panu służyć? – powtórzył Robinson.

– Niech mi pan da dwieście pięćdziesiąt funtów – powiedział Scobie nerwowo, próbując mówić lekkim tonem.

– Wy wszyscy zawsze sobie wyobrażacie, że bank jest fabryką pieniędzy – zażartował machinalnie Robinson. – Ile panu naprawdę trzeba?

– Trzysta pięćdziesiąt.

– Jak wygląda w tej chwili pańskie saldo?

– Zdaje się, że około trzystu funtów. Już koniec miesiąca.

– Lepiej to sprawdźmy.

Zawołał kancelistę i podczas czekania przemierzał pokoik – sześć kroków od ściany, sześć z powrotem.

– Tam i z powrotem sto dwadzieścia trzy razy – powiedział – to kilometr. Próbuję odwalić cztery kilometry przed obiadem. Dla zdrowia. W Nigerii chodziłem zawsze dwa kilometry na

śniadanie do klubu, a potem dwa kilometry z powrotem do biura. Tu nie ma nigdzie dobrych spacerów – dodał obracając się na pięcie. Kancelista położył na biurku kawałek papieru. Robinson zbliżył go do twarzy, jakby chciał powąchać. – Dwadzieścia osiem funtów, piętnaście szylingów, siedem pensów – powiedział.

– Chcę posłać żonę do Afryki Południowej.

– Ach, tak. Tak.

– Właściwie – rzekł Scobie – może dałbym radę zrobić to trochę mniejszym kosztem, choć nie będę mógł posyłać jej wiele z mojej pensji.

– Naprawdę nie wyobrażam sobie, jak...

– Myślałem, że mógłbym może dostać pożyczkę – rzekł Scobie ogólnikowo. – Mnóstwo ludzi dostaje pożyczki, prawda? Wie pan, zdaje się, że tylko raz wzięłem pożyczkę, na parę tygodni, coś około piętnastu funtów. To nie było przyjemne. Gniołło mnie. Ciągłe miałem wrażenie, że jestem winien pieniądze dyrektorowi banku.

– _ w tym bieda, panie Scobie – powiedział Robinson – że mieliśmy instrukcje, aby bardzo ściśle pilnować kredytów. Wojna, pan rozumie. Jest jedno wartościowe zabezpieczenie, którego nikt nie może dziś proponować: własne życie.

– Tak, naturalnie, rozumiem. Ale mojemu życiu nic nie grozi i nie ruszam się stąd. Łodzie podwodne to nie dla mnie. A posada jest bezpieczna, panie Robinson – ciągnął, próbując nadal żartować.

– Komisarz idzie na emeryturę, prawda? – rzekł Robinson dochodząc do kasy na końcu pokoju i obracając się.

– Tak, ale ja nie.

– Miło mi to usłyszeć, panie Scobie. Krążyły pogłoski...

– Sądzę, że będę musiał kiedyś pójść na emeryturę, ale daleko jeszcze do tego. Wolałbym stokrotnie umrzeć w służbie. Jest jeszcze moja polisa ubezpieczeniowa, panie Robinson. Może to byłoby dobrym zabezpieczeniem?

– Pan pamięta, że zrezygnował pan z jednej polisy trzy lata temu.

– To było tego roku, kiedy Luiza pojechała do kraju na operację.

– Nie zdaje mi się, żeby opłacona już wartość obu pozostałych polis wynosiła zbyt wiele.

– Ale jednak zabezpieczyłyby pana na wypadek mojej śmierci, prawda?

– Gdyby pan nadal płacił stawki. Nie mamy na to gwarancji, wie pan.

– Oczywiście rzekł Scobie – rozumiem.

– Bardzo mi przykro, panie Scobie. To nie jest sprawa osobista. To polityka banku. Gdyby pan potrzebował pięćdziesięciu funtów, sam bym panu pożyczył.

– Mniejsza o to – powiedział Scobie. – To nieważne. – Wydobył z siebie swój zakłopotany śmiech. – Chłopcy w Sekretariacie powiedzieliby, że mogą to w każdej chwili łączyć z łapówek. Jak się miewa Molly?

– Doskonale, dziękuję. Chciałbym się czuć równie dobrze.

– Pan czyta za dużo tych lekarskich książek.

– Człowiek powinien wiedzieć, co mu dolega. Będzie pan dziś wieczór w klubie?

– Nie przypuszczam. Luiza jest zmęczona. Wie pan, jak to bywa przed deszczami. Przepraszam, że zabrałem panu czas. Muszę teraz iść do portu.

Zszedł szybko ze wzgórze ze spuszczoną głową. Czuł się tak, jakby ktoś podpatrzył jakiś nędzny jego postępek – prosił o pieniądze i odmówiono mu. Luiza zasługiwała na coś lepszego z jego strony. Wydało mu się, że w jakiś sposób sprzeniewierzył się męskości.

Druce pojechał na »Esperançe« osobiście, wraz ze swym oddziałem żandarmerii. Przy

schodach czekał na nich steward z zaproszeniem na śniadanie do kajuty kapitana. Oficer dowodzący strażą marynarki przybył tam już przed nimi. Nawiązanie przyjacielskich stosunków stanowiło część programu powtarzającego się co dwa tygodnie. Przyjmując zaproszenie usiłowali ułatwić neutralnemu kapitanowi przełknięcie gorzkiej pigułki rewizji; pod pokładem grupa rewidująca robiła gładko swoje bez ich udziału. Kiedy badano paszporty pasażerów pierwszej klasy, oddział żandarmerii obszukiwał ich kajuty. Inni już przeglądali luk – jałowa, beznadziejna robota: przesiewanie ryżu. Jakże to powiedział Yusef? „Czy znaleźliście kiedy bodaj jeden diamencik? Czy myślicie, że to się wam uda?” Za kilka minut, kiedy atmosfera wygładzi się dostatecznie po paru szklankach, Scobiemu przypadnie w udziale niemiłe zadanie zrewidowania kajuty kapitana. Sztynną, nie klejącą się rozmowę podtrzymywał głównie porucznik marynarki.

Kapitan otarł tłustą, żółtą twarz i odezwał się:

- Naturalnie dla Anglików czuję w sercu ogromny podziw.
- Nie lubimy tego robić, pan rozumie – powiedział porucznik. – Ciężki los być neutralnym.
- Moje serce – rzekł portugalski kapitan – jest pełne podziwu dla waszej wspaniałej walki.

Nie ma miejsca na urazę. Niektórzy moi rodacy czują urazę. U mnie nie ma urazy.

Twarz jego ociekała potem, białka miał przekrwione. Kapitan mówił dalej o swoim sercu, ale Scobiemu wydało się, że trzeba by długotrwałego, głębokiego zabiegu chirurgicznego, by je odnaleźć.

- To pięknie z pańskiej strony – rzekł porucznik. – Cenimy pańską postawę.
- Jeszcze szklaneczkę porto, proszę panów?
- Jeśli pan pozwoli. Pan rozumie, nie mamy takiego na lądzie. A pan, panie Scobie?
- Nie, dziękuję.

– Mam nadzieję, majorze, że nie będzie pan uważał za potrzebne trzymać nas tu przez noc?

Scobie odparł: – Nie sądzę, żebyście mogli odpłynąć przed jutrzejszym południem.

– Naturalnie zrobimy, co w naszej mocy – rzekł porucznik.

– Na honor, proszę panów, z ręką na sercu, nie znajdziecie drani między moimi pasażerami.

A załoga – znam ich wszystkich.

– To formalność, kapitanie – odrzekł Druce – którą trzeba załatwić.

– Może cygaro – powiedział kapitan. – Niech pan wyrzuci tego papierosa. Tu jest bardzo specjalne pudełko.

Druce zapalił cygaro, które zaczęło iskrzyć się i strzelać. Kapitan zachichotał. – To taki mój żarcik, proszę panów. Całkiem nieszkodliwy. Trzymam to pudełko dla przyjaciół. Anglicy mają wspaniałe poczucie humoru. Wiem, że się nie pogniewacie. Niemiec tak, Anglik nie. Morowe, co?

– Bardzo zabawne – rzekł kwaśno Druce kładąc cygaro na popielniczce, którą mu podsunął kapitan. Popielniczka puszczonej zapewne w ruch palcem kapitana zaczęła wydzwaniać jakąś melodyjkę. Druce znowu się wzdrygnął: dawno należał mu się urlop, nerwy miał nadszarpnięte. Kapitan pocił się i uśmiechał.

– Szwajcarska – powiedział. – Wspaniały naród. Też neutralny.

Wszedł jeden z ludzi żandarmerii i wręczył Druce'owi jakąś notatkę, którą ten podał Scobiemu. Scobie przeczytał:

„Steward, który dostał wymówienie, twierdzi, że kapitan ma listy schowane w łazience”.

Druce odezwał się:

– Myślę, że powinienem pójść podgonić trochę tych na dole. Idzie pan ze mną, Evans? Dzięki stokrotne za porto, kapitanie.

Scobie został sam z kapitanem. Nie cierpiał tej części swoich obowiązków. Ci ludzie nie byli przestępcami; łamali jedynie przepisy narzucone kompaniom okrętowym przez system navicertu.

Nigdy nie było wiadomo podczas rewizji, co człowiek znajdzie. Sypialnia mężczyzny jest jego prywatnym życiem. Buszując po szufladach trafiało się na upokorzenia: małe, pospolite wady wepchnięte były w ciemny kąt jak brudna chustka. Spod stosu bielizny można było wygrzebać jakiś smutek, o którym ktoś starał się zapomnieć.

Scobie powiedział łagodnie:

- Obawiam się, kapitanie, że będę musiał obejrzeć kajutę. Pan wie, że to formalność.
- Musi pan spełnić swój obowiązek, majorze – odrzekł Portugalczyk.

Scobie przejrzał kajutę szybko i zręcznie. Nie ruszył żadnej rzeczy bez odstawienia jej dokładnie na miejsce; zachowywał się jak uważna gospodyni. Kapitan stał, odwrócony tyłem do Scobiego, i wyglądał na pokład – jakby wolał nie krępować swego gościa w obmierzłej robocie. Scobie skończył zamykając pudełko z prezerwatywami i odkładając je ostrożnie do najwyższej szuflady szafki obok chustek, pstrokatych krawatów i pliku brudnych fotografii.

- Już koniec? – spytał uprzejmie kapitan odwracając głowę.
- Te drzwi – rzekł Scobie – co tam jest za nimi?
- To tylko łazienka, klozet.
- Może lepiej, żebyśmy zobaczył.
- Naturalnie, majorze, ale niewiele jest tam skrytek, żeby móc coś schować...
- Jeśli pan pozwoli...
- Naturalnie. To pański obowiązek.

Łazienka była pusta i nadzwyczaj brudna. W wannie szarzała obwódka z wyschniętego mydła, pod nogami czuło się oślizłość kafli. Problem polegał na tym, żeby szybko znaleźć właściwe miejsce. Scobie nie mógł tu marudzić, jeśli nie chciał ujawnić faktu, że dostał specjalne informacje. Rewizja musiała mieć wszelkie pozory formalności: ani zbyt niedbała, ani zbyt dokładna.

– To nie potrwa długo – rzekł ochoczo i dostrzegł w lusterku do golenia tłąstą, spokojną twarz. Informacja mogła naturalnie być fałszywa. Steward mógł jej udzielić tylko po to, by narobić kłopotu.

Scobie otworzył szafkę apteczną i szybko zlustrował jej zawartość; odkręcił pastę do zębów, zajrzał do pudełka z brzytwą, zanurzył palec w krem do golenia. Nie spodziewał się znaleźć tam czegokolwiek, ale rewizja dawała mu czas do namysłu. Przeszedł następnie do kurków, odkręcił wodę, pomacał palcem wyloty rurek. Zwrócił uwagę na podłogę; nie można tu było niczego schować. Okienko: zbadał wielkie śruby i poruszył tam i z powrotem wewnętrzną ramę. Ilekroć się odwracał, widział w lusterku twarz kapitana, spokojną, cierpliwą, bierną. Mówiła mu ciągle: „Zimno, zimno” – jak w zabawie.

Na koniec – klozet. Podniósł drewniany sedes: nie było nic między porcelaną i drzewem. Położył rękę na łańcuszku i po raz pierwszy zauważył w lusterku napięcie: brązowe oczy nie spoczywały już na jego twarzy, były utkwione w czymś innym. Idąc w ślad za tym wejrzeniem dostrzegł własną rękę zaciśniętą na łańcuszku.

„Czyżby w zbiorniku nie było wody?” – pomyślał i pociągnął. Bulgocząc i szumiąc w rurach woda spłynęła w dół. Scobie odwrócił się, a Portugalczyk powiedział z zadowoleniem, którego nie był w stanie ukryć: – Widzi pan, majorze. – I w tym momencie Scobie już wiedział. „Zaczynam być nieuważny” – pomyślał. Uniósł pokrywę zbiornika. Wewnątrz, poza zasięgiem wody, umocowany był za pomocą przylepca list.

Spojrzał na adres – jakaś Frau Groener na Friedrichsstrasse, Leipzig.

- Bardzo mi przykro, kapitanie – powiedział, a ponieważ ten nie odpowiadał, obejrzał się i zobaczył łzy, które zaczynały spływać w ślad za kroplami potu po gorących, tłustych policzkach.
- Muszę to zabrać – dodał Scobie – i zameldować...

– Och, ta wojna – wybuchnął kapitan – jak ja nienawidzę tej wojny!

– Mamy powód, aby także jej nienawidzić, pan wie – rzekł Scobie.

– Człowiek jest zrujnowany, bo pisze do własnej córki.

– Pańska córka?

– Tak. To ona jest Frau Groener. Proszę otworzyć list i przeczytać. Zobacz pan.

– Nie mogę tego zrobić. Muszę to zostawić cenzurze. Czemu nie zaczął pan z pisanem na przyjazd do Lizbony, kapitanie?

Kapitan opuścił na brzeg wanny całą swoją tuszę niby ciężki wór, którego nie mogą już unieść ramiona. Wycierał dalej oczy wierzchem dłoni jak dziecko, brzydkie dziecko, najgrubszy chłopiec w szkole. Można toczyć bezlitosną wojnę z pięknymi, z mądrymi i z takimi, którym się dobrze wiedzie – ale nie z brzydkimi: kamień młyński ciąży wtedy na piersi. Scobie wiedział, że powinien był wziąć list i pójść sobie. Jego współczucie nie mogło się na nic przydać.

– Gdyby pan miał córkę – jęknął kapitan – to by pan rozumiał. Nie ma pan córki – oskarżał, jakby bezpłodność była zbrodnią.

– Nie.

– Ona jest o mnie niespokojna. Ona mnie kocha – powiedział unosząc zalaną łzami twarz, jakby koniecznie chciał przekonać o prawdzie tego niezbyt wiarygodnego stwierdzenia. – Ona m n i e kocha – powtórzył żałośnie.

– Ale czy nie lepiej było napisać z Lizbony? – zapytał znów Scobie. – Po co ryzykować?

– Jestem sam. Nie mam żony – powiedział kapitan. – Nie można ciągle czekać z mówieniem. A w Lizbonie, pan wie, jak to jest, koledzy, wino. Mam tam też kobietkę, która jest zazdrosna nawet o moją córkę. Kłócimy się, czas leci. Po tygodniu muszę znowu odpływać. Nie było z tym trudności przed tą podróżą.

Scobie wierzył mu. Opowieść była dość niedorzeczna na to, aby mogła być prawdziwa. Nawet podczas wojny trzeba czasem używać zdolności wierzenia, jeśli ta zdolność nie ma ulec atrofii.

– Bardzo mi przykro – powiedział. – Nic nie mogę poradzić. Może nic się nie stanie.

– Wasze władze – odparł kapitan – wciągną mnie na czarną listę. Pan wie, co to oznacza. Konsul nie da nawicertu statkowi, na którym będę kapitanem. Zdechnę na lądzie.

– Tyle jest niedopatrzeń w tych sprawach – powiedział Scobie. – Akta giną. Może pan już więcej o tym nie usłyszysz.

– Będę się modlić – odparł tamten bez nadziei w głosie.

– Czemuż by nie? – powiedział Scobie.

– Pan jest Anglikiem. Pan chyba nie wierzy w modlitwę?

– I ja także jestem katolikiem – rzekł Scobie.

Tłusta twarz zwróciła się szybko w jego stronę. – Katolikiem! – wykrzyknął kapitan z otuchą. Po raz pierwszy zaczął się bronić. Był jak człowiek, który spotyka rodaka na obcym kontynencie. Mówił prędko o swojej córce w Lipsku; wydobył postrzępiony notes i żółtawe zdjęcie grubej młodej Portugalki, równie pozbawionej wdzięku jak on sam. W małej łazience upał dławił, a kapitan powtarzał w koło: – Pan to zrozumie. – Odkrył nagle, jak wiele mają z sobą wspólnego: gipsowe figury z mieczami w krwawiących sercach, szept za kratkami konfesjonau, święte chusty i burząca się krew, mrok bocznych kaplic i skomplikowane gesty, i gdzieś za tym wszystkim miłość Boga. – A w Lizbonie – mówił kapitan – będzie czekała, weźmie mnie do domu, zabierze mi spodnie, żebym nie mógł sam wyjść. Co dzień będzie pijaństwo i kłótnia, póki nie pójdziemy do łóżka. Pan to zrozumie. Nie mogę pisać do córki z Lizbony. Ona tak mnie kocha i czeka. – Przesunął się na tłustym tyłku i powiedział: – Niewinność tej miłości... – Zapłakał. Wspólna im była rozległa dziedzina żalu, skruchy i tęsknoty.

Ich wspólnota ośmieliła kapitana tak, że spróbował od innej strony.

– Jestem biednym człowiekiem, ale mam trochę oszczędności...

Nigdy by nie próbował przekupić Anglika. Był to najszczęśliwszy hołd, jaki mógł złożyć ich wspólnej religii.

– Bardzo mi przykro – rzekł Scobie.

– Mam angielskie funty. Dam panu dwadzieścia angielskich funtów... pięćdziesiąt... – błagał. – Sto... to wszystko, co sobie uzbierałem.

– Nic się nie da zrobić – powiedział Scobie. Prędko włożył list do kieszeni i wyszedł. Ostatni raz dostrzegł tamtego, kiedy się obejrzał od drzwi kajuty: kapitan tłukł głową o zbiornik, łązy zatrzymywały się w fałdach policzków. Kiedy schodził, aby odszukać Druce'a w salonie, czuł kamień młyński na piersi. „Jakże nienawidzę tej wojny” – pomyślał tymi samymi słowami, których przedtem użył kapitan.

List do córki w Lipsku i niewielki plik korespondencji znaleziony w kuchniach były to jedyne wyniki ośmiogodzinnej rewizji, dokonanej przez piętnastu ludzi. Można to było uważać za wynik przeciętny. Scobie wrócił na posterunek policji i zajrzał do komisarza, ale jego biuro było puste, więc zasiadł we własnym pokoju pod kajdankami i zaczął pisać meldunek.

Przeprowadzono specjalną rewizję kajut i bagażu pasażerów wymienionych w telegramach... bez rezultatu..

List do córki w Lipsku leżał przed nim na biurku. Na dworze było ciemno. Odór cel wpełzał pod drzwi, a w sąsiednim pokoju Fraser śpiewał piosenkę – śpiewał ją co wieczór od swego ostatniego urlopu:

*Czegóż nam trzeba więcej,
Ty moje sto tysięcy?
Ach, na co pytań krocie,
Gdy zbieramy stokrocie?*

Scobiemu wydało się, że życie jest niezmiernie długie. Czy człowiek nie mógłby odbyć swej próby w krótszym czasie? Czy nie mogliśmy popełnić pierwszego poważnego grzechu w wieku siedmiu lat, zniszczyć się przez miłość lub nienawiść mając lat dziesięć, uchwycić się odkupienia na śmiertelnym łożu piętnastolatka? Napisał:

Steward, który miał wymówienie za nieudolność, zameldował, że kapitan ma korespondencję ukrytą w łazience. Przeprowadziłem rewizję i znalazłem załączony list, schowany w pokrywie zbiornika klozetowego, zaadresowany do pani Groener w Lipsku. Można by rozesłać instrukcje w związku z tym schowkiem, ponieważ nasz posterunek nigdy nań dawniej nie natrafił. List był umocowany przyklepcem powyżej linii wody...

Siedział wlepiwszy wzrok w papier, mając w głowie zamęt konfliktu, który w rzeczywistości rozstrzygnął się wiele godzin temu, kiedy Druce spytał go w salonie: – Nic? – a Scobie wzruszył ramionami pozostawiając Druce'owi interpretację tego gestu. Jeśli nawet chciał dać do zrozumienia: zwykła korespondencja prywatna, którą zawsze znajdujemy – Druce zrozumiał to wzruszenie ramion jako n i e. Scobie przyłożył rękę do czoła i poczuł dreszcze: pot wciskał mu się między palce. „Czyżbym miał dostać febry?” – pomyślał. Może z powodu podwyższonej temperatury wydało mu się, że stoi na progu nowego życia. Tak się czują ludzie przed

oświadczynami albo przed pierwszą zbrodnią.

Wziął list i otworzył go. Postępek jego był nieodwołalny, bo nikt w mieście nie miał prawa otwierać nielegalnej poczty. W kleju koperty mogła być ukryta mikrofotografia. Nawet zwykły szyfr słowny przekraczał możliwości Scobiego; ze swoją znajomością portugalskiego rozumiałby tylko powierzchowny sens tekstu. Każdy znaleziony list – choćby wyraźnie niewinny – musiało się posyłać londyńskim cenzorom nie otwierając go. Scobie, wbrew najściślejszym rozkazom, działał według własnego niedoskonałego sądu. Myślał: „Jeśli list będzie podejrzany, pošlę meldunek. Mogę wytłumaczyć rozerwanie koperty. Kapitan uparł się, żeby otworzyć list, chcąc mi pokazać zawartość”. Ale gdyby Scobie tak napisał, gmatwałby niesprawiedliwie sprawę kapitana, bo jakież lepszy sposób mógł znaleźć kapitan, aby zniszczyć mikrofotografię? „Musi przecież istnieć jakieś kłamstwo, które należy powiedzieć” – myślał Scobie, ale nie miał wprawy w kłamaniu. Trzymając ostrożnie list nad białą bibułą, by dało się zauważyć cokolwiek, co by wypadło spomiędzy kartek, zdecydował, że nie powie żadnego kłamstwa. Jeżeli list będzie podejrzany, napisze pełny meldunek dotyczący wszystkich okoliczności, łącznie z jego własnym postępkami.

Kochany Malutki Pajączku – brzmiał list – Twój ojciec, który kocha Cię ponad wszystko w świecie, spróbuje posłać Ci tym razem trochę więcej pieniędzy. Wiem, jak Ci teraz ciężko i serce mi krwawi. Malutki Pajączku, gdybym choć mógł poczuć Twoje paluszki gładzące mój policzek. Jak się to dzieje, że laki wielki, tłusty ojciec jak ja może mieć taką maleńką, śliczną córeczkę? A teraz, malutki Pajączku, opowiem Ci wszystko, co mi się przytrafiło. Wypłynęliśmy z Lobito tydzień temu. Staliśmy w porcie tylko cztery dni. Spędziłem jedną noc z panem Aranjuezem i wypilem więcej wina, niż powinienem, ale rozmawiałem tylko o Tobie. Byłem greczny przez cały czas pobytu w porcie, bo obiecałem to mojemu malutkiemu Pajączkowi, i poszedłem do spowiedzi i do komunii, lak żebym nie musiał przez całą wieczność żyć z dala od mojego malutkiego Pajączka, jeśli mi się coś zdarzy po drodze do Lizbony (kto to wie w dzisiejszych strasznych czasach?) Odkąd wypłynęliśmy z Lobito, mieliśmy dobrą pogodę. Nawet pasażerowie nie chorują. Jutro w nocy, ponieważ będziemy mieli Afrykę nareszcie za sobą, urządzimy koncert, ja będę grać na piszczałce. Przez cały czas, jak będę grać, będę sobie przypominać te czasy, kiedy mój malutki Pajączek siedział mi na kolanach i słuchał. Moje kochanie, starzeję się i po każdej podróży coraz bardziej tyję; nie jestem dobrym człowiekiem i czasami boję się, że moja dusza w lej całej kupie ciała nie jest większa niż ziarnko grochu. Nie wiesz, jak łatwo jest człowiekowi takiemu jak ja zrobić rozpaczliwy krok, za który nie ma odpuszczenia. I wtedy myślę o mojej córce. Było we mnie kiedyś akurat tyle dobrego, żebyś Ty mogła być stworzona. Żona ma zbyt wielki udział w grzechu mężczyzny, aby mogła istnieć miłość doskonała. Ale córka może go w końcu zbawić. Módl się za mnie, malutki Pajączku. Twój ojciec, który kocha Cię nad życie.

Mais que a vida. Scobie nie miał żadnych podejrzeń co do szczerości tego listu. To nie było pisane w celu ukrycia fotografii urządzeń obronnych Cape Town albo mikrofotograficznego meldunku o ruchach wojsk w Durbanie. List winien był – Scobie wiedział o tym – przejść próbę sympatycznego atramentu i badanie pod mikroskopem; podszewkę koperty należało prześwietlić. Nie wolno niczego zostawiać na los szczęścia, kiedy się ma do czynienia z nielegalnym listem. Ale Scobie zawierzył przekonaniu. Podarł list, a z nim swój własny meldunek. Wyniósł strzępki do piecyka w podwórzu – była to blaszanka po benzynie, stojąca na dwóch ceglach, z dziurkami po bokach dla przeciągu. Kiedy zapalił zapałkę, by zniszczyć papiery, podszedł do niego Fraser.

*Czegóż nam trzeba więcej,
Ty moje sto tysięcy?*

Na wierzchu kupki papieru leżała połówka niewątpliwie zagranicznej koperty; można było nawet odczytać część adresu – Friedrichsstrasse. Scobie szybko przyłożył zapałkę do najwyższej leżącego strzępka, podczas gdy Fraser przechodził przez podwórze sunąc krokiem nieznośnie młodzieńczym. Strzępek zapłonął, a w żarze ognia inny strzęp rozwinął nazwisko: Groener. Fraser powiedział wesoło: – Pali się dowody rzeczowe? – i zajrzał do blaszanki. Nazwisko poczerniało, nie było tam z pewnością nic, co by Fraser mógł zauważyć, poza brunatnym trójkątem koperty, który wydał się Scobiemu wyraźnie zagraniczny. Unicestwił go jakimś patykiem i popatrzył na Frasera, żeby się przekonać, czy nie zobaczy zdziwienia lub podejrzliwości. Nie było nic do odczytania na twarzy pustej jak szkolna tablica ogłoszeń w czasie ferii. Tylko uderzenia własnego serca mówiły mu, że zawinił, że znalazł się w szeregach zdemoralizowanych oficerów policji – taki Bailey, który miał depozyt bankowy w innym mieście, Crayshaw, przy którym znaleziono diamenty, Boyston, któremu nic ostatecznie nie udowodniono i spensjonowano go. Skorumpowały ich pieniądze, a jego skorumpowało uczucie. Uczucie jest tym bardziej niebezpieczne, że nie da się wyznaczyć jego ceny. Na łapowniku można polegać poniżej pewnej cyfry, ale uczucie potrafi rozwinąć się w sercu na dźwięk imienia, na widok fotografii, nawet na wspomnienie jakiegoś zapachu.

– Jak się udało, panie majorze? – zagadnął Fraser, który utkwiał wzrok w kupce popiołu. Może myślał, że to jemu powinno się być dziś udać.

– Całkiem zwyczajnie – rzekł Scobie.

– A co z kapitanem? – spytał Fraser i zajrzał do blaszanki nucąc znowu swoją smętną melodyjkę.

– Z kapitanem? – odparł Scobie.

– Druce powiedział mi, że jakiś gość dał o nim informacje.

– Zwykła sprawa – rzekł Scobie. – Wyrzucony steward, zły na kapitana. Czy Druce nie mówił panu, że nic nie znaleźliśmy?

– Nie – odparł Fraser – zdaje się, że nie był pewien. Dobranoc, panie majorze. Muszę zmiatać do messy.

– Thimblerigg na służbie?

– Tak jest, panie majorze.

Scobie patrzył za odchodzącym. Plecy były równie puste jak twarz: nie można z nich było nic wyczytać. Pomyślał: „Co za dureń ze mnie. Co za dureń”. Miał obowiązki wobec Luizy, nie wobec jakiegoś tłustego, sentymentalnego szypra portugalskiego, który złamał przepisy własnej kompanii okrętowej dla równie mało, jak on sam, pociągającej córki. To był punkt zwrotny – córka. „A teraz – myślał Scobie – muszę wrócić do domu: odstawię auto do garażu, Ali wyjdzie z latarką, żeby mi poświecić do drzwi. Ona będzie tam siedziała, w przeciagu, dla ochłody; odczytam na jej twarzy historię tego, co myślała przez cały dzień. Ma nadzieję, że wszystko jest załatwione, że powiem: zapisałem cię w agencji podróży do Afryki Południowej – ale boi się, że nigdy nam się nie zdarzy nic aż tak dobrego. Będzie czekać na moje odezwanie się, a ja będę się starał mówić, o czym się tylko da, żeby odwlec chwilę, kiedy zobaczę jej niedolę, która czyha w kącikach ust, by zawładnąć całą twarzą.” Wiedział dokładnie, jak wszystko pójdzie: tylokrotnie już się to zdarzało. Przepowiadał sobie każde słowo wracając do biura, zamykając szufladę, schodząc do auta. Ludzie mówią o odwadze skazańców idących na miejsce stracenia. Czasem trzeba tyle samo odwagi, by zachować jaką taką postawę idąc ku czyjejś codziennej niedoli. Zapomniał o Fraserze. Zapomniał o wszystkim poza sceną, która go czekała.

„Wejdę i powiem: dobry wieczór, najmilsza – a ona odpowie: dobry wieczór kochany, jak ci się udało? A ja będę mówić i mówić, ale cały czas będę wiedział, że zbliżam się do chwili, w której zapytam: a co u ciebie, kochanie? – i otworzę wejście niedoli.”

– A co u ciebie, kochanie? – Odwrócił się od niej szybko i zaczął mieszać jeszcze dwa giny z angosturą. Było między nimi milczące porozumienie, że „trunek krzepi”: czując się coraz bardziej nieszczęśliwy za każdą szklanką, człowiek liczył na moment ulgi.

– Ty naprawdę nic nie chcesz o mnie wiedzieć.

– Ależ naturalnie, że chcę, kochanie. Jak ci się dzisiaj powodziło?

– Tiki, czemu ty jesteś takim tchórzem? Czemu nie powiesz mi, że wszystko przepadło?

– Przepadło?

– Wiesz, o co mi chodzi: o przejazd. Odkąd przyszedłeś, mówisz i mówisz o tej »Esperancy«. Co dwa tygodnie przyływa portugalski statek. Nie mówisz nigdy w taki sposób. Nie jestem dzieckiem, Tiki. Czemu nie powiesz od razu: nie możesz jechać?

Uśmiechnął się żałośnie do szklanki, kręcąc nią w koło, by angostura mogła przylgnąć do szkła. Powiedział:

– To by nie była prawda. Znajdę jakiś sposób.

Niechętnie uciekał się do znienawidzonego przezwiska. Jeśliby ono zawiodło, niedola się pogłębi i trwać będzie przez tę krótką noc, której potrzebował dla snu.

– Zaufaj twemu Tiki – rzekł.

Było tak, jakby mu się jakieś włókno w mózgu napięło oczekiwaniem. Gdyby tylko mógł odwlec niedolę – myślał – do świtu. Niedola jest gorsza w ciemnościach: nie ma na co patrzeć, tylko zielone zasłony, służbowe meble, latające mrówki, które gubią skrzydełka nad stołem. Sto metrów stąd psy Kreolów poszczekują i wyją.

– Spójrz na tego małego drania – rzekł pokazując domową jaszczurkę, która zawsze wyłaźliła na ścianę mniej więcej o tej porze, żeby zapolować na ćmy i karakony. Powiedział:

– Przyszło nam to do głowy dopiero zeszłej nocy. Trzeba czasu, żeby te sprawy załatwić. Tędy, owędy, tak, owak – mówił z robionym humorem.

– Czy byłeś w banku?

– Tak – przyznał.

– I nie udało ci się dostać pieniędzy?

– Nie. Nie mogli tego urządzić. Wypijesz jeszcze ginu, kochanie?

Podawała mu szklankę płacząc bezgłośnie. Jej twarz czerwieniała podczas płaczu, Luiza wyglądała wtedy o dziesięć lat starzej: opuszczona kobieta w średnim wieku – jakby poczuł straszny oddech przyszłości na policzku. Przyklęknął obok niej i podniósł gin do jej warg niby lekarstwo.

– Moja droga – powiedział – znajdę jakiś sposób. Napij się.

– Tiki, już dłużej nie mogę tu wytrzymać. Wiem, że już to mówiłam, ale tym razem na serio. Ja zwariuję. Tiki, jestem tak samotna. Nie mam żadnego przyjaciela, Tiki.

– Zaprośmy jutro Wilsona.

– Tiki, na miłość Boską, nie wspominaj ciągle o Wilsonie. Proszę, proszę, zrób coś.

– Naturalnie, że zrobię. Trochę cierpliwości, kochanie. Na te sprawy trzeba czasu.

– A co zrobisz, Tiki?

– Mam pełno pomysłów, kochanie – powiedział ze znużeniem. (Cóż to był za dzień!) – Tylko pozwól, niech dojrzeją.

– Powiedz mi jeden pomysł. Chociaż jeden.

Wzrok jego pobiegł za jaszczurką, która coś chwyciła. Potem Scobie wyjął z ginu skrzydełko mrówki i znowu pociągnął łyk. „Naprawdę, co za dureń ze mnie – myślał – że nie wziąłem

tych stu funtów. Zaryzykowałem. Mogłem równie dobrze...”

– Wiem o tym od lat. Nie kochasz mnie. – Luiza mówiła spokojnie. Znał ten spokój: oznaczał on, że osiągnęli ciche jądro burzy; zawsze w tym miejscu, mniej więcej o tej porze, zaczynali mówić sobie nawzajem prawdę. „Prawda – pomyślał – nigdy nie ma dla nikogo istotnej wartości; jest to symbol, za którym mogą sobie gonić matematycy i filozofowie. W stosunkach między ludźmi dobre serce i kłamstwo warte są tysiąca prawd.” Uwikłał się w coś, o czym zawsze wiedział, że jest daremną walką o utrzymanie kłamstw.

– Nie mów głupstw, kochanie. Jak myślisz, kogo ja mogę kochać, jeśli nie ciebie?

– Nie kochasz nikogo.

– I dlatego tak źle cię traktuję? – Próbował lżejszego tonu; wydał pusty dźwięk.

– To twoje sumienie – rzekła smutno – twoje poczucie obowiązku. Nigdy nie kochałeś nikogo, odkąd Kasia umarła.

– Poza samym sobą, oczywiście. Zawsze mówisz, że kocham siebie samego.

– Nie, nie myślę, żeby tak było.

Bronił się unikami: w tym jądrze cyklonu nie miał siły, by wypowiedzieć kojące kłamstwo.

– Staram się ciągle, żeby ci było dobrze. Ciężko na to pracuję.

– Tiki, ty nawet nie mówisz, że mnie kochasz. No, powiedz to choć raz.

Spojrzał na nią z goryczą ponad ginem – na widomy znak swego niepowodzenia: skóra trochę żółta od atabryny, oczy przekrwione od łez. Nikt nie może gwarantować na zawsze miłości, ale czternaście lat temu, w Ealing, przysiągł milcząco podczas okropnej eleganckiej ceremonijki wśród świec i koronek, że będzie przynajmniej zawsze pilnować tego, aby jej było dobrze.

– Tiki, nie mam nic, tylko ciebie, a ty masz wszystko.

Jaszczurka mignęła po ścianie i stanęła znów nieruchomo; w jej małych krokodylich szcękach sterczało skrzydło ćmy. Mrówki uderzały wątlymi, miękkimi stuknięciami w żarówkę.

– A jednak chcesz odjechać ode mnie – rzekł oskarżająco.

– Tak – odparła – wiem, że i tak nie jest ci dobrze. Beze mnie będziesz miał spokój.

Oto była rzecz, której nigdy nie brał pod uwagę – trafność jej obserwacji. Miał niemal wszystko, potrzebował jedynie spokoju. Wszystko – to była praca, codzienny regularny rozkład zajęć w małym pustym biurze, zmiana pór roku w miejscu, które kochał. Jakże często inni mu współczuli z powodu jego twardej pracy i marnego wynagrodzenia. Ale Luiza знаła go lepiej. Gdyby ponownie stał się młody, takie właśnie życie znowu by sobie wybrał: tylko tym razem nie liczyłby na to, że ktoś je z nim podzieli. Szczur na wannie, jaszczurka na ścianie, orkan rozwierający okna o pierwszej nad ranem i różowe światło na laterytowych drogach o zachodzie.

– Mówisz głupstwa, kochanie – powiedział i wykonał ruchy niezbędne dla wymieszania następnego ginu. Znowu napiął się nerw w jego głowie. Niedola rozwinęła się według nieuniknionego programu – najpierw jej żal i jego wysilone próby, aby o tamtym nie mówić, następnie jej spokojne stwierdzenie prawd, o wiele lepiej niż tamto zamaskowanych kłamstwami; w końcu – pęknięcie jego opanowania: prawdy ciskane w nią, jakby była wrogiem. Wszedł w to ostatnie stadium krzycząc nagle prawdę, podczas gdy angostura drżała mu w rękę.

– Ty nie możesz dać mi spokoju! – Wiedział już, co nastąpi: pojednanie i znów łatwe kłamstwa, aż do następnej sceny.

– Właśnie to mówię – odparła. – Jeśli odjadę, będziesz miał spokój.

– Nie masz najmniejszego pojęcia – oskarżył ją gniewnie – co to znaczy spokój.

Było tak, jakby mówiła lekceważąco o kobiecie, którą kochał. Bo marzył dzień i noc o spokoju. Raz we śnie ukazał mu się jako wielkie, lśniące ramię księżycy, rosnące w jego oknie jak góra lodowa, arktyczne i niszczące – na moment przed tą chwilą, w której na świat spadnie

cios. W dzień próbował zyskać kilka chwil jego towarzystwa, zgięty pod zardzewiałymi kajdankami w zamkniętym biurze, czytając meldunki od podległych sobie posterunków. Spokój, pokój – zdawało mu się, że to najpiękniejsze słowa w ludzkiej mowie. „Pokój mój daję wam, pokój zostawiam wam. Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, obdarz nas pokojem.” Podczas mszy przyciskał palce do oczu, by powstrzymać łzy tęsknoty.

Luiza powiedziała z dawną czułością: – Biedaku kochany, chciałbyś, żebym umarła jak Kasia. Chcesz być sam.

Odrzekł z uporem: – Chcę, żeby ci było dobrze.

Przemówiła znużonym głosem: – Powiedz mi tylko, że mnie kochasz. To trochę pomaga.

I znowu mieli to poza sobą, byli po drugiej stronie sceny. Pomyślał chłodno i z opanowaniem: „Scena nie była taka zła, zaśniemy tej nocy”.

– Naturalnie, że cię kocham, droga moja. I załatwię sprawę tego przejazdu. Zobaczysz – powiedział.

Byłby i tak dał obietnicę, nawet gdyby mógł przewidzieć wszystko, co z niej wyniknie. Zawsze był gotów do przyjęcia odpowiedzialności za swoje czyny i zawsze też był na pół świadomy – od czasu, kiedy złożył swój straszny prywatny ślub, że jej będzie dobrze – jak daleko t e n czyn może go zaprowadzić. Rozpacz jest ceną, którą się płaci za wyznaczenie nieosiągalnego celu. Powiedzione jest, że to grzech, za który nie ma odpuszczenia; ale tego grzechu nigdy nie popełni człowiek zepsuty lub zły. Taki ma zawsze nadzieję. Nigdy nie osiąga swego punktu zamarzania, w którym się poznaje absolutną klęskę: tylko człowiek dobrej woli nosi zawsze w sercu tę właśnie możliwość, by zostać potępionym.

Część druga

Rozdział pierwszy

Wilson stał ponuro obok swego łóżka w hotelu i kontemlował cummerbund, który leżał rozwinięty i sfałdowany jak gniewny wąż; w pokoiku hotelowym było gorąco od walki między nimi. Przez ścianę słyszał, jak Harris myje zęby, po raz piąty tego dnia. Harris wierzył w higienę jamy ustnej. – Mycie zębów przed jedzeniem i po jedzeniu trzyma mnie w formie w tym cholernym klimacie – mawiał podnosząc bladą, wyczerpaną twarz znad soku pomarańczowego. Teraz płukał gardło: brzmiało to jak bulgotanie w rurach.

Wilson usiadł na brzegu łóżka i odpoczywał. Zostawił drzwi otwarte dla ochłody i poprzez korytarz mógł zajrzeć do łazienki. Hindus w turbanie siedział na skraju wanny ubrany od stóp do głów; spojrzał nieprzeniknionym wzrokiem na Wilsona i skłonił się. – Chwileczkę, proszę pana – zawołał. – Gdyby pan pozwolił tu na moment... – Wilson z gniewem zamknął drzwi. Następnie ponowił próbę z cummerbundem.

Widział raz film – czy nie „Bengali”? – w którym cummerbund był wspaniale ujarzmiony. Tubylec w turbanie trzymał wstęgę, a nieskazitelny oficer obracał się jak bąk, tak że cummerbund opasywał go gładko i ściśle. Drugi służący stał obok z mrożonymi napojami, a w głębi kołysał się punkah. Widocznie w Indiach te sprawy były lepiej zorganizowane. Jednakże po jeszcze jednym wysiłku Wilson owinął się wreszcie niegodziwym pasem. Cummerbund był za ciasny, marszczył się fatalnie i węzeł wypadł z przodu, tak że nie skrywała go marynarka. Wilson wpatrywał się melancholijnie w swój obraz odbity w szczątkach lustra. Ktoś zapukał do drzwi.

– Kto tam?! – wrzasnął Wilson wyobrażając sobie przez chwilę, że to Hindus z zimną bezczelnością... Ale kiedy drzwi się otworzyły, okazało się, że to Harris, Hindus nadal siedział na wannie za korytarzem, tasując swoje zaświadczenia.

– Wychodzisz, stary? – zapytał Harris z rozczarowaniem.

– Tak.

– Zdaje się, że wszyscy wychodzą dziś wieczór. Będę zupełnie sam przy stole. – Dodał ponuro: – Dziś wieczór wypada rizotto.

– Istotnie. Żałuję, że mnie ominie.

– Nie jadałeś tego przez dwa lata co czwartek. – Spojrzał na cummerbund. – Słuchajże, stary, to nie tak się wiąże.

– Wiem, że nie. Nie potrafię lepiej.

– Nigdy tego nie noszę. Na pewno szkodzi na żołądek. Opowiadają, że pochłania pot, aleja się nie pocę w tym miejscu. Wolałbym nosić szelki, tylko że guma parcieje, więc wystarczy mi skórzany pasek. Nie jestem snobem. Gdzie jesz kolację, stary?

– U Tallita.

– Jakeś go poznał?

– Przyszedł wczoraj do biura, żeby zapłacić rachunek, i zaprosił mnie na kolację.

– Nie musisz się przebierać dla Syryjczyka. Zdejmże to wszystko.

– Jesteś pewien?

– Naturalnie. To by zupełnie nie pasowało. Zupełnie niewłaściwe. – Dodał: – Dostaniesz dobrą kolację, tylko strzeż się słodyczy. Ceną życia jest wieczna czujność. Ciekaw jestem, czego on od ciebie chce.

Wilson zaczął się rozbierać, podczas gdy Harris mówił. Wilson umiał słuchać. Miał mózg jak sito, przez które śmieci sypią się cały dzień. Siedząc w kalesonach na łożku słyszał Harrisa – ...musisz strzec się ryby; nigdy tego nie ruszam – ale słowa nie wywierały wrażenia. Wciągając białe płócienne spodnie na bezwłose kolana mówił sobie:

*...duch nieszczęsny
Jest uwięziony w ciele jakby w grobie.*

W brzuchu burczało mu trochę i mruczało, jak zawsze przed porą kolacji.

*Błaganie śmie posyłać tylko tobie;
Na swój pożytek i swoją udrękę
Prosi o uśmiech albo o piosenkę.*

Utkwił wzrok w lustrze i pociągnął palcami po gładkiej, zbyt gładkiej skórze. Spojrzała na niego twarz różowa i zdrowa, pulchna i bezradna. Harris ciągnął beztrząsco: – Powiedziałem raz Scobiemu... – i natychmiast gruda słów zatrzymała się w sicie Wilsona. Pomyślał głośno:

- Dziwię się, jak doszło do tego, że się z nią ożenił.
- Wszyscy się temu dziwimy, stary. Scobie to niezły gość.
- Ona jest cudowna.
- Luiza?! – wykrzyknął Harris.
- Naturalnie. A któż by?
- Są różne gusta. Ruszaj w pole, bierz w niewolę, stary.
- Muszę już iść.
- Strzeż się słodyczy – ciągnął Harris w nikłym przypływie energii. – Bóg mi świadkiem, że zamiast czwartkowego rizotta chętnie zobaczyłbym coś, czego bym się musiał strzec. Dziś czwartek, prawda?
- Tak.

Wyszli na korytarz, w pole widzenia Hindusa.

- Musisz się dać obrobić wcześniej czy później, stary – rzekł Harris. – Każdego raz obrabia. Nie będziesz miał chwili spokoju, póki się nie zgodzisz.
- Nie wierzę we wróżby – skłamał Wilson.
- Ja też nie, ale on jest całkiem dobry. Obrobił mnie w pierwszym tygodniu mojego pobytu tutaj. Powiedział, że zostanę tu przeszło dwa i pół roku. Myślałem wtedy, że będę miał urlop po osiemnastu miesiącach. Teraz wiem coś o tym.

Hindus spoglądał z wanny triumfalnie. Powiedział:

- Mam list od dyrektora wydziału rolnictwa. A drugi od komisarza okręgu Parkesa.
- Dobra – rzekł Wilson – rób pan swoje, tylko prędko!
- Lepiej, żebym się ulotnił, zanim się zaczną rewelacje.
- Nie boję się – powiedział Wilson.
- Czy zechce pan usiąść na wannie? – zaprosił dwornie Hindus. Ujął rękę Wilsona. – To bardzo interesująca ręka – powiedział nieprzekonująco ważąc ją w górę i w dół.
- Ile pan bierze?
- Zależnie od rangi, proszę pana. Od kogoś takiego jak pan wziąłbym dziesięć szylingów.

– To trochę słono.
– Niższych urzędników cenię na pięć szylingów.
– Należę do kategorii pięcioszylingowej – rzekł Wilson.
– O, nie, proszę pana. Dyrektor wydziału rolnictwa dał mi funta.
– Jestem tylko buchalterem.
– Właśnie, sam pan powiedział. Zastępca komisarza okręgu i major Scobie dali mi po dziesięć szylingów.
– No, dobrze – rzekł Wilson. – Ma pan forszę. Jazda.
– Jest pan tutaj od tygodnia, dwóch – powiedział Hindus. – Czasem w nocy jest pan człowiekiem niecierpliwym. Pan uważa, że robi pan nie dosyć szybkie postępy.
– Wobec kogo? – spytał Harris kiwając się w progę.
– Jest pan bardzo ambitny. Jest pan marzycielem. Czyta pan dużo wierszy.
Harris zachichotał piskliwie, a Wilson odrywając wzrok od palca, który posuwał się po liniach jego dłoni, spojrział nieufnie na wróżbitę.
Hindus mówił nieugięcie dalej. Jego turban, nachylony pod nosem Wilsona, woniał stęchłym jedzeniem – wróżbita tał zapewne w jego fałdach odpadki ze spiżarni.
– Jest pan człowiekiem skrytym. Nie mówi pan swoim przyjaciółom o wierszach, tylko jednemu. Jednemu – powtórzył. – Jest pan bardzo nieśmiały. Powinien pan nabrać odwagi. Ma pan piękną linię szczęścia.
– Ruszaj w pole, bierz w niewolę, stary – powtórzył Harris.
Oczywiście, wszystko to był „couéizm”; jeśli ktoś dosyć mocno wierzył – sprawdzało się. Brak śmiałości można przezwyciężyć; błąd w odczytywaniu losu zakryć.
– To nie było warte dziesięciu szylingów – rzekł Wilson. – To jest los za pięć szylingów. Niech mi pan powie coś konkretnego, coś co się ma zdarzyć. – Przesunął się niezręcznie na ostrym brzegu wanny i spojrzął na karalucha rozpląszczonego na ścianie jak plama krwi. Hindus pochylił się nad obiema dłońmi. Powiedział:
– Czeka pana wielkie powodzenie. Rząd będzie z pana bardzo zadowolony.
Harris rzekł: – Il pense, że ty jesteś un bureaucrate.
– Dlaczego rząd będzie ze mnie zadowolony? – spytał Wilson.
– Schwyci pan swego człowieka.
– Oho – powiedział Harris – on myśli, zdaje mi się, że ty jesteś nowym policjantem.
– Chyba tak – rzekł Wilson. – Nie warto tracić więcej czasu.
– A pańskie życie prywatne to będzie także wielki sukces. Zdobędzie pan damę swego serca. Odplynie pan stąd. Wszystko ułoży się doskonale. Dla pana – dodał.
– Prawdziwie dziesięcioszylingowy los.
– Dobranoc, staruszkę – powiedział Wilson. – Nie napiszę panu listu polecającego na tej podstawie. – Wstał z wanny; karaluch śmignął do kryjówki. – Nie znoszę tego paskudztwa – rzekł Wilson w drzwiach. W korytarzu odwrócił się i powtórzył: – Dobranoc.
– Ja też początkowo nie znosiłem tego, stary. Ale wykombinowałem system. Wstąp tylko do mojego pokoju, to ci pokażę.
– Powinienem już iść.
– Nikt nie przyjdzie punktualnie do Tallita.
Harris otworzył drzwi i Wilson odwrócił wzrok z uczuciem podobnym do wstydu na widok nieporządku, jaki tu panował. W swoim własnym pokoju nigdy by się aż tak nie odsłaniał: brudna szklanka do zębów, ręcznik na łóżku.
– Spójrz tutaj, stary.
Z ulgą utkwiał oczy w jakichś znakach wypisanych ołówkiem na ścianie: litera H, a pod nią

rząd cyfr; każdej z nich odpowiadała data, jak w księdze kasowej. Następnie litery P. K., a pod spodem znów cyfry.

– To mój rozkład karakonów, stary. Wczoraj miałem średni wynik – cztery. Mój rekord to dziewiątka. W końcu człowiek się cieszy na widok tych bestyjek.

– Co oznacza P. K.?

– Poszedł do kanału. Jak je wrzucę do umywalni i uciekają zlewem. Nie byłoby uczciwie liczyć je jako zabite, prawda?

– Nie.

– I na nic by się zdało samego siebie oszukiwać. Zaraz by człowiek stracił zainteresowanie. Cała rzecz, że to się z czasem robi nudne – grać samemu ze sobą. Czemu nie mielibyśmy urządzić meczu, co, stary? Żebyś wiedział, że to wymaga wprawy. Dosłownie słyszą, jak podchodzisz, a rusza się taki jak naoliwiona błyskawica. Urządzam obławę co wieczór, z latarką elektryczną.

– Chętnie bym spróbował, ale już rzeczywiście muszę iść.

– Coś ci powiem: nie zacznę polowania, póki nie wrócisz od Tallita. Będziemy mieli pięć minut czasu przed spaniem. Tylko pięć minut.

– Jeśli chcesz.

– Zejdę z tobą, stary. Już czuję zapach rizotta. Wiesz co, śmiać mi się chciało, kiedy ten stary dureń poplątał cię z nowym oficerem policji.

– Prawie wszystko źle powiedział, co? – rzekł Wilson. – No, o tych wierszach.

Salon Tallita miał dla Wilsona, który widział go po raz pierwszy, wygląd wiejskiej sali tanecznej. Całe umeblowanie stało pod ścianami: twarde krzesła z wysokimi, niewygodnymi oparciami. W rogach wysiadywały przyzwoitki: stare kobiety w czarnych jedwabnych sukniach – całe metry jedwabiu – i bardzo stary mężczyzna w czapeczce. Przyglądali się pilnie Wilsonowi w całkowitym milczeniu, a on unikając ich wzroku dostrzegał nagie ściany; tylko w rogach przybite były sentymentalne francuskie pocztówki w sztafażu ze wstążek i kokardek: młodzieńcy wachający liliowe kwiaty, gładkie rumiane ramie, namiętny pocałunek.

Wilson przekonał się, że poza nim był tylko jeden gość: ksiądz Rank, duchowny katolicki, w długiej sutannie. Siedzieli w przeciwległych rogach między starszankami. Ksiądz objaśniał, że są to rodzice i dziadkowie Tallita, dwaj wujowie, zdaje się, że pra-praciotka i kuzynka. Gdzieś poza zasięgiem wzroku żona Tallita przygotowywała małe półmiski, które podawali obu gościom młodszy brat i siostra Tallita. Poza Tallitem nikt nie mówił po angielsku – i Wilsona krępował sposób, w jaki ksiądz obmawiał swego gospodarza i jego rodzinę, grząc na cały pokój.

– Dziękuję – mówił ksiądz odmawiając jakichś słodyczy i potrząsając siwą rozczochraną głową. – Radzę panu uważać z tym tutaj, panie Wilson. Tallit to dobry chłop, ale nie potrafi się nauczyć, co zachodni żołądek może strawić. Ci ludzie mają iście strusie żołądki.

– To bardzo pouczające dla mnie – rzekł Wilson, dostrzegając wzrok którejś babki po drugiej stronie pokoju i kiwając ku niej głową z uśmiechem. Babka najwidoczniej pomyślała, że Wilson chce więcej słodyczy, i zaczęła gniewnie przyzywać wnuczkę. – Nie, nie – powiedział daremnie Wilson, potrząsając głową i uśmiechając się do starszki. Starszka uniosła wargę nad bezzębnym dziąsłem i z wściekłością rzuciła hasło młodszemu bratu Tallita, który pośpieszył z jeszcze jednym półmiskiem.

– To całkiem bezpieczne – huknął ksiądz. – Po prostu cukier z gliceryną i trochę mąki. – Przez cały czas dolewano im whisky.

– Może byś mi się tak przyznał, skąd bierzesz whisky, Tallit – zawołał ksiądz z figlarnością starego słonia, a Tallit rozpromienił się i pomknął zrecznie z jednego kąta pokoju w drugi –

słówko do Wilsona, słówko do księdza. Przypominał Wilsonowi młodego tancerza z baletu, w swoich białych spodniach, z plastrem czarnych włosów, z szarą, wypolerowaną cudzoziemską twarzą i z jednym szklanym okiem jak u lalki.

– Więc »Esperança« odjechała! – krzyknął ksiądz przez cały pokój. – Czy myśli pan, że coś znaleźli?

– Były pogłoski w biurze – rzekł Wilson – o jakichś diamentach.

– Diamenty, jak babcię kocham – powiedział ksiądz. – Nigdy nie znajdą żadnych diamentów. Nie wiedzą, gdzie szukać, co, Tallit? – Wyjaśnił Wilsonowi: – Diamenty to bolączka Tallita. Wpadł zeszłego roku na fałszywych diamentach. Yusef cię nabrał, co, Tallit, ty łobuzie? Niepięknie, hm? Ty, katolik, nabrany przez mahometanina. Miałem ochotę kark ci skrócić.

– To byłby zły uczynek – powiedział Tallit stając w pół drogi między Wilsonem i księdzem.

– Jestem tu dopiero kilka tygodni – rzekł Wilson – a wszyscy mi opowiadają o Yusefie. Mówią, że sprzedaje fałszywe diamenty, przemyca prawdziwe, handluje kiepskimi trunkami, gromadzi bawełnę na wypadek inwazji francuskiej, uwodzi pielęgniarce ze szpitala wojskowego.

– To podła kreatura – rzekł ksiądz jakby z upodobaniem. – Nie znaczy to, żeby można było wierzyć temu, co się tu słyszy. Inaczej każdy by żył z cudzą żoną, każdy oficer policji, który by nie brał żołądka od Yusefa, byłby przekupiony przez tego tutaj Tallita.

Tallit powiedział:

– Yusef to bardzo zły człowiek.

– Czemu się władze do niego nie dobiorą?

– Jestem tu od dwudziestu dwu lat – rzekł ksiądz – i nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby jakiemuś Syryjczykowi coś udowodnili. Och, nieraz widziałem policjantów uradowanych, jakby im kto w kieszeń napluł, wierzili się wesoło i już mieli coś chwycić, ale sobie myślał, że nawet nie warto pytać, o co chodzi. I tak chwycą tylko powietrze.

– Ksiądz powinien być zostać policjantem.

– Ach – rzekł ksiądz – kto wie? Jest więcej policjantów w tym mieście, niż na oko można sądzić, w każdym razie tak mówią.

– Kto tak mówi?

– Uwaga z tymi słodyczami – powiedział ksiądz – są nieszkodliwe w miarę, ale pan wziął już cztery. Spójrz no, Tallit, pan Wilson wygląda na głodnego. Czy nie mógłbyś przynieść pieczeni?

– Pieczeni?

– Uczta – rzekł ksiądz. Jego jowialność wypełniła pokój głuchym dudnieniem. Od dwudziestu dwu lat ten głos śmiał się, dowcipkował, pobudzał żartobliwie ludzi w miesiącach deszczowych i suchych. Czy jego wesołość zdołała kiedyś pocieszyć bodaj jedną duszę? Wilson dumiał: czy chociaż pocieszyła jego samego? Była jak hałas, który słyszy się w łaźniach publicznych, odbity od kafli – śmiechy i pluskania obcych ludzi w gorącej parze.

– Naturalnie, proszę księdza. W tej chwili, proszę księdza. – Ksiądz Rank bez zaproszenia wstał z krzesła i usiadł przy stole, który podobnie jak krzesła przysunięty był do ściany. Stało na nim tylko parę nakryć i Wilson zawahał się. – Niechże pan siada. Tylko staruszkowie będą jeść z nami i naturalnie Tallit.

– Mówił ksiądz coś o jakichś pogłoskach? – spytał Wilson.

– Moja głowa to istny ul pogłosek – rzekł ksiądz wykonując zabawny bezradny gest. – Jeśli ktoś mi coś mówi, zakładam, że chce, abym to podał dalej. To pożyteczna funkcja, wie pan, w takich czasach jak dziś, kiedy wszystko jest tajemnicą urzędową, przypominać ludziom, że ich języki zostały stworzone do gadania i że prawda jest na to, aby o niej mówić. Niech no pan

spojrzy na Tallita – ciągnął ksiądz. Tallit podniósł róg zaciemniający rolety i wyzierał na ulicę. – Jak tam Yusef, ty łobuzie? – spytał ksiądz. – Yusef ma wielki dom po drugiej stronie ulicy i Tallit ma na niego chrapkę, co, Tallit? Co słyhać z kolacją, Tallit, jesteście głodni.

– Już jest, proszę księdza, już jest – odparł Tallit odchodząc od okna. Usiadł w milczeniu obok staruszki, a jego siostra podawała półmiski.

– Człowiek zawsze dostanie dobre jedzenie u Tallita – powiedział ksiądz.

– Yusef także przyjmuje dziś wieczór.

– Nie wypada księdzu przebierać – rzekł ksiądz – ale uważam, że twój obiad jest bardziej strawny. – Jego śmiech zakolebał się wśród ścian.

– Czy naprawdę jest aż tak źle, jak kogoś zobaczą u Yusefa?

– Jest źle, panie Wilson. Gdybym pana tam zobaczył, powiedziałbym sobie: Yusef koniecznie potrzebuje jakichś informacji o bawelnie – powiedzmy, jaki import zapowiada się na przyszły miesiąc, co jest w drodze, na morzu – i zapłaci za informacje. Gdybym zobaczył, że wchodzi tam dziewczyna, pomyślałbym, że to szkoda, wielka szkoda.

Dźgnął talerz i znowu, się zaśmiał.

– Ale gdyby tam wszedł Tallit, czekałbym na wołania o pomoc.

– A gdyby ksiądz zobaczył oficera policji? – spytał Tallit.

– Nie wierzyłbym własnym oczom – odparł ksiądz. – Nikt z nich nie jest takim wariatem po tym, co się stało z Baileyem.

– Którejś nocy auto policyjne odwiozło Yusefa do domu – powiedział Tallit. – Widziałem stąd wyraźnie.

– Jeden z szoferów chciał sobie zarobić na boku – rzekł ksiądz.

– Zdaje mi się, że widziałem majora Scobie. Uważał, by nie wysiąść. Oczywiście nie jestem pewien. W y g l ą d a ł o , jakby to był major Scobie.

– Język mnie ponosi – rzekł ksiądz. – Co za gadatliwy dureń ze mnie. No, jeśli to był Scobie, ani bym się nad tym nie zastanawiał. – Obiegł wzrokiem pokój. – Ani bym się nie zastanawiał – powtórzył. – Postawiłbym o zakład zbiórkę z następnej niedzieli, że wszystko w porządku, najzupełniej w porządku. – I zakołysał tam i z powrotem swym wielkim, pusto brzmiącym dzwonem: – Ho, ho, ho – jak trędowaty obwołujący swą nędzę.

Świeciło się jeszcze w pokoju Harrisa, kiedy Wilson wrócił do hotelu. Był zmęczony i stroskany, starał się przyjść na palcach, ale Harris go usłyszał.

– Nasłuchiwałem, kiedy przyjdiesz, stary – powiedział wymachując latarką elektryczną. Miał na piżamie buty moskitowe i wyglądał jak zmordowany dyżurny obrony przeciwlotniczej.

– Już późno. Myślałem, że będziesz spał.

– Nie mogłem pójść spać dopóty, dopóki nie urządzimy polowania. Ten pomysł nie daje mi spokoju, stary. Moglibyśmy wyznaczyć miesięczną nagrodę. Już widzę ten dzień, kiedy inni będą chcieli się przyłączyć.

Wilson powiedział z ironią: – Mógłby być srebrny puchar.

– Trafiały się już dziwniejsze rzeczy, stary. Mistrzostwa karakonowe.

Poszedł przodem, ostrożnie stąpając po deskach, ku środkowi pokoju. Żelazne łóżko stało pod szarawą siatką; fotel z ruchomym oparciem, toaleta zarzucona starymi numerami „Picture Post”.

Wilson przeżył ponownie wstrząs widząc, że istnieje pokój jeszcze o jeden stopień bardziej ponury niż jego własny.

– Słuchaj stary, będziemy co noc zamieniać pokoje.

– Jakiej broni użyjemy?

– Możesz sobie pożyczyć jeden mój pantofel. – Deska skrzypnęła pod nogami Wilsona i

Harris odwrócił się ostrzegawczo. – Mają uszy jak szczury – powiedział.

– Jestem trochę zmęczony. Czy nie myślisz, że dziś...

– Tylko pięć minut. Nie mógłbym zasnąć bez polowania. Spójrz, jest jeden, nad toaletą. Masz pierwszy strzał. – Ale kiedy cień pantofla upadł na tynk ściany, owad prysnął w bok.

– Na nic taka robota, stary. Spójrz na mnie. – Harris wypatrzył łup: karaluch siedział w połowie wysokości ściany; Harris skradając się na palcach po trzeszczącej podłodze zaczął przesuwać po nim tam i z powrotem światło latarki. Potem uderzył nagle i zostawił na ścianie rozmaz krwi.

– Jeden – powiedział. – Trzeba je hipnotyzować.

Wędrowali tam i z powrotem po pokoju, machając latarkami, trzaskając pantoflami, od czasu do czasu tracąc głowę i dziko ścigając karaluchy po kątach; namiętność polowania podziałała na wyobraźnię Wilsona. Początkowo ich zachowanie się wobec siebie było „sportowe”. Wołali: „Dobry strzał” albo „A to pech”. Lecz raz spotkali się przy listwie nad podłogą na tropie tego samego karalucha, kiedy punktacja była równa, i to popsło im humor.

– N i e ma co gonić za tym samym ptaszkiem, stary – rzekł Harris.

– To ja go ruszyłem z miejsca.

– Zgubiłeś twój. Ten był mój.

– To ten sam. Kluczył.

– O, nie.

– W każdym razie nie ma powodu, żebym nie szedł za tym samym. Ty go napędziłeś ku mnie. Kiepsko zagrałeś.

– Niedozwolone w prawidłach – rzekł krótko Harris.

– Może w twoich prawidłach.

– Do jasnej cholery – rzekł Harris – ja wymyśliłem tę grę. Karakon siedział na brązowym kawałku mydła w umywalni. Wilson wyszedł go i oddał daleki strzał pantoflem z odległości dwóch metrów. Pantofel pięknie wylądował na mydle i karaluch zjechał do umywalni; Harris odkręcił kurek i spłukał go do zlewu.

– Dobry strzał, stary – rzekł pojednawczo. – Jeden P.K.

– Do cholery z tym P.K. – rzekł Wilson. – Nie żył już, kiedy odkręcałeś kurek.

– Tego nie możesz być pewny. Mógł po prostu stracić przytomność; szok. To się liczy P.K. według prawideł.

– Znów te twoje prawidła.

– Moje prawidła to prawidła olimpijskie w tym mieście.

– Nie na długo – zagroził Wilson. Trzasnął silnie drzwiami. Ściany pokoju zawibrowały wokół niego od wstrząsu. Serce biło mu z wściekłości i z upału nocy; pot spływał spod pach. Ale kiedy tak stał obok własnego łóżka, widząc wokół siebie replikę pokoju Harrisa – umywalnia, stół, szara moskitiera, nawet karakon przyczepiony na ścianie – gniew wysączył się zeń, a jego miejsce zajęło osamotnienie. Było to jak kłótnia z własnym obrazem w lustrze.

„Zwariowałem – pomyślał. – Co mnie tak podgoniło? Straciłem przyjaciela.”

Tej nocy długo nie mógł usnąć, a kiedy wreszcie zapadł w sen śniło mu się, że popełnił zbrodnię, tak że zbudził się z poczuciem winy, które nadal mu ciążyło; w drodze na śniadanie zatrzymał się pod drzwiami Harrisa. Cisza. Zapukał, ale nie było odpowiedzi. Uchylił trochę drzwi i przez szarą siatkę dostrzegł wilgotne łóżko Harrisa. Zapytał cicho:

– Nie śpisz?

– Co tam, stary?

– Słuchaj, przykro mi z powodu tej nocy.

– To moja wina, stary. Mam trochę gorączki. Dlatego byłem nieznośny. Obrażliwy.

- Nie, to moja wina. Ty miałaś rację. To był P.K.
- Wylosujemy to.
- Przyjdę dziś wieczór.
- Świetnie.

Ale po śniadaniu coś zupełnie odwróciło jego myśl od Harrisa. W drodze do miasta wstąpił do biura komisarza i wychodząc natknął się na Scobiego.

- Halo – powiedział Scobie. – Co pan tu robi?
- Wstąpiłem do komisarza w sprawie przepustki. Tyle różnych przepustek trzeba mieć w tym mieście, panie majorze. Chciałem przepustkę do portu.
- Kiedy zamierza pan znowu nas odwiedzić?
- Po co mają państwo robić sobie kłopot z obcymi ludźmi, panie majorze.
- Nic podobnego. Luizie byłoby przyjemnie pogadać znów o książkach. Ja, wie pan, nie czytam książek.

– Nie sądzę, żeby pan major miał wiele czasu.

– Och, jest strasznie dużo czasu – rzekł Scobie – w takim kraju. Po prostu nie mam zamiłowania do czytania i koniec. Niech pan wejdzie na chwilę do mojego pokoju, a ja zadzwonię do Luizy. Miło jej będzie pana zobaczyć. Chciałbym, żeby pan wpadł i wziął ją na spacer. Zbyt mało ma ruchu.

– Strasznie bym się cieszył – rzekł Wilson i zarumienił się nagle w półmroku. Rozejrzał się wokół: to jest biuro Scobiego. Oglądał je, jak generał mógłby oglądać pole bitwy, a przecież trudno było uważać Scobiego za nieprzyjaciela. Zardzewiałe kajdanki zabrzęczały na ścianie, kiedy Scobie odchylił się od biurka i nakręcał numer.

– Ma pan czas dziś wieczorem?

Ostro skupił rozprzeczłe myśli mając świadomość, że Scobie mu się przygląda: lekko wypukłe, lekko zaczerwienione oczy były w nim utkwione jakby z namysłem.

– Ciekaw jestem, czemu pan tu przyjechał – rzekł Scobie. – To nie w pańskim typie.

– Tak człowieka niesie – skłamał Wilson.

– Mnie nie – rzekł Scobie. – Zawsze planowałem. Widzi pan, planuję nawet dla innych. – Zaczął mówić do telefonu. Jego intonacja zmieniła się: było tak, jakby czytał rolę, rolę wymagającą czułości i cierpliwości, rolę czytaną już tak często, że jego oczy były bez wyrazu. Kładąc słuchawkę powiedział: – Świetnie. Więc stoi.

– Ten plan wydaje mi się bardzo dobry – rzekł Wilson.

– Moje plany zawsze się dobrze zaczynają – odparł Scobie. – Wy dwoje pójdzicie na spacer, a zanim wrócicie, przygotuję coś do picia. Niech pan zostanie na kolacji – mówił dalej z cieniem niepokoju. – Miło nam będzie w pańskim towarzystwie.

Kiedy Wilson odszedł, Scobie udał się do komisarza. Powiedział:

– Właśnie szedłem do pana, kiedy spotkałem Wilsona.

– A tak, Wilson – rzekł komisarz. – Był tu, żeby pogadać o jednym z przewoźników.

– Aha.

Żaluzje w biurze spuszczone, by nie dopuścić porannego słońca. Przeszedł sierżant niosąc teczkę i ciągnąc za sobą smugę woni zoologu. Dzień był ciężki od zbierającego się deszczu: już o ósmej trzydzieści rano ciało spływało potem. Scobie powiedział:

– Mówił mi, że przyszedł w sprawie przepustki.

– Ach tak – rzekł komisarz – to także. – Podłożył pod napięstek kawałek bibuły, która wchłaniała pot, kiedy pisał. – Tak, była też mowa o jakiejś przepustce, panie Scobie.

Rozdział drugi

Kiedy Luiza i Wilson przeszli ponownie rzekę i doszli do Burnside, było już całkiem ciemno. Reflektory policyjnej ciężarówki oświetlały otwarte drzwi; tam i z powrotem poruszały się jakieś postacie dźwigając paki. – Cóż to znowu? – wykrzyknęła Luiza i zaczęła zbiegać drogą. Wilson dyszał za nią. Ali wyszedł z domu niosąc na głowie blaszaną wannę, składane krzesło i tłumok, zawinięty w stary ręcznik.

– Na miłość Boską, co się stało, Ali?

– Massa jechać trek – odparł i wyszczerzył się radośnie w świetle lamp.

W salonie siedział Scobie ze szklanką w ręku.

– Cieszę się, żeście już wrócili – powiedział. – Myślałem, że będę musiał napisać słówko – i Wilson zauważył, że nawet zaczął pisać. Wyrwał kartkę z notesu; jego wielkie, niezgrabne pismo pokrywało kilka linijek.

– Na miłość Boską, co się dzieje, Henryku?

– Muszę jechać do Bamba.

– Czy nie możesz czekać na czwartkowy pociąg?

– Nie.

– Czy mogę jechać z tobą?

– Nie tym razem. Wybacz, kochanie. Będę musiał zabrać Alego i zostawić ci małego boya.

– Co się stało?

– Są kłopoty z tym młodym Pembertonem.

– Poważne?

– Tak.

– To taki głuptas. Było szaleństwem zostawić go tam jako komisarza okręgu.

Scobie wypił whisky i rzekł; – Bardzo żałuję, panie Wilson. Musi się pan sam obsłużyć. Butelkę wody sodowej ma pan w lodówce. Boye są zajęci pakowaniem.

– Jak długo zostaniesz tam, kochanie?

– Och, wrócę pojutrze, jak dobrze pójdzie. Czy nie przeniosłabyś się na ten czas do pani Halifax?

– Tu mi będzie doskonale, kochanie.

– Wziąłbym małego boya i zostawił ci Alego, ale mały boy nie umie gotować.

– Lepiej ci będzie z Alim, kochanie. Będzie jak za dawnych czasów, nim przyjechałam.

– Chyba już pójdę, panie majorze – rzekł Wilson. – Przykro mi, że tak długo zatrzymałem panią.

– Och, nie niepokoiłem się. Ksiądz Rank przechodził tędy i powiedział mi, że schroniliście się w starym posterunku. Bardzo rozsądnie z waszej strony. Ksiądz przemókl do suchej nitki. Powinien był także zostać, w jego podeszłym wieku nie należy się narażać na atak febry.

– Czy mogę panu nalać, panie majorze? Potem już pójdę.

– Henryk nigdy nie pije więcej niż jeden.

– Co tam, chyba wypiję. Ale niechże pan nie odchodzi. Niech pan zostanie i jeszcze chwilę dotrzyma Luizie towarzystwa. Muszę jechać po tej szklance. Nie będę spać ani przez chwilę tej nocy.

– Dlaczego nie może jechać któryś z młodych ludzi? Jesteś na to za stary, Tiki. Całą noc w aucie. Czemu nie pošlesz Frasera?

– Komisarz prosił mnie, żebym pojechał. To właśnie jeden z tych wypadków... ostrożność, takt... nie można tego powierzać młodemu człowiekowi.

Wypił jeszcze jeden łyk whisky i odwrócił posępnie wzrok. Wilson patrzył na niego.

- Muszę jechać.
- Nigdy tego Pembertonowi nie wybaczę.

Scobie powiedział ostro:

- Nie mów głupstw, kochanie. Wybaczałibyśmy bardzo wiele rzeczy, gdybyśmy znali fakty.

Uśmiechnął się z trudem do Wilsona. – Policjant powinien być najpobłażliwszą istotą na świecie, gdyby wiedział, jak naprawdę wyglądają fakty.

- Czy nie mógłbym jakoś pomóc, panie majorze?

– Może pan. Niech pan zostanie i jeszcze się czegoś napije z Luizą; doda jej pan otuchy. Nieczęsto ma okazję, żeby porozmawiać o książkach. – Przy słowie „książki” Wilson zauważył, że jej usta się zacisnęły – akurat tak samo, jak chwilę przedtem dostrzegł, że Scobie wzdrygnął się na dźwięk imienia „Tiki”. Po raz pierwszy uświadomił sobie ból, nieunikniony we wszelkich stosunkach między ludźmi – ból, który się cierpi, i ból, który się zadaje. Jacy jesteśmy głupi, że się boimy samotności.

- Dobranoc, kochanie.

- Dobranoc, Tiki.

- Zajmij się Wilsonem. Dopilnuj, żeby miał co wypić. Nie smuć się.

Kiedy pocałowała Scobiego, Wilson stał przy drzwiach ze szklanką w ręku. Przypomniawsobnie używany budynek na wzgórzu i smak szminki. Dokładnie przez półtorej godziny ślad jego ust był na jej ustach ostatnim. Nie czuł zazdrości, tylko depresję człowieka, który próbuje pisać ważny list na wilgotnym papierze i widzi, że litery się rozmazują.

Stojąc obok siebie patrzyli na Scobiego, który szedł przez drogę do policyjnej ciężarówki. Wypił więcej whisky, niż to miał w zwyczaju, i może dlatego się potknął.

- Powinni byli wysłać kogoś młodszego – rzekł Wilson.

– Nigdy tego nie robią. Komisarz ufa tylko jemu. – Patrzyli, jak się pracowicie wdrapuje do auta. Luiza ciągnęła ze smutkiem: – Czy to nie typowy zastępca? Ten, który robi całą robotę.

Czarny policjant przy kierownicy zapuścił motor i zaczął zgrzytliwie włączać bieg przed zwolnieniem sprzęgła.

– Nie dadzą mu nawet dobrego szofera – rzekła. – Dobry szofer zabrał z pewnością Frasera i całą resztę na tańce do Hill Station.

Ciężarówka szarpnęła i wy dostała się z podwórza. Luiza powiedziała:

- No i tak, panie Wilson.

Wzięła liścik, który Scobie zamierzał jej zostawić, i przeczytała go głośno.

„Kochanie, musiałem wyjechać do Bamba. Zachowaj to dla siebie. Stała się straszna rzecz. Biedny Pemberton...”

- Biedny Pemberton – powtórzyła z Wściekłością.

- Kto to jest Pemberton?

– Taki dwudziestopięcioletni szczeniak. Cały pryszczaty, rozlatany. Był zastępcą komisarza okręgu w Bamba, ale kiedy Butterworth się rozchorował, wsadzili go na funkcję. Byle kto potrafiłby przewidzieć, że będzie kłopot. A jak jest kłopot, to naturalnie Henryk musi jechać całą noc...

- Lepiej, żebym już poszedł, prawda? – rzekł Wilson. – Będzie się pani chciała przebrać.

– Tak, niech pan lepiej idzie, zanim wszyscy się dowiedzą, że odjechał i że byliśmy sami przez pięć minut w domu, w którym jest łóżko. Sami – nie licząc naturalnie małego boya i kucharza, i ich krewnych i znajomych.

- Czy nie mógłbym się jakoś przydać?

– Mógłby pan – rzekła. – Może by pan poszedł na górę zobaczyć, czy nie ma szczura w sypialni? Nie chcę, żeby mały boy wiedział, że jestem nerwowa. I proszę zamknąć okno.

Wchodzą tamtędy.

– Będzie pani bardzo gorąco.

– Nic nie szkodzi.

Stanął krok za progiem i cicho klasnął w ręce, ale żaden szczur się nie ruszył. Potem szybko, ukradkiem, jakby nie miał prawa tu być, podszedł do okna i zamknął je. W pokoju unosił się słaby zapach pudru – wydał mu się najbardziej ponętą wonią, jaką w życiu wchłaniał. Stanął ponownie przy drzwiach ogarniając wzrokiem cały pokój – fotografię dziecka, słoiki z kremem, suknię przygotowaną przez Alego na wieczór. Instruowano go w Anglii, jak zapamiętywać, chwycić ważne szczegóły, zbierać właściwe dowody, ale jego pracodawcy nigdy go nie nauczyli, że znajdzie się w kraju tak dziwnym dla niego jak ten.

Część trzecia

Rozdział pierwszy

Wóz policyjny zajął miejsce w długim szeregu wojskowych ciężarówek czekających na prom; ich światła były jak mała wioska w nocy. Drzewa schodziły po obu stronach pachnąc deszczem i upałem, a gdzieś na końcu kolumny śpiewał szofer – żalony bezdźwięczny głos wznosił się i opadał, jak głos wiatru przez pusty zamek w drzwiach. Scobie zasypiał i budził się, zasypiał i budził się. Kiedy się budził, myślał o Pembertonie i dumał, jakby się też czuł, gdyby był jego ojcem, tym starszym, emerytowanym dyrektorem banku, którego żona umarła wydając na świat Pembertona – ale kiedy zasypiał, powracał miękko w sen o doskonałym szczęściu i wolności. Szedł przez szeroką, chłodną łąkę, Alego miał tuż za sobą. Nikogo więcej nie było nigdzie w jego śnie. Ali nigdy się nie odzywał. Ptaki przelatywały wysoko w górze, a kiedy Scobie usiadł, z trawy wyłonił się mały zielony wąż, który wsunął się na jego dłoń i na ramię bez obawy, a zanim ześliznął się znowu w trawę, dotknął jego policzka zimnym, życzliwym, wąłym języczkiem.

Raz, kiedy Scobie otworzył oczy, stał przy nim Ali i czekał na jego przebudzenie. – Massa lubić łóżko – stwierdził łagodnie, stanowczo, wskazując łóżko połowę, które przygotował na skraju ścieżki wraz z moskitierą przywiązaną do gałęzi w górze. – Dwie, trzy godziny – dodał. – Mnóstwo ciężarówka. – Scobie usłuchał, położył się i natychmiast znalazł się znowu na tej spokojnej łące, gdzie nic się nie działo. Następnym razem, kiedy się zbudził, boy był nadal przy nim, tym razem z filiżanką herbaty i talerzem biszkoptów. – Jedna godzina – rzekł Ali.

Wreszcie przysłała kolej na wóz policyjny. Zjechali po czerwonym laterytowym zboczku na tratwę i zaczęli sunąć wolno przez czarny, Styksowy strumień ku drzewom po drugiej stronie. Dwaj przewoźnicy ciągnący liny mieli na sobie tylko przepaski, jakby zostawili odzież poza sobą, na brzegu, gdzie kończy się życie, a trzeci człowiek wybijał im takt; instrument zastępowała mu w tym między-świecie pusta puszka od sardynek. Żalony, niezmordowany głos żywego śpiewaka odsuwał się w tył.

Był to dopiero pierwszy z trzech promów, którymi trzeba było płynąć; za każdym razem robił się taki sam ogon. Scobiemu już nie udało się porządnie zasnąć. Od wstrząsów ciężarówki zaczęła go boleć głowa. Połknął trochę aspiryny i miał nadzieję, że jakoś to będzie. Nie chciał dostać ataku febry z dala od domu. Teraz już nie Pemberton go dręczył – niechaj umarli grzebią swych umarłych – tylko obietnica dana Luizie. Dwieście funtów to taka mała suma! Cyfry wymieniały się w jego obolałej głowie jak dźwięk dzwonów: 200, 002, 020. Męczyło go, że nie może wymyślić czwartej kombinacji: 002, 200, 020.

Dotarli już poza zasięg krytych blachą bud i niszczących drewnianych chat osadników. Wsie, przez które przejeżdżali, były to wsie puszczańskie, z błota i słomy. Nigdzie żadnego światła. Drzwi były zamknięte, okiennice założone i tylko oczy kilku kóz spoglądały na latarnie konwoju. 020, 002, 200, 200, 002, 020. Ali przykucnął na podłodze ciężarówki i otoczył ramieniem jego plecy, podając kubek gorącej herbaty – jakoś zagotował drugi czajnik w rozchybotanym wozie. Luiza miała rację – było tak, jak za dawnych czasów. Gdyby się czuł młodszy, gdyby nie problem tych 200, 020, 002, jakżeby mu było dobrze. Nie trapiłaby go śmierć biednego Pembertona – to była tylko sprawa służbowa, a nigdy Pembertona nie lubił.

– Głowa robi mi humbug, Ali.
– Massa brać mnóstwo aspiryna.
– Czy pamiętasz, Ali, ten 200 – 002 trek, który zrobiliśmy dwanaście lat temu wzdłuż granicy w dziesięć dni? Dwóch tragarzy się rozchorowało...

W lusterku szofera widział, jak Ali kiwa głową rozpromieniony. Wydało mu się, że wystarczy tyle właśnie miłości i przyjaźni. Mógł być szczęśliwy nie mając na świecie nic ponadto – zgrzytający samochód, gorąca herbata przy wargach, wilgotny las, nawet boląca głowa, samotność. „Gdybym tylko mógł najpierw urządzić coś dla jej szczęścia” – myślał i wśród zwodniczej nocy zapomniał na jedną chwilę o tym, czego nauczyło go doświadczenie: że żaden człowiek nie może naprawdę zrozumieć drugiego i że nikt nie może urządzić cudzego szczęścia.

– Jeszcze godzina – powiedział Ali, a Scobie zauważył, że ciemności rzędą.
– Jeszcze jeden kubek herbaty, Ali, i nalej do niej trochę whisky.

Konwój odłączył się od nich kwadrans temu, kiedy wóz policyjny skręcił z głównej drogi w boczną i podskakując zagłębił się w puszcę. Scobie zamknął oczy i spróbował odwieść myśli od urywanego dzwonienia cyfr ku obrzydłemu zajęciu. W Bamba był tylko sierżant policji, krajowiec, a Scobie chciał jasno zdać sobie sprawę z tego, co się stało, nim otrzyma prymitywny meldunek sierżanta. „Byłoby lepiej – rozważał niechętnie – pójść najpierw do misji i zobaczyć się z księdzem Clayem.”

Ksiądz Clay już wstał i czekał na niego w ponurym budyneczku misji; między lepiankami z błota wybudowano go z laterytowych cegieł, usiłując nadać mu wygląd wiktoriańskiej plebanii. Lampa naftowa oświetlała krótkie rude włosy księdza i jego młodą, piegowatą liverpoolską twarz. Nie mógł usiedzieć spokojnie dłużej niż kilka minut, a potem wstawał przemierzając wolno swój ciasny pokoik, od ohydneho oleodruku do gipsowej figury i z powrotem do oleodruku.

– Widywałem go tak mało – jęczał poruszając rękami, jakby był przy ołtarzu. – Nic go nie obchodziło, tylko karty i picie. Ja nie piję i nigdy nie grałem w karty, tylko w diabełka, wie pan, diabełek, taki pasjans. To straszne, straszne.

– Powiesił się?

– Tak. Jego boy przyszedł do mnie wczoraj. Nie widział go od poprzedniej nocy, ale to było całkiem normalne po pijaństwie, wie pan, pijaństwo. Powiedziałem mu, żeby poszedł na policję. To było słuszne, prawda? Nie mogłem nic poradzić. Nic. Był całkiem martwy.

– Bardzo słusznie. Czy ksiądz mógłby mi dać szklankę wody i trochę aspiryny?

– Może pan pozwoli, że wymieszam aspirynę. Wie pan, panie majorze, całymi tygodniami i miesiącami w ogóle nic się tu nie dzieje. Po prostu chodzę tam i z powrotem, tam i z powrotem, i nagle jak grom z jasnego nieba... to straszne.

Oczy miał czerwone i niewyspane; wydał się Scobiemu jednym z tych ludzi, którzy zupełnie nie nadają się do samotności. Nie dostrzegało się tu żadnych ksiązek poza brewiarzem księdza na półeczce i paroma rozprawami religijnymi. Był to człowiek bez środków i możliwości. Zaczął znowu chodzić tam i z powrotem, aż nagle, odwracając się do Scobiego, wyrzucił podniecone pytanie: – Czy nie można mieć nadziei, że to morderstwo?

– Nadziei?

– Samobójstwo – rzekł ksiądz. – To zbyt straszne. To stawia człowieka poza przebaczeniem. Myślałem o tym przez całą noc.

– Nie był katolikiem. Może to stanowi różnicę. Niezwyciężona ignorancja, hm?

– Staram się tak właśnie myśleć.

W połowie drogi między oleodrukiem i statuetką nagle drgnął i postąpił w bok, jakby spotkał kogoś na trasie swojej maleńkiej defilady. Potem spojrzał prędko i chytrze na Scobiego, żeby się

upewnić, czy jego posterunek dostrzeżono.

– Jak często jeździ ksiądz do portu? – spytał Scobie.

– Byłem tam przez jedną noc dziewięć miesięcy temu. Bo co?

– Każdy potrzebuje zmiany. Czy ksiądz ma tutaj dużo nawróconych?

– Piętnastu. Próbuję sobie wytłumaczyć, że Pemberton miał czas... wie pan, czas, kiedy umierał, żeby zdać sobie sprawę...

– Trudno myśleć jasno, gdy się człowiek dusi, księżo. – Pociągnął wielki łyk aspiryny i kwaśne ziarenka utkwily mu w gardle. – Gdyby to było morderstwo, miałby ksiądz po prostu zamianę jednego śmiertelnego grzesznika na drugiego – rzekł próbując żartu, który uwiadł między świętym obrazem i figurą.

– Morderca ma czas – rzekł ksiądz. – Ogiś pełniłem czasem obowiązki kapelana w liverpoolskim więzieniu – dodał z nostalgiczną zadumą.

– Czy nie wie ksiądz, dlaczego on to zrobił?

– Za mało go znałem. Nie pasowaliśmy do siebie.

– Jedyni biali ludzie tutaj. Chyba szkoda.

– Proponowałem, że mi pożyczysz trochę książek, ale to wcale nie był ten rodzaj książek, które chciałbym czytać... historie miłosne, powieści...

– A co ksiądz czyta?

– Wszystko o świętych, panie majorze. Mam wielkie nabożeństwo do świętej Tereni.

– Pił dużo, prawda? Skąd on to brał?

– Przypuszczam, że ze składu Yusefa.

– Aha. Czy mógł być w długach?

– Nie wiem. To straszne, straszne.

Scobie skończył swoją aspirynę.

– Może lepiej pójde tam. – Na dworze był już dzień, światło miało dziwną jakąś niewinność: było łagodne, jasne i świeże przed wzejściem słońca.

– Pójde z panem.

Sierzant policji siedział na leżaku przed bungalowem komisarza okręgu. Wstał, zasalutował niezgrabnie i zaczął natychmiast czytać swój meldunek głuchym, bezkształtnym głosem.

– Wczoraj o 15.30, pan, zostałem zbudzony przez boya podkomisarza, który doniósł, że podkomisarz Pemberton, pan...

– W porządku, sierzancie, wejde tylko do środka i rozejrzę się.

Starszy kancelista czekał na niego tuż za drzwiami.

Salon bungalowu stanowił kiedyś najwyraźniej dumę komisarza – musiało to być za czasów Butterwortha. Umebłowanie odznaczało się elegancją i zdradzało pewne zamiłowanie do zbytku; nie było dostarczone przez rząd. Na ścianie wisiały osiemnastowieczne sztychy, przedstawiające dawną kolonię; w szafie bibliotecznej stały książki, które zostawił po sobie Butterworth. Scobie zauważył kilka tytułów i nazwisk autorów, „Historia Praw” Maitlanda, sir Henry Maine, „Święte Cesarstwo Rzymskie” Bryce’a, poezje Hardy’ego i „Przyczynki do dziejów miasteczka Withington”, drukowane prywatnie.

Ale nałożone na to wszystko widniały ślady Pembertona – jaskrawy puf skórzany tak zwanej tubylczej roboty, ślady papierosów na krzesłach, stos książek, które nie podobały się księdzu – Somerset Maugham, Edgar Wallace, dwie powieści Horlera i rozłożona na sofie okładką do góry książka: „Śmierć śmieje się z Locksmithów”. Kurze nie były starte, a książki Butterwortha plamała pleśń.

– Ciało jest w sypialni, pan – rzekł sierzant.

Scobie otworzył drzwi i wszedł; ksiądz postępował za nim. Zwłoki złożono na łóżku i

przykryto prześcieradłem. Kiedy Scobie zsunął prześcieradło aż do ramion, odniósł wrażenie, że patrzy na spokojnie śpiące dziecko w nocnej koszuli; pryszcze były pryszczami okresu dojrzewania i wydawało się, że na martwej twarzy nie ma śladu innych doświadczeń poza klasą szkolną czy boiskiem piłki nożnej. – Biedne dziecko – rzekł głośno. Irytowały go pobożne okrzyki księdza. Wydawało mu się, że bez wątpienia musi istnieć miłosierdzie dla kogoś tak niedojrzałego.

Zapytał szorstko: – Jak on to zrobił?

Sierżant policji wskazał pręt od obrazów, który Butterworth umocował z pedantyczną solidnością – żaden przedsiębiorca rządowy by o tym nie pomyślał. Jakiś obraz – dawny tubylczy król przyjmujący misjonarzy pod państwowym parasolem – oparty był o ścianę, a nad mosiężnym kółkiem pozostał skręcony sznur. Kto by się spodziewał, że nie urwie się to wątko urządzenie? „Waży chyba bardzo mało” – pomyślał Scobie i przypomniał sobie dziecinne kości, lekkie i kruche jak kości ptaka. Jego nogi, kiedy wisiał, musiały być najwyżej czterdzieści centymetrów nad ziemią.

– Czy zostawił jakieś papiery? – spytał Scobie kancelistę. – Zwykle coś zostawiają.

Ludzie, którzy mają umrzeć, skłonni są do gadatliwych rewelacji o sobie samych.

– Tak, pan, w biurze.

Wystarczyła powierzchowna inspekcja, by zdać sobie sprawę, jak źle prowadzone było biuro. Szafka z aktami stała otworem; przegródki na biurku były pełne jeszcze nie załatwionych i zakurzonych papierów. Tubylczy kancelista postępował najwyraźniej za przykładem szefa.

– Tam, pan, na bibule.

Scobie przeczytał – pismo było równie niedojrzałe jak twarz; takie pismo, jakie z pewnością wychodziło spod ręki setek równolatków Pembertona na całym świecie:

Kochany Tato, daruj ten cały kłopot. Nie da się chyba nic innego zrobić. Pech, że nie jestem w wojsku, bo wtedy mógłbym zostać zabity. Nie płać pieniędzy, które jestem winien – facet na to nie zasłużył. Będą próbowali wydostać je od Ciebie. Inaczej nie wspominałbym o tym. To paskudna historia dla Ciebie, ale nic na to nie można poradzić. Twój kochający syn Diki.

Było to jak list ze szkoły, przeprasający za złe świadectwo.

Podał list księdzu.

– Nie powie mi ksiądz, że jest tu cokolwiek niewybaczalnego, proszę księdza. Gdyby to zrobił kto inny – ksiądz albo ja – byłaby to rozpacz, gwarantuję, jeśli chodzi o nas. Bylibyśmy potępieni jak należy, bo wiemy, ale on... on w ogóle nic nie wie.

– Kościół naucza...

– Nawet Kościół nie może mnie nauczyć, że Bóg nie lituje się nad młodymi... – Scobie urwał raptownie. – Sierżancie, dopilnujcie, żeby prędko wykopać grób, nim słońce zanadto przygrzeje. I rozejrzyjcie się za rachunkami, które miał do zapłacenia. Muszę o tym z kimś porozmawiać. – Kiedy odwrócił się do okna, światło go oślepiło. Położył dłoń na oczach: – Chciałbym na Boga, żeby moja głowa... – Zatrząsł się. – Dostanę ataku, jeśli nie potrafię tego zatrzymać. Jeśli ksiądz pozwoli, Ali postawi mi łóżko w mieszkaniu księdza, a ja spróbuję to wypocić.

Wziął dużą dawkę chininy i położył się nago między koce. W miarę jak słońce się wznosiło, wydawało mu się chwilami, że kamienne ściany celi są mokre od zimna, a chwilami, że smażą się od gorąca. Drzwi były otwarte i Ali przysiadł na stopniu tuż za nimi strugając kawałek drzewa. Od czasu do czasu przepędzał mieszkańców wsi, którzy podnosili głosy w granicach obszaru milczenia, nakazanego chorobą. La peine forte et dure ciążyła na czole

Scobiego; od czasu do czasu wgniatała go w sen.

Ale w tym śnie nie było miłych marzeń. Jakies niejasne powiązania łączyły Pembertona i Luizę. Scobie ciągle w koło czytał list, który składał się tylko z odmian liczby 200, a na dole widniał podpis czasem „Diki”, a czasem „Tiki”; miał poczucie upływu czasu i własnej nieruchomości wśród koców – miał coś zrobić, miał kogoś ocalić, może była to Luiza, czy Diki, czy Tiki – ale przywiązali go do łóżka i kładli mu przyciski na głowę, tak jak się kładzie przyciski na luźne arkusze papieru.

Raz podszedł do drzwi sierżant i Ali go przepędził; raz wsunął się na palcach ksiądz i wziął z półki jakąś rozprawkę. A raz, ale to mógł być sen, pod drzwi podszedł Yusef.

Około piątej wieczór Scobie otworzył oczy, czując się suchy, chłodny i słaby. Zawołał Alego:

- Śniło mi się, że widziałem Yusefa.
- Yusef przyjdź, żeby widzieć pan.
- Powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć teraz.

Czuł się zmęczony, ciało sponiewierane, obrócił twarz do kamiennej ściany i natychmiast zasnął. We śnie Luiza szlochała obok niego milcząco. Wyciągnął rękę i znowu dotknął kamiennej ściany. „Wszystko się urządzi. Wszystko Tiki obiecuje.” Kiedy się zbudził, obok niego stał Yusef.

- Atak febry, panie majorze. Bardzo mi przykro, że widzę pana w kiepskim stanie zdrowia.
- Przykro mi, że w ogóle pana widzę, Yusef.
- Ach, major zawsze sobie ze mnie żarty stroi.
- Niech pan siada. Co pan miał wspólnego z Pembertonem?

Yusef opuścił wielkie pośladki na twarde krzesło i zauważywszy, że ma nie zapięty rozporek, wyciągnął wielką włochatą rękę, żeby go doprowadzić do porządku. – Nic, panie majorze.

– To dziwny zbieg okoliczności, że jest pan tutaj akurat w chwili, kiedy Pemberton popełnia samobójstwo.

- Ja uważam, że to zrządzenie Opatrzności.
- Sądzę, że był panu winien pieniądze.
- Był winien pieniądze kierownikowi mego składu.
- Jaki rodzaj nacisku wywierał pan na niego, panie Yusef?

– Majorze, kto chce psa skończyć, ten mu da złe imię. Jeśli komisarz okręgu chce kupować w moim składzie, to jak mój kierownik może przestać mu sprzedawać? Jeśliby przestał, co się wtedy stanie? Wcześniej czy później wybuchnie pierwszorzędna awantura. Komisarz prowincji dowie się o wszystkim. Komisarza okręgu odeślą do domu. Jeśli nie przestaje sprzedawać, co się wtedy dzieje? Komisarz okręgu ma coraz to większe rachunki. Kierownik zaczyna się mnie bać, prosi komisarza okręgu, żeby zapłacił – i także robi się awantura. Kiedy się ma takiego komisarza jak biedny Pemberton, musi pewnego dnia wybuchnąć awantura, choćby się nie wiem co robiło. A Syryjczyk jest zawsze winien.

– Jest coś w tym, co pan mówi, panie Yusef. – Ból znowu się zaczynał. – Proszę podać mi whisky, o tam, i chininę.

– Czy pan major nie bierze za dużo chininy? Proszę pamiętać o czarnej febrze.

– Nie chcę tu utknąć na kilka dni. Chcę to zdusić w zarodku. Mam za dużo rzeczy do zrobienia.

- Niech pan na chwilę usiądzie i pozwoli, że poprawię panu poduszki.
- Niezły z pana chłop, panie Yusef.

– Pański sierżant szukał rachunków i nic nie mógł znaleźć. Ale tu są kwity z kasy mojego kierownika. – Mówiąc to Yusef uderzył się po udzie małym plikiem papierów.

– Aha. Co ma pan zamiar z nimi zrobić?

– Spalę je – rzekł Yusef. Wydobył zapalniczkę i podpalił rogi. – No – powiedział. – Zapłacił, biedaczek. Nie ma powodu, by martwić jego ojca.

– Po co pan tu przyjechał?

– Mój kierownik się niepokoił. Właśnie chciałem zaproponować układ.

– Trzeba pomyśleć dwa razy, nim się krok postawi w pańską stronę, panie Yusef.

– To dotyczy moich wrogów. Nic moich przyjaciół. Dużo bym zrobił dla majora.

– Czemu pan nazywa mnie zawsze przyjacielem?

– Panie majorze – rzekł Yusef pochylając naprzód wielką białą głowę, cuchnącą olejkami do włosów – przyjaźń to jest coś w duszy. To jest coś, co się czuje. To nie jest rewanż za coś innego. Czy pan pamięta, jak mnie pan podał do sądu dziesięć lat temu?

– Tak, tak. – Scobie odwrócił głowę od światła drzwi.

– Pan mnie prawie złapał wtedy, panie majorze. Była to sprawa ceł importowych, pan sobie przypomina. Mógł mnie pan złapać, gdyby pan kazał swemu policjantowi powiedzieć coś odrobinę innego. Byłem zupełnie oniemiały ze zdziwienia, panie majorze, że siedzę w sądzie policyjnym i słyszę prawdziwe fakty z ust policjantów. Musiał pan zadać sobie mnóstwo trudu, żeby wykryć, co było prawdą, i zmusić ich do powiedzenia tego. Powiedziałem sobie: Yusef, Daniel wszedł do policji kolonialnej.

– Chciałbym, żeby pan nie mówił tak dużo. Nie reflektuję na pańską przyjaźń.

– U majora słowa są twardsze od serca. Chcę wytłumaczyć, dlaczego w duszy czułem się zawsze pańskim przyjacielem. Pan dał mi poczucie bezpieczeństwa. Pan nie wymyślił na mnie oskarżenia, pan potrzebuje faktów, a jestem pewien, że fakty świadczyć będą zawsze na moją korzyść. – Strzepnął popiół z białych spodni pozostawiając na nich jeszcze jedną szarą smugę.

– Oto są fakty. Spaliłem wszystkie kwity...

– Mogę jeszcze trafić na ślad tego, jaki to układ chciał pan zawrzeć z Pembertonem. Ten posterunek panuje nad jedną z głównych dróg przez granicę... do diabła z tą głową, nie mogę sobie przypomnieć nazw.

– Dróg przemysłowych bywała. Nie interesuję się bydlą.

– Inne rzeczy natomiast mają skłonność, żeby wędrować w odwrotną stronę.

– Pan major wciąż marzy o diamentach. Wszyscy mają bzika na punkcie diamentów, odkąd zaczęła się wojna.

– Niech pan nie będzie zbyt pewny, że czegoś nie znajdę, kiedy przeszukam biuro Pembertona.

– Jestem zupełnie pewny, panie majorze. Pan wie, że nie umiem czytać i pisać. Nic nigdy nie jest na papierze. Wszystko jest zawsze w mojej głowie.

Yusef jeszcze mówił, kiedy Scobie już zapadł w sen – w jeden z tych płytkich snów, które trwają kilka sekund i zdążą jedynie odzwierciedlić jakąś troskę. Luiza szła ku niemu z obiema rękami wyciągniętymi i z uśmiechem, jakiego nie widział u niej od lat. Powiedziała: – Tak się cieszę, tak się cieszę – i zbudził się znowu na głos Yusefa, który ciągnął kojąco: – Tylko pańscy przyjaciele nie ufają panu, panie majorze. Ja panu ufam. Nawet ten łotr Tallit ufa panu.

Minęła chwila, nim skupił wzrok na tej nowej twarzy. Mózg jego przestawiał się boleśnie ze zdania „tak się cieszę” na zdanie „nie ufają”.

Powiedział: – O czym pan właściwie mówi? – Czuł, jak maszyna jego mózgu trzeszczy, skrzypi, zgrzyta, jak tryby nie mogą za siebie zaskoczyć, a wszystko to boli.

– Po pierwsze, jest sprawa komisarza.

– Potrzebują kogoś młodego – rzekł mechanicznie i pomyślał: „Gdybym nie miał gorączki, nigdy bym takiej sprawy nie omawiał z Yusefem”.

– Następnie: specjalny człowiek, którego przysłali z Londynu...

– Musi pan przyjść, jak mi się rozjaśni w głowie. Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan właściwie mówi.

– Przysłali z Londynu specjalnego człowieka dla zbadania sprawy diamentów, mają bzika na punkcie diamentów, tylko komisarz ma o nim wiedzieć, nikt inny spośród oficerów, nawet nie pan.

– Co za bzdury pan opowiada, panie Yusef. Nie ma nikogo takiego.

– Wszyscy się domyślają prócz pana. To Wilson.

– Głupstwo. Nie powinien pan słuchać plotek.

– I trzecia sprawa. Tallit opowiada, że pan mnie odwiedza.

– Tallit! Któż wierzy w to, co opowiada Tallit?

– Każdy zawsze wierzy w to, co złe.

– Niech pan sobie idzie, panie Yusef. Czemu mi pan teraz głowę zawraca?

– Ja tylko chcę, żeby pan major zrozumiał, że pan może na mnie polegać. Mam w duszy przyjaźń dla pana. To jest prawda, panie majorze, prawda. – Woń olejku podeszła bliżej, kiedy Yusef pochylił się w stronę łóżka; głębokie brązowe oczy były wilgotne jakby ze wzruszenia. – Proszę pozwolić, że panu wyglądam poduszkę.

– O, na miłość Boską, niech się pan nie zbliża – rzekł Scobie.

– Wiem, jak rzeczy stoją, panie majorze, i gdybym mógł pomóc... jestem człowiekiem zamożnym.

– Nie szukam łapówek, panie Yusef – powiedział ze znużeniem Scobie i odwrócił głowę, by uniknąć zapachu.

– Nie proponuję panu majorowi łapówki. Pożyczę, zawsze, na przyzwoity procent, cztery od sta rocznie. Bez żadnych warunków. Może mnie pan aresztować następnego dnia, jeśli będzie pan miał fakty. Chcę być pańskim przyjacielem. Pan nie potrzebuje być moim przyjacielem. Jeden syryjski poeta napisał: „Spośród dwóch serc jedno jest zawsze gorące, a drugie jest zawsze zimne. Zimne serce jest cenniejsze od diamentów; gorące serce jest bezwartościowe i zostaje odrzucone”.

– To mi wygląda na bardzo zły wiersz. Ale nie znam się na tym.

– Dla mnie to szczęśliwy zbieg okoliczności, że jesteśmy tu razem. W mieście tylu ludzi patrzy. Ale tu mogę się naprawdę na coś przydać. Czy przynieść panu majorowi więcej koców?

– Nie, nie, niech mnie pan tylko zostawi.

– Nie mogę ścierpieć, gdy źle traktują człowieka, który ma takie rysy charakteru jak pan major.

– Nie sądzę, by mogły kiedyś przyjść takie czasy, żebym potrzebował pańskiej litości, panie Yusef. Jeśli jednak chce pan coś zrobić dla mnie, niechże pan sobie pójdzie i da mi spać.

Ale gdy zasnął, wróciły niedobre sny. Luiza na górze płakała, a on siedział przy stole, pisząc swój ostatni list. „To paskudna historia dla Ciebie, ale nic na to nie można poradzić. Twój kochający mąż, Diki.” A kiedy się odwrócił, by poszukać jakiejś broni lub sznura, nagle zdał sobie sprawę, że jest to czyn, którego nigdy nie można popełnić. Samobójstwo leżało na zawsze poza jego zasięgiem – nie mógł potępić się na całą wieczność, żaden powód nie był dosyć ważny. Podarł list i pobiegł na górę, żeby powiedzieć Luizie, że ostatecznie wszystko jest dobrze, ale ona przestała już płakać. Cisza płynąca z sypialni przeraziła go. Pchnął drzwi; były zamknięte. Zawołał: – Luizo, wszystko dobrze. Mam dla ciebie bilet – ale nie było odpowiedzi. Krzyknął znowu: – Luizo! – i wtedy obrócił się klucz, a drzwi otworzyły się wolno – uczucie nieodwracalnej klęski – i zobaczył stojącego tuż za progiem księdza Clay, który powiedział do niego: – Nauka Kościoła...

I zbudził się znowu w małym kamiennym pokoju jak w grobie.

Zostawał tydzień poza domem, bo trzy dni minęły, nim się febra przesiliła, a dalsze dwa dni, nim poczuł się zdolny do podróży. Yusefa więcej nie widział.

Było po północy, kiedy wjechał do miasta. Domy białły jak kości w świetle księżyca; ciche ulice wyciągały się po obu stronach jak ręce szkieletu, a w powietrzu leżał słaby, słodki zapach kwiatów. Wiedział, że czułby się błogo, gdyby wracał do pustego domu. Nie chciał przerywać milczenia; był znużony. Spodziewać się, że Luiza będzie pogrążona we śnie, spodziewać się, że podczas jego nieobecności wszystko jakoś stało się łatwiejsze i że ujrzy ją swobodną i szczęśliwą, jak w jednym ze snów – to oczekiwać zbyt wiele.

Mały boy machał latarką od drzwi; żaby skrzeczały w krzakach, a psy wyły do księżyca. Był w domu. Luiza objęła go ramionami. Stół nakryto do późnej kolacji, boye biegali tam i sam z jego pakunkami. Uśmiechał się i mówił, i podtrzymywał rozgwar. Opowiadał o Pembertonie i o księdzu, i wspominał Yusefa, ale wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zapytać, co się z nią działo. Próbował jeść, ale był zanadto zmęczony, by mu smakowało.

– Wczoraj wyczyściłem jego biuro i napisałem meldunek... no i tak. – Zawahał się. – Tyle moich wiadomości – ciągnął niechętnie. – A co się tu działo?

Spojrzał szybko na jej twarz i znowu w bok. Istniała jedna szansa na tysiąc, że uśmiechnie się, odpowie ogólnikowo: – Było nie najgorzej – i przejdzie do innych spraw, ale dostrzegł jej usta i wiedział, że tak dobrze nie będzie. Stało się coś nowego.

Jednak wybuch, jakikolwiek miał być, odwlekał się. Powiedziała: – Och, bywał tu Wilson.

– To miły chłopiec.

– Jest za inteligentny jak na swoje zajęcie. Nie mogę zrozumieć, czemu przyjechał tu jako zwykły kancelista.

– Mówił mi, że tak go przyniosło.

– Chyba nie rozmawiałam z nikim innym, odkąd wyjechałeś, nie licząc małego boya i kucharza. Aha, i pani Halifax. – Coś w jej głosie powiedziało mu, że osiągnęli niebezpieczny punkt. Zawsze ponawiał beznadziejne usiłowania, by go ominąć. Przeciągnął się i rzekł:

– Mój Boże, jaki jestem zmęczony. Febra wycisnęła mnie jak ścierkę. Chyba pójdę do łóżka. Jest prawie wpół do drugiej, a muszę być na posterunku o ósmej.

Powiedziała: – Tiki, czy ty w ogóle coś zrobiłeś?

– Co masz na myśli, kochanie?

– W sprawie przejazdu.

– Nie martw się. Znajdę jakiś sposób, kochanie.

– Dotychczas żadnego nie znalazłeś?

– Nie. Mam kilka pomysłów, które rozpatruję. To tylko kwestia pożyczki – 200, 020, 002 zadzwoniło mu w mózgu.

– Biedactwo – rzekła – nie martw się – i przyłożyła mu rękę do policzka. – Jesteś zmęczony. Miałeś febrę. Nie będę cię teraz dręczyć. – Jej ręka, jej słowa łamały wszelką obronę: oczekiwał łez, a miał je teraz sam w oczach. – Idź do łóżka, Henryku – powiedziała.

– Nie przyjdiesz na górę?

– Jeszcze kilka rzeczy chcę przedtem zrobić.

Leżał na wznak pod siatką i czekał na nią. Przyszło mu na myśl, tak jak nigdy od lat, że ona go kocha. Biedactwo, kocha go. Była kimś na ludzką miarę, z własnym poczuciem odpowiedzialności, nie tylko przedmiotem jego opieki i troskliwości. Poczucie klęski pogłębiło się wokół niego. Przez całą drogę powrotną z Barn ba stał wobec faktu, że w mieście znajduje się tylko jeden człowiek, który jest w stanie pożyczyć mu – i chce mu pożyczyć – dwieście funtów, a jest to człowiek, od którego nie wolno mu pożyczać. Byłoby bezpieczniej przyjąć łapówkę od portugalskiego kapitana. Powoli, z bólem, postanowił wreszcie powiedzieć jej, że

pieniędzy po prostu nie da się znaleźć, że musi tu zostać w każdym razie sześć miesięcy, do czasu jego następnego urlopu. Gdyby się nie czuł taki zmęczony, powiedziała by jej to, kiedy go spytała, i teraz byłoby już po wszystkim, ale uchylił się, a ona była dobra dla niego i przyszłoby mu teraz trudniej niż kiedykolwiek rozczarować ją. W całym domku panowała cisza, tylko na dworze półdechłe psy poszczekiwały i skomlały. Nasłuchiwał. Opierał się na łokciu. Czuł się dziwnie niemęski, kiedy tak leżał samotnie w łóżku i czekał na Luizę. Zawsze ona pierwsza kładła się do łóżka. Czuł się nieswojo, niespokojnie i nagle przyszedł do niego sen: słucha pod drzwiami i stuka, i nie ma odpowiedzi. Wyrwał się spod siatki i zbiegł bosy na dół.

Luiza siedziała przy stole mając przed sobą blok papieru listowego i kopertę, ale napisała tylko początek adresu. Skrzydlate mrówki uderzały o lampę i rozsiewały skrzydełka po stole. Tam, gdzie światło dotykało jej głowy, dostrzegł siwe włosy.

– Co chcesz, kochanie?

– Było tak cicho – powiedział – myślałem, czy się coś nie stało. Miałem zły sen o tobie zeszłej nocy. Samobójstwo Pemberton wytrąciło mnie z równowagi.

– To niemądre, kochanie. Nic podobnego nie mogłoby się nam nigdy zdarzyć. Jesteśmy katolikami.

– Tak, naturalnie. Chciałem po prostu zobaczyć cię – rzekł kładąc rękę na jej włosach. Patrząc jej przez ramię przeczytał jedyne słowa, jakie napisała: WPani Halifax.

– Nie włożyłeś pantofli – rzekła. – Złapiesz jiggera.

– Chciałem cię tylko zobaczyć – powtórzył i pomyślał: „Czy te plamy na papierze to pot czy łzy?”

– Słuchaj, kochany – rzekła. – Nie potrzebujesz się już więcej martwić. Nudziłam cię. Wiesz, to jest jak febra, przychodzi i odchodzi. No, teraz odeszła... na jakiś czas. Wiem, że nie możesz zdobyć tych pieniędzy. To nie twoja wina. Żeby nie ta moja głupia operacja... No więc tak to wygląda, Henryku.

– Co to wszystko ma wspólnego z panią Halifax?

– Ona i jakaś druga pani miały dwuosobową kajutę na następnym statku i ta druga pani odpadła. Pani Halifax myślała, że mogłabym się wśliznąć na to miejsce, gdyby jej mąż pomówił o tym w biurze podróży.

– To mniej więcej za dwa tygodnie – rzekł.

Kochanie, daj spokój, już nie próbuj. Lepiej daj spokój. W każdym razie muszę jutro zawiadomić panią Halifax. 1 posyłam jej wiadomość, że nie pojedę.

Przemówił prędko – chciał słów nieodwołalnych:

– Napisz, że możesz jechać.

– Tiki – powiedziała – co przez to rozumiesz? – Jej twarz stwardniała. – Tiki, proszę cię, nie obiecuj czegoś, co się nie może stać. Wiem, że jesteś zmęczony i boisz się sceny. Ale nie będzie żadnej sceny. Nie mogę robić kłopotu pani Halifax.

– Nie zrobisz jej kłopotu. Wiem, gdzie mogę pożyczyć pieniądze.

– Czemu nie powiedziałeś mi tego, kiedy wróciłeś?

– Chciałem ci dać bilet. Niespodzianka.

Nie była tak uszczęśliwiona, jakby tego oczekiwał. Zawsze patrzyła trochę dalej, niż się spodziewał.

– I już więcej się nie martwisz? – spytała.

– Już więcej się nie martwię. Czy cieszysz się?

– O tak – rzekła zdziwionym, niepewnym głosem – cieszę się, kochanie.

Statek przybył w sobotę wieczór. Z okna sypialni mogli dostrzec jego długi, szary kształt,

przemykający obok zapory, poza palmami. Spoglądali nań ze ściśniętym sercem. Radość nie jest nigdy tak prawdziwie miłym gościem jak niezmiennosc; trzymając się za ręce widzieli, jak ich rozłaka rzuca kotwicę w zatoce.

– No więc – powiedział Scobie – to jutro po południu.

– Kochanie – rzekła – kiedy ten okres minie, będę znów dobra dla ciebie. Tylko już dłużej nie mogłam wytrzymać tego życia.

Usłyszeli na dole stukot. Ali, który też patrzył na morze, wynosił pudła i walizy. Zdawało się, że dom się wali wokół nich; sępy – drapiąc karbowaną blachę – poderwały się z dachu, jakby czuły drżenie ścian.

– Wybierz tu swoje rzeczy – powiedział Scobie – a ja zapakuję twoje książki.

Było tak, jakby przez te dwa tygodnie bawili się w niewierność, a teraz spadł na nich proces rozwodowy: rozdwojenie jednego życia, podział smutnych łupów.

– Czy mam ci zostawić tę fotografię. Tiki?

Rzucił szybkie, ukośne spojrzenie na twarz z dnia pierwszej komunii i rzekł:

– Nie. Weź ją.

– Zostawię ci to nasze zdjęcie z Bromleyami.

– Tak, zostaw to zdjęcie.

Patrzył przez chwilę, jak Luiza wyklada suknie, a potem zszedł na dół. Wyciągał książki jedną po drugiej i wycierał je szmatką: „Antologia Oxfordzka”, Virginia Woolf, młodszy poeci. Półki zostały niemal puste: jego książki zajmowały tak mało miejsca.

Następnego dnia poszli na wczesną mszę. Klękając razem przy balaskach zdawali się stwierdzać, że nie jest to rozłaka. Pomyślał: „Modliłem się o spokój i teraz go otrzymuję. To straszne, w jaki sposób bywa wysłuchana modlitwa. Ale sprawa musi być załatwiona; zapłaciłem za to dostatecznie wysoką cenę”. Kiedy szli z powrotem, zapytał niespokojnie:

– Czy cieszysz się?

– Tak, Tiki, a ty?

– Cieszę się, póki ty się cieszysz.

– Wszystko będzie dobrze, kiedy już wejdę, na statek i usadowię się. Myślę, że wypiję coś niecoś dziś wieczorem. Czemu kogoś nie przyjmiesz na mieszkanie, Tiki?

– Och, wolę być sam.

– Pisz do mnie co tydzień.

– Naturalnie.

– I słuchaj, Tiki, nie będziesz zaniedbywać mszy? Nie zapomnisz chodzić, kiedy mnie nie będzie?

– Naturalnie.

Wilson zjawił się na drodze: jego twarz lśniła od potu i zdenerwowania. Spytał: – Czy pani naprawdę wyjeżdża? Ali powiedział mi, że wsiada pani na statek dziś po południu.

– Odjeżdża – rzekł Scobie.

– Nigdy mi pani nie mówiła, że to już tak prędko.

– Zapomniałam – rzekła Luiza – było tyle do roboty.

– Nigdy nie myślałam, że pani naprawdę pojedzie. Nie byłbym się dowiedział, gdybym nie spotkał Halifaxa w biurze podróży.

– No cóż – powiedziała Luiza – pan i Henryk będziecie musieli doglądać się nawzajem.

– To nie do wiary – rzekł Wilson kopiąc zakurzoną drogę. Sterczał tak między nimi a domem nie ustępując, aby ich przepuścić. Powiedział: – Nie znam tu żywej duszy, tylko panią i naturalnie Harrisa.

– Musi pan zacząć robić znajomości – rzekła Luiza – A teraz proszę nam wybaczyć. Jest

tyle do roboty.

Obeszli go, bo się nie ruszył z miejsca. Scobie oglądając się posłał mu przyjacielski ruch ręki. Wilson wyglądał taki zagubiony, bezbronny i nie na miejscu na spękanej drodze.

– Biedny Wilson – rzekł Scobie. – Zdaje mi się, że jest w tobie zakochany.

– I jemu tak się zdaje.

– To dla niego dobrze, że odjeżdżasz. Tacy ludzie robią się nieznośni w tym klimacie. Zajmę się nim, gdy ciebie nie będzie.

– Tiki – odparła – na twoim miejscu nie widywałabym się z nim zbyt często. Nie dowierzałabym mu. On coś kręci.

– Jest młody i romantyczny.

– Jest zanadto romantyczny. Kłamie. Dlaczego mówi, że nie zna tu żywej duszy?

– Nie sądzę, żeby kogoś znał.

– Zna komisarza. Widziałam kiedyś, jak szedł tam, któregoś wieczoru, w porze kolacji.

– No, to tylko takie powiedzenie.

Żadne z nich nie miało ochoty na obiad; jednak kucharz, pragnąc okazać, że dorasta do sytuacji, sfabrykował olbrzymią ilość rizotta, która wypełniła michę na środku stołu. Wokół stały zbyt liczne półmiseczki z dodatkami: smażone banany, papryka, orzeszki ziemne, paw-paw, ćwiartki pomarańcz. Mieli wrażenie, że siedzą o kilometry od siebie, przedzieleni rozłogami półmisków. Jedzenie stygło im na talerzach i właściwie nie było o czym mówić; tylko: „nie jestem głodny”, „spróbuj choć trochę”, „nie mogę nic przełknąć”, „przed podróżą trzeba porządnie zjeść”, nie kończąca się przyjacielska zwada o jedzenie. Ali wchodził i wychodził usługując jak figurka na zegarze, która zapowiada bicie godzin. Obojgu wydawało się okropne, że będą zadowoleni, kiedy rozłóżka stanie się zupelna. Będą mogli, gdy skończy się to nędzne pożegnanie, wziąć się do nowego życia, które znowu wykluczy zmianę.

– Czy jesteś pewna, że zabrałaś wszystko? – Oto był drugi wariant, dzięki któremu mogli siedzieć nie jedząc, tylko od czasu do czasu skubiąc coś, co łatwo przełknąć: polegał na wyliczaniu wszystkiego, co można było zapamiętać.

– To szczęście, że jest tylko jedna sypialnia. Muszą pozwolić, żebyś miał cały dom dla siebie.

– Mogą mnie usunąć na rzecz jakiegoś małżeństwa.

– Będziesz pisał co tydzień?

– Naturalnie.

Upłynęło już dosyć dużo czasu, by mogli sobie wmówić, że zjedli obiad.

– Jeżeli już nie możesz jeść, to chyba cię odwozę. Sierżant zajął się tragarzami na przystani.

– Nie umieli już powiedzieć sobie nic, co by nie było konwencjonalne. Nierealność spowijała ich ruchy. Choć mogli dotknąć się wzajem, było tak, jakby leżała już między nimi linia wybrzeża całego kontynentu. Ich słowa brzmiały jak pompatyczne zdania w nieudolnym liście.

Ulgę stanowiło znaleźć się na statku i już nie sam na sam, we dwójkę. Halifax, z departamentu robót publicznych, tryskał sztuczną dobroduszością. Puszczając ryzykowne dowcipy i radził obu paniom, żeby piły dużo ginu. – To dobrze robi na jazdę do Rygi – mówił. – Pierwsza rzecz, z którą się ma kłopoty na okręcie, to jazda do Rygi. Dużo ginu na noc i za pół szylinga rano. – Obie panie objęły w posiadanie kajutę, stały lam w cieniu jak jaskiniowcy. Mówiły półgłosem, którego mężczyźni nie mogli pochwycić. Od tej chwili nie były żonami – były siostrami należącymi do odmiennej rasy.

– Już nas obu nie potrzebują, mój stary – rzekł Halifax. Już im będzie wygodnie. Wałę na brzeg.

– Idę z panem.

Wszystko było nierzeczywiste, ale zjawił się nagle rzeczywisty ból, chwila śmierci. Niby

więzień – nie wierzył w rozprawę. To tylko sen, Wyrok skazujący był snem i jazda samochodem, a teraz nagle stał tu, plecami do nagiej ściany, i wszystko okazało się prawdą. Trzeba było wziąć się w garść, by odważnie skończyć.

Poszli na koniec korytarza zostawiając kabinę Halifaxom.

– Do widzenia, kochanie.

– Do widzenia, Tiki, będziesz pisać co...

– Tak, kochanie.

– Wstrętny dezterter ze mnie.

– Nie, nie, to nie jest miejsce dla ciebie.

– Wszystko ułożyłoby się inaczej, żeby cię byli zrobili komisarzem.

– Przyjadę na urlop. Daj mi znać, jeśli przedtem zabraknie ci pieniędzy. Będę mógł to załatwić.

– Ty zawsze wszystko dla mnie załatwiałeś. Tiki, będziesz zadowolony, że nie masz już więcej scen.

– Głupstwa mówisz.

– Czy kochasz mnie, Tiki?

– Jak ty myślisz?

– Powiedz to; przyjemnie usłyszeć, nawet jeśli to nieprawda.

– Kocham cię, Luizy. Naturalnie, że to prawda.

– Jeśli nie będę mogła wytrzymać tam w samotności, Tiki, to wrócę.

Pocałowali się i wyszli na pokład. Z tego miejsca port był zawsze piękny. Cienka warstwa domów iskrzyła się w słońcu jak kwarc albo leżała w cieniu wielkich, zielonych, wydętych wzgórz.

– Będziesz dobrze eskortowana – powiedział Scobie; torpedowce i kontrtorpedowce warowały wokół jak psy, łopotały flagi sygnałowe i błyskało helio. Łodzie rybackie spoczywały bliżej wejścia do zatoki pod brązowymi, motylimi żaglami.

– Dbaj o siebie, Tiki.

Halifax pojawił się hałaśliwie za nimi.

– Kto jedzie na brzeg? Ma pan łódź policyjną, Scobie? Proszę pani, Maria siedzi w kabinie, wyciera łyzy i pudruje się dla pasażerów.

– Do widzenia, kochanie.

– Do widzenia.

To było rzeczywiste pożegnanie, uścisk dłoni na oczach Halifaxa i pasażerów z Anglii, którzy patrzyli ciekawie. Łódź odbiła i prawie natychmiast nie można już było odróżnić Luizy; pewno zeszła do kabiny, do pani Halifax. Sen się skończył; zmiana została dokonana. Życie znów się zaczęło.

– Nie cierpię tych pożegnań – powiedział Halifax. – Cieszę się, kiedy jest po wszystkim. Chyba wpadnę do hotelu i wypiję piwa. Pójdziemy razem?

– Niestety, muszę iść na służbę.

– Nie zawadziłyby miła czarna dziewczynka, która by o mnie dbała teraz, kiedy jestem sam – rzekł Halifax. – Jednakże pewność i zaufanie, chodząca stałość to ja. – Scobie wiedział, że istotnie tak jest. W cieniu brezentowej płachty stał Wilson patrząc ku zatoce. Scobie zatrzymał się. Wzruszyła go pulchna, smutna, chłopięca twarz.

– Szkoda, żeśmy pana nie widzieli – powiedział i skłamał nieszkodliwie: – Luiza przesyła serdeczności.

Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy wrócił. W pomieszczeniach kuchennych było ciemno. Ali

drzemał na progu domu, aż zbudziły go światła samochodu przesuwane się po jego uśpionej twarzy. Podskoczył i oświetlił latarką drogę z garażu.

– W porządku, Ali. Idź spać.

Wkroczył do pustego domu – dawno zapomniał głębokich brzmień ciszy. Ileż to razy wracał późno, kiedy Luiza już spała, ale wtedy cisza nie miała nigdy tych właśnie cech bezpieczeństwa i obronności: uszy jego nasłuchiwały – mimo że nie mogły tego pochwycić – słabego szemrania cudzego oddechu, lekkich poruszeń. Teraz nie było czego nasłuchiwać. Poszedł na górę i zajrzał do sypialni. Wszystko zostało uprzątnięte, nie było śladu odjazdu Luizy lub jej obecności; Ali usunął nawet fotografię i włożył ją do szuflady. Scobie był naprawdę sam. W łazience poruszył się szczur i raz zazgrzytał blaszany dach – spóźniony sęp sadowił się na noc.

Scobie usiadł w salonie i położył nogi na drugim krześle. Nie miał jeszcze ochoty iść do łóżka, ale czuł senność: dzień był nużący. Teraz, kiedy został sam, mógł sobie pozwolić na czyn zupełnie irracjonalny: mógł spać na krześle zamiast na łóżku. Smutek odrywał się od jego myśli; zostawała błogość. Spełnił swój obowiązek; Luiza się cieszyła, było jej dobrze. Zamknął oczy.

Zbudził go głos samochodu zjeżdżającego z drogi i światła przesuwane się po oknie. Wyobraził sobie, że to auto policyjne – tej nocy był oficerem dyżurnym – i pomyślał, że przyszedł jakiś pilny i zapewne niepotrzebny telegram. Otworzył drzwi i na progu spotkał Yusefa.

– Major wybaczy, przejeżdżając tędy zobaczyłem u pana światło i pomyślałem...

– Proszę, niech pan wejdzie – odparł Scobie. – Mam whisky; a może woli pan piwo?

Yusef zaskoczony powiedział: – To bardzo gościnnie ze strony pana majora.

– Jeśli znam kogoś dość dobrze na to, żeby pożyczyć od niego pieniądze, powinienem chyba być gościnny.

– Więc może piwo, panie majorze.

– Czy prorok tego nie zabrania?

– Prorok nie miał do czynienia z flaszkowym piwem ani whisky, panie majorze. Musimy interpretować jego słowa we współczesnym naświetleniu. – Patrzył, jak Scobie dobywa butelki z lodu. – Pan major nie ma lodówki elektrycznej?

– Nie. Moja lodówka czeka na jakąś drobną część zapasową; myślę, że poczeka tak do końca wojny.

– Nie mogę do tego dopuścić. Mam kilka zapasowych lodówek. Pan pozwoli, że panu jedną przyślę.

– Och, mogę doskonale obejść się bez tego. Obchodziłem się przez dwa lata. Więc pan tylko przejeżdżał tędy...

– No, niezupełnie, panie majorze. To tylko taki sposób mówienia. Właściwie to czekałem, póki nie byłem pewien, że pańscy boye śpią, i pożyczyłem samochód z jakiegoś garażu. Mój samochód jest tak dobrze znany. I nie wziąłem szofera. Nie chciałem majora wprawić w kłopot.

– Powtarzam, panie Yusef, że nigdy się nie zaprę znajomości z człowiekiem, od którego pożyczyłem pieniądze.

– Major ciągle o tym samym. To był przecież zwykły interes. Cztery od sta to przyzwoity procent. Żądam znacznie więcej tylko wtedy, kiedy powątpiewam w wypłacalność dłużnika. Chciałbym, żeby mi pan pozwolił przysłać sobie lodówkę elektryczną.

– W jakiej sprawie chciał się pan ze mną widzieć?

– Po pierwsze, panie majorze, chciałem się dowiedzieć o panią majorową. Czy dostała wygodną kabinę? Czy czegoś nie potrzebuje? Statek zawija do Lagos i mógłbym tam kazać posłać na pokład wszystko, czego by jej było trzeba. Zatelegrafowałbym do mego agenta.

– Mam wrażenie, że jest jej całkiem wygodnie.

– Następnie, panie majorze, chciałem pomówić z panem o diamentach.

Scobie włożył jeszcze dwie butelki piwa do lodu. Rzekł wolno i łagodnie:

– Panie Yusef, nie chcę, żeby pan myślał, że jestem takim człowiekiem, który jednego dnia pożycza pieniądze, a następnego dnia znieważa wierzyciela, by uspokoić swoje własne ego.

– Ego?

– Wszystko jedno. Szacunek dla samego siebie. Co pan woli. Nie mam zamiaru utrzymywać, że nie staliśmy się w pewnym sensie kolegami w tym interesie, ale moje obowiązki są ściśle ograniczone do wypłacania panu czterech procent.

– Zgadzam się, panie majorze. Już pan to wszystko mówił, a ja się zgadzam. Powtarzam znowu, że nigdy mi się nie śniło, żeby pana prosić o zrobienie czegokolwiek dla mnie. Wolałbym sam coś zrobić dla pana majora.

– Dziwny z pana jegomość. Myślę, że pan mnie lubi.

– Tak, naprawdę lubię pana, panie majorze.

Yusef siedział na brzegu krzesła, które wcinało się ostrym kantem w jego wielkie, rozłożyste uda; źle się czuł w każdym domu poza swoim własnym. – A teraz, czy mogę mówić o diamentach, panie majorze?

– No, wal pan.

– Pewno pan wie, że rząd ma bzika na punkcie diamentów. Marnują wasz czas i czas żandarmerii, rozsyłają po wybrzeżu specjalnych agentów. Mamy tu nawet jednego, wie pan, kogo, choć niby nikt nie ma o tym wiedzieć poza komisarzem. Ten agent wydaje pieniądze na każdego czarnego, na każdego biednego Syryjczyka, który mu opowie jakąś bajkę. Potem telegrafuje to, co usłyszał, do Anglii i po całym wybrzeżu. A z tym wszystkim – czy złapali choć jeden diament?

– To nie ma nic wspólnego z nami, panie Yusef.

– Chcę mówić do majora jako do przyjaciela. Są diamenty i diamenty, Syryjczycy i Syryjczycy. Wy śledzicie niewłaściwych ludzi. Chcecie zatrzymać diamenty przemysłowe, idące do Portugalii, a potem do Niemiec albo przez granicę do Francuzów Petaina; ale cały czas śledzicie ludzi, których nie interesują diamenty przemysłowe, którzy po prostu chcą mieć kilka brylantów w safesie na te czasy, kiedy znów będzie pokój.

– Innymi słowy, pana?

– Sześć razy w tym miesiącu policja była w moich składach i narobiła nieporządku. W ten sposób nie znajdują nigdy diamentów przemysłowych. Tylko ludzie mali się nimi interesują. Przecież za pudełko od zapalek wypełnione takimi diamentami można dostać ledwie dwieście funtów. Nazywam tych ludzi zbieraczami żwiru – dodał z pogardą.

– Scobie rzekł wolno: – Byłem pewien, panie Yusef, że pan prędzej czy później będzie chciał czegoś ode mnie. Ale nie dostanie pan nic więcej, tylko cztery procent. Jutro składam komisarzowi obszerny poufny meldunek o naszej transakcji. Naturalnie może zażądać mojej dymisji, ale nie przypuszczam tego. Ufa mi. – Ukłuło go jakieś wspomnienie. – Sądzę, że mi ufa.

– Czy to będzie mądrze, panie majorze?

– Myślę, że bardzo mądrze. Wszelkie sekrety między nami dwoma musiałyby się kiedyś zemścić.

– Jak pan major uważa. Ale nic nie chcę od pana, zaręczam. Chciałbym panu zawsze dawać. Nie przyjmie pan elektrycznej lodówki, ale myślałem, że pan przyjmie radę, informację.

– Słucham, panie Yusef.

– Tallit to człowiek mały. Jest chrześcijaninem. Ksiądz Rank i inni bywają u niego. Mówią: „Jeśli istnieje coś takiego jak uczciwy Syryjczyk, to jest nim Tallit”. Tallitowi nie najlepiej się

powodzi i wygląda to akurat tak samo jak uczciwość.

– Co dalej?

– Kuzyn Tallita płynie na następnym statku portugalskim. Jego bagaż naturalnie przeszukają – i nic nie znajdą. Będzie miał z sobą papugę w klatce. Moja rada, panie majorze: puścić kuzyna Tallita, a zatrzymać jego papugę.

– Czemu puszcząć kuzyna?

– Nie chce pan przecież zdradzić się przed Tallitem. Może pan łatwo powiedzieć, że papuga jest chora i musi zostać. Nie będzie śmiał robić awantury.

– To znaczy, że diamenty są w wolu papugi?

– Tak.

– Czy ten sposób był już używany na statkach portugalskich?

– Tak.

– Obawiam się, że będziemy musieli kupić ptaszarnię.

– Czy pan major będzie postępował według tej informacji?

– To właśnie pan mnie dostarcza informacji, panie Yusef, nie ja panu.

Yusef kiwnął głową potakująco i uśmiechnął się. Dźwigając się ostrożnie z krzesła dotknął prędko i wstydliwie rękawa Scobiego.

– Ma pan major zupełną rację. Niech mi pan wierzy, ja za nic nie chcę zrobić panu krzywdy. Będę ostrożny i niech pan będzie ostrożny, a wszystko dobrze się ułoży.

Było tak, jakby weszli w znowę, żeby nie robić krzywdy: nawet niewinność w rękach Yusefa przybierała barwę wątpliwą.

– Byłoby bezpieczniej, gdyby pan czasem powiedział dobre słowo Tallitowi. Agent bywa u niego – rzekł.

– Nie wiem o żadnym agencie.

– Ma pan major zupełną rację. – Yusef lawirował na granicy światła jak tłusta ćma. Powiedział: – Może gdyby pan kiedy pisał do pani majorowej, mógłby pan przesłać jej ode mnie wyrazy prawdziwej życzliwości. Ach, nie, listy są cenzurowane. Nie mógłby pan tego zrobić. Może mógłby pan powiedzieć – nie, lepiej nie. Z chwilą kiedy major wie o mojej życzliwości dla majora...

Potyając się na wąskiej ścieżce podążył do samochodu. Kiedy zapalił lampy, przycisnął twarz do szyby: ukazała się w świetle zegarów, szeroka, nalana, nieuczciwa, szczerza. Wstydlivy zarys pożegnalnego gestu spróbował przesłać Scobiemu, który stał samotnie na progu cichego, pustego domu.

Księga druga

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Stali na werandzie bungalowu komisarza okręgu w Pende i patrzyli na światło latarek, ruszające się po drugiej stronie szerokiej, biernej rzeki.

– Więc to jest Francja – rzekł Druce używając krajowej nazwy. Pani Perrot powiedziała: – Przed wojną jeździło się do Francji na pikniki.

Perrot wyłonił się z bungalowu ze szklankami w obu rękach i podszedł do nich: miał krzywe nogi, nosił buty moskitowe na spodniach, jak buty z cholewami, i robił wrażenie, jakby dopiero co zszedł z konia.

– To pańska szklanka, panie Scobie – powiedział. – Doprawdy, niełatwo mi przychodzi myśleć o Francuzach jako o nieprzyjaciółach, tek. Moja rodzina przybyła do Anglii wraz z hugonotami. To jednak robi różnicę, tek.

Jego chuda, długa żółta twarz, przecięta na pół nosem niby raną, była ciągle w aroganckiej defensywie: ważność Perrota stanowiła artykuł wiary Perrota; niedowiarkom groziło odtrącenie, prześladowanie, gdyby Perrot miał po temu okazję – wiara zaś będzie głoszona nieustannie.

Scobie powiedział: – Jeśliby się kiedy przyłączyli do Niemców, myślę, że to jeden z punktów, gdzie by atakowali.

– Czy ja o tym nie wiem? – rzekł Perrot. – Przenieśli mnie tu w roku 1939. Rząd dobrze zdawał sobie sprawę, co się będzie działo. Wszystko jest przygotowane, tek. Gdzie doktor?

– Pewnie poszedł dopatrzeć łóżek – powiedziała pani Perrot. – Musi pan Bogu dziękować za to, że pańska żona dojechała szczęśliwie, majorze. Ci biedni ludzie tam... Czterdzieści dni w łodziach. Człowiek jest wstrząśnięty, kiedy o tym pomyśli.

– To ten cholernie wąski kanał między Dakarem i Brazylią, zawsze się tam dzieją takie rzeczy – rzekł Perrot.

Doktor ponury wyszedł na werandę.

Po drugiej stronie rzeki było znowu całkiem ciemno i cicho; wszystkie latarki pogasły. Światło płonące na małym moło poniżej bungalowu wydobywało z mroku parę metrów czarnej, ślisko sunącej wody. Z ciemności wyłonił się kawałek drzewa i płynął tak wolno przez płamę światła, że Scobie policzył do dwudziestu, nim drzewo zanurzyło się znowu w ciemność.

– Francuzy nie najgorzej się spisały tym razem – powiedział posępnie Druce wyciągając ze szklanki moskita.

– Przywieźli tylko kobiety, starców i umierających – rzekł doktor szarpiąc brodę. – Trudno było zrobić mniej.

Nagle – jakby inwazja owadów – zaczęły bzyzczyć i buczeć głosy na tamtym brzegu. Grupy latarek jęły poruszać się tu i tam niby świecące muszki. Scobie podnosząc lornetkę uchwycił czarną twarz, oświetloną przelotnie, żerdź hamaka, białe ramię, plecy oficera.

– Zdaje mi się, że przyjechali – rzekł. Długa linia światła tańczyła nad brzegiem wody.

– Właściwie moglibyśmy wejść do środka – powiedziała pani Perrot. Moskity szumiły wokół nich nieustannie, jak maszyna do szycia. Druce krzyknął i uderzył się po rękę. – Chodźmy do środka – powtórzyła pani Perrot. – Wszystkie moskity tutaj są malaryczne. –

Siatka w oknach chroniła salon przed moskitami. Stęchłe powietrze było ciężkie od nadchodzących deszczów.

– Nosze przyjdą tu o szóstej rano – rzekł doktor. – Myślę, że już wszystko wiemy, panie Perrot. Jest jeden wypadek żółtej febry i kilka wypadków febry zwykłej, ale przeważnie to po prostu wyczerpanie – najgorsza choroba, ta, na którą w końcu umiera większość z nas.

– Scobie i ja zajmiemy się tymi, którzy mogą chodzić – rzekł Druce. – Pan doktor będzie musiał nam powiedzieć, jak długo można ich wypytywać. Przypuszczam, że pańscy policjanci, Perrot, dopilnują tragarzy. Niech pan uważa, żeby wszyscy wrócili tą samą drogą, którą tu przyjdą.

– Naturalnie – odparł Perrot – jesteśmy gotowi do czynu. Można dolać?

Pani Perrot przekręciła gałkę radia i poprzez trzy tysiące mil nadpłynęły ku nim organy kina Orfeum. Za rzeką wznosiły się i opadały podniecone głosy tragarzy. Ktoś zapukał do drzwi werandy. Scobie nieswojo poruszył się na krześle; muzyka organów Wurlitzera wzdymała się i jęczała. Miał wrażenie, że jest wyuzdana. Drzwi na werandę otworzyły się i wszedł Wilson.

– Halo, Wilson – rzekł Druce. – Nie wiedziałem, że pan tu jest.

– Pan Wilson przyjechał na inspekcję składu U AC – wyjaśniła pani Perrot. – Mam nadzieję, że dom gościnny przy składzie jest w porządku. Nieczęsto się go używa.

– Tak, jest bardzo wygodny – odparł Wilson. – O, pan major Scobie, nie spodziewałem się, że pana spotkam!

– Nie wiem, czemu się pan nie spodziewał – rzekł Perrot. – Mówiłem panu, że tu będzie. Niech pan siądzie i czegoś się napije. – Scobie przypomniał sobie, co mu Luiza powiedziała kiedyś o Wilsonie: „coś kręci”, tak go określiła. Spojrzał nań i dostrzegł znikający z jego chłopięcej twarzy rumieniec, wywołany zdemaskowaniem go przez Perrota; dostrzegł małe zmarszczki, które zbiegały się wokół oczu zadając kłam młodości Wilsona.

– Czy pan major miał już wiadomości od pani?

– Dojechała szczęśliwie w zeszłym tygodniu.

– Cieszę się. Bardzo się cieszę.

– No – rzekł Perrot – a jakież skandale w wielkim mieście? – Słowa „w wielkim mieście” dźwięczały drwiną, Perrot nie mógł znieść myśli, że istnieje miejsce, gdzie ludzie sądzą, że są ważni, i nie biorą go pod uwagę. Jak hugenot wyobrażający sobie Rzym, stworzył sobie obraz frywolności, nieprawości i zepsucia. – My, leśni ludzie – ciągnął ponuro – żyjemy bardzo spokojnie.

Scobiemu zrobiło się żal pani Perrot. Słyszała te zdania tak często. Musiała już dawno zapomnieć o czasach, kiedy się o nią starał i kiedy w nie wierzyła. Teraz siedziała tuż koło radia, które ściszyła, i słuchała – albo udawała, że słucha – starych wiedeńskich melodii, a jej usta zaciskały się z wysiłku, by zignorować męża w jego ulubionej roli.

– A cóż porabiają nasi przełożeni w mieście, kolego Scobie?

– Och – rzekł Scobie wymijająco, patrząc ze współczuciem na panią Perrot – właściwie niewiele się dzieje. Ludzie są zbyt zajęci wojną...

– Tak – odparł Perrot – tyle akt trzeba przewertować w Sekretariacie. Chciałbym ich tu zobaczyć przy uprawie ryżu. Przekonaliby się, co to znaczy praca.

– Myślę, że chyba największą sensacją – powiedział Wilson – była ostatnio papuga, prawda, panie majorze?

– Papuga Tallita? – spytał Scobie.

– Względnie Yusefa, jak twierdził Tallit – rzekł Wilson. – Tak było, panie majorze, czy może źle zrozumiałem całą tę historię?

– Nie sądzę, żebyśmy się kiedyś dowiedzieli, jak było naprawdę.

– Ale co to w ogóle za historia? Nie stykamy się tu z wielkim światem interesów. Mamy na głowie tylko Francuzów.

– No więc jakieś trzy tygodnie temu kuzyn Tallita odpływał do Lizbony na jednym ze statków portugalskich. Przeszukaliśmy jego bagaż i niceśmy nie znaleźli, ale doszły do mnie pogłoski, że diamenty bywają czasem szmuglowane w ptasim wolu, więc zatrzymałem papugę i rzeczywiście siedziało w niej diamentów przemysłowych za jakieś sto funtów. Statek jeszcze nie odpłynął, więc ściągnęliśmy kuzyna Tallita z powrotem na brzeg. Sprawa wydawała się oczywista.

– A nie była taka?

– Nie przechytysz Syryjczyka – rzekł doktor.

– Boy kuzyna Tallita przysiągł, że to nie jest papuga kuzyna Tallita, i tak samo, rzecz prosta, przysiągł kuzyn Tallita. Ich wersja wyglądała tak, że to mały boy podstawił innego ptaka, żeby skompromitować Tallita.

– Przypuszczam, że z polecenia Yusefa – rzekł doktor.

– Naturalnie. Kłopot z tym, że mały boy zniknął. Są oczywiście dwa możliwe wyjaśnienia: albo Yusef dał mu pieniądze i chłopak zwiął, albo też – co równie prawdopodobne – Tallit dał mu pieniądze, by zrzucić winę na Yusefa.

– Tutaj – rzekł Perrot – wsadziłbym obu do kryminału.

– Tam – odparł Scobie – musimy pamiętać o prawie.

Pani Perrot obróciła gałkę radia i jakiś głos wrzasnął z nieoczekiwaną mocą: – Daj mu w ucho.

– Idę do łóżka – odezwał się doktor. – Jutro będziemy mieli ciężki dzień.

Siedząc w łóżku pod moskitierą Scobie otworzył swój dziennik. Noc po nocy od niepamiętnych lat prowadził kronikę – jak najbardziej suchą kronikę swoich dni. Jeśli sprzeczano się z nim o jakąś datę, mógł ją sprawdzić; jeśli chciał wiedzieć, kiedy zaczęły się deszcze w którymś roku, kiedy przedostatni dyrektor robót publicznych został przeniesiony do Afryki Wschodniej – fakty były pod ręką, w jednym z tomów zmagazynowanych w blaszanym pudle pod jego łóżkiem, w domu. Poza tym nigdy nie otwierał żadnego tomu – szczególnie tego, który zawierał fakt ze wszystkich najbardziej suchy: „K. ‘umarła”. Nie umiałby wyjaśnić sobie, po co magazynuje tę kronikę – na pewno nie robił tego dla potomności. Nawet gdyby potomność zainteresowała się życiem nieznanego policjanta w niemodnej kolonii, nie dowiedziałaby się niczego z tych zagadkowych zapisków. Może powodem ich było to, że czterdzieści lat temu w szkole powszechnej dostał nagrodę – egzemplarz »Allana Quatermain« – za prowadzenie dziennika w ciągu wakacji i po prostu to przyzwyczajenie mu zostało. Nawet forma dziennika uległa bardzo niewielkim przeobrażeniom.

adłem kielbasę na śniadanie. Ładny dzień. Rano spacer. Po południu lekcja jazdy konnej. Na obiad kurczęta. Słodka strucla.

Luiza wyjechała. Y. był wieczorem. Pierwszy orkan 2 g. rano.

Jego pióro nie potrafiłoby dać wyobrażenia o ważności tego czy innego zapisku. Tylko on sam, gdyby się zatroszczył o ponowne jego przeczytanie, mógłby dostrzec w przedostatnim zdaniu olbrzymią wyrwę, jaką uczyniła w jego prawości. Y. – nie Yusef.

Zapisał:

5 maja. Przyjazd do Pende, by odebrać niedobitków z s.s. 43 (dla bezpieczeństwa użył nazwy

szyfrowej). Druce ze mną.

Wahał się przez chwilę i wreszcie dopisał: „Wilson tutaj”.

Zamknął dziennik i leżąc na wznak pod siatką zaczął się modlić. To także było przyzwyczajenie. Zmówił Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, a kiedy sen począł ciążyć mu na powiekach, dodał akt skruchy. Była to formalność – nie dlatego, że czuł się wolny od grzechu ciężkiego, ale ponieważ nigdy nie przyszło mu na myśl, żeby jego życie było dość ważne z tej czy innej racji. Nie pił, nie cudzołożył, nawet nie kłamał, ale nigdy nie uważał za cnotę tej nieobecności grzechu. Jeśli w ogóle o tym myślał, traktował siebie jako szeregowca – członka lada jakiego oddziału – który nie ma sposobności, by złamać poważniejsze przepisy wojskowe. „Opuściłem wczoraj mszę bez dostatecznego powodu. Zaniedbałem modlitwę wieczorną.” Było to jedynie przyznanie się do tego, co robi każdy żołnierz: że uniknął zmęczenia, kiedy się trafiła okazja. „O Boże, błogosław...” – ale nim zdążył wymienić imiona, zapadł w sen.

Nazajutrz rano stali na molo. Pierwsze światło leżało chłodnymi smugami na wschodnim nieboskłonie; lepianki we wsi były jeszcze powleczone srebrem. Tego rana o drugiej przyszedł orkan – wirujący słup czarnej chmury, który nadciągnął od wybrzeża – i powietrze było dotychczas zimne od deszczu. Stali z podniesionymi kołnierzami płaszczy patrząc na brzeg francuski; tragarze przykucnęli z tyłu na ziemi. Pani Perrot nadeszła ścieżką od bungalowu ścierając z oczu biały sen, a spoza wody dobiegło ledwo słyszalne beczenie kozy.

– Czy się spóźniają? – zapytała pani Perrot.

– Nie, to myśmy się pośpieszyli. – Scobie trzymał szkła skierowane na brzeg. – Ruszają się – powiedział.

– Nieszczęsne istoty – rzekła pani Perrot i wstrząsnęła nią dreszcz od rannego chłodu.

– Żyją – powiedział doktor.

– Tak.

– W moim zawodzie to właśnie trzeba uważać za ważne.

– Czy można kiedyś przyjść do siebie po takim wstrząsie? Czterdzieści dni w otwartych łodziach.

– Jeżeli człowiek w ogóle przeżyje – rzekł doktor – to przychodzi do siebie. Ludzie nie mogą przyjść do siebie po kłęsce, a to, widzi pani, jest swego rodzaju sukcesem.

– Wyciągają ich z lepianek – powiedział Scobie. – Zdaje mi się, że widzę sześć par noszy. Szykują łodzie.

– Powiedziano nam, żebyśmy byli przygotowani na dziewięciu chorych na noszach i czterech takich, którzy mogą chodzić – rzekł doktor. – Przypuszczam, że znowu kilka osób musiało umrzeć.

– Mogłem źle policzyć. Teraz ich już znoszą. Zdaje mi się, że jest siedem par noszy. Nie mogę odróżnić tych chodzących.

Płytkie, chłodne światło, zbyt słabe, by rozproszyć ranną mgłę, powiększało odległość – tamten brzeg wydawał się dalszy niż w południe. Z mgły wyłonił się czarny kształt krajowej dłubanki i znalazł się nagle tuż obok nich; łódź wiozła zapewne rozbitków, którzy byli w stanie chodzić. Przy tamtym brzegu były trudności z motorówką; słyszeli stąd nierówną zadyszkę motoru, jak oddech zgonionego zwierza.

Pierwszy spośród chodzących wyszedł na brzeg starszy mężczyzna z ręką na temblaku. Miał na głowie brudny biały kask, ramiona jego spowijała krajowa tkanina; wolną ręką szarpał białą szczecinę na twarzy. Odezwał się typowo szkockim akcentem:

– Jestem Loder, inżynier naczelny.
– Witamy, panie Loder – rzekł Scobie. – Może pan pozwoli do bungalowu; za parę minut przyjdzie do pana doktor.
– Nie trzeba mi doktorów.
– Niech pan tam usiądzie i odpocznie. Za chwilę przyjdę do pana.
– Chcę złożyć meldunek odpowiedniemu urzędnikowi.
– Proszę wziąć go do domu, panie Perrot.
– Jestem komisarzem okręgowym – powiedział Perrot. – Może pan mnie złożyć meldunek.
– Więc na co czekamy? – rzekł inżynier. – Już prawie dwa miesiące od zatopienia. Spadła na mnie szalona odpowiedzialność, bo kapitan umarł. – Kiedy szli pod górę do bungalowu, nad rzekę dobiegał uparty szkocki głos, regularny jak puls dynamy: – Jestem odpowiedzialny wobec właścicieli.

Pozostała trójka wyszła na brzeg, a za rzeką trwało naprawianie motorówki: ostre chrupnięcie, dźwięk metalu i znowu spazmatyczne sapanie motoru. Dwaj mężczyźni spośród nowo przybyłych byli zwykłym mięsem armatnim takich wypadków: starsi ludzie o wyglądzie monterów. Mogliby być braćmi, gdyby nie to, że nazywali się Forbes i Newall. Ludzie, którzy się nie skarżą i których nie bierze się pod uwagę; wypadki im się po prostu zdarzają. Jeden miał zmiażdżoną nogę i szedł o kuli; drugi owinął sobie rękę brudnymi strzępami tropikalnej bluzy. Stali na molo z tak naturalnym brakiem zainteresowania, jakby stali na rogu ulicy w Liverpoolu, czekając na otwarcie lokalu. Za nimi wyszła z łodzi krzepka siwowłosa kobieta w moskitowych butach.

– Nazwisko pani? – spytał Druce badając listę. – Pani Rolt?

– Nie jestem pani Rolt. Jestem panna Malcott.

– Pozwoli pani do domu. Doktor...

– Doktor musi się zająć o wiele cięższymi chorzy niż ja.

Pani Perrot powiedziała:

– Będzie pani przyjemnie wyciągnąć się.

– Ostatnia rzecz, jaką bym chciała zrobić – rzekła panna Malcott. – Nie jestem ani trochę zmęczona. – Zwierała usta między jednym a drugim zdaniem. – Nie jestem głodna. Nie jestem zdenerwowana. Chcę jechać.

– Dokąd?

– Do Lagos. Do wydziału oświaty.

– Boję się, że to się jeszcze odwlecze. Zwłoka...

– Miałam dwa miesiące zwłoki. Nie znoszę zwłoki. Praca nie czeka. – Nagle podniosła twarz ku niebu i zawyła jak pies.

Doktor ujął ją łagodnie za rękę i powiedział: – Zrobimy, co się da, żeby panią od razu wysłać. Niech pani pójdzie do domu i trochę potelefonuje.

– Świetnie – rzekła panna Malcott – nie ma takiej rzeczy, której by się nie dało załatwić przez telefon.

Doktor zwrócił się do Scobiego: – Proszę posłać tamtych dwóch gości za nami. Nic im nie jest. Jeśli chce pan trochę ich przepytac, niech pan to zrobi.

– Wezmę ich z sobą – powiedział Druce. – Niech pan tu zostanie, Scobie, na wypadek gdyby przyszła motorówka. Język francuski to nie moja specjalność.

Scobie usiadł na poręczy mola i spojrzał na tamtą stronę. Teraz, kiedy mgła się podnosiła, brzeg podszedł bliżej. Scobie rozróżniał gołym okiem szczegóły: białą składnicę, lepianki, lśniące w słońcu mosiężne części motorówki; dostrzegał czerwone fezy krajowego wojska. Pomyślał: „Akurat taka sama scena i mógłbym czekać na ukazanie się Luizy na noszach – albo

może nie czekać?” Ktoś usadowił się na poręczu obok niego, ale Scobie nie odwrócił głowy.

– O czym pan myśli, panie majorze?

– Myślę, panie Wilson, że Luiza jest bezpieczna.

– Ja też o tym myślę, panie majorze.

– Czemu mnie pan zawsze tak gęsto tytułuje? Przecież nie służy pan w policji. Czuję się od tego szacunku strasznie stary.

– Przepraszam pana bardzo.

– Jak Luiza mówiła do pana?

– Wilson. Zdaje się, że nie podobało jej się moje imię.

– Chyba udało im się nareszcie ruszyć tę motorówkę. Niech pan będzie tak dobry, panie Wilson, i zawiadomi doktora.

Francuski oficer w poplamionym białym mundurze stał na dziobie; żołnierz rzucił linę, Scobie chwycił ją i umocował. – Bonjour – rzekł i zasalutował.

Francuz oddał ukłon; była to wysuszona postać z tikiem w lewym oku. Powiedział po angielsku: Dzień dobry. Mam tu dla pana siedmiu ludzi na noszach.

– Zawiadomienie podaje dziewięciu.

– Jeden umarł w drodze, a jeden w tę noc. Jeden na czarną febrę, drugi na... na... źle mówię po angielsku; to się nazywa fatyga?

– Wyczerpanie.

– O, właśnie tak..

– Jeśli pan pozwoli moim tragarzom wejść na łódź, to wyniosą nosze. – Scobie rzekł do tragarzy: – Bardzo wolno. Nieście bardzo wolno.

Wskazówka nie była potrzebna: żaden biały pielęgniarz nie umiałby łagodniej dźwignąć i nieść noszy.

– Czy nie chciałby pan rozprostować nóg na brzegu – spytał Scobie – albo zająć do domu i wypić filiżankę kawy?

– Nie, dziękuję za kawę. Tylko skontroluję, czy wszystko będzie w porządku tutaj. – Był uprzejmy i nieprzystępny, ale przez cały czas jego lewa powieka sygnalizowała nieufność i rozterkę.

– Mam angielskie gazety, może by pan chciał je przejrzeć?

– Nie, nie, dziękuję. Czytam po angielsku z trudnością.

Mówi pan bardzo dobrze.

– To co innego.

– Zapali pan?

– Nie dziękuję. Nie lubię amerykańskiego tytoniu.

Pierwsze nosze znalazły się na brzegu – prześcieradło zakrywało leżącego aż pod brodę i nie sposób było, patrząc na drętwą, obojętną twarz, określić jego wiek. Doktor wyszedł naprzeciw i podprowadził tragarzy do rządowego domu gościnnego, gdzie przygotowano łóżka.

– Dawniej jeździłem na waszą stronę – powiedział Scobie – i polowaliśmy z waszym szefem policji. Bardzo miły człowiek, Durand, Normandczyk.

– Już go tu nie ma – rzeki oficer.

Pojechał do kraju?

– Jest w więzieniu w Dakarze – odparł Francuz. Stał na dziobie łodzi jak posąg – tylko oko mrugało i mrugało. Nosze powoli mijaly Scobiego, znalazły się na stoku wzgórza: chłopiec, który nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat, z twarzą rozgorączkowaną i ręką jak patyk, wysuniętą spod koca; starsza pani z rozrzuconymi na wszystkie strony siwymi włosami, która wiała się, kręciła i szeptała; mężczyzna ze spuchniętym nosem: szkarłatno-niebieski guz na

żółtawej twarzy. Jedne po drugich nosze sunęły po stoku – nogi tragarzy stąpały pewnie jak nogi mułów.

- A ksiądz Brule? – zapytał Scobie. – To był dobry człowiek.
- Umarł w tamten rok na czarną febrę.
- Był tutaj dwadzieścia lat bez urlopu, prawda? Trudno będzie go zastąpić.

– Nie jest zastąpiony – rzekł oficer. Odwrócił się i rzucił głośno jednemu ze swych ludzi krótki, gwałtowny rozkaz. Scobie spojrział na następne nosze i znów odwrócił wzrok. Leżała na nich mała dziewczynka – mogła mieć najwyżej sześć lat. Była pogrążona w głębokim niezdrowym śnie. Jasne włosy miała splątane i wilgotne od potu. Otwarte usta były suche i spękane. Dygotała regularnie i spazmatycznie.

- To straszne – powiedział Scobie.
- Co jest straszne?
- Takie dziecko.
- Tak. Oboje rodzice zginęli. Ale jest dobrze. Ona umrze.

Scobie patrzył, jak niosący idą wolno pod górę; ich bose stopy plaskały miękko po ziemi.

„Trzeba by całej bystrości księdza Brule – myślał – żeby to wszystko wytłumaczyć. Nie to, że dziecko umrze – to nie wymaga wyjaśnienia. Nawet poganie zdają sobie sprawę, że miłość Boża może oznaczać wczesną śmierć, choć powód, jaki temu przypisują, jest odmienny; ale że dziecku dane było przeżyć czterdzieści dni i nocy w otwartej łodzi, oto tajemnica. Jak to pogodzić z Bożą miłością?”

A jednak nie mógłby wierzyć w Boga, który by nie był dość ludzki, by ukochać to, co stworzył. – Jakże wyżyła aż do tej chwili? – pomyślał głośno.

Oficer odparł posępnie:

– Oczywiście doglądali jej w łodzi. Często oddali swoją porcję wody. To było szaleństwo naturalnie, ale nie można zawsze być logicznym. I zresztą mieli o czym myśleć. – Był to jakby cień wyjaśnienia, zbyt słaby, aby go uchwycić. Oficer dodał: – Oto jeszcze jedna, która człowieka złości.

Twarz jej zeszpeciło wyczerpanie; skóra wyglądała, jakby miała pęknąć na kościach policzkowych. Tylko brak zmarszczek ujawniał, że twarz jest młoda.

Francuz powiedział: – Była akurat po ślubie, nim wypłynęła. Jej mąż zginął. Paszport mówi, że ma dziewiętnaście lat. Może będzie żyć. Widzi pan, ma jeszcze trochę siły. – Jej ramiona, cienkie jak ramiona dziecka, leżały na kocu, a palce ścisnęły mocno jakąś książkę. Scobie zauważył obrączkę, tkwiącą luźno na wyschniętym palcu.

– Co to takiego?

– Timbres – rzekł oficer. Dodał z goryczą: – Kiedy zaczęła się ta przeklęta wojna, na pewno była jeszcze w szkole.

Scobie na zawsze zapamiętał, jak została wniesiona w jego życie na noszach, z zaciśniętymi oczami, trzymając mocno album znaczków pocztowych.

Wieczorem zebrali się znowu przy trunkach, ale byli zgaszeni; nawet Perrot już im nie próbował imponować. Druce powiedział:

- No, jutro odjeżdżam. Jedzie pan ze mną, Scobie?
- Chyba tak.

Pani Perrot spytała: – Dowiedział się pan wszystkiego, co pan chciał?

– Wszystkiego, co trzeba. Ten naczelnny inżynier to porządny chłop. Miał wszystko gotowe w głowie. Ledwo mogłem nadążyć z pisaniem. Kiedy skończył, od razu klapnął. To właśnie go trzymało – „moja odpowiedzialność”. Wiecie, że ci, którzy mogli iść, szli pięć dni żeby tu się

dostać.

Wilson zapytał: – Czy płynęli bez eskorty?

– Ruszyli w konwoju, ale mieli jakieś kłopoty z maszynami, a znacie państwo dzisiejsze przepisy ruchu: nie czeka się na kulawych. Zostali o dwanaście godzin w tyle za konwojem i starali się nadrobić je, kiedy ich trafiono. Komendant łodzi podwodnej wynurzył się i podał im kierunek. Powiedział, że wzięłby ich na hol, ale szukał go jakiś patrol marynarki. Widzicie, nie można doprawdy winić nikogo za tego rodzaju sprawy – i tego rodzaju sprawy stanęły natychmiast przed oczami Scobiego: dziecko z otwartymi ustami, cienkie ręce trzymające album. Odezwał się: – Myślę, że doktor zajrzy tu, gdy złapie wolną chwilę?

Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wszedł na werandę, zamykając starannie drzwi opatrzone siatką; natychmiast moskit zahuczał mu koło ucha. Brzęczenie trwało bez przerwy, ale kiedy leciały do ataku, miały ton głębszy, jak nurkowce. Widać było światła w prowizorycznym szpitalu; ciężar tej całej nędzy leżał na jego ramionach. Jakby się pozbył jednej odpowiedzialności tylko po to, by podjąć inną. Odpowiedzialność tę dzielił ze wszystkimi ludźmi, ale to nie dawało pociechy, bo miał czasem wrażenie, że tylko on to przyznaje. W Miastach Lamentu jedna dusza mogła była zmienić zamysł Boga.

Na stopnie werandy wszedł doktor.

– Halo, Scobie – powiedział głosem równie znużonym jak jego pochyłe ramiona – wszedł pan łyknąć trochę nocnego powietrza? To niezdrowo w tej miejscowości.

– Jak się mają? – zapytał Scobie.

– Myślę, że będą jeszcze tylko dwa wypadki śmiertelne. Może tylko jeden.

– Dziewczynka?

– Umrze do rana – rzekł doktor porywczo.

– Czy jest przytomna?

– Niezupełnie. Czasem wzywa ojca: pewnie myśli, że wciąż jeszcze jest w łodzi. Tam ukrywali to przed nią, mówili, że rodzice są w innej łodzi. Ale naturalnie porozumieli się z tamtymi i wiedzieli, jak jest naprawdę.

– Czy nie mogłaby pana wziąć za swego ojca?

– Nie, nie zgadza się na brodę.

Scobie zapytał: – A jak się ma nauczycielka?

– Panna Malcott? Stanie na nogi. Dałem jej dość bromu na to, żeby ją unieruchomić do rana. Tylko tego jej trzeba, i jeszcze poczucia, że dokądś jedzie. Czy nie miałby pan miejsca w samochodzie? Lepiej dla niej będzie wydostać się stąd.

– Jest ledwo miejsce na Druce'a i na mnie, z naszymi boyami i bagażem. Poślemy odpowiednie środki transportu, gdy tylko wrócimy. A z tymi, którzy mogą chodzić, czy już dobrze?

– Tak, dadzą sobie radę.

– Chłopiec i ta starsza pani?

– Przetzymają.

– Co to za chłopiec?

– Był w szkole powszechnej w Anglii. Jego rodzice w Afryce Południowej uważali, że tam będzie bezpieczniejszy.

Scobie zapytał z trudem: – A ta młoda kobieta z albumem znaczków? – Prześladowało go wspomnienie albumu, a nie twarzy – bez żadnego zrozumiałego dlań powodu; i obrączka luźno wsunięta na palec – jakby się dziecko przebrało.

– Nie wiem – odparł doktor – jeśli przetrzyma tę noc...

– Jest pan śmiertelnie zmęczony, prawda? Niech pan wejdzie napić się czegoś.

– Tak. I nie chcę, żeby mnie zjadły moskity.

Doktor otworzył drzwi werandy, a moskit uciął Scobiego w szyję. Nie zatroszczył się o obronę. Powoli, wahając się, ruszył w kierunku, skąd przyszedł doktor, po stopniach na twardą, skalistą ziemię. Kamyki obracały się pod jego butami. Pomyślał o Pembertonie. Jakże głupią rzeczą jest spodziewać się szczęścia na świecie tak pełnym nędzy. Zredukował własne potrzeby do minimum: fotografie odłożone do szuflad, umarli usunięci z pamięci; za całą ozdobę pasek do ostrzenia brzytwy, para zardzewiałych kajdanków. „Ale ma się jeszcze oczy – myślał – ma się uszy. Pokaż mi człowieka szczęśliwego, a ja ci wskażę egoizm, samolubstwo, zło albo też całkowitą ignorancję.” Przed domem gościnnym znów się zatrzymał. Światła wewnątrz domu sprawiałyby wrażenie niezwykłego spokoju – gdyby się nic nie wiedziało; tak samo jak gwiazdy w tej jasnej nocy dawały uczucie oddalenia, bezpieczeństwa, wolności. „Jeśliby znać fakty – dumiał Scobie – czy trzeba by mieć litość nawet dla planet? Gdyby dojść do serca rzeczy, osiągnąć tego, o czyni mówi się zwyczajnie: sedno sprawy?”

– No cóż, majorze? – To zwracała się doń żona tutejszego misjonarza. Ubrana była biało jak pielęgniarka, a jej szpakowate włosy szczesane były od czoła w takie pasma, jakby podlegały erozji spowodowanej przez prądy powietrzne. – Czy przyszedł pan, żeby tu zajrzeć? – spytała tonem zakazu.

– Tak – odparł. Żadna inna odpowiedź nie przyszła mu do głowy. Nie mógł opisywać pani Bowles niepokoju, prześladowających go obrazów, okropnego, bezsilnego uczucia odpowiedzialności i litości.

– Niech pan wejdzie – rzekła pani Bowles; poszedł za nią posłusznie jak chłopiec. W domu gościnnym były trzy pokoje. W pierwszym umieszczono tych, którzy mogli chodzić; po wielkiej porcji środków nasennych spali spokojnie, jakby po zdrowym ćwiczeniu. W drugim pokoju leżeli ludzie z noszy, co do których można było mieć nadzieję; trzeci pokój był mały i mieściły się w nim tylko dwa łóżka, przedzielone parawanem: sześciolatnia dziewczynka z wyschniętymi ustami i młoda kobieta, nieprzytomna, leżąca na wznak, nadal ściskająca album ze znaczkami. Nocna lampka paliła się na spodku i rzucała wątłe cienie pomiędzy łóżka. – Jeśli chce pan się przydać – rzekła pani Bowles – niech pan tu chwilę zostanie. Chcę pójść do laboratorium.

– Do laboratorium?

– W domu kucharza. Trzeba sobie radzić, jak się da.

Scobiemu zrobiło się zimno i nieswojo. Dreszcz wstrząsnął jego ramionami. Powiedział: – Czy nie mógłbym pójść zamiast pani?

Pani Bowles rzekła: – Niechże pan nie mówi głupstw. Czy potrafi pan zrobić lekarstwo? Będę tam tylko parę minut. Gdyby dziecko zaczęło gasnąć, proszę mnie zawołać. – Jeśli mu była zostawiła czas, znalazłby jakąś wymówkę, ale pani Bowles już wyszła, więc usiadł ciężko na jedynym krześle. Kiedy popatrzył na dziecko, zobaczył na jego głowie biały welon od pierwszej komunii; była to gra światła na poduszce i gra jego własnych myśli. Ukrył twarz w dłoniach; nie spojrzy. Był w Afryce, kiedy umarło jego dziecko. Zawsze dziękował Bogu, że go to ominęło. Ale ostatecznie nic nas chyba naprawdę nie omija. Żeby być człowiekiem, trzeba wypić kielich. Jeśli za pierwszym razem ma się szczęście, a stchórzy się za drugim razem, to kielich będzie podany po raz trzeci, przy innej sposobności. Modlił się milcząco, z twarzą w dłoniach: – O Boże, nie pozwól, by się coś stało, nim wróci pani Bowles. – Słyszał ciężki, nierówny oddech dziewczynki. Jakby z wielkim wysiłkiem niosła ciężar pod wysoką górę; było rzeczą nieludzką – nie móc nieść tego ciężaru zamiast niej. „Oto co czują rodzice, rok po roku, a ja się boję tych kilku minut. Widzą, jak ich dziecko powoli umiera z każdą godziną życia.” Znów zaczął się modlić. – Ojcze, opiekuj się nią. Ześlij jej pokój. – Oddech ustał, zadławił się, wrócił znowu z okropnym wysiłkiem. Patrząc między palcami widział sześciolatkę twarzyczkę,

wykrzywioną jak twarz robociarza przy pracy.

– Ojcie – modlił się – ześlij jej pokój. Zabierz na zawsze mój pokój, ale jej ześlij pokój. – Pot wystąpił mu na rękach. – Ojcie...

Usłyszał, jak chrypiący głosik powtórzył: – Ojcie – i kiedy spojrzął, zobaczył wpatrzony w siebie niebieskie przekrwione oczy. Pomyślał ze zgrozą: „Oto jest, a myślałem, że mnie to ominęło”. Byłby zawołał panią Bowles, ale nie stało mu głosu. Widział pierś dziecka łapiącą z trudem powietrze, by powtórzyć ciężkie słowo; podszedł do łóżka i powiedział:

– Co, kochanie? Nie mów nic, jestem tutaj. – Nocna lampka rzuciła cień jego zaciśniętej pięści na prześcieradło i dziecko to zauważyło. Skrzywiło się od wysiłku, żeby się zaśmiać; odsunął rękę. – Śpij, kochanie – powiedział. – Jesteś senna. Śpij. – Wróciło wspomnienie, które starannie pochował; wyciągnął chustkę i na poduszkę koło dziecka rzucił cień głowy królika. – Masz tu królika – powiedział – będzie z tobą spać. Poczekaj, aż zaśniesz. Śpij. – Pot spływał mu po twarzy, czuł w ustach jego smak słony jak łzy. – Śpij. – Ruszał uszami królika w górę i w dół, w górę i w dół. Aż usłyszał przyciszony głos pani Bowles tuż za sobą.

– Niech pan przestanie – powiedziała szorstko – dziecko umarło.

Rano oznajmił doktorowi, że zostanie, póki nic nadejdą odpowiednie środki transportu; panna Malcott może zająć miejsce w samochodzie policyjnym. Było lepiej dać jej sposobność do wyjazdu, bo śmierć dziecka znów wytrąciła ją z równowagi, a wcale nie było pewne, czy nie nastąpi więcej wypadków śmiertelnych. Pochowali dziecko następnego dnia używając jedynej trumny, jaką udało się dostać; była przeznaczona dla wysokiego mężczyzny. W tym klimacie zwłoka byłaby nierozsądna. Scobie nie wziął udziału w ceremonii pogrzebu – modlitwy odczytał pan Bowles – ale obecni byli Perrotowie, Wilson i kilku woźnych sądowych; doktor zajęty był w domu gościnnym. Scobie przeszedł się szybko po polach ryżowych, porozmawiał z inspektorem rolnym o nawodnieniu; trzymał się z daleka. Później, kiedy wyczerpał możliwości nawodnienia, poszedł do składu, usiadł w mroku między puszkami – marmolada w puszkach, zupy w puszkach, masło w puszkach, mleko w puszkach, biszkopty w puszkach, ziemniaki w puszkach, czekolada w puszkach – i czekał na Wilsona. Ale Wilson nie przyszedł; może pogrzeb to było za wiele dla nich wszystkich i poszli do bungalowu komisarza okręgu, żeby się czegoś napić. Scobie zszedł na molo i patrzył, jak łodzie żaglowe suną ku morzu. Raz przyłapał się na tym, że mówił głośno, jakby do kogoś obok siebie: – Czemu nie pozwoliłeś jej utonąć? – Któryś z woźnych spojrzął nań pytająco, więc się oddalił.

Pani Bowles wyszła łyknąć powietrza przed dom gościnny; dosłownie łykała je w dawkach jak lekarstwo. Usta jej otwierały się i zamykały; wdech, wydech. Powiedziała sztywno:

– Dobry wieczór – i wzięła następną dawkę. – Nie był pan na pogrzebie?

– Nie.

– Mój mąż i ja rzadko możemy wspólnie brać udział w jakimś pogrzebie. Chyba tylko wtedy, kiedy mam urlop.

– Czy zanoszą się na więcej pogrzebów?

– Sądzę, że jeszcze jeden. Reszta przyjdzie do siebie po jakimś czasie.

– Które z nich umiera?

– Starsza pani. Pogorszyło się jej zeszłej nocy. A już miała się całkiem dobrze.

Poczuł bezlitosną ulgę. Powiedział:

– Czy chłopiec w porządku?

– Tak.

– A pani Rolt?

– Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, ale myślę, że jakoś to będzie. Jest już przytomna.

- Czy wie, że jej mąż nie żyje?
- Tak. – Pani Bowles zaczęła wymachiwać rękami w bok, w górę i w dół. Następnie stanęła sześć razy na palcach.
- Chciałbym się jakoś przydać – rzeki Scobie.
- Czy umie pan czytać na głos? – spytała pani Bowles stając na palcach.
- Chyba tak. Tak.
- Może pan poczytać chłopcu. Zaczyna się nudzić, a nuda mu zaszkodzi.
- Gdzie mógłbym znaleźć książkę?
- Jest ich mnóstwo na misji. Pełne półki.

Wszystko było lepsze od nieróbstwa. Poszedł do misji i znalazł, jak powiedziała pani Bowles, mnóstwo książek. Nie miał wiele do czynienia z książkami, ale nawet w jego oczach nie był to szczególnie efektowny zbiór, zwłaszcza jeżeli chodziło o czytanie choremu chłopcu. Zapleśniałe późnowiktoriańskie okładki nosiły tytuły takie jak „Dwadzieścia lat na niwie pracy misyjnej”, „Odnaleziona zguba”, „Wąska ścieżka”, „Przestroga dla misjonarzy”. Najwyraźniej wystosowano ongiś apel o książki dla czytelnicy misyjnej i oto były wybiórki z wielu zubożonych półek z kraju. „Wiersze Jana Oxenhama”, „Poławiacze ludzi”. Wziął z półki jakąś książkę na chybił-trafił i wrócił do domu gościnnego. Pani Bowles przyrządzała lekarstwa w laboratorium.

- Znalazł pan coś?
- Tak.
- Nie ma obawy z tymi książkami – rzekła pani Bowles. – Są cenzurowane przez komitet, zanim tu przyjdą. Czasem ludzie próbują posyłać niestosowne książki. Nie uczymy tu dzieci czytania, żeby mogły czytać... no, dajmy na to... powieści.
- Tak, pewnie, że nie.
- Proszę pokazać, co pan wybrał.
- Spojrzał sam po raz pierwszy na tytuł: „Jeden z naszych biskupów wśród dzikich Bantu”.
- To powinno być ciekawe – rzekła pani Bowles. Przytaknął z powątpiewaniem.
- Wie pan, gdzie chłopca znaleźć. Może mu pan poczytać przez kwadrans, nie dłużej.

Starsza pani została przeniesiona do ostatniego pokoju, w którym umarło dziecko, mężczyznę ze spuchniętym nosem umieszczono w pokoju, który pani Bowles nazywała teraz oddziałem rekonwalescentów, tak że pokój środkowy został oddany chłopcu i pani Rolt. Pani Rolt leżała twarzą do ściany, z zamkniętymi oczami. Widocznie udało się wyjąć album z jej uścisku; położono go na krzesło obok łóżka. Chłopiec patrzył na Scobiego błyszczącym, inteligentnym wzrokiem, jaki wywołuje gorączka.

- Nazywam się Scobie. A ty?
- Fisher.
- Scobie rzekł nerwowo: – Pani Bowles prosiła, żebym ci poczytał.
- Kim pan jest? Żołnierzem?
- Nie, policjantem.
- Czy to jest książka kryminalna?
- Nie, nie zdaje mi się.

Otworzył książkę na pierwszej lepszej stronie i trafił na fotografię biskupa siedzącego w swych szatach na krzesle przed kościółkiem krytym blachą; otaczali go Murzyni Bantu, szczerzący zęby do obiektywu.

- Chciałbym książkę kryminalną. Czy pan kiedy tropił morderstwo?
- Nie, nie takie prawdziwe morderstwo, jakie masz na myśli, z poszlakami i pościgiem.
- A jakie?

– No. czasem się ludzie zabijają w bójce. – Mówił cicho, żeby nie przeszkadzać pani Rolt. Leżała z pięścią zaciśniętą na prześcieradle, pięścią niewiele większą od piłki tenisowej.

– Jak się nazywa ta książka, którą pan przyniósł? Może już ją czytałem. Na statku czytałem „Wyspę Skarbów”. Lubię książki o piratach. A ta jaki ma tytuł?

Scobie rzekł z wahaniem: – „Jeden z naszych biskupów wśród dzikich Bantu”.

– Co to znaczy?

– Widzisz, biskup to nazwisko bohatera.

– Ale pan powiedział: „jeden z naszych biskupów”.

– Tak. Nazywał się Artur.

– To jakieś ślamazarne imię.

– Tak, ale to taki ślamazarny bohater.

Nagle, unikając wzroku chłopca, zauważył, że pani Rolt nie śpi: wpatrywała się w ścianę i słuchała. Mówił dalej:

– Prawdziwi bohaterowie to dzicy Bantu.

– Kto to jest: dzicy Bantu?

– To taka straszliwa banda piratów, którzy byli postrachem Antyli i napadali na wszystkie statki w tej części Atlantyku.

– Czy Artur Biskup z nimi walczy?

– Tak. To jest także książka trochę detektywistyczna, bo on jest tajnym agentem rządu brytyjskiego. Przebiera się za zwykłego marynarza i płynie na statku kupieckim, żeby go ci Banlowie mogli wziąć do niewoli. Wiesz, że zwykłym marynarzom dają zawsze możliwość przyłączenia się do ich bandy. Gdyby był oficerem, to by go w każdym razie posłali na deskę. No i wtedy dowiaduje się o wszystkich tajnych hasłach i kryjówkach i naturalnie o planach napadów, tak żeby móc ich zdradzić, kiedy nadejdzie pora.

– Wygląda mi coś na świnię – powiedział chłopiec.

– Tak, i zakochuje się w córce kapitana Bantów, i wtedy robi się ślamazarny. Ale to dopiero pod koniec, tak daleko nie dojedziemy. Przedtem jest mnóstwo walk i morderstw.

– To wygląda nieźle. Zaczynamy.

– Ale widzisz, pani Bowles powiedziała mi, że mam dziś zostać krótko, więc tylko opowiedziałem ci o książce, a jutro możemy zacząć czytać.

– Może jutro pana tu nie będzie. Może będzie morderstwo albo coś.

– Ale książka zostanie. Oddam ją pani Bowles. To jej książka. Jak ona będzie czytać, to naturalnie może wypaść trochę inaczej.

– Niech pan tylko zacznie – błagał chłopiec.

– Tak, niech pan zacznie – odezwał się z drugiego łóżka głos cichy, tak cichy, że wzięłyby go za złudzenie, gdyby nie był spojrzął i zobaczył, że patrzą na niego oczy duże jak oczy dziecka, w zamrożonej głodem twarzy.

– Bardzo źle czytam na głos – powiedział.

– Dalej – rzekł chłopiec niecierpliwie. – Byle kto potrafi czytać na głos.

Scobie stwierdził, że ma oczy utkwione w początkowym fragmencie, który oznajmiał:

Nigdy nie zapomnę pierwszego widoku ziemi, na której miałem przepracować trzydzieści najpiękniejszych lat życia.

Czytał wolno: – „Od chwili, kiedy opuścili Bermudy, zwinna szkuna o łotrowskim wyglądzie płynęła ich śladem. Kapitan był wyraźnie zaniepokojony, bo ciągle przyglądał się tajemniczemu okrętowi przez lunetę. Kiedy noc zapadła, znajdował się on nadal na ich tropie, a o świcie znów

go zauważyli. Czy to możliwe, myślał Artur Biskup, że już wkrótce spotkam tego, kogo szukam, samego Brodacza, przywódcę Bantów, albo jego krwiożerczego porucznika?”

Odwrócił stronę; na chwilę zbiła go z tropu podobizna biskupa w białym stroju do cricketa, w koloratce i w hełmie tropikalnym, stojącego przy półmetku i chwytającego piłkę, którą mu posłał Murzyn.

– Dalej – rzekł chłopiec.

– „...wściekłego Cricka, nazwanego tak z powodu nieprzytomnych ataków furii, kiedy to potrafił całą załogę posłać na deskę. Było oczywiste, że kapitan Butler spodziewa się najgorszego, bo rozwinął wszystkie żagle, i zdawało się przez chwilę, że umknie sprzed nosa tajemniczemu okrętowi. Nagle nad wodą huknął strzał i pocisk armatni uderzył w wodę dwadzieścia metrów przed nimi. Kapitan Buller podniósł do oczu lunetę i zawołał z mostka do Artura Biskupa: Na Boga, widzę czarną banderę! On jeden z całej załogi znał tajemnicę dziwnych podróży Artura.”

Do pokoju weszła szybko pani Bowles.

– No, to wystarczy. Całkiem dosyć na dzisiaj. A co ci czytał, Jimmy?

– „Biskup wśród dzikich Bantu”.

– Mam nadzieję, że ci się podobało.

– Morowe.

– Jesteś bardzo rozsądnym chłopcem – rzekła z uznaniem pani Bowles.

– Dziękuję panu – odezwał się głos z drugiego łóżka i Scobie znów obrócił się niechętnie, by ujrzeć młodą, wyniszczoną twarz. – Czy pan jutro znów poczyta?

– Heleno, nie nudź majora – zgromiła ją pani Bowles. – Musi wracać do portu. Wymordują się tam wszyscy, jak go nie będzie.

– Pan jest policjantem?

– Tak.

– Znałam jednego policjanta w naszym mieście... – głos zagubił się we śnie. Stał minutę patrząc na jej twarz. Niby karty kabalarki ukazywała nieomylnie przeszłość – podróż, stratę, chorobę. W następnym rozdaniu może dałoby się przewidzieć przyszłość. Wziął album ze znaczkami i otworzył go na stronie tytułowej. Było tam napisane: „Helenie na czternaste urodziny od kochającego ojca”. Potem album otworzył się na Paragwaju, pełnym ozdobnych papuzek – ten rodzaj znaczków z obrazkami, jakie zbierają dzieci.

– Trzeba będzie poszukać dla niej jakichś nowych znaczków – rzekł ze smutkiem.

Wilson czekał na niego przed domem. Powiedział:

– Szukam pana wciąż od czasu pogrzebu.

– Robiłem dobre uczynki – rzekł Scobie.

– Jak się ma pani Rolt?

– Myślę, że to przetrzyma, i chłopiec także.

– Ach tak, chłopiec – Wilson kopnął kamyk na ścieżce i powiedział: – Chciałbym prosić pana o radę, majorze. Mam kłopot.

– Słucham...

– Wie pan, że przyjechałem tu skontrolować nasze składy. No i wykryłem, że nasz kierownik kupował artykuły wojskowe. Jest mnóstwo konserw, które nigdy nie przyszły od naszych eksporterów.

– Odpowiedź jest chyba dość prosta – wyrzucić go!

– Może szkoda wyrzucać małego złodzieja, jeśli by mógł zaprowadzić do wielkiego złodzieja, ale to naturalnie pańska sprawa. Dlatego chciałem z panem pomówić. – Wilson przerwał i na

twarz jego wybiegł ów przedziwny, zdradziecki rumieniec. Powiedział: – Widzi pan, dostał te artykuły od kogoś, kto pracuje u Yusefa.

– To bym umiał zgadnąć.

– Umiałby pan?

– Tak, ale – rozumie pan – pracownik Yusefa to nie to samo, co Yusef. Yusefowi łatwo wyprzeć się wiejskiego sprzedawcy. Zresztą kto wie, czy mimo wszystko Yusef nie jest niewinny. To mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Może tego dowodzić pańska sprawa. Ostatecznie sam się pan dowiedział dopiero przed chwilą o tym, co robił pański sprzedawca.

– A gdyby istniały oczywiste dowody, czy policja wszczęłaby śledztwo?

Scobie stanął jak wryty. – Cóż to znowu?

Wilson zarumienił się; coś bąknął, a potem powiedział ze zjadliwością, która Scobiego zupełnie zaskoczyła:

– Chodzą pogłoski, że Yusef ma protekcję.

– Jest pan tu już dość dawno, by wiedzieć, co warte są pogłoski.

– Ale krążą po całym mieście.

– Szerzone przez Taili la albo przez samego Yusefa.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – rzekł Wilson. – Był pan dla mnie bardzo dobry i tak samo pańska żona. Myślałem, że powinien pan wiedzieć, co opowiadają.

– Siedzę tu piętnaście lat, panie Wilson.

– Och, wiem – rzekł Wilson – to bezczelność z mojej strony. Ale ludzie niepokoją się papugą Tallita. Mówią, że został fałszywie oskarżony, bo Yusef chce, żeby się wyniósł z miasta.

– Tak, słyszałem to.

– Mówią, że pan utrzymuje z Yusefem stosunki towarzyskie. To naturalnie kłamstwo, ale...

– To zupełna prawda. Utrzymuję także stosunki towarzyskie z inspektorem sanitarnym, ale to by mi nie przeszkodziło wszcząć przeciw niemu śledztwa... – Urwał raptownie. Powiedział: – Nie mam zamiaru tłumaczyć się przed panem.

Wilson powtórzył: – Ja tylko myślałem, że powinien pan wiedzieć.

– Jest pan za młody do swej pracy, panie Wilson.

– Do mojej pracy?

– Jaka by nie była.

Po raz drugi Wilson zaskoczył go, wybuchając zgrzytliwie:

– Och, co za człowiek nie do zniesienia. Z taką cholerną uczciwością nie można chodzić po świecie. – Twarz Wilsona pałała; zdawało się, że nawet jego kolana czerwienią się z wściekłości, ze wstydu, z pogardy dla siebie samego.

– Powinien pan nosić kapelusz, panie Wilson – Scobie powiedział tylko tyle.

Stali twarzą w twarz na krętej kamienistej ścieżce między bungalowem komisarza okręgu a domem gościnnym; światło leżało nad polami ryżowymi ciągnącymi się poniżej i Scobie zdawał sobie sprawę, jak wyraźnie rysują się ich sylwetki dla kogoś, kto by patrzył w ich stronę.

– Wysłał pan Luizę – rzekł Wilson – bo się pan mnie przestraszył.

Scobie zaśmiał się łagodnie. – To słońce, panie Wilson, tylko słońce. Zapomnimy o tym jutro rano.

– Nie mogła wytrzymać pańskiego głupiego, nieinteligentnego... pan nie wie, co myśli taka kobieta jak Luiza.

– Nie sądzę, żebym wiedział. Nikt przecież nie chce, żeby to wiedział ktoś inny.

Wilson rzekł: – Całowałem ją tego wieczora...

– To taki kolonialny sport, panie Wilson. – Nie zamierzał doprowadzić młodego człowieka do szału; chodziło mu tylko o to, by ten przypadek minął gładko, tak żeby rano mogli zachować

się wobec siebie w sposób naturalny. Mówił sobie: to tylko słońce. Widział takie rzeczy niezliczoną ilość razy w ciągu piętnastu lat.

Wilson powiedział: – To nie dla pana kobieta. Daleko panu do niej.

– Daleko nam obu.

– Skąd pan wziął pieniądze, żeby ją wysłać? Chciałbym to wiedzieć. Nie zarabia pan tyle. To jest wydrukowane w spisie kancelarii kolonialnej.

Gdyby młody człowiek zachowywał się mniej nedorzecznie, Scobie może by się rozgniewał i mogłoby się to skończyć po przyjacielsku. Ale jego pogodny spokój rozniecił płomień.

– Porozmawiamy o tym jutro rano. Wszystkich nas wytrąciła z równowagi śmierć tego dziecka. Chodźmy do bungalowu, wypijmy coś. – Chciał minąć Wilsona, ale ten zagroził mu drogę: miał twarz purpurową i łzy w oczach. Zapędziwszy się tak daleko, zdał sobie niejako sprawę, że pozostaje mu tylko pójść jeszcze dalej; nie było powrotu drogą, którą tu doszedł. Powiedział:

– Niech pan nie myśli, że nie mam pana na oku.

Nedorzeczność tego zdania rozbroiła Scobiego.

– Strzeż się pan – mówił Wilson – a pani Rolt...

– Co u licha ma z tym wspólnego pani Rolt?

– Niech pan nie myśli, że nie wiem, czemu pan został tutaj, czemu pan łąził do szpitala... kiedy byliśmy wszyscy na pogrzebie, wśliznął się pan...

– Pan naprawdę zwariował – rzekł Scobie.

Wilson nagle usiadł: jakby go zwinęła jakaś wielka, niewidzialna ręka. Wziął głowę w dłonie i rozplakał się.

– To słońce – powiedział Scobie. – To tylko słońce. Niech pan pójdzie się położyć – i zdejmując kapelusz włożył go Wilsonowi na głowę. Wilson spojrział nań z nienawiścią: na człowieka, który widział jego łzy.

Rozdział drugi

Syreny wyły na zaciemnienie, wyły poprzez deszcz, który padał bezustannie łzami; boye wleźli do pomieszczeń kuchennych i zaryglowali za sobą drzwi, jakby chroniąc się przed jakimś puszcząskim diabłem. Trzysta sześćdziesiąt sześć centymetrów wody spływało obficie i niezachwianie na dachy portu. Trudno było wyobrazić sobie, żeby jacyś ludzie – cóż dopiero zgnębieni, wyciśnięci gorączką nieszczęśnicy z terytorium Vichy – mogli rozpocząć atak o tej porze roku; a jednak pamiętało się oczywiście o wzgórzach Abrahama... Jeden śmiały czyn może całkiem zmienić pojęcie o tym, co jest możliwe.

Scobie wyszedł w mokrą ciemność trzymając wielki, pasiasty parasol; w płaszczu nieprzemakalnym byłoby za gorąco. Obszedł całe swoje domostwo. Nie dojrzał nigdzie ani światełka; okiennice w kuchni zamknięto, a domy Kreolów były niewidoczne poprzez deszcz. W parku samochodowym za drogą błysnęła na chwilę latarka, ale kiedy krzyknął, zgasła. Był to przypadek: nikt by nie usłyszał jego głosu wśród bębnienia deszczu po dachu. Messa oficerska na Cape Station świeciła wilgotno w kierunku morza, ale to nie leżało w zakresie jego odpowiedzialności. Reflektory ciężarówek wojskowych biegły jak sznur paciorków wzdłuż skraju wzgórz, ale to także nie była jego sprawa. Obok drogi za taborem zapaliło się nagle światło w jednym z fińskich domków, w których mieszkali niżsi urzędnicy. Był to domek nie zajęty jeszcze poprzedniego dnia. Pewnie ktoś przyjezdny świeżo się tam wprowadził. Scobie pomyślał o wyciągnięciu samochodu z garażu, ale domek był oddalony zaledwie o kilkaset metrów, więc poszedł piechotą. Poza głosem deszczu – na drodze, na dachach, na parasolu – panowała absolutna cisza; tylko zamierające wycie syren wibrowało jeszcze w uszach przez kilka

chwil. Nieraz później wydawało się Scobiemu, że osiągnął wtedy ostateczny kraniec szczęścia: był w ciemnościach, sam, wśród deszczu, bez miłości czy litości.

Zapukał do drzwi fińskiego domku głośno, bo deszcz uderzał w czarny dach, jak w tunel; musiał zapukać dwa razy, nim się drzwi otworzyły. Światło oślepiło go na chwilę. Powiedział: – Proszę wybaczyć, że niepokoję. Widzę tu światło.

Kobięcy głos odparł: – Och, przepraszam. To nieuwaga...

W oczach mu się przejaśniło, ale przez chwilę nie mógł związać żadnego nazwiska z tymi intensywnie pamiętanymi rysami. Znał wszystkich w kolonii. To było coś, co przyszło z zewnątrz... rzeka... wczesny poranek... umierające dziecko...

– O – powiedział – pani Rolt, prawda? Myślałem, że pani jest w szpitalu.

– Tak, to ja. Kto pan jest? Czy znam pana?

– Jestem major Scobie, z policji. Widziałem panią w Pende.

– Bardzo mi przykro – rzekła – ale nie pamiętam nic z tego, co się tam działo.

– Czy można u pani uszczelnić zaciemnienie?

– Naturalnie. Proszę.

Wszedł do środka, zsunął firanki i przestawił lampę. Domek był przedzielony zasłoną na dwie części: po jednej stronie łóżko, prowizoryczna toaleta, po drugiej stół, para krzeseł – kilka takich gratów, jakie przyznaje się niższym urzędnikom z pensją poniżej pięciuset funtów rocznie. Odezwał się:

– Niezbyt wspaniale panią zaopatrzyli, prawda? Szkoda, że nie wiedziałem. Byłbym pomógł.

– Widział ją teraz z bliska: młoda wyniszczona twarz, zmatowiałe włosy... Piżama, którą miała na sobie, była na nią za duża; ciało się w niej gubiło. Spadała w brzydkich fałdach. Spojrzał, żeby się przekonać, czy obrączka na palcu jest nadal luźna; ale w ogóle jej nie było.

– Wszyscy byli strasznie dobrzy dla mnie – rzekła. – Pani Carter dała mi śliczny puf.

Jego oczy powędrowały dokoła. Nie było nigdzie nic osobistego; żadnych fotografii, książek, żadnych drobiazgów, ale przypomniał sobie, że przecież nic nie wyniosła z morza prócz siebie samej i albumu znaczków.

– Czy grozi jakieś niebezpieczeństwo? – spytała z niepokojem.

– Niebezpieczeństwo?

– Te syreny.

– Ach, nie, nic nie grozi. To tylko alarm. Mamy mniej więcej jeden alarm na miesiąc. Nic się nigdy nie zdarza. – Znowu patrzył na nią długo. – Nie powinni byli wypuścić pani tak wcześnie ze szpitala. Nie ma jeszcze sześciu tygodni...

– Chciałam pójść stamtąd. Chciałam być sama. Ludzie ciągle przychodzili mnie odwiedzać.

– No tak. Teraz ja sobie pójdę. Proszę pamiętać, gdyby pani czegoś potrzebowała, że mieszkam tam obok drogi; jednopiętrowy dom za taborem wojskowym, na mokradle.

– Czy nie poczeka pan, aż deszcz ustanie?

– Nie myślę, żeby się dało. Widzi pani, pada tak aż do września – wy dostał od niej sztywny, niewprawy uśmiech.

– Jaki straszny hałas.

– Człowiek przywyka po kilku tygodniach. Tak jakby się mieszkało obok kolei. Ale pani nie będzie musiała przywykać. Poślę panią wkrótce do kraju. Co dwa tygodnie jest statek.

– Czy nie wypiłby pan czegoś? Pani Carter dała mi nie tylko puf, ale i butelkę ginu.

– W takim razie chyba pomogę pani wypić ją. – Kiedy wydobyła butelkę, zauważył, że była wypróżniona prawie do połowy. – Czy ma pani cytryny?

– Nie.

– Spodziewam się, że dali pani boya?

– Tak, ale nie wiem, o co go prosić. I jakoś nigdy nie widać go w pobliżu.
– Pani pije czysty gin?
– Och nie, nie tknęłam go. To boy wyrócił flaszkę – tak twierdzi.
– Porozmawiam rano z boyem pani – rzekł Scobie. – Ma pani lodówkę?
– Tak, ale boy nie może dostać lodu. – Usiadła na krześle, znużona. – Niech pan nie myśli, że jestem głupia. Tylko sama nie wiem, gdzie się dostałam. Nigdy jeszcze nie byłam w takim miejscu.

– Skąd pani pochodzi?
– Bury St. Edmunds. W Suffolk. Byłam tam osiem tygodni temu.
– Nie, nie była pani tam. Była pani w tej łodzi.
– Rzeczywiście. Zapomniałam o łodzi.

Nie powinni byli puścić pani ze szpitala tak zupełnie samej.

– Jest mi całkiem dobrze. Potrzebowali mojego łóżka. Pani Carter powiedziała, że u niej znajdzie się dla mnie miejsce, ale wolałam być sama. Doktor powiedział im, żeby robili to, co chcą.

Scobie rzekł: – Rozumiem, że pani nie miała najmniejszej ochoty być z panią Carter, i niech pani tylko powie słowo, a mnie też już nie będzie.

– Wolałabym, żeby pan zaczekał aż do odwołania alarmu. Jestem trochę roztrzęsiona, wie pan.

Wytrzymałość kobiet zdumiewała Scobiego. Ta tutaj przeżyła czterdzieści dni w otwartej łodzi i mówiła, że jest roztrzęsiona. Przypomniał sobie wypadki ze sprawozdania, które złożył naczelny inżynier: trzeci oficer i dwóch marynarzy zmarło, a palacz postradał zmysły wskutek picia morskiej wody i utopił się. Kiedy przychodzi napięcie, załamuje się zawsze mężczyzna. Teraz zapadła w osłabienie niby w poduszkę.

Powiedział: – Czy myślała już pani, co dalej? Czy wróci pani do Bury?

– Nie wiem. Może dostanę posadę.
– Czy ma pani jakąś praktykę?
– Nie – przyznała odwracając wzrok. – Widzi pan, skończyłam szkołę dopiero rok temu.
– Czy nauczyli panią czegoś?

Sądził, że przede wszystkim potrzeba jej rozmowy, głupiej, bezcelowej rozmowy. Zdawało jej się, że chce być sama, ale w istocie bała się strasznej odpowiedzialności, jaką nakłada cudze współczucie. Jakże mogło takie dziecko grać rolę kobiety, której mąż utonął niemal w jej oczach? Równie dobrze można by oczekiwać, że zagra rolę lady Makbet. (Pani Carter nie pobyłałaby jej nieporadności. Pani Carter wiedziałyby naturalnie, jak się zachować: pogrzebała męża i troje dzieci.)

Przerwywając jego myśli odezwała się: – Najmocniejsza byłam w siatkówce.

– No, nie bardzo pani wygląda na nauczycielkę gimnastyki. A może jednak, kiedy pani jest zdrowa...

Nagle i bez ostrzeżenia zaczęła mówić; jakby przez nieopatrzne użycie hasła doprowadził do otwarcia drzwi; nie umiałby teraz powiedzieć, jakie to słowa stały się kluczem. Może „nauczycielka gimnastyki”, bo zaczęła opowiadać mu prędko o siatkówce (pomyślał, że pani Carter rozmawiała z nią zapewne o czterdziestu dniach w otwartej łodzi i o mężu, który był nim przez trzy tygodnie).

– Byłam przez dwa lata w reprezentacji szkoły – powiedziała podniecona pochylając się i opierając brodę na dłoni, a kościsty łokieć na kościstym kolanie. Ze swoją białą skórą – nie pozołkłą jeszcze od atabryny lub słońca – przypominała mu kość, którą zmyło i wyrzuciło morze. – Rok przedtem grałam w drugiej reprezentacji. Zostałabym kapitanem, gdybym tam

była jeszcze rok. W 1940 pobiliśmy Roedern i zremisowaliśmy z Cheltenhamem.

Słuchał z tym intensywnym zainteresowaniem, jakie czuje się wobec życia kogoś obcego, z zainteresowaniem, jakie młodzi biorą za miłość. Czuł bezpieczeństwo swego wieku, kiedy tak siedział i słuchał ze szklanką ginu w ręku, a deszcz padał i padał. Powiedziała mu, że jej szkoła leżała na wzgórzach, tuż obok Seaportu; była tam nauczycielka, Francuzka, mademoiselle Dupont, która miała zły charakter. Przełożona czytała po grecku całkiem jak po angielsku, Wergiliusza...

– Zawsze myślałem, że Wergiliusz to po łacinie.

– Ach, tak. Chciałam powiedzieć Homera. Nigdy nie umiałam tych klasyków.

– Czy pani w ogóle coś umiała poza siatkówką?

– Zdaje się, że byłam mocna w matematyce; choć co prawda nigdy nie umiałam trygonometrii. W lecie chodziły się kąpać do Seaportu, co sobotę urządzały piknik na wzgórzach, czasem „pogoń za papierkiem” na kucach, a raz miały jakąś fatalną historię na rowerach, o której głośno było w całej okolicy, a dwie dziewczynki wróciły dopiero o pierwszej w nocy. Słuchał zafascynowany, obracając ciężki gin w szklance i nie pijąc go. Syreny wyjęczały odwołanie alarmu, ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Powiedział:

– A na wakacje wracała pani do Bury?

Okazało się, że jej matka umarła dziesięć lat temu, a ojciec był duchownym, sprawującym jakieś funkcje przy katedrze. Mieli malutki domek na Angel Hill. Może nie było jej równie dobrze w domu jak w szkole, bo skorzystała z pierwszej sposobności, by opowiedzieć o pani od gier i zabaw, która nosiła to samo imię – Helena i wobec której cała klasa miała ogromną „Schwärmeri”. Śmiała się teraz z tego sentymentu z wyższością; była to jedyna wskazówka, jaką mu dała, że jest dorosła, że jest ~ a raczej była – kobietą zamężną. Nagle urwała i powiedziała:

– Co za głupota – opowiadać panu to wszystko.

– Miło mi tego słuchać.

– Nie spytał mnie pan ani razu... wie pan...

Wiedział, bo czytał sprawozdanie. Wiedział dokładnie, jaką porcję wody miał każdy w łodzi – dwa razy na dzień kubek – po dwudziestu jeden dniach zredukowaną do połowy. Ową porcję utrzymano aż do dwudziestu czterech godzin przed uratowaniem, głównie dlatego, że zgony pozostawiały małą nadwyżkę. Poza budynkami szkolnymi Seaportu, poza boiskiem siatkówki wyczuwał to straszne falowanie; łódź unosiła się znowu i opadała, unosiła się i opadała.

– Czułam się nieszczęśliwa, kiedy wyjeżdżałam, to był koniec lipca. Płakałam w taksówce przez całą drogę na stację.

Scobie policzył miesiące – od lipca do kwietnia dziewięć miesięcy. Okres ciąży. Zrodziła się z tego śmierć męża, Atlantyk pchający ich, niby wrak, ku długiemu, płaskiemu wybrzeżu Afryki i marynarz, który rzucił się za burtę. Powiedział:

– To jest ciekawsze. Tamto mogę odgadnąć.

– Masę mówiłam. Wie pan, myślę, że tej nocy zasnę.

– Pani dotychczas nie sypiała?

– Przez to oddychanie w szpitalu. Ludzie wokół mnie kręcili się i oddychali, i mruzcili. Kiedy światło gasło, było całkiem jak... wie pan...

– Tutaj będzie pani spać spokojnie. Nie trzeba się niczego bać. Jest zawsze stróż nocny na służbie. Powiem mu słówko.

– Pan jest taki dobry – rzekła. – Pani Carter i tamci wszyscy są dobrzy. – Podniosła wyniszczoną, szczerą, dziecianną twarz. – Tak pana lubię.

– Ja panią też lubię – rzekł poważnie. Oboje mieli ogromne poczucie bezpieczeństwa: byli

przyjaciółmi; nigdy by nie mogli być niczym innym jak przyjaciółmi – dzieliło ich tak wiele: zmarły mąż, żyjąca żona, ojciec, który był duchownym, pani od gier i zabaw, i całe lata doświadczenia. Nie potrzebowali troszczyć się o to, co sobie winni nawzajem powiedzieć.

- Dobranoc. Jutro przyniosę pani kilka znaczków do albumu – odezwał się.
- Skąd pan wie o moim albumie?
- To mój zawód. Jestem policjantem.
- Dobranoc.

Odszedł czując się niezwykle szczęśliwy – ale tego nie będzie pamiętał jako szczęścia, tak jak pamięta wejście w deszcz, w ciemność, w samotność.

Od ósmej trzydzieści rano do jedenastej rozpatrywał sprawę o drobną kradzież. Trzeba było przesłuchać sześciu świadków; nie wierzył ani jednemu ich słowu. W sprawach sądowych w Europie są słowa, którym się wierzy, i słowa, którym się nie ufa. Można wyznaczyć teoretyczną granicę między prawdą i kłamstwem. Przynajmniej w pewnej mierze działa zasada *c u i b o n o* i wolno zwykle założyć bez obawy, jeśli jest oskarżenie o kradzież, a nie wchodzi w grę ubezpieczenia, że w każdym razie coś zostało skradzione. Ale tu nie można było przyjmować takich założeń; nie można było wyznaczać granic. Znał oficerów policji, którzy załamali się nerwowo, usiłując wydzielić bodaj jedno ziarno niezbitej prawdy; z niektórymi kończyło się tak, że uderzali jakiegoś świadka, piętnowały ich miejscowe gazety kreolskie i odsyłano ich do kraju jako chorych albo przenoszono. Budziło to w niektórych jadowitą nienawiść do czarnej skóry, ale Scobie dawno już w ciągu swych piętnastu lat przeszedł niebezpieczne fazy; teraz zagubiony w splotach kłamstw czuł nadzwyczajną sympatię dla tych ludzi, którzy paraliżowali obcą formę sprawiedliwości w taki prosty sposób.

Wreszcie biuro znów opustoszało; nie było nic więcej na liście rozpraw. Scobie wydobyl blok papieru i podsunął pod napięstek kawałek bibuły, która miała wchłaniać pot. Zamierzał pisać do Luizy. Pisanie listów nigdy nie przychodziło mu łatwo. Może z powodu swego policyjnego wykształcenia nie umiał położyć na papierze ponad swym podpisem kłamstwa, nawet pocieszającego. Musiał być dokładny; mógł pocieszać tylko przez opuszczanie. Tak więc i teraz kładąc na papierze dwa słowa: „Moja droga” zabierał się do opuszczania. Nie napisze, że za nią tęskni, ale opuści wszystkie zdania, które by nie zostawiły wątpliwości, że jest mu dobrze.

Moja droga, musisz znów wybaczyć krótki list. Wiesz, że nie jestem bardzo zgrabny do pisania. Dostałem wczoraj twój trzeci list, ten, gdzie piszesz, że jesteś przez tydzień u przyjaciółki pani Halifax pod Durbanem. Tu wszystko spokojnie. Mieliśmy alarm zeszłej nocy, ale okazało się, że to jakiś pilot amerykański wziął ławicę delfinów za łodzie podwodne. Deszcze się naturalnie zaczęły. Ta pani Rolt, o której pisałem ci w ostatnim liście, już wyszła ze szpitala i kazali jej czekać na statek w jednym z domków fińskich za taborem wojskowym. Zrobię, co będę mógł, żeby jej tam było wygodnie. Chłopiec jest nadal w szpitalu, ale ma się dobrze. Naprawdę to chyba wszystkie wiadomości. Sprawa Tallita się wlecze – nie myślę, żeby w końcu coś z niej wyszło. Ali musiał dać sobie wyrwać parę zębów kilka dni temu. Jakiego rwetesu narobił! Musiałem go zawieźć do szpitala, bo nigdy by sam nie poszedł.

Przerwał. Nienawidził myśli, że cenzorzy – byli to akurat pani Carter i Calloway – czytać będą końcowe czułości.

Dbaj o siebie, moja droga, i nie martw się o mnie. Póki tobie jest dobrze, i mnie także jest dobrze. Za dziewięć miesięcy mogę wziąć urlop i będziemy razem.

Miał zamiar dodać: myślę ciągle o tobie – ale to nie było stwierdzenie, które by mógł podpisać. Napisał zamiast tego: „Myślę o tobie tak często w ciągu dnia” i zaczął się namyślać nad podpisem. Niechętnie, sądząc jednak, że ją tym ucieszy, napisał: „Twój Tiki”.

Tiki – na chwilę przypomniał mu się tamten list, podpisany „Diki”, który dwa czy trzy razy powracał doń w snach.

Wszedł sierżant, pomaszzerował na środek pokoju, obrócił się sprężysto, by stanąć przodem do Scobiego, zaszalutował. Scobie miał czas zaadresować kopertę, gdy się to wszystko działo.

- Co tam, sierżancie?
- Komisarz, pan, prosić widzieć pan.
- Dobrze.

Komisarz nie był sam. W mrocznym pokoju twarz sekretarza kolonialnego lśniła od potu, a obok niego siedział wysoki, kościsty mężczyzna, którego Scobie nigdy dotychczas nie widział – musiał przylecieć samolotem, bo żaden statek nie przybył w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Na luźnym, pomiętym mundurze nosił dystynkcje pułkownika, jakby do niego nie należały.

– Oto major Scobie, pułkownik Wright. – Scobie zauważył, że komisarz jest zakłopotany i zirytowany. – Siadaj pan. Chodzi o sprawę Tallita. – Deszcz zaciemniał pokój i nie dopuszczał powietrza. – Pułkownik Wright przybył z Cape Town, żeby coś o tym usłyszeć.

– Z Cape Town?

Komisarz szurnał nogami; bawił się szczyrykiem. Powiedział: – Pułkownik Wright jest przedstawicielem M. I. 5.

Sekretarz kolonialny odezwał się cicho, tak że wszyscy musieli pochylić głowy, by go usłyszeć: – To dosyć niefortunna sprawa. – Komisarz zaczął strugać róg biurka, ostentacyjnie nie słuchając. – Nie sędzę, żeby policja postąpiła całkiem słusznie, tak jak postąpiła; trzeba się było naradzić.

Scobie rzekł: – Zawsze sądziłem, że jest naszym obowiązkiem zwalczać przemyt diamentów.

Sekretarz kolonialny odparł swym niewyraźnym, cichym głosem: – Znalezione diamenty nie były warte i stu funtów.

- To jedyne diamenty, jakie w ogóle znaleziono.
- Dowody przeciw Tallitowi, panie Scobie, były zbyt wątłe, by go aresztować.
- Nie był aresztowany. Był przesłuchany.
- Jego adwokaci mówią, że został sprowadzony siłą na posterunek.
- Jego adwokaci kłamią. Chyba z tego zdaje pan sobie sprawę.

Sekretarz kolonialny zwrócił się do pułkownika:

– Rozumie pan, z jakimi trudnościami mamy do czynienia. Syryjczycy wyznania rzymskokatolickiego twierdzą, że stanowią prześladowaną mniejszość i że policja jest na żołądź Syryjczyków muzułmanów.

Scobie powiedział: – Ta sama rzecz byłaby się zdarzyła w wypadku odwrotnym, tylko by gorzej wyglądała. Parlament ma większą sympatię dla muzułmanów niż dla katolików. – Miał poczucie, że nikt nie mówi o istotnym celu tego spotkania. Komisarz odcinał od swego biurka jeden wiór po drugim, ustosunkowując się do wszystkiego negatywnie, a pułkownik Wright w ogóle się nie odzywał.

– Osobiście – rzekł sekretarz kolonialny – zawsze bym... – jego cichy głos rozpląnął się w niezrozumiały szmer; może pojął go Wright, który wetknął palec do ucha i przekrzywił na bok głowę, jakby próbując coś usłyszeć przez zepsuty telefon.

Scobie rzekł: – Nie słyszałem, co pan powiedział.

- Powiedziałem, że osobiście zawsze bym zaufał bardziej Tallitowi niż Yusefowi.
- To dlatego – rzekł Scobie – że pan jest w tej kolonii dopiero pięć lat.

Pułkownik Wright wtrącił zniechęcony: – Ile lat jest pan tutaj, majorze?

– Piętnaście.

Pułkownik mruknął coś nieobowiązująco.

Komisarz przestał strugać róg biurka i ze złością wbił scyzoryk w blat. Powiedział: – Pułkownik Wright chce znać źródło pańskich informacji, Scobie.

– Pan wie, panie komisarzu, Yusef.

Wright i sekretarz kolonialny siedzieli obok siebie patrząc nań. Trwał z opuszczoną głową czekając na następne posunięcie. Ale nikt tego posunięcia nie wykonywał. Wiedział, że czekają, aż rozszerzy swą suchą odpowiedź, i wiedział też, że gdyby tak zrobił, poczytaliby to za wyznanie słabości. Milczenie stawało się coraz bardziej nieznośne, było niby oskarżenie. Wiele tygodni temu powiedział Yusefowi, że zamierza podać do wiadomości komisarza szczegóły dotyczące pożyczki. Może istotnie miał ten zamiar; może bluffował; nie mógł sobie tego przypomnieć. Wiedział tylko tyle, że teraz jest już za późno. Informacji winien był udzielić, zanim podjął akcję przeciw Tallitowi; nie można było robić tego poniewczasie. Korytarzem podszedł Fraser gwizdząc swoją ulubioną melodię; otworzył drzwi, powiedział: – Przepraszam pana – i cofnął się zostawiając za sobą smugę gorącego zaduchu zoo. Deszcz szemrał nieustannie. Komisarz wyciągnął scyzoryk ze stołu i zaczął znów strugać, jakby po raz drugi ostentacyjnie zaznaczał swój negatywny stosunek do tej całej historii. Sekretarz kolonialny odchrząknął.

– Yusef – powtórzył.

Scobie skinął głową.

Pułkownik Wright powiedział: – Czy uważa pan, że Yusefowi można ufać?

– Naturalnie, że nie, panie pułkowniku. Ale trzeba działać na podstawie tych informacji, jakie się ma – a te informacje okazały się do pewnego stopnia trafne.

– Do jakiego stopnia?

– Znaleźliśmy diamenty.

Sekretarz kolonialny zapytał: – Czy dostaje pan dużo informacji od Yusefa?

– To były w ogóle pierwsze informacje, jakich mi dostarczył. Nie dosłyszał tego, co powiedział sekretarz kolonialny poza słowem „Yusef”.

– Nie słyszałem, co pan powiedział.

– Pytałem, czy jest pan w kontakcie z Yusefem?

– Nie wiem, co pan przez to rozumie.

– Czy pan go często widuje?

– Zdaje mi się, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy widziałem go trzy... nie, cztery razy.

– W interesach?

– Niekoniecznie. Raz podwoziłem go do domu, kiedy mu się popsuł samochód. Raz odwiedził mnie, kiedy miałem febrę w Barn ba. Raz...

– Nie prowadzimy śledztwa, Scobie rzekł komisarz.

– Zdawało mi się panie komisarzu, że ci panowie to właśnie robią. Pułkownik Wright rozprostował długie nogi i powiedział:

Sprowadźmy to wszystko do jednego pytania. Tallit, majorze, wytoczył kontroskarżenie przeciw policji, przeciw panu. Powiada, krótko mówiąc, że Yusef dał panu pieniądze. Czy tak?

– Nie, panie pułkowniku. Yusef nic mi nie dał. – Czuł dziwną ulgę, że dotychczas nie musiał skłamać.

Sekretarz kolonialny powiedział: – Rzecz prosta, wysłanie żony do Afryki południowej leżało zupełnie w granicach pańskich prywatnych możliwości.

Scobie siedział głęboko w krześle, nic nie mówiąc. Znowu zdał sobie sprawę z pożądanego

milczenia, które czekało na jego słowa.

– Nie odpowiada pan? rzeki niecierpliwie sekretarz kolonialny. – Nie wiedziałem, że mnie pan o coś pyta. Powtarzam: Yusef nic mi nie dał.

– To człowiek, którego należy się strzec, panie Scobie.

– Może, kiedy pan będzie tu równie długo jak ja. zrozumie pan, że zadaniem policji jest mieć do czynienia z ludźmi, których nie przyjmuje się w Sekretariacie.

– Nie będziemy się przecież gorączkować, prawda?

Scobie wstał. – Czy mogę odejść, panie komisarzy? Jeśli ci panowie skończyli... Mam umówione spotkanie. – Pot wystąpił mu na czoło; serce waliło wściekle. W takiej chwili należy się mieć na baczności, kiedy krew spływa po bokach i powiewa czerwona płachta.

– W porządku. Scobie – rzekł komisarz.

Pułkownik Wright powiedział: – Niech pan wybaczy, że pana trudziłem. Dostałem meldunek. Musiałem potraktować sprawę urzędowo. Jestem zupełnie usatysfakcjonowany.

– Dziękuję, panie pułkowniku. – Ale kojące słowa przyszły za późno; wilgotna twarz sekretarza kolonialnego wypełniła pole widzenia Scobiego. Sekretarz kolonialny powiedział cicho:

To po prostu kwestia rozważki.

– Gdybym był potrzebny w ciągu najbliższej pół godziny, panie komisarzy – rzekł Scobie – to będę u Yusefa.

Mimo wszystko zmusili go do kłamstwa; wcale nie miał umówionego spotkania z Yusefem. Niemniej chciał z nim zamienić kilka słów. A nuż by mu się jeszcze udało wyjaśnić, dla własnej satysfakcji, jeśli nie wobec prawa, aferę Tallita. Jadąc powoli przez deszcz – jego wycieraczka dawno przestała funkcjonować – dojrzał Harrisa walczącego ze swym parasolem przed wejściem do hotelu.

– Może pana podwieźć? Jadę w stronę pańskiego biura.

– Dzieją się szalenie podniecające rzeczy – rzekł Harris. Jego zapadła twarz błyszczała od deszczu i entuzjazmu. – Dostałem wreszcie dom.

– Gratuluję.

– Właściwie to nie dom: jeden z tych domków po drodze do pana. Ale to jednak home. Będę go mieć na spółkę, ale to jednak home.

– Kto z panem zamieszka?

– Chcę prosić Wilsona, ale wyjechał na parę tygodni do Lagos. Błędny ognik, cholera. Właśnie wtedy, kiedy go potrzebuję. Ale mi to przypomina drugą nadzwyczajną historię. Wie pan, odkryłem, że byliśmy razem w Downham.

– W Downham?

– W tej szkole, oczywiście. Wszedłem do jego pokoju, kiedy go nie było, żeby sobie pożyczyć atrament, i na środku stołu zobaczyłem numer tego pocziwego „Downhamianina”.

– Co za zbieg okoliczności – rzekł Scobie.

– I wie pan, to naprawdę był dzień pełen niezwykłych zdarzeń. Przeglądałem sobie pismo i patrzę, na ostatniej stronie jest napisane: „Sekretarz Związku Byłych Downhamian chciałby nawiązać kontakt z następującymi byłymi Downhamianami, z którymi utraciliśmy łączność” – a w połowie strony moje nazwisko wydrukowane jak byk. Co pan o tym myśli?

– No i co pan zrobił?

– Ledwo przyszedłem do biura, siadłem i napisałem; nawet nie tknąłem telegramów, nie licząc naturalnie „bardzo pilnych”, ale okazało się, że zapomniałem zapisać sobie adres sekretarza, więc musiałem wrócić po pismo. Może by pan wstąpił, żeby zobaczyć, co napisałem,

dobrze?

– Ale tylko na chwilę.

Harrisowi dali na biuro mały, niepotrzebny pokój w lokalu Elder Dempster Company. Miał rozmiary staroświeckiego pokoiku dla służby, co dostrzegało się tym wyraźniej, że była tam prymitywna umywalka z jednym kurkiem na zimną wodę i piecyk gazowy. Stół zavalony blankietami telegraficznymi był wciśnięty między umywalkę a okno, nie większe niż okienko na statku, wychodzące wprost na wodę – na szarą, pomarszczoną zatokę. Na rynience do papieru leżała skrócona, szkolna wersja „Ivanhoe”, a obok pół bochenka razowego chleba.

– Przepraszam za bałagan – rzekł Harris. – Niech pan siądzie. – Ale nie było wolnego krzesła. – Gdzież ja to wsadziłem? – rozmyślał głośno przerzucając telegramy na biurku. – Aha, już wiem. – Z „Ivanhoe” wyłowił złożoną kartkę papieru: – To tylko brulion – rzekł z obawą. – Naturalnie muszę go wygładzić. Może lepiej poczekam, aż Wilson wróci. Rozumie pan, wymieniam go tu.

Scobie zaczął czytać:

Drogi Sekretarzu, całkiem przypadkowo trafiłem na numer »Byłego Downhamianina«. Miał go u siebie drugi były Downhamianin, E. Wilson (1923 – 1928). Obawiam się, że straciłem łączność z poczciwą starci budą od wielu lat. Bardzo się ucieszyłem i trochę mi się wstyd zrobiło, kiedy zobaczyłem, że próbujecie nawiązać ze mną kontakt. Może chcielibyście wiedzieć coś niecoś, co porabiam w »grobie białego człowieka«, ale ponieważ jestem cenzorem depesz, rozumiecie, że niewiele mogę Wam opowiedzieć o mojej pracy. To musi poczekać do czasu, kiedy wygramy wojnę. Jesteśmy teraz w pełni deszczów – ależ leje! Jest mnóstwo wypadków febry, ale miałem tylko jeden atak, a E. Wilson w ogóle dotychczas tego uniknął. Mamy na spółkę mały domek, tak że, jak pan widzi, byli Downhamianie trzymają się razem nawet w tej dzikiej i dalekiej części świata. Mamy tu drużynę byłych Downhamian, która składa się z dwóch członków, i chodzimy razem na polowanie, ale tylko na karakony (ha! ha!). No, muszę już kończyć i zabrać się do wygrywania wojny. Cześć, cześć wszystkim starym Downhamumom od całkiem już starego koloniala.

Podnosząc oczy Scobie spotkał niespokojne i zakłopotane wejrzenie tamtego.

– Czy myśli pan, że to właściwa forma? – spytał Harris. – Miałem trochę wątpliwości, czy napisać: drogi Sekretarzu.

– Myślę, że pan nadzwyczajnie utrafił w ton.

– Naturalnie, wie pan, to nie była zbyt dobra szkoła i nie było mi tam zbyt dobrze. Właściwie to nawet raz uciekłem.

– A teraz chwycili pana.

– To nasuwa różne myśli, prawda – rzekł Harris. Zapatrzył się ponad szarą wodę, ze łzami w przekrwionych, zatroskanych oczach. – Zawsze zazdrościłem ludziom, którym tam było dobrze – powiedział.

Scobie rzekł pocieszająco: – Ja też nie bardzo lubiłem szkołę.

Jeśli człowiekowi dobrze od samego początku... – rzekł Harris. – To musi później stanowić straszną różnicę. Przecież to może wejść w zwyczaj, prawda? – Wziął z rynienki chleb i rzucił go do kosza na śmieci. – Ciągle zamierzam zrobić tu porządek – rzekł.

– No, muszę już iść, Harris. Cieszę się, że tak się udało z domem i z byłym Downhamianinem.

– Ciekaw jestem, czy Wilsonowi było tam dobrze – snuł rozważania Harris. Wyjął z rynienki „Ivanhoe” i rozejrzał się, gdzie by go położyć, ale nie znalazł miejsca. Położył go z

powrotem. – Nie przypuszczam, żeby tak było – powiedział – bo inaczej po co by tu przyjeżdżał?

Scobie zostawił samochód tuż przed drzwiami Yusefa; był to jakby gest pogardy wobec sekretarza kolonialnego. Powiedział służącemu: – Chcę się widzieć z twoim panem. Znam drogę.

– Massa wyjść.

– To poczekam na niego. – Odepchnął na bok służącego i wszedł.

Bungalow był podzielony na szereg pokoików, umeblowanych identycznie: sofy, poduszki, niskie stoliki na napoje – jak w burdelu. Scobie przechodził z jednej klitki do drugiej rozsuwając zasłony, póki nie dostał się do pokoiku, w którym blisko dwa miesiące temu utracił prawość. Na sofie leżał Yusef, pogrążony we śnie.

Leżał na plecach, w białych płóciennych spodniach, z otwartymi ustami, sapiąc. Na stoliku obok niego stała szklanka i Scobie zauważył białe ziarenka na dnie. Yusef zażył środek nasenny. Scobie usiadł obok niego i czekał. Okno było otwarte, ale deszcz nie dopuszczał powietrza równie skutecznie jak firanka. Może tylko brak powietrza wywołał depresję w usposobieniu Scobiego; a może to, że powrócił na miejsce zbrodni. Nie warto było tłumaczyć sobie, że nie popełnił nic złego. Jak młoda kobieta, która wyszła za mąż bez miłości, odnajdował w tym pokoju, anonimowym niby hotelowa sypialnia, wspomnienie cudzołóstwa.

Tuż nad oknem przebiegała popsuta rynna, z której woda lała się jak z kranu, tak że cały czas słyhać było dwa głosy deszczu: szmer i ciurkanie. Scobie zapalił papierosa obserwując Yusefa. Nie mógł czuć nienawiści do tego człowieka. Przyłapał Yusefa równie świadomie i równie skutecznie, jak Yusef jego przyłapał. Małżeństwo zostało zawarte przez nich obu. Może intensywność jego wzroku przedarła się przez mgłę narkotyku; tłuste uda przesunęły się na sofie. Yusef mruknął, wymamrotał przez sen: – Kochany chłop – i obrócił się na bok, twarzą do Scobiego. Ten rozejrzał się znów po pokoju, ale zbadał go już całkiem dokładnie wtedy, kiedy tu przyszedł, żeby załatwić sprawę pożyczki. Nie było zmian. Te sianie ohydne fiołkowe poduszki z jedwabiu – podszewka wyłaziła tam, gdzie wierzch zbutwiał od wilgoci – pomarańczowe firanki, nawet niebieski syfon z wodą sodową na tym samym miejscu. Wszystko to miało wygląd wieczysty, jak umeblowanie piekła. Nie było półek na książki, bo Yusef nie umiał czytać, ani biurka, bo nie umiał pisać. Nie warto było szukać papierów – papiery nie były nic warte dla Yusefa. Wszystko siedziało w tej wielkiej, rzymskiej głowie.

– O, major Scobie... – oczy otwały się i szukały jego oczu; zaćmione narkotykiem, ogniskowały się z trudnością.

– Dzień dobry, panie Yusef. – Chociaż raz Scobie miał nad nim przewagę. Przez chwilę zdawało się, że Yusef lada moment znów zapadnie w narkotyczny sen. Wreszcie jednak oparł się z wysiłkiem na łokciu.

– Chciałem porozmawiać o Tallicie, panie Yusef.

– Tallit... proszę wybaczyć, majorze...

– I o diamentach.

– Bzik na punkcie diamentów – wymamrotał Yusef na wpół przez sen. Potrząsnął głową, aż kiwnął się biały kosmyk włosów; potem wyciągając niepewnie rękę zaczął szukać syfonu.

– Czy to pan skompromitował Tallita, panie Yusef?

Yusef przyciągnął syfon po stole, wywracając szklankę z lekarstwem; odwrócił wylot ku sobie i nacisnął spust, woda sodowa strzyknęła mu na twarz i rozprysnęła się dokoła na fiołkowe jedwabie. Westchnął z ulgą i zadowoleniem, jak ktoś pod tuszem w gorący dzień.

O co chodzi, panie majorze, czy stało się coś złego?

– Nie będzie dochodzenia przeciw Tallitowi.

Yusef był niby zmęczony człowiek, który wydobywał się z morza; fala szła zanim. Powiedział: – Musi mi pan major wybaczyć. Dawno nie spałem. – Potrzęsnał parokrotnie głową z namysłem, jakby ktoś potrząsał pudełkiem, żeby sprawdzić, czy się w środku coś nie kołacze. – Mówił pan coś o Tallicie – i znów wyjaśnił: – To inwentaryzacja. Te wszystkie cyfry. Trzydzieści cztery składy. Próbują mnie oszukać, bo mam to wszystko w głowie.

– Przeciw Tallitowi – powtórzył Scobie – nie będzie dochodzenia.

– Nic nie szkodzi. Pewnego dnia zapędzi się za daleko.

– Czy to były pańskie diamenty?

– Moje diamenty? Usposobili pana podejrzliwie wobec mnie, majorze.

– Czy mały boy był na pańskim żołdzie?

Yusef stał grzbietem ręki wodę sodową z twarzy. – Naturalnie, panie majorze. Przecież od niego dostałem informację.

Moment niższości przeminął; wielka głowa otrząsnęła się z narkotyku, chociaż członki leżały jeszcze na sofie leniwie.

– Panie Yusef, nie jestem pańskim nieprzyjacielem. Mam dla pana sympatię.

– Jakże mi serce bije, kiedy pan to mówi, panie majorze. – Otworzył szerzej koszulę, jakby chcąc naprawdę pokazać bicie serca, i strumyczki wody sodowej zwilżyły czarny gąszcz na jego piersi. – Jestem za tłusty – rzekł.

– Chciałbym panu wierzyć. Niech mi pan powie prawdę. Czy to były diamenty pana, czy Tallita?

– Zawsze chcę mówić panu prawdę. Nigdy panu nie powiedziałem, że to były diamenty Tallita.

– Były pańskie?

– Tak, panie majorze.

– Co za wariata pan ze mnie zrobił, panie Yusef. Gdybym tylko miał tu świadka, zamknąłbym pana.

– Nie chciałem robić wariata z pana majora. Chciałem, żeby wydalono stąd Tallita. To byłoby z korzyścią dla wszystkich, gdyby go wydalono. Nic dobrego, kiedy Syryjczycy są w dwóch obozach. Gdyby byli w jednym obozie, mógłby pan przyjść do mnie i powiedzieć: Yusef, rząd chce, żeby Syryjczycy zrobili to czy tamto – a ja mógłbym odpowiedzieć: Będzie zrobione.

– I przemyt diamentów znalazłby się wtedy w jednym ręku.

– Och, diamenty, diamenty, diamenty – uzalili się Yusef zmęczonym głosem. – Mówię panu, że mam więcej pieniędzy z mojego najmniejszego składu przez rok, niżbym zarobił na diamentach przez trzy lata. Nie ma pan pojęcia, ile trzeba dawać łapówek.

– No, panie Yusef, więcej nie biorę od pana informacji. Na tym skończyły się nasze stosunki. Naturalnie, co miesiąc będę panu posyłać procent.

Poczuł dziwną nierealność swoich słów; pomarańczowe firanki wisiły nie poruszone. Są takie miejsca, których się nigdy nie opuszcza: zasłony i poduszki tego pokoju przyłączyły się do sypialni na poddaszu, do poplamionego atramentem biurka, do ołtarza z Ealing, całego w koronkach – wszystko to pozostanie tak długo, jak długo trwać będzie świadomość.

Yusef spuścił nogi na podłogę i usiadł wyprostowany. Powiedział: – Panie majorze, pan sobie wziął mój żarcik zanadto do serca.

– Do widzenia, Yusef, niezły człowiek z pana, ale do widzenia.

– Myli się pan, majorze. Jestem złym człowiekiem. – Powiedział poważnie: – Moja przyjaźń dla pana to jedyna dobra rzecz w tym czarnym sercu. Nie mogę z niej zrezygnować. Musimy zawsze być przyjaciółmi.

– Boję się, że nie, panie Yusef.

– Niech pan słucha, majorze. Nie proszę pana o nic dla siebie, tylko żeby pan czasem – może po zapadnięciu ciemności, jak nikt nie będzie widział – żeby pan mnie odwiedził i porozmawiał ze mną. Nic więcej. Tylko tyle. Nie będę panu więcej opowiadał bajek o Tallicie. Nic panu nie będę opowiadał. Usiądziemy sobie z syfonem i butelką whisky...

– Nie jestem wariat, panie Yusef. Wiem, że bardzo by się panu przydało, gdyby ludzie sądzili, że jesteśmy w przyjaźni. Nie mam zamiaru tak panu pomagać.

Yusef włożył palec do ucha i oczyścił je z wody sodowej. Spojrzał na Scobiego zimno i bezczelnie. „Tak musi patrzeć – pomyślał Scobie – na sprzedawcę próbującego sfalszować cyfry, które Yusef ma w głowie.”

– Panie majorze, czy pan kiedy powiedział komisarzowi o naszej transakcji, czy też to był bluff?

– Niech się go pan sam spyta.

– Chyba zrobię to. Moje serce czuje się wzgardzone i rozgoryczone. Moje serce nagli mnie, żeby pójść do komisarza i wszystko mu powiedzieć.

– Zawsze trzeba słuchać głosu swego serca, panie Yusef.

– Powiem mu, że pan wziął ode mnie pieniądze i że ukartowaliśmy razem aresztowanie Tallita. Ale pan nie wypełnił swoich zobowiązań, więc przychodzę do niego, żeby się zemścić. Zemścić się – powtórzył pośpiesnie, opuściwszy swoją rzymską głowę na tłustą pierś.

– Dalejże. Niech pan robi, co się panu podoba. Skończyliśmy z sobą.

Ale nie mógł uwierzyć w prawdziwość tej sceny, choćby odgrywał ją z jeszcze większym wysiłkiem: była jak kłótnia kochanków. Nie mógł dać wiary pogrożkom Yusefa i nie wierzył we własny spokój; nie wierzył nawet w to pożegnanie. To, co się zdarzyło w pomarańczowo-fioletowym pokoju, było zbyt ważne, by stać się częścią olbrzymiej, jednostajnej przeszłości. Nie zdziwił się, kiedy Yusef podnosząc głowę powiedział:

– Oczywiście nie pójdę. Pewnego dnia wróci pan, będzie pan potrzebował mojej przyjaźni. Przywitam pana z radością.

„Czy naprawdę będzie ze mną tak rozpaczliwie?” – pomyślał Scobie, jakby w głosie Syryjczyka usłyszał ton istotnie proroczy.

Po drodze do domu Scobie zatrzymał samochód przed kościołem katolickim i wszedł do środka. Była to pierwsza sobota miesiąca; zawsze przystępował tego dnia do spowiedzi. Pół tuzina starych kobiet, ubranych jak posługaczki, z chustami na głowach, czekało na swoją kolej; i jeszcze pielęgniarka, i szeregowiec z odznakami intendenty. Głos księdza Ranka szeptał monotonna z konfesjonału.

Scobie z oczami utkwionymi w krzyżu modlił się: Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, akt żalu. Ogarnęła go okropna czczość przyzwyczajenia. Poczuli się jak widz – jeden z tych wielu ludzi wokół krzyża, po których wejrzenie Chrystusa musiało się przesunąć, kiedy szukało twarzy przyjaciela lub wroga. Czasem wydawało się Scobiemu, że jego zawód i mundur stawiają go nieubłaganie w rzędzie tych wszystkich bezimiennych Rzymian, którzy pilnowali wówczas porządku na ulicach, daleko stąd. Jedna po drugiej stare Murzynki podchodziły do konfesjonału i odchodziły, a Scobie modlił się – modlitwa snuła się niejasno – za Luizę, żeby jej było dobrze teraz i w przyszłości, żeby żadne zło nigdy nie przyszło do niej z jego powodu. Żołnierz odszedł od konfesjonału; Scobie wstał.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – powiedział: – Od ostatniej spowiedzi świętej miesiąc temu opuściłem jedną mszę świętą w niedzielę i jedną w święto obowiązujące.

– Czy były jakieś przeszkody?

– Tak, ale przy odrobinie wysiłku mogłem lepiej rozłożyć swoje zajęcia.

– Co jeszcze?
– Przez cały ten miesiąc robiłem jak najmniej. Byłem szorstki bez potrzeby dla jednego z moich ludzi... – Przerwał na długą chwilę.
– Czy to wszystko?
– Nie wiem, jak to powiedzieć, ojczy, ale czuję się... zmęczony moją religią. Tak jakby nic dla mnie nie znaczyła. Próbowałem kochać Boga, ale... – zrobił gest, którego ksiądz odwrócony bokiem za kratką nie mógł dostrzec. – Nawet nie jestem pewien, czy w ogóle wierzę.
– Często się zdarza – powiedział ksiądz – że ludzie się tym zanadto przejmują. Szczególnie tutaj. Gdybym mógł, tobym wielu ludziom dawał jako pokutę sześć miesięcy urlopu. Klimat człowieka wykańcza. Łatwo jest wziąć zmęczenie za... no, za niewiarę.
– Nie chcę ojca zatrzymywać. Inni czekają. Wiem, że to tylko przywidzenia. Ale czuję się pusty. Pusty.
– Taką właśnie chwilę Bóg czasem wybiera – rzekł ksiądz. – Teraz idź i zmów dziesiątek różańca.
– Nie mam różańca. W każdym razie...
– No. wobec tego pięć Ojczy nasz i pięć Zdrowaś.
Zaczął wypowiadać słowa rozgrzeszenia. „Ale w tym trudność – myślał Scobie – że nie ma z czego rozgrzeszać.” Słowa nie dawały żadnego uczucia ulgi, bo nie było czemu ulżyć. Stanowiły formułę: łacińskie wyrazy tłoczyły się jeden przez drugi – takie hokus-pokus. Odszedł od konfesjonału i znowu ukląkł: to także stanowiło część utartych przyzwyczajień. Wydało mu się przez chwilę, że Bóg jest zbyt dostępny. Nie ma trudności ze zbliżeniem się do Niego. Jak demagog ludowy gotów jest o każdej porze przyjąć ostatniego ze swych stronników. Spoglądając na krzyż Scobie pomyślał: „On nawet cierpi publicznie”.

Rozdział trzeci

– Przyniosłem pani kilka znaczków – rzekł Scobie. – Zbierałem je przez tydzień, od każdego. Nawet pani Carter ofiarowała wspaniałe znaczki z papugą – proszę spojrzeć, gdzieś z Południowej Ameryki. A tu jest cała seria znaczków liberyjskich z nadrukami okupacji amerykańskiej. Dostałem je od obserwatora marynarki.
Czuli się zupełnie swobodnie: właśnie dlatego obojgu wydawało się, że są bezpieczni.
– Dlaczego pani zbiera znaczki? – zapytał. – To trochę dziwne jak na kogoś, kto skończył szesnaście lat.
– Nie wiem – odparła Helena Rolt. – Ja ich właściwie nie zbieram. Tak je wożę z sobą. Myślę, że to przyzwyczajenie. – Otworzyła album i powiedziała: – Nie, to nie tylko przyzwyczajenie. Lubię to. Widzi pan tego zielonego Jerzego V za pół pensa? Pierwszy znaczek w moim zbiorze. Miałam osiem lat. Odlepiłam go nad parą z jakiejś koperty i wkleiłam do notesu, dlatego ojciec dał mi album. Moja matka umarła, więc dał mi album na znaczki... – Starła się wytłumaczyć dokładniej: – To jak zdjęcia. Takie są wygodne. Ci, co zbierają porcelanę, przecież nie mogą wozić jej z sobą. Albo książki. Ale kiedy się zbiera znaczki, nie musi się wyrywać kartek, tak jak się robi ze zdjęciami.
– Nigdy mi pani nie mówiła o swoim mężu – powiedział Scobie.
– Nie.
– Nie bardzo warto wyrywać kartkę, kiedy i tak widzi się miejsce, z którego została wyrwana?
– Tak.
– Łatwiej jest przyjść do siebie po czymś, jeśli się o tym mówi – rzekł Scobie.
– Nie w tym trudność – powiedziała. – Trudność w tym, że tak strasznie łatwo jest przyjść

do siebie.

To spadło zniecka: nie przypuszczał, że w jej wieku mogła już dojść do tego etapu wiedzy, do tego właśnie skreśtu śruby. Mówiła dalej:

– Umarł... kiedyż to, czy będzie już osiem tygodni? A jest taki umarły. Zupełnie umarły. Chyba jestem potworem.

– Nie powinna pani tak myśleć. Sądzę, że z każdym jest tak samo. Jeśli mówimy do kogoś: „Nie mogę żyć bez ciebie” – to znaczy w rzeczywistości: Nie mogę żyć z poczuciem, że może ci być źle, smutno, że możesz czegoś potrzebować. I tyle. Kiedy umierają, kończy się nasza odpowiedzialność. Nic więcej już nie da się zrobić. Możemy odpocząć w spokoju.

– Nie wiedziałam, że jestem taka twarda – rzekła Helena. – Straszliwie twarda.

– Miałem dziecko – powiedział Scobie – które umarło. Byłem wtedy tutaj. Moja żona wysłała do mnie dwa telegramy z Bexhill, jeden o piątej po południu, drugi o szóstej, ale kolejność się pomieszała. Widzi pani, chciała mi dać znać stopniowo. Dostałem jeden telegram zaraz po śniadaniu. Była ósma rano, o tej porze nie bywa wiadomości. – Nigdy dotychczas nie wspominał o tym nikomu, nawet Luizie. Teraz przytoczył dosłownie, z uwagą, teksty obu depesz. – Telegram donosił: „Kasia umarła po południu nie cierpiała niech cię Bóg błogosławi”. Drugi telegram przyszedł w porze obiadowej: „Kasia ciężko chora doktor ma nadzieję mój ukazany”. To był ten wysłany o piątej. „Ukazany”, tak przekręcili, pewnie zamiast „ukochany”. Widzi pani, trudno napisać coś bardziej beznadziejnego, żeby złagodzić wiadomość, niż „doktor ma nadzieję”.

– To straszne dla pana – powiedziała Helena.

– Nie, straszne było to, że kiedy dostałem drugi telegram, tak mi się pomąciło w głowie... pomyślałem, że zaszła jakaś pomyłka. Widocznie jeszcze żyje. Przez chwilę, póki nie zdałem sobie sprawy, co się właściwie stało, byłem rozczarowany. To było straszne. Pomyślałem, że zaczyna się niepokój i cierpienie, ale kiedy pojąłem, co się właściwie stało, już było dobrze. Umarła – mogłem zacząć o niej zapominać.

– Czy pan zapomniał?

– Nieczęsto o niej pamiętam. Widzi pani, uniknąłem widzenia jej śmierci. Moja żona przez to przeszła.

Było dlań zdumiewające, jak łatwo i szybko stali się przyjaciółmi. Przyszli ku sobie poprzez dwie śmierci, bez przemilczeń. Powiedziała: – Nie wiem, co bym zrobiła bez pana.

– Każdy by się panią zajął.

– Myślę, że się mnie boją – rzekła.

Zaśmiała się.

– Tak, boją się mnie. Porucznik Bagster, ten lotnik, wziął mnie dziś po południu na plażę, ale był spieszony. Bo nie jestem wesoła, i z powodu mojego męża. Każdy na plaży udawał, że czymś się cieszy, a ja siedziałam i uśmiechałam się i jakoś to nie wychodziło. Czy pan pamięta, jak pan poszedł pierwszy raz na przyjęcie i wchodząc na schody słyszał pan te wszystkie głosy i nie wiedział pan, jak się odezwać do ludzi? Właśnie tak się czułam, więc siedziałam w kostiumie kąpielowym pani Carter i uśmiechałam się, i Bagster gładził mnie po nogach, i chciało mi się wracać do domu.

– Już niedługo wróci pani do domu.

– Ja nie myślałam o tamtym domu. Myślałam o tym tutaj, gdzie mogę zamknąć drzwi i nie odpowiadać, gdy stukają. Nie chcę jeszcze wyjeżdżać.

– Ale przecież tutaj nie jest pani dobrze?

– Tak się boję morza – powiedziała.

– Czy śni się pani?

– Nie. Czasem śni mi się Jan i to jest znacznie gorsze. Bo zawsze miewałam o nim złe sny i nadal je mam. To znaczy, że zawsze kłóciliśmy się w snach i nadal się kłócimy.

– Czy w ogóle kłóciliście się?

– Nie. Był dla mnie najmiłszy. Byliśmy dopiero miesiąc po ślubie, wie pan. Nietrudno być miłym przez taki okres, prawda? Kiedy się to stało, doprawdy jeszcze nie miałam czasu, żeby się rozeznąć.

Pomyślał, że chyba nigdy nie umiała się rozeznąć, w każdym razie od chwili, gdy opuściła drużynę siatkówki; czy to było rok temu? Czasem widział ją, jak leży w łodzi na oleistym, monotonnym morzu-, dzień po dniu, z tym drugim dzieckiem bliskim śmierci i z oszalałym marynarzem, i z panią Malcott, i z inżynierem naczelnym, który czuł się odpowiedzialny wobec właścicieli; czasem znów widział ją na noszach, ściskającą album ze znaczkami, a teraz widział ją w pożyczonym nietwarzowym kostiumie kąpielowym, jak uśmiechała się do Bagstera, który gładzi ją po nogach, jak słucha śmiechów i plusków, nie zna etykiety dorosłych... Poczul ze smutkiem, że odpowiedzialność – niby wieczorny przypływ – wynosi go na brzeg.

– Czy pisała pani do ojca?

– Och, tak, naturalnie. Zadepeszował, że organizuje sprawę mego przyjazdu. Nie wiem, co może organizować z Bury, biedaczek. Nie zna w ogóle nikogo. Zadepeszował też naturalnie o Janie. – Podniosła poduszkę z krzesła i wyciągnęła telegram. – Niech pan przeczyta. On jest najmiłszy, ale naturalnie nic o mnie nie wie.

Scobie przeczytał:

Boję z tobą głęboko, ukochane dziecko, ale parnę taj o jego szczęściu, twój kochający ojciec.

Pieczęć datownika i nazwa miejscowości, skąd wyszła depeza, uświadomiły mu olbrzymią odległość między ojcem a dzieckiem. Zapytał: – Jak pani to rozumie, że nic a nic nie wie?

– Widzi pan, wierzy w Boga i w niebo, takie tam rzeczy.

– A pani nie?

– Dałam temu spokój, kiedy wyszłam ze szkoły. Jan pokpiwał sobie z tego, całkiem łagodnie, wie pan. Ojciec się tym nie przejmował. Ale nie wiedział wcale, że myślałam tak jak Jan. Kiedy się jest córką duchownego, mnóstwo rzeczy trzeba udawać. Ojciec nie zniósłby tego, gdyby wiedział, że Jan i ja... że byliśmy razem, no, ze dwa tygodnie przed ślubem.

Znowu wstał przed nim obraz kogoś, kto nie może się rozeznąć: nic dziwnego, że Bagster się spieszył. „Bagster nie jest człowiekiem, który by brał na siebie odpowiedzialność, a jakżeby można złożyć odpowiedzialność za cokolwiek – myślał Scobie – na to głupie, przerażone dziecko?” Pogrzebał w kupce znaczków, które dla niej zbierał, i powiedział:

– Ciekaw jestem, co pani robi, gdy pani wróci do domu?

– Przypuszczam – odparła – że mnie zmobilizują. „Gdyby moja córka żyła – pomyślał – zostałaby także zmobilizowana, rzucona do jakiejś ponurej sali sypialnej, zdana na własne siły. Po Atlantyku – pomocnicza służba terytorialna albo pomocnicza służba lotnicza kobiet, wrzaskliwy sierżant z wielkim biustem, kuchnia i obierzyny kartofli, oficer-lesbijka, z wąskimi wargami i schludnymi złotymi włosami, mężczyźni czekający na błoniach za obozem, wśród krzaków janowca... w porównaniu z tym nawet Atlantyck jest z pewnością bardziej domem.”

Powiedział: – Czy zna pani stenografię? Języki? – Tylko ludzie mądrzy, przebiegli, wpływowi, unikali wojennego losu.

– Nie. Właściwie do niczego się nie nadaje.

Nie sposób pomyśleć, by została wyratowana z morza, a potem odrzucona jak ryba, której nie

warto było złowić.

Zapytał: – Czy umie pani pisać na maszynie?

– Stukam całkiem prędko jednym palcem.

– Myślę, że mogłaby pani dostać tu posadę. Bardzo nam brakuje sekretarek. Wszystkie żony, wie pani, pracują w Sekretariacie, ale to jeszcze za mało. Tylko, że to zły klimat dla kobiety.

– Chciałabym zostać. Wypijmy coś na tę intencję. Boy, boy! – zawołała.

– Wprawia się pani – rzekł Scobie. – Tydzień temu tak się go pani bała...

Wszedł boy z tacą zastawioną szklankami, cytrynami, wodą, nową butelką ginu.

– To nie ten boy, z którym rozmawiałem – rzekł Scobie.

– Nie, tamten odszedł. Za ostro pan z nim mówił.

– I wtedy ten przyszedł?

– Tak.

– Jak się nazywasz chłopcze?

– Vande, pan.

– Już cię gdzieś widziałem, prawda?

– Nie, pan.

– Kto ja jestem?

– Wielki policjant, pan.

– Niechże pan tego boya nie wypłoszy – powiedziała Helena.

– U kogo byłeś przedtem?

– U komisarz okręgowy Pemberton w puszcza, pan. Ja być mały boy.

– Czy ja cię tam nie widziałem? – rzekł Scobie. – Chyba tak. Dogłądaj teraz pani jak należy, a jak pojedzie do domu, dam ci wielką posadę. Pamiętaj.

– Tak, pan.

– Nie obejrzała pani znaczków – rzekł Scobie.

– Rzeczywiście, nie.

Kropła ginu upadła na jeden ze znaczków i splamiła go. Patrzył na nią, jak wyciąga ten znaczek ze stosu innych – widział proste włosy spadające mysimi ogonkami na kark, jakby Atlantyk raz na zawsze odebrał im siłę; widział zapadniętą twarz. Wydało mu się, że nie czuł się tak swobodnie z drugim człowiekiem od lat, od czasu, kiedy Luiza była młoda. Ale tym razem – mówił sobie – jest inaczej; są z sobą bezpieczni. Był starszy o przeszło trzydzieści lat. Jego ciało zatraciło w tym klimacie instynkt rozkoszy. Spoglądał na nią ze smutkiem i z czułością, i z ogromną litością, bo przyjdzie czas, kiedy nie będzie mógł oprowadzać jej po świecie, po którym błąkała się jak po morzu. Gdy się odwróciła i światło padło na jej twarz, dostrzegł jej brzydotę, przejściową brzydotę dziecka. Brzydota była dlań niby kajdanki na rękach.

– Znaczek się zniszczył. Znajdę pani nowy znaczek – powiedział.

– Och, nie – odparła. – Wkleję go tak. Nie jestem prawdziwym zbieraczem.

Nie miał poczucia odpowiedzialności wobec ludzi pięknych, inteligentnych, pełnych wdzięku. Mogli sami dać sobie radę. Czuł się powołany do wiernej służby wobec twarzy, dla której nikt by nie postąpił kroku, twarzy, która nigdy nie ściągnie ukradkowego spojrzenia, która wkrótce przywyknie do odmowy i obojętności. Słowo litość używane bywa tak samo lekkomyślnie jak słowo miłość: straszna, rozwiązała namiętność, której doświadcza tak niewielu.

– Widzi pan, ilekroć zobaczę tę plamkę, zobaczę także ten pokój.

– Więc to będzie jakby zdjęcie.

– Można wyrzucić znaczek – rzekła ze straszną, młodzieńczą przenikliwością – i nawet się nie wie, że tam kiedyś był. – Nagle obróciła się ku niemu i powiedziała: – Tak dobrze jest rozmawiać z panem. Mogę powiedzieć wszystko, co chcę. Nie boję się pana urazić. Nie chce pan

ode mnie niczego. Jestem bezpieczna.

– Oboje jesteśmy bezpieczni. – Otaczał ich deszcz, padający regularnie na blaszany dach.

Powiedziała nagle, z namietnością:

– Mój Boże, jaki pan jest dobry.

– Nie.

– Mam uczucie, że nigdy by mnie pan nie zawiódł.

Słowa te przysły doń jak rozkaz, którego musi usłuchać wbrew wszelkim trudnościom. Jej ręce były pełne głupich strzępków papieru, które przyniósł. Powiedziała: – Zatrzymam je na zawsze. Nigdy nie będę musiała ich wyrwać.

Ktoś zastukał do drzwi i jakiś głos powiedział wesoło: – Freddie Bagster. To tylko ja, Freddie Bagster.

– Proszę nie odpowiadać – szepnęła – nie odpowiadać. Wsunęła dłoń w jego dłoń i patrzyła na drzwi z ustami lekko otwartymi, jakby jej zabrakło tchu. Poczuł się jak wobec zwierzęcia, które wpędzono do nory.

– Wpuść Freddiego – przymilał się głos. – Bądź fajna. To tylko ja, Freddie Bagster. – Gość był podпиты.

Stała przyciśnięta do niego, opierając dłoń na jego boku. Kiedy oddalił się stuk kroków Bagstera, uniosła twarz i pocałowali się. To, co oboje uważali za bezpieczeństwo, okazało się maską wroga, który działa pod osłoną przyjaźni, zaufania i litości.

Deszcz lał nieustannie, zmieniając ponownie w bagno spłacheć osuszonego gruntu, na którym stał jego dom. Okno jego pokoju szamotało się tam i z powrotem; w ciągu nocy uderzenie wichru wyłamało haczyk. Deszcz wdarł się do środka, toaletka ociekała wodą, na podłodze stała kałuża. Budzik wskazywał czwartą dwadzieścia pięć. Scobie czuł się tak, jakby powrócił do domu, który opuszczono przed laty. Nie zdziwiłby się znajdując pajęczyny na lustrze, moskitierę w strzępach i mysie brudy na podłodze.

Usiadł na krześle, a woda spływała ze spodni i tworzyła drugą kałużę wokół moskitowych butów. Zapomniał wziąć parasol wyruszając do domu z dziwnym rozradowaniem, jakby był odzyskał coś, co utracił, coś, co należało do jego młodości. W mokrych i zgiełkliwych ciemnościach podniósł nawet głos i spróbował urywku z piosenki Frasera, ale głos jego był bezdźwięczny. Teraz, gdzieś między Fińskim domkiem a domem, zagubił swoją radość.

Zbudził się o czwartej rano. Jej głowa leżała u jego boku i czuł na piersiach jej włosy. Wyciągając rękę poza siatkę zapalił światło. Leżała w dziwnej, skurczonej pozycji, jak ktoś, kogo zastrzelono w ucieczce. Wydało mu się przez chwilę – nawet wtedy, nim zbudziły się jego czułość i zadowolenie – że patrzył na kawał mięsa armatniego. Pierwsze słowa, które wyrzekła, kiedy ją zbudziło światło, brzmiały: – Niech diabli wezmą Bagstera.

– Czy ci się coś śniło?

– Śniło mi się, że zblądziłam na bagnach i że Bagster mnie znalazł.

– Muszę iść – powiedział. – Jeśli teraz zaśniemy, zbudzimy się dopiero, gdy będzie jasno.

– Zaczął myśleć uważnie za nich oboje. Jak zbrodniarz zaczął formować we własnej głowie zbrodnię, której nie da się wytropić; planował naprzód ruchy. Po raz pierwszy w życiu wdał się w długie, legalistyczne argumenty oszustwa. Jeżeli tak i tak... to wtedy znowu tak. – O której przychodzi twój boy?

Myślę, że koło szóstej. Nie wiem. Budzi mnie o siódmej.

– Ali zaczyna mi grzać wodę mniej więcej kwadrans przed szóstą. Już lepiej pójdę, kochanie.

Rozejrzał się uważnie dokoła za znakami swej obecności, wyprostował matę i zawahał się nad popielniczką. A na zakończenie tego wszystkiego zostawił parasol oparty o ścianę. Wydało mu

się to typowym postępkiem zbrodniarza. Kiedy przypomniał mu o tym deszcz, było za późno, by wracać. Musiałby walić do jej drzwi, a już zapaliło się światło w jednym z domków. Stojąc w swoim pokoju z butem moskitowym w ręku myślał ze znużeniem i czczością: „W przyszłości muszę się poprawić”.

W przyszłości – tu właśnie leżał smutek. To zdaje się motyl umiera w akcie miłosnym? Ludzie są jednak skazani na konsekwencje. Odpowiedzialność, na równi z winą, to jego sprawa – nie był jakimś Bagsterem: wiedział, co robi. Przysiągł, że chronić będzie szczęście Luizy, a teraz przyjął inną, sprzeczną odpowiedzialność. Czuł się zmęczony wszystkimi kłamstwami, które kiedyś będzie musiał powiedzieć; czuł rany tych ofiar, które się jeszcze nie skrwawiły. Leżąc na poduszce spoglądał bezsennie ku szaremu porannemu przyprawowi. Gdzieś na obliczu tych mrocznych wód falowało poczucie innej jeszcze krzywdy i innej ofiary – nie była nią Luiza ani Helena. W mieście koguty zaczęły przed czasem okrzykiwać świt.

Część druga

Rozdział pierwszy

– No tak. Co myślisz o tym? – spytał Harris ze źle skrywaną dumą. Stał w drzwiach domku; Wilson wszedł pierwszy do środka sunąc ostrożnie między brązowymi patykami służbowych mebli jak seter po ścierni.

– Lepiej niż w hotelu – powiedział Wilson ostrożnie, wystawiając nos w kierunku służbowego fotela.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę, jak wrócisz z Lagos.

Harris podzielił fiński domek zasłonami na trzy części: była tu sypialnia dla każdego z nich i wspólny salon.

– Tylko jedna rzecz mnie martwi. Nie wiem, czy są tu karaluchy.

– No, przecież po to graliśmy w tę grę, żeby się ich pozbyć.

– Wiem, ale właściwie trochę szkoda, no nie?

– Kto z nami sąsiaduje?

– Pani Rolt, ta, co miała tę historię z łodzią podwodną, dwóch gości z departamentu robót publicznych i niejaki Cive z wydziału rolnictwa. I jeszcze Boling, od kanalizacji. Zdaje się, że to miła, swojska paczka. I naturalnie Scobie, tam dalej.

– Aha.

Wilson kręcił się niespokojnie po domku. Nagle stanął przed fotografią, którą Harris oparł o służbowy kałamarz. Widać było na niej trzy długie rzędy chłopców na łące. Pierwszy rząd kucnął po turecku na trawie, drugi siedział na krzesłach, pośrodku tkwił starszy mężczyzna i dwie kobiety (jedna miała zęza). Chłopcy byli ubrani w wysokie, sztywne kołnierzyki. Trzeci rząd stał.

– Mógłbym przysiąc, że już gdzieś widziałem tę zezowatą babę – powiedział Wilson.

– Czy słowo »Grzechotnica« nic ci nie przypomina?

– Co? Tak, naturalnie. – Spojrzał z bliska. – Więc ty także byłeś w tej dziurze?

– Zobaczyłem u ciebie „Downhamianina” i wyłowilem to, żeby ci zrobić niespodziankę. Byłem u Jaggera. A ty?

– Ja u Proga – rzekł Wilson.

– No cóż – zgodził się Harris z rozczarowaniem – trafiali się fajni goście między tymi bubkami od Proga. – Odłożył fotografię, jakby była czymś, co się nie całkiem udało.

Myślałem, że moglibyśmy urządzić obiad byłych Downhamian.

Po co? – spytał Wilson. – Jest nas tylko dwóch.

– Każdy z nas mógłby zaprosić gościa.

– Nie rozumiem, na czym by polegał dowcip.

Harris powiedział z goryczą:

– To ty jesteś prawdziwym Downhamianin, nie ja. Nigdy nie należałem do związku. Ty dostajesz pismo. Myślałem, że może interesujesz się szkołą.

– Mój ojciec zapisał mnie na dożywotniego członka i ciągle posyła mi to cholerne piśmidło – rzekł Wilson porywczo.

– Leżało koło twojego łóżka. Myślałem, że je czytasz.

– Może je przerzucąłem.

– Jest tam kawałek o mnie. Chcą znać mój adres.

– Och, przecież wiesz, o co chodzi – powiedział Wilson. – Wysyłają apel do każdego byłego Downhamianina, którego udaje im się wygrzebać. Boazeria w Sali Fundatorów wymaga naprawy. Na twoim miejscu siedziałbym cicho z adresem. – Należał do tych – (akie wrażenie odniósł Harris – którzy zawsze wiedzą, co się święci, którzy potrafią z góry przewidzieć, kiedy będzie koniec roku szkolnego, którzy słyszeli, czemu taki i taki nie wrócił po feriach i o co chodziło na specjalnej sesji rady pedagogicznej. Parę tygodni temu był „nowym” – Harris z radością zaprzyjaźnił się z nim, oprowadzał go; pamiętał ten wieczór, kiedy Wilson o mało nie włożył wieczorowego stroju na przyjęcie u Syryjczyka. Ale Harrisowi pisane było od pierwszego roku w szkole widzieć, jak szybko dorastają „nowi”; w pierwszym kwartale był ich życzliwym mentorem, w następnym go lekceważyli. Nigdy nie umiał robić postępów tak szybkich jak ostatni, niewypierzony nowicjusz. Pamiętał, że nawet w grze karaluchowej, którą przecie on wymyślił, jego prawidła zostały zakwestionowane już pierwszego wieczoru.

Powiedział ze smutkiem: – Przypuszczam, że masz rację, może jednak nie poślę listu – i dodał pokornie: – Zająłem łóżko po tej stronie, ale mi zupełnie wszystko jedno, które...

– Och, tak jest doskonale – rzekł Wilson.

– Wziąłem tylko jednego służącego. Myślałem, że moglibyśmy trochę zaoszczędzić, mając go do spółki.

– Im mniej boyów będzie się tu kręcić, tym lepiej – odparł Wilson.

Ta noc była pierwszą nocą ich koleżeństwa. Czytali siedząc na bliźniaczych służbowych krzesłach wśród zasłon zaciemnienia. Na stole stała butelka whisky dla Wilsona i butelka wody zaprawionej cytryną dla Harrisa. Spłynęło nań poczucie niezwykłego spokoju, deszcz dzwonił regularnie po dachu, a Wilson czytał Wallace’a. Od czasu do czasu jakiś pijaczyna z messy RAF-u przechodził pokrzykując albo przelatując samochodem, lecz to tylko zwiększało poczucie spokoju wewnątrz domku. Czasem oczy Harrisa zbłądziły ku ścianie w poszukiwaniu karakona, ale nie można było przecie mieć wszystkiego naraz...

– Czy masz pod ręką „Downhamianina” stary? Miałbym ochotę jeszcze raz rzucić okiem. Ta książka jest taka nudna.

– Na toalecie leży nowy numer, nie rozpakowany.

– Pozwolisz, że go otworzę?

– No pewnie, otwieraj sobie!

Harris odszukał najpierw dział byłych Downhamian i przeczytał ponownie, że nadal poszukuje się wiadomości o miejscu zamieszkania H. R. Harrisa(1917 – 1921). Zastanowił się, czy Wilson jednak się nie myli; nie było tu ani słowa o boazerii w hallu. „Może ostatecznie wyślę ten list.” Wyobraził sobie odpowiedź, którą mógłby dostać od sekretarza.

Drogi kolego – jakoś tak by to brzmiało – ucieszyliśmy się wszyscy pańskim listem z tamtych romantycznych stron. Czyby nam pan nie przysłał artykułu do naszego pisma? Zapytuję przy okazji, co by pan powiedział na członkostwo Związku Byłych Downhamian? Zauważyłem, że dotychczas nie jest pan członkiem. W imieniu wszystkich byłych Downhamian stwierdzam, że byłoby nam miło, gdyby pan przystąpił do Związku.

Spróbował smaku zdania: „Bylibyśmy dumni”, ale odrzucił tę wersję. Był realistą.

Downhamowi powiodło się całkiem dobrze w pierwszym kwartale. Zdobył jedną bramkę na Harpendenie, dwie na Merchant Taylors i zremisował z Lancingiem. Ducker i Tierney grali przebojowo w ataku, ale podania pomocy były nadal nie dość szybkie. Odwrócił stronę i

przeczytał, że Towarzystwo Operowe dało doskonałe przedstawienie „Cierpliwości” w Sali Fundatorów. F.J.K., który niewątpliwie był nauczycielem angielskiego, pisał:

Lane w roli Bunthorne a wykazał subtelne poczucie estetyczne, które wprawiało w podziw jego kolegów z piątej B. Nigdy dotychczas nie myśleliśmy w związku z Lane'em o koronkach lub o mimozie, ale przekonał nas, że się myliliśmy. Brawo, Lane.

Harris przerzucił sprawozdania z zawodów sportowych, opowieść pod tytułem: „W starym zegarze”, która zaczynała się tak:

Ściany Downhamu – czerwona cegła w żółtych obwódkach, przedziwne wieżyczki, średniowieckie ozdoby rynien – wszystko to zjeżyło się teraz wokół niego; buty tupwały po kamiennych schodach, a pęknięty dzwonek budził go do jeszcze jednego nędznego dnia. Poczł lojalność, jaką wszyscy czujemy wobec nieszczęścia: oto tu jesteśmy naprawdę przynależni. Oczy jego napełniły się łzami, pociągnął łyk wody z sokiem i pomyślał: „Wrzucę ten list, choćby Wilson mówił nie wiem co”. Ktoś na dworze wrzasnął: – Bagster! Gdzie jesteś, Bagster, ty alfonsie? – i wlaż w kałużę. Mogłoby to być w Downham, tylko naturalnie tam nie byłiby użyli t e g o słowa.

Harris obrócił kilka stron, aż wpadł mu w oko tytuł jakiegoś wiersza. Brzmiał on: „Zachodnie Wybrzeże” i dedykowany był „dla L.S.”. Harris niezbyt interesował się poezją, ale wydało mu się ciekawe, że gdzieś na tym olbrzymim pasie piachu i woni istnieje trzeci były Downhamianin.

*Dziś nowy Tristan wzniosł puchar zatruty
Morze się w słońcu iskrzyło.
Palmy tęskniły nowy Marek patrzył,
Jak gaśnie jego miłość.*

Wydało się to Harrisowi niejasne; przebiegł szybko wzrokiem następne wiersze aż do inicjałów na dole: E. W. O mało nie krzyknął głośno, ale powstrzymał się w porę. W tej ciasnej kwaterze, którą teraz dzielili ze sobą, należało uważać. Nie było tu miejsca na kłótnie. „Któż to jest L.S. – zastanawiał się – przecież to nie może być...” Sama myśl o tym skrzywiła mu wargi okrutnym uśmiechem.

Powiedział: – Niewiele ciekawego w tym piśmie. Pobiliśmy Harpenden. Jest wiersz pod tytułem „Zachodnie Wybrzeże”. Pewnie siedzi tu gdzieś jeszcze jeden biedak.

- Och.
- Nieszczęśliwie zakochany. Nie czytuję wierszy.
- Ja też nie – skłamał Wilson za barierą Wallace'a.

Mało brakowało, a byłby wpadł. Leżał teraz w łóżku na wznak, słuchał bębnienia deszczu po dachu i ciężkiego oddechu byłego Downhamianina po drugiej stronie zasłony. Miał wrażenie, jakby ohydne lata wyciągnęły się poprzez mgłę, która go od nich dzieliła, żeby go znowu otoczyć. Co za szaleństwo skłoniło go do wysłania tego wiersza do „Downhamianina”? Ale to nie było szaleństwo. Dawno już stał się niezdolny do czegoś tak uczciwego jak szaleństwo. Zaliczał się do tych, którzy od dzieciństwa skazani są na zawilość. Wiedział, co zamierzał zrobić: chciał wyciąć wiersz bez podania jego źródła i posłać go Luizie. Nie był to wiersz całkiem w jej guście, zdawał sobie z tego sprawę, ale z pewnością – tłumaczył sobie – zrobi na niej pewne wrażenie sam fakt, że wiersz jest drukowany. Gdyby go zapytała, gdzie się ukazał, byłoby łatwo wymyślić jakiś wiarygodny, kokieterijny tytuł. „Downhamianin” był na szczęście drukowany porządnie, na dobrym papierze. Wprawdzie Wilson musiałby – rzecz prosta – nalepić wycinek

na nieprzezroczystej kartce, aby ukryć to, co wydrukowane po drugiej stronie, ale nietrudno będzie znaleźć jakieś wyjaśnienie tego faktu. Jego zawód jakby z wolna pochłaniał całe życie, tak samo jak przedtem szkoła. Jego zawodem było kłamać, mieć w pogotowiu prędkie zmyślenie, nigdy się nie zdradzić; życie prywatne układało mu się podług tego wzoru. Leżał na znak w mdłym przyływie obrzydzenia, do samego siebie.

Deszcz chwilowo ustał. Była to jedna z tych chłodnych przerw, które wynagradzają bezsenność. W ciężkich snach Harrisa deszcz padał nieprzerwanie. Wilson wstał cicho i przygotował sobie środek nasenny; ziarenka zasyczały na dnie szklanki. Harris coś powiedział chrapliwie i obrócił się na drugi bok za zasłoną. Wilson poświecił latarką na zegarek i odczytał – druga dwadzieścia pięć. Idąc na palcach do drzwi, by nie obudzić Harrisa, poczuł żądełko jiggera pod paznokciem bosej stopy. Rano musi kazać boyowi go wyciągnąć. Stał na cementowym chodniczku ponad bagnistym terenem; chłodny wiatr targał rozpiętą kurtkę pizamy. Wszystkie domki tonęły w ciemnościach, a płyty deszczowych chmur sunęły w górę przez księżyc. Wilson miał się właśnie odwrócić, kiedy usłyszał, że ktoś potknął się w odległości kilku metrów. Zapalił latarkę. Oświetliła pochylone plecy mężczyzny śpieszącego między domkami w kierunku drogi.

– Scobie! – wykrzyknął Wilson i mężczyzna odwrócił się.

– Halo, Wilson – rzekł Scobie – nie wiedziałem, że pan tu mieszka.

– Mieszkamy razem z Harrisem – rzekł Wilson, patrząc na człowieka, który widział kiedyś jego łzy.

– Wyszedłem się przespacerować – rzekł Scobie nieprzekonywająco – nie mogłem zasnąć.

– Wydało się Wilsonowi, że Scobie jest dotychczas nowicjuszem w świecie obłudy; nie przebywał w nim od dzieciństwa. Wilson poczuł dziwną, starczą zazdrość wobec tamtego. Tak jakby stary kryminalista mógł zazdrościć młodemu łotrzykowi, odsiadującemu pierwszą karę, dla którego to wszystko nowość.

Wilson siedział w swoim dusznym pokoiku w biurze UAC. Kilka ksiąg kasowych i rejestrów firmy, oprawnych w półskórek, tworzyło barierę między nim i drzwiami. Ukradkiem, jak uczniak ze ściągaczką.

Wilson pracował za tą barierą nad szyframi odczytując telegram. Terminarz reklamowy ukazywał datę sprzed tygodnia – 20 czerwca – i motto:

„Najpewniejszy kapitał to uczciwość i przedsiębiorczość. – Wiliam P. Cornforth”.

Któryś z kancelistów zastukał i powiedział: – Jest tu do pana Murzyn z karteczką.

– Od kogo?

– Mówi, że od Browna.

– Panie drogi, niech no go pan zatrzyma minutkę, a potem za frak faceta i dawaj go pan tu. – Choć Wilson ćwiczył bardzo pilnie, ten rodzaj gwary brzmiał nienaturalnie w jego ustach. Złożył telegram i wetknął go do księgi szyfrów, żeby nie zgubić strony; potem wsadził telegram i księgę do kasy i na koniec zamknął drzwiczki. Nalewając sobie szklankę wody wyrzwał na ulicę; z głowami owiniętymi w jaskrawe bawełniane chusty przesuwały się mammy pod swymi kolorowymi parasolami. Ich niezgrabne bawełniane suknie opadały do kostek; jedna ozdobiona wzorem z pudełek zapalczanych, druga w lampy naftowe, trzecia – ostatni transport z Manchesteru – pokryta fiołkowymi zapalniczkami na żółtym tle. Przeszła naga do pasa młoda dziewczyna, lśniąc w deszczu; Wilson patrzył na nią z melancholijną poządlivością, póki nie zniknęła mu z oczu. Przełknął ślinę i odwrócił się, kiedy otwarto drzwi.

– Zamknij drzwi.

Boy usłuchał. Włożył chyba najlepsze swoje ubranie na tę ranną wizytę; biała bawełniana koszula wyrzucona była na białe szorty. Tenisówki odznaczały się, mimo deszczu, niepokalaną czystością, chociaż palce z nich wystawały.

– Ty mały boy u Yusefa.

– Tak, pan.

– Ty dostać wiadomość – mówił Wilson – od mój boy. On ci powiedziec, co ja chciec, he? To twój mały brat, tak?

– Tak, pan.

– Ten sam ojciec?

– Tak, pan.

– On mówić, to dobry boy, uczciwy. Ty chciec być służący, he?

– Tak, pan.

– Umieć czytać?

– Nie, pan.

– Pisać?

– Nie, pan.

– Ty mieć oczy w głowie? Dobre uszy? Widzieć wszystko? Słyszeć wszystko? – Boy uśmiechnął się – szpara bieli na szarej, słoniowej skórze; jego pulchna twarz wyglądała inteligentnie. Wilson cenił inteligencję bardziej niż uczciwość. Uczciwość była bronią obosieczną, natomiast inteligencja umiała rachować. Inteligencja była świadoma tego, że Syryjczyk może pewnego dnia odjechać do domu, do własnego kraju; ale Anglicy zostają. Inteligencja wiedziała, że dobrze jest pracować dla rządu, jakikolwiek by on był. – Ile ty zarabiać, mały boy?

– Dziesięć szylingi.

– Ja ci zapłacić pięć szylingi więcej. Jeżeli Yusef ciebie wyrzucić, ja ci zapłacić dziesięć szylingi. Jeżeli ty zostać z Yusefem rok i dawać mnie dobra informacja – prawdziwa informacja, nie kłamać, ja ci dać posada służący u biały człowiek. Ty rozumieć?

– Tak, pan.

– Jeżeli ty mnie mówić kłamstwo, ty iść do więzienia. Może tam cię zastrzelą. Ja nie wiem, mnie to nie obchodzi. Ty rozumieć?

– Tak, pan.

– Ty co dzień widzieć twój brat na targu. Ty mówić jemu, kto przychodzi do domu Yusefa. Mówić, gdzie Yusef idzie. Mówić mi, jaki obcy boy przychodzi do domu Yusefa. Ty nie kłamać, ty mówić prawdę. Nie humbug. Jeżeli nikt nie przychodzi do domu Yusefa, ty mówić nikt. Ty nie robić wielkie kłamstwo. Jeżeli ty mówić kłamstwo, ja wiem, i ty iść prosto do więzienia.

Nużąca recytacja trwała dalej. Wilson nigdy nie był całkiem pewien, ile z tego rozumiano. Pot spływał mu z czoła, a chłodna twarz boya irytowała go jak oskarżenie, którego nie mógł odeprzeć.

– Ty pójść do więzienia i ty zostać w więzienie mnóstwo długi czas. – Słyszał własny głos, łamiący się od chęci wywarcia wrażenia; słyszał sam siebie niby parodię białego człowieka na scenie music-hallu. Powiedział:

– Scobie? Ty znać majora Scobie?

– Tak, pan. On bardzo dobry człowiek, pan. – Były to pierwsze słowa, prócz tak i nie, jakie wyrzekł boy.

– Czy ty widzisz go u twojego pana?

– Tak, pan.

– Jak często?

- Jeden raz, dwa razy, pan.
- On i twój pan to przyjaciele?
- Mój pan myśleć, że major Scobie bardzo dobry człowiek, pan.

Powtórzenie tego zdania rozzłościło Wilsona. Wybuchnął wściekle: – Nie chcę słyszeć, czy jest dobry, czy nie. Chcę wiedzieć, czy widuje się z Yusefem, rozumiesz? O czym rozmawiają? Czasem zanosisz im coś do picia, gdy służący jest zajęty? Co wtedy słyszysz?

– Ostatni raz oni mieli wielki palaver – oznajmił boy przymilnie, jakby odsłaniał skrawek swych towarów.

- No widzisz. Chcę wiedzieć wszystko. Jaki to był palaver?
- Kiedy raz major Scobie odejść, mój pan położyć poduszka prosto na twarz.
- Cóż do licha chcesz przez to powiedzieć?

Boy skrzyżował ramiona na twarzy gestem pełnym wielkiej godności i odparł:

- Jego oczy zamoczyć poduszka.
- Wielki Boże – rzekł Wilson – co za nadzwyczajna historia.
- Potem on pić mnóstwo whisky i iść spać – dziesięć, dwanaście godzin. Potem on iść do skład na Bond Street i robić mnóstwo piekło.

- Czemu?
- On mówić, oni robić humbug.
- Co to ma wspólnego z majorem Scobie?

Boy wzruszył ramionami. Jak tylekroć przedtem, Wilson odniósł wrażenie, że zamykają się przed nim jakieś drzwi. Nieodmiennie zostawał na zewnątrz.

Kiedy boy odszedł, otworzył ponownie kasę, przekręcając uchwyt najpierw w lewo na 32 – jego wiek, potem w prawo na 10 – rok jego urodzenia, potem znów w lewo na 65 – numer jego domu na Western Avenue w Pinner, i wydobył księgę szyfrów. 32946 78523 97042. Szeregi liczb, jedno po drugim, przepływały mu przed oczami. Telegram miał nagłówek: „Pilny”, inaczej byłby odłożył rozszyfrowanie na wieczór. Wiedział, jakie to w gruncie rzeczy mało ważne; jak zawsze statek opuścił Lobito, wioząc, jak zawsze, podejrzanych – diamenty, diamenty, diamenty. Kiedy rozszyfruje telegram, wręczy go komisarzowi. Komisarz, który znosi to wszystko cierpliwie, zapewne będzie już miał tę samą albo sprzeczną informację od M. I. 5 czy jakiejś innej tajnej organizacji, jednej z tych, co puszczają korzenie na wybrzeżu jak drzewa mangowe. Nie ruszać ale nie powtórzyć nie ujawnić P. Ferreira pasażer I klasy. Ferreira był zapewne agentem, zwerbowanym na statek przez organizację Wilsona. Było zupełnie możliwe, że komisarz dostał jednocześnie wiadomość od pułkownika Wrighta, że P. Ferreira jest podejrzany o przewóz diamentów i że należy go skrupulatnie obszukać. 72391 87052 63847 92034. Jak się to robi, żeby jednocześnie nie ruszać, nie powtórzyć, nie ujawnić i skrupulatnie obszukać pana Ferreirę? Na szczęście to nie jego zmartwienie. Może Scobiego będzie o to głowa boleć.

Znowu podszedł do okna, żeby się napić wody, i znowu zobaczył, jak przechodziła sama dziewczyna. Może to zresztą nie była ta sama dziewczyna. Patrzył, jak woda spływa między cienkimi niby skrzydełka łopatkami. Przypomniał sobie, że był czas, kiedy nie zauważał czarnej skóry. Poczł się tak, jakby spędził na tym wybrzeżu lata, nie miesiące; wszystkie lata między okresem dojrzenia a męskością.

Wychodzisz? – zapytał Harris ze zdziwieniem. – Dokąd to?

- Tylko do miasta – odparł Wilson, rozluźniając sznurowadła moskitowych butów.
- Cóż ty u licha masz do roboty w mieście o tej porze?
- Interesy – rzekł Wilson.

„No tak – myślał – są to swego rodzaju interesy, niewesołe interesy, które załatwia się

samemu, bez przyjaciół.”

Parę tygodni temu kupił używany samochód, pierwszy samochód, jaki w ogóle posiadał, i nie był jeszcze zbyt pewnym kierowcą. Żaden mechanizm nie wytrzymał długo w tym klimacie: co kilkaset metrów Wilson musiał wycierać chustką przednią szybę. W Kru Town drzwi nędznych domków stały otworem, a rodziny siedziały wokół lamp naftowych czekając, aż będzie dosyć chłodno, by móc spać. Zdechły pies leżał w rynsztoku, deszcz spływał po jego wzdętym brzuchu. Wilson jechał na drugim biegu, w tempie niemal spacerowym, bo reflektory samochodów cywilnych przepisowo zaciemniano do rozmiarów karty wizytowej i nie widział dalej niż na piętnaście kroków. Upłynęło dziesięć minut, nim dotarł do wielkiego drzewa bawełnianego koło posterunku policji. Nie świeciło się w żadnym z pokoi oficerskich; postawił samochód przed głównym wejściem. Gdyby ktoś go tam zobaczył, przypuszczałby, że Wilson jest w środku. Otworzył drzwiczki. Przez chwilę siedział, wahając się. Obraz dziewczyny przechodzącej w deszczu klócił się z obrazem Harrisa leżącego na wznak i czytającego książkę, ze szklanką soku pod ręką. Pomyślał ze smutkiem, w miarę jak żądza brała górę, ile to kłopotu; czczość posmaku, który zostawał po tym wszystkim, ogarniała go już z góry.

Zapomniał wziąć parasol i przemókł do nitki, nim przeszedł dziesiątek metrów. Gnała go teraz, bardziej od żądy, namiętność ciekawości. Prędzej czy później, gdy się gdzieś mieszka, trzeba spróbować miejscowych towarów. Tak jakby się miało tabliczkę czekolady zamkniętą w szufladzie. Dopóki zawartość tkwi w opakowaniu, zbytnio zajmuje myśli. „Kiedy się to załatwi, będę mógł napisać drugi wiersz do Luizy” – pomyślał.

Burdel był krytym blachą bungalowem, w połowie wzgórza, po prawej stronie. Podczas suszy dziewczyny siadywały przed domem, nad rynsztokiem, jak wróble; gawędziły z policjantem, który miał służbę na szczycie wzgórza. Ulicy nigdy nie naprawiano, tak że nikt nie przejeżdżał tamtędy po drodze do portu czy do katedry; można było nie wiedzieć o burdelu. Teraz zwracał ku błotnistej ulicy zamkniętej, milczący front, w którym widniał tylko jeden otwór: drzwi przytrzymane brukowcem, wiodące na korytarz. Wilson spojrzał prędko w prawo i w lewo i wszedł do środka.

Przed laty korytarz był bielony i tynkowany, ale szczury wygryzły dziury w tynku, a ludzie zniszczyli biel gryzmołami i podpisami nasmarowanymi ołówkiem. Ściany były wytatuowane – jak ramię marynarza – inicjałami, datami, nie brakło nawet serca przebitego strzałą. Z początku wydawało się Wilsonowi, że dom jest zupełnie pusty. Po obu stronach korytarza były małe celki, półtora metra na trzy, z firankami zamiast drzwi i łózkami ze starych pak, pokrytych krajową tkaniną. Poszedł szybko ku końcowi korytarza. Zaraz mówił sobie – obróci się i pójdzie z powrotem do spokojnego sennego bezpieczeństwa pokoju, w którym były Downhamianin drzemie nad książką.

Poczuł okropne rozczarowanie, jakby nie znalazł tego, czego szukał, kiedy doszedł do końca i stwierdził, że cela po lewej stronie jest zajęta: w świetle lampy naftowej stojącej na podłodze zobaczył dziewczynę w brudnej koszuli, rozłożoną na pakach jak ryba na ladzie; jej bosa różowa podeszwy kiwały się nad słowami: „Tate’s Sugar”. Pełniła dyżur czekając na klienta. Uśmiechnęła się do Wilsona, nawet się nie podnosząc, i powiedziała: – Chcieć zyk zyk, kochanie. Dziesięć szylingów. – Stał przed nim obraz dziewczyny z plecami mokrymi od deszczu, odchodzącej na zawsze sprzed jego oczu.

– Nie – rzekł – nie – potrzásając głową i myśląc: „Co za dureń ze mnie, co za dureń, żeby jechać taki kawał drogi tylko po to”. Dziewczyna zachichotała, jakby rozumiała jego głupotę. Usłyszał człapanie bosych stóp na korytarzu od strony ulicy. Przejście zablokowała stara mammy, dzierżąca pasiasty parasol. Powiedziała coś do dziewczyny w jej narzeczu i otrzymała uśmiechnięte wyjaśnienie. Miał poczucie, że to wszystko wydaje się dziwne tylko jemu, że to

jedna z tych szablonowych sytuacji, do których stara kobieta przywykła w mrocznych rejonach, gdzie panuje. Powiedział słabo: – Ja tylko pójde się najpierw czegoś napić.

– Ona da pić – powiedziała mammy. Nakazała coś ostro dziewczynie w języku, którego nie rozumiał; dziewczyna prędko spuściła nogi z pak. – Pan zostać tu – rzekła mammy do Wilsona i mechanicznie, jak gospodyni, która myśli o czym innym, ale musi rozmawiać choćby z najmniej zajmującym gościem, powiedziała: – Ładna dziewczyna, zyk zyk, jeden funt. – Wartości rynkowe były tu odwrócone: cena rosła wraz z jego niechęcią.

– Przepraszam, ale nie mogę czekać – rzekł Wilson. – Oto dziesięć szylingów. – Zaczął zabierać się do odejścia, ale stara kobieta w ogóle nie zwróciła na niego uwagi, zastawiając drogę i uśmiechając się bez przerwy, jak dentysta, który wie, czego ci trzeba. Tutaj kolor skóry nie miał żadnego znaczenia. Nie było sensu panoszyć się, jakby to biały człowiek mógł robić gdzie indziej. Wchodząc do tego wąskiego, tynkowanego korytarza odrzucił wszelką odrębność rasową, społeczną czy osobistą, zredukował się do ludzkiej natury. Jeśliby chciał się ukryć, oto idealna kryjówka, jeśliby chciał pozostać bezimienny, tutaj był po prostu mężczyzną. Nawet jego niechęć, niesmak i lęk nie stanowiły cech indywidualnych; były wspólnymi cechami wszystkich, którzy przychodzili tu po raz pierwszy. Stara kobieta wiedziała dokładnie, jak będzie wyglądać następne posunięcie. Najpierw ochota, by się czegoś napić, potem propozycje pieniężne, następnie...

Wilson rzekł słabo: – Proszę mnie przepuścić – ale wiedział, że kobieta się nie poruszy; stała patrząc nań, jakby był spętanym zwierzęciem, którego pilnuje z polecenia właściciela. Nie interesowała się nim, lecz od czasu do czasu powtarzała uspokajająco: – Ładna dziewczyna zyk zyk zaraz. – Wyciągnął do niej funta, schowała go do kieszeni i nadal zastawiała drogę. Kiedy spróbował się przepchnąć, odtrąciła go obojętnie różową dłonią, mówiąc: – Zaraz. Zyk zyk. – Wszystko to zdarzało się już setki razy.

Korytarzem nadeszła dziewczyna niosąc butelkę po occie napełnioną winem palmowym – i z westchnieniem niechęci Wilson uległ. Upał między ścianami deszczu, stęchły odór towarzyszki, mdłe i chwiejne światło lampy naftowej nasunęły mu myśl o lochu, który świeżo otwarto, by na jego podłodze złożyć jedno więcej ciało. Zagotowała się w nim uraza, nienawiść do tych, którzy go tu przywiedli: na myśl o nich poczuł się tak, jakby jego zmartwiałe żyły miały krwawić ponownie.

Część trzecia

Rozdział pierwszy

Helena powiedziała: – Widziałam cię dziś po południu na plaży. – Scobie spojrział podejrzliwie znad szklanki whisky, którą właśnie nalewał. Coś w jej głosie dziwnie przypomniało mu Luizę.

– Musiałem odszukać Reesa, oficera informacyjnego marynarki – odparł.

– Nawet się do mnie nie odezwałeś.

– Śpieszyłem się.

– Jesteś zawsze taki ostrożny – rzekła. Teraz zdał sobie sprawę, co się właściwie dzieje i dlaczego przyszła mu na myśl Luiza. Pomyślał smutno: „Czy miłość zawsze i nieuchronnie obiera sobie tę samą drogę?” Nie tylko akt miłosny jest zawsze taki sam... Jakże często w ciągu ostatnich dwu lat próbował w krytycznej chwili uniknąć takiej właśnie sceny – ochronić siebie, ale także ochronić tę drugą ofiarę. Zaśmiał się niewesoło i powiedział: – Przynajmniej raz nie myślałem o tobie. Miałem co innego na głowie.

– Ale co?

– Och, diamenty...

– Twoja praca jest dla ciebie o wiele ważniejsza niż ja – rzekła Helena. Banalność tego zdania, znanego z tylu książek, ścisnęła mu serce jak zbyt dojrzałe odezwanie się dziecka.

– Tak – odparł poważnie – ale poświęciłbym ją dla ciebie.

– Czemu?

– Chyba dlatego, że jesteś człowiekiem. Można kochać psa bardziej niż wszystko, co się posiada, ale nie przejechałoby się nawet obcego dziecka, by go uratować.

– Och – powiedziała niecierpliwie – czemu ty zawsze mówisz mi prawdę? Ja nie chcę ciągle prawdy.

Włożył szklankę whisky w jej dłoń i powiedział: – Droga, nie masz szczęścia. Jesteś związana ze starszym mężczyzną. Nie możemy się ciągle zmuszać do kłamstw, jak młodzi.

– Gdybyś wiedział – rzekła – jak mnie zaczyna męczyć ta twoja ostrożność. Przychodzisz tu, kiedy jest już ciemno, i odchodzisz, kiedy jest jeszcze ciemno. To takie... takie podłe.

– Tak.

– Zawsze kochamy się tutaj, wśród służbowych mebli. Nie wierzę, żebyśmy umieli robić to gdzie indziej.

– Biedactwo – rzekł.

Powiedziała z wściekłością: – Nie chcę twojej litości.

Ale tu nie chodziło o to, czy jej chce, czy nie: miała ją. Litość przegryzała mu serce jak zgnilizna. Nigdy się od niej nie uwolni. Wiedział z doświadczenia, jak umiera namiętność i jak miłość odchodzi, ale litość zostaje na zawsze. Nic jej nigdy nie zmniejsza. Karmi ją samo życie. Była na świecie tylko jedna osoba, dla której nie czuł litości: on sam.

– Czy nigdy niczego nie możesz zaryzykować? – spytała. – Nigdy nawet jednej linijki do mnie nie napiszesz. Odjeżdżasz na trek, całymi dniami cię nie ma, ale nic nic zostawisz po sobie. Nie mogę nawet dostać fotografii, żeby tu wyglądało jakoś po ludzku.

- Ależ ja nie mam fotografii.
- Pewnie sądzisz, że używałabym twoich listów przeciw tobie.

Pomyślał ze znużeniem: „Gdybym zamknął oczy, to prawie tak, jakbym słyszał Luizę”. Głos był młodszy, oto wszystko, i miał zapewne mniej możliwości zadawania bólu. Stojąc ze szklanką whisky w ręku przypomniał sobie inną noc – kilkaset metrów stąd – szklanka zawierała wtedy gin. Powiedział cicho i łagodnie:

- Mówisz takie głupstwa, kochanie.
- Myślisz, że jestem dzieckiem. Wsuwasz się na palcach... i przynosisz mi znaczki.
- Staram się ochronić ciebie.
- Gównu mnie obchodzi, co ludzie gadają. – Rozpoznał grube słownictwo drużyny siatkówki.

Powiedział: – Gdyby gadali, toby się to skończyło.

- Ty nie mnie ochraniaasz, ty ochraniaasz swoją żonę.
- To wychodzi na jedno.
- Och – rzekła – łączyć mnie z tą kobietą.

Nie mógł powstrzymać drgnięcia, które go zdradziło. Nie docenił jej zdolności zadawania bólu. Dostrzegł, że zauważyła swój sukces; oddał się w jej ręce. Teraz będzie już zawsze wiedziała, jak wymierzyć najgorsze pchnięcie. Była jak dziecko z cyrklem w ręku, które wie, że może skaleczyć. Nigdy nie można ufać dziecku, że nie wykorzysta swej przewagi.

- Moja droga – rzekł – za wcześniej się kłócić.
- Z tą kobietą – powtórzyła obserwując jego oczy. – Nigdy byś jej nie porzucił, prawda?
- Jesteśmy małżeństwem – powiedział.
- Gdyby o tym wiedziała, wróciłbyś do niej jak zbity pies.

„Nie pomyślał z czułością – nie czytała najlepszych książek jak Luiza.” – Nie wiem – powiedział.

- Nigdy się ze mną nie ożenisz.
- Nie mogę. Wiesz o tym. Jestem katolikiem. Nie mogę mieć dwóch żon.
- Nadzwyczajna wymówka – powiedziała. – Nie przeszkadza ci to spać ze mną, tylko przeszkadza ci ożenić się ze mną.
- Tak – rzekł ciężko, jakby przyjmował pokutę.

„Jest o tyle starsza niż miesiąc temu” – dumiał. Wtedy by nie potrafiła zrobić sceny; ale wychowały ją miłość i tajność: zaczynał ją kształtować. „Jeśli potrwa to dość długo, czy nie będzie można odróżnić jej od Luizy? W mojej szkole – myślał ze znużeniem – uczą się goryczy, zawodów, niepowodzeń i tego, jak się starzeć.”

- Jazda – powiedziała Helena – wytłumacz się.
- To by trwało za długo – odparł. – Trzeba by zacząć od dowodów na istnienie Boga.
- Co za krętacz z ciebie.

Poczuł się okropnie zmęczony i rozczarowany. Oczekiwał z radością tego wieczoru. Cały dzień w biurze, prowadząc sprawę o komorne i sprawę z dziedziny przestępczości nieletnich, tęsknił do fińskiego domku, do nagich ścian, do służbowych mebli jak do własnej młodości; tęsknił do tego wszystkiego, co ona znieważyla.

- Chciałem jak najlepiej – powiedział.
- Co przez to rozumiesz?
- Chciałem być twoim przyjacielem. Opiekować się tobą. Żeby ci było lepiej niż przedtem.
- Czy nie było mi dobrze? – zapytała, jakby mówiła o dawno minionych latach.

Powiedział: – Byłaś rozstrojona, samotna...

- Nie mogłam być bardziej samotna niż teraz – odparła. – Kiedy deszcz przestaje padać,

jadę na plażę z panią Carter. Bagster się do mnie zaleca, uważają, że jestem zimna. Wracam tu, zanim deszcz zacznie padać, i czekam na ciebie... Wypijamy szklanke whisky... dajesz mi kilka znaczków, jakbym była twoją dziewczynką...

– Przepraszam – powiedział Scobie. – Tak mi się nie udało... – Wyciągnął rękę i nakrył nią jej rękę; kostki leżały pod jego dłonią jak mały złamany kręgosłup. Mówił dalej powoli i ostrożnie, dobierając z uwagą słów, jakby szedł przez ewakuowaną okolicę ścieżką usianą minami: z każdym krokiem oczekiwał wybuchu. – Przepraszam za wszystko. Zrobiłbym wszystko – prawie wszystko – żeby ci było dobrze. Przestałbym tu przychodzić. Poszedłbym sobie zaraz, wycofałbym się...

– Cieszyłbyś się, gdybyś się mnie pozbył – powiedziała.

– To by był koniec życia.

– Idź sobie, jeśli chcesz.

– Nie chcę sobie iść. Chcę robić to, co ty chcesz.

– Możesz odejść, jeśli chcesz, albo możesz zostać – rzekła. – Ja nie mogę się ruszyć, prawda?

– Gdybyś tego chciała, znalazłbym ci jakoś miejsce na najbliższym statku.

– Och, jakżebyś się cieszył, gdyby się to skończyło – powiedziała i zaczęła szlochać.

Zazdrościł jej łez. Kiedy wyciągnął rękę, by jej dotknąć, wrzasnęła nań: – Idź do diabła! Idź do diabła! Wynoś się!

– Idę – powiedział.

– Tak, idź i nie wracaj.

Za drzwiami, kiedy deszcz zaczął chłodzić mu twarz i spływać po rękach, przyszło mu na myśl – o ile łatwiejsze mogłoby być życie, gdyby ją wziął za słowo. Wszedłby do swego domu, zamknąłby drzwi i byłby znowu sam. Napisałby list do Luizy bez poczucia, że ją oszukuje. Spałby tak, jak nie spał od wielu tygodni, bez snów. Nazajutrz biuro, spokojny powrót do domu, posiłek wieczorny, zamknięte drzwi... Ale u stóp wzgórze, za parkiem samochodowym, gdzie ciężarówki kuliły się pod mokrymi brezentami, deszcz padał jak łzy. Pomyślał o niej, samotnej w fińskim domku; zastanawia się teraz, czy to padły słowa nieodwołalne, czy wszystkie jutra będą się składać z pani Carter i Bagstera, póki nie przyjdzie statek, póki ona nie pojedzie do domu, nie mając innych wspomnień prócz smutków. Pomyślał: „Nigdy bym tam nie wrócił, do fińskiego domku, gdyby to miało stanowić szczęście dla niej, a dla mnie cierpienie. Ale gdybym ja miał być szczęśliwy, a ona miała cierpieć...” To coś, czego by nie mógł znieść. Punkt widzenia tej drugiej osoby nieubłaganie zabiegał mu drogę jak człowiek niewinnie zamordowany. „Ona ma rację – pomyślał – kto by mógł wytrzymać moją ostrożność?” Kiedy otworzył drzwi, szczur, który obwąchiwał spizarkę, wycofał się bez pośpiechu na schody. Luiza nienawidziła i bała się takich rzeczy. W każdym razie dopiął tego, że jest jej dobrze, a teraz – ostrożnie, z dokładnie planowaną nierozważą – mógł podjąć próbę ułożenia spraw Heleny.

Usiadł przy stole i wyciągając arkusz papieru maszynowego – urzędowego papieru z państwowym znakiem wodnym – zaczął układać list.

Napisał: „Kochanie” – chciał oddać się zupełnie w ręce Heleny, a jej samej pozostawić anonimowość. Spojrzał na zegarek i dodał w prawym rogu, jakby miał wysłać raport: „Godz. 12.35, Burnside, 5 września.”

Pisał uważnie dalej:

Kocham Cię bardziej niż siebie samego, bardziej niż moją żonę, myślę, że bardziej niż Boga. Proszę, zachowaj ten list. Nie spal go. Kiedy będziesz się na mnie gniewać, przeczytaj go. Próbuję z całych sił powiedzieć prawdę. Pragnę ponad wszystko na świecie przyczynić się do

Twego szczęścia...

Zasmuciła go banalność tych zdań: miał wrażenie, że nie ma w nich prawdy odnoszącej się do niej osobiście; używane były zbyt często. „Gdybym był młody – pomyślał – umiałbym znaleźć właściwe słowa, nowe słowa, ale to wszystko już mi się raz zdarzyło.” Napisał jeszcze: „Kocham Cię. Przebac” – podpisał się i złożył list.

Wziął nieprzemakalny płaszcz i wyszedł ponownie w deszcz. Rany jątrzyły się w wilgoci, nigdy się nie goiły. Wystarczyło zadrasnąć palec, a po kilku godzinach skóra wokół draśnięcia zieleniała. Scobie idąc pod górę dźwigał w sobie poczucie rozkładu. W parku samochodowym jakiś żołnierz krzyknął coś przez sen – jedno słowo, jak hieroglif na ścianie; Scobie nie umiałby go przetłumaczyć: ci ludzie byli Nigeryjczykami. Deszcz młócił po dachach fińskich domków, a Scobie myślał: „Czemu to napisałem? Czemu napisałem: *bardziej niż Boga?* Wystarczyłoby jej *bardziej niż Luizę*. Jeśli to nawet prawda, czemu to napisałem?” Niebo szlochało wokół niego bezustannie; myślał o ranach, które się nigdy nie goją. Powiedział cichym głosem: – O Boże, opuściłem Ciebie. Ty mnie nie opuszczaj. – Kiedy doszedł do jej drzwi, wcisnął pod nie list; usłyszał szelest papieru na cementowej podłodze i nic więcej. Przypominając sobie dziecinną figurkę, którą przenieśli obok niego na noszach, pomyślał ze smutkiem, jak wiele rzeczy się zdarzyło i jak niepotrzebnie, by doprowadzić do tego, że mówi sobie teraz z odrazą: – Nigdy więcej nie będzie mogła oskarżać mnie o ostrożność.

– Właśnie przechodziłem tędy – rzekł ksiądz Rank – i przyszło mi na myśl, żeby tu zajrzeć.
– Wieczorny deszcz spływał szarymi, eklezjastycznymi fałdami, jakaś ciężarówka zawyła na drodze ku wzgórzom.

– Proszę bardzo – rzekł Scobie. – Whisky mi się skończyła. Ale jest piwo albo gin.

– Widziałem pana przy fińskich domkach, więc pomyślałem, żeby zajść tu za panem. Może pan jest zajęty?

– Idę na kolację do komisarza, ale dopiero za godzinę.

Ksiądz chodził niespokojnie po pokoju, podczas gdy Scobie wydobywał piwo z lodówki.

– Czy może miał pan ostatnio wiadomości od Luizy? – spytał ksiądz.

– Nic nie przyszło od dwóch tygodni – rzekł Scobie – ale zatopiono kilka statków na południu.

Ksiądz opadł na służbowe krzesło, wziął szklankę między kolana. Nie było nic słyhać, tylko monotonne dudnienie deszczu po dachu. Scobie odchrząknął i znowu nastała cisza. Miał poczucie, że ksiądz, niczym jeden z podwładnych Scobiemu oficerów, czeka na rozkazy.

– Deszcze się niedługo skończy – rzekł Scobie.

– Już chyba sześć miesięcy, odkąd pańska żona wyjechała.

– Siedem.

– Czy urlop spędzi pan w Afryce Południowej? – zapytał ksiądz patrząc w bok i pociągając łyk piwa.

– Odłożyłem urlop. Przyda się młodym bardziej niż mnie.

– Każdemu przydałby się urlop.

– Ale ksiądz nie miał urlopu dwadzieścia lat.

– Ach, to co innego – odparł ksiądz. Znowu wstał i zaczął niespokojnie krążyć wzdłuż ścian. Odwrócił się do Scobiego z wyrazem nieokreślonej prośby. – Czasem – rzekł – czuję się tak, jakbym w ogóle nic nie robił. – Stał, spojrzął przed siebie i uniósł ręce.

Scobie przypomniał sobie księdza Claya omijającego niewidoczną postać w swej niespokojnej wędrówce. Poczul się tak, jakby słano doń prośbę, na którą nie umie odpowiedzieć. Rzekł słabo:

– Nikt nie pracuje tak ciężko jak ksiądz.

Ksiądz powlókł się z powrotem do krzesła. Powiedział: – Będzie lepiej, kiedy się skończą deszcze.

– Jak się miewa mammy znad Congo Creek? Słyszałem, że jest umierająca.

– Skona w tym tygodniu. To dobra kobieta. – Znów pociągnął piwa i nagle zgiął się wpół, z ręką na brzuchu.

– Boleści – rzekł. – Mam straszne боли.

– Nie powinien ksiądz pić piwa.

– Ci, co umierają... – powiedział ksiądz. – Oto, na co tu jestem: posyłają po mnie, kiedy umierają. – Podniósł oczy kaprawe od nadmiaru chininy i rzekł chrapliwie, beznadziejnie: – Nigdy nie przydałem się na nic żywym, panie Scobie.

– Co za głupstwa, proszę księdza.

– Kiedy byłem w nowicjacie, myślałem, że ludzie rozmawiają ze swymi księżmi, i myślałem, że Bóg jakoś podsuwa właściwe słowa. Niech pan na mnie nie zważa, panie Scobie, niech pan nie słucha. To wszystko deszcze – zawsze się wykańczam mniej więcej o tej porze. Bóg nie podsuwa właściwych słów, panie Scobie. Miałem raz parafię w Northampton. Robią tam buty. Zapraszali mnie na podwieczorek, siedziałem i patrzyłem, jak nalewają herbatę, i rozmawialiśmy o sodalicii i o naprawie dachu kościoła. Mieli bardzo szeroką rękę w tym Northampton. Wystarczyło poprosić i dawali. Nie było żywej duszy, której bym się na coś przydał, panie Scobie. Myślałem, że w Afryce będzie inaczej. Widzi pan, nie jestem człowiekiem odczytanym; nigdy nie miałem szczególnego talentu, żeby tak kochać Boga, jak niektórzy to umieją. Chciałem być pożyteczny i tyle. Niech pan nie słucha. To wszystko deszcze. Nie mówiłem tak od pięciu lat. Tylko do lustra. Kiedy ludzie są w kłopotcie, przychodzą do pana, panie Scobie, nie do mnie. Zapraszają mnie na kolację, żeby posłuchać plotek. A gdyby pan był w kłopotcie, do kogo by pan poszedł?

I Scobie znowu zobaczył te kaprawe, proszące oczy, czekające w porach suszy i w porach deszczów na coś, co się nigdy nie stawało. „Czy mógłbym złożyć mój ciężar – myślał – czy mógłbym powiedzieć mu, że kocham dwie kobiety, że nie wiem, co czynić? Na co by się to zdało? Znam rozstrzygnięcia równie dobrze jak on. Powinno się dbać o własną duszę niezależnie od ceny, jaką inne dusze za to płacą, a jest to coś, czego nie mogę zrobić, czego nigdy nie będę mógł zrobić.” To nie on potrzebował czarodziejskiego słówka, to ksiądz – a on nie był w stanie go podać.

– Nie należę do tych, którzy wpadają w kłopoty, proszę księdza. Jestem nudnym, podstarzałym człowiekiem. – Patrząc w bok, by nie dostrzec przygnębienia, usłyszał nieszczęsny dźwięk księżowskiej kołatki: – Ho, ho, ho!

Po drodze do bungalowu komisarza, Scobie zajrzał do swego biura. Zastał wiadomość napisaną ołówkiem na bibule:

Wpadłem tu, żeby się z panem zobaczyć. Nic ważnego. Wilson.

Wydało mu się to dziwne, nie widział się z Wilsonem od kilku tygodni; jeśli wizyta tamtego była nieważna, czemu ją tak skrzętnie zaznaczył? Otworzył szufladę biurka, żeby wziąć pudełko papierosów, i zauważył natychmiast, że coś jest nie w porządku. Przyjrzał się uważnie zawartości; brakowało chemicznego ołówka. Oczywiście Wilson szukał ołówka, żeby napisać wiadomość, i zapomniał włożyć go z powrotem. Ale po co ta wiadomość?

Sierżant w sali rozpraw powiedział:

– Pan Wilson przychodzić zobaczyć pan.

– Tak, zostawił wiadomość. – „A więc o to chodziło – pomyślał. I tak bym się dowiedział, więc uważał, że będzie lepiej, jeśli sam mnie zawiadomi.” Wrócił do swego pokoju i znowu obejrzał biurko. Zdawało mu się, że jedna z teczek została ruszona z miejsca, ale nie był tego pewien. Otworzył szufladę; nie było tam nic, co by mogło zainteresować kogokolwiek. Wpadł mu tylko w oko rozerwany różaniec – już dawno trzeba go było naprawić. Wyciągnął go i schował do kieszeni.

– Whisky? – zapytał komisarz.

– Dziękuję – rzekł Scobie unosząc szklankę w stronę komisarza. – A pan, czy pan mi wierzy?

– Tak.

– Czy jestem jedynym człowiekiem, który nie wie o Wilsonie?

Komisarz uśmiechnął się, nie zbity z tropu, i odchylił się wygodnie w tył. – Nikt nic nie wie oficjalnie, poza mną i kierownikiem UAC, to był warunek zasadniczy, rzecz prosta. I jeszcze gubernator, i ten, co ma do czynienia z telegramami „ściśle tajnymi”. Cieszę się, że pan na to wpadł.

– Chciałbym, żeby pan wiedział, że – oczywiście jak dotychczas – zasługuję na zaufanie.

– Nie potrzebuje mi pan tego mówić, Scobie.

– W sprawie kuzyna Tallita nie mogliśmy zrobić nic innego.

– Naturalnie, że nie.

Scobie rzekł: – Ale jest jedna rzecz, o której pan nie wie. Pożyczyłem od Yusefa dwieście funtów, żeby móc posłać Luizę do Afryki Południowej. Płacę mu cztery procent. Układ jest czysto handlowy, ale jeśli żąda pan za to mojej głowy...

– Cieszę się, że pan mi to powiedział – rzekł komisarz. – Widzi pan, Wilson sobie wyobraża, że pana szantażują. Musiał jakoś dogrzebać się do tych pańskich spleć.

– Yusef nie szantażowałby dla pieniędzy.

– Powiedziałem mu to.

– Chce pan mojej głowy?

– Potrzebuję pańskiej głowy tutaj, panie Scobie. Jest pan jedynym oficerem, któremu naprawdę ufam.

Scobie wyciągnął rękę z pustą szklanką: było to jak uścisk.

– Tyle?

– Tyle.

Ludzie mogą z wiekiem stać się bliźniętami. Przeszłość była ich wspólnym łonem; sześć miesięcy deszczu i sześć miesięcy słońca – był to okres wspólnego ich rozwoju. Wystarczyło im parę słów, parę gestów, aby powiedzieć sobie, o co chodzi. Etapy ich nauki znaczone były tymi samymi atakami febry, działali pod wpływem tej samej miłości, tej samej pogardy.

– Derry melduje, że w kopalniach było kilka grubych kradzieży.

– Diamenty przemysłowe?

– Brylanty. Czy to Yusef, czy Tallit?

– To by mógł być Yusef – rzekł Scobie. – Myślę, że się nie zajmuje diamentami przemysłowymi. Mówi o nich: żwir. Ale co to można wiedzieć.

– „Esperança” będzie tu za parę dni. Musimy być ostrożni.

– Co mówi Wilson?

– On by głowę dał za Tallita. Czarne charaktery w jego sztuce to Yusef i pan, panie Scobie.

– Kawał czasu nie widziałem Yusefa.

– Wiem.

– Zaczynam się orientować, co czują ci Syryjczycy, kiedy się ich obserwuje, o nich donosi.
– On donosi o nas wszystkich, panie Scobie. O Fraserze, o Todzie, o Timbleriggu, o mnie; uważa, że jestem za miękki. Zresztą to nie ma znaczenia. Wright wyrzuca jego raporty, a naturalnie Wilson donosi także o nim.

– Czy ktoś donosi o Wilsonie?

– Tak przypuszczam.

O północy poszedł do fińskich domków. Podczas zaciemnienia czuł się chwilowo bezpieczny; nie obserwowano go, nie donoszono o nim, jego kroki po gąbczastej ziemi były prawie niedosłyszalne, ale kiedy mijał domek Wilsona, uświadomił sobie znowu, jak bardzo trzeba uważać. Poczł straszne znużenie i pomyślał: „Pójdę do domu, nie będę się do niej przekradał tej nocy, jej ostatnie słowa brzmiały: n i e w r a c a j ; czy nie można by choć raz trzymać kogoś za słowo?*" Stał o dwadzieścia metrów od domu Wilsona patrząc na rysę światła między zasłonami. Pijany głos wrzasnął coś na zboczu wzgórza; pierwsza struga powracającego deszczu liznęła go po twarzy. „Chyba teraz pójdę do domu i położę się spać, rano napiszę do Luizy, a wieczorem pójdę do spowiedzi; nazajutrz Bóg wróci do mnie w rękach księdza i życie będzie znowu proste.” Miałby znów spokój siedząc w biurze. Cnota i uczciwe życie kusily go w ciemnościach jak grzech. Deszcz zaćmiewał mu oczy, grunt cmokał pod nogami, kiedy wędrowały niechętnie w stronę fińskiego domku.

Zastukał dwa razy i drzwi otworzyły się natychmiast. Modlił się między stuknięciami, żeby gniew nadal mieszkał za tymi drzwiami, żeby go tam nie chciano. Nie umiał zamknąć oczu lub uszu, jeśli go ktokolwiek potrzebował, nie był setnikiem, tylko szeregowcem, który musiał wykonywać rozkazy stu setników, i kiedy drzwi się otworzyły, wiedział, że za chwilę znowu otrzyma rozkaz – rozkaz, by zostać, by kochać, by przyjąć odpowiedzialność, by kłamać.

– Och, kochanie – powiedziała – myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz. Tak wstrętnie ci nagadałam.

– Zawsze przyjdę, kiedy będziesz mnie potrzebować.

– Naprawdę?

– Zawsze. Póki życia. – „Bóg może czekać – pomyślał. – Jak można kochać Boga kosztem jednego z Jego stworzeń? Czy kobieta przyjęłaby miłość, dla której musiałaby poświęcić dziecko?”

Nim podkręcili lampy, zaciągnęli dokładnie zasłony; dźwignęli razem tajność jak kołyskę.

– Bałam się cały dzień, że nie przyjdiesz – powiedziała.

– Naturalnie, że przyszedłem.

– Powiedziałam ci, żebyś sobie poszedł. Nigdy nie zwracaj na mnie uwagi, kiedy mówię, żebyś sobie poszedł. Obiecuj.

– Obiecuję – powiedział czując taką rozpacz, jakby przekreślał całą przyszłość.

– Gdybyś nie był wrócił... – powiedziała i zagubiła się w myślach, między lampami. Widział, jak szuka samej siebie, marszcząc się, usiłując zobaczyć, gdzie byłaby... – Nie wiem. Może puściłabym się z Bagsterem albo bym się zabiła, albo jedno i drugie. Myślę, że jedno i drugie.

Powiedział z niepokojem: – Nie trzeba tak myśleć. Będę tu zawsze, jeśli mnie będziesz potrzebować, póki życia.

– Czemu ciągle mówisz: póki życia?

– Jest między nami trzydzieści lat różnicy.

Po raz pierwszy tej nocy pocałowali się. Powiedziała: – Nie czuję tych lat.

– Czemu myślałaś, że nie przyjdę? – rzekł Scobie. – Dostałaś przecie mój list.

– Twój list?

– Ten, który wsunąłem zeszłej nocy pod twoje drzwi.

Nie widziałam żadnego listu. Co ty tam napisałeś? – spytała ze strachem.

Dotknął jej twarzy i uśmiechnął się, by ukryć niebezpieczeństwo. – Wszystko. Nie chciałem już więcej być ostrożny. Napisałem wszystko.

– Nawet twoje nazwisko?

– Tak mi się zdaje. W każdym razie moje pismo świadczy, że list ja pisałem.

– Przy drzwiach jest mata. Musi być pod matą.

Ale oboje wiedzieli, że listu tam nie będzie; mieli takie uczucie, jakby zawsze przewidywali, że nieszczęście wejdzie tymi właśnie drzwiami.

– Kto go mógł zabrać?

Starał się ją uspokoić. – Pewno twój boy go wyrzucił, może myślał, że to jakiś niepotrzebny papier. Nie było koperty. Nikt by nie mógł wiedzieć, do kogo piszę.

– Przecież nie o to chodzi. Kochanie – powiedziała – niedobrze mi się robi. Naprawdę ktoś knuje coś przeciw tobie. Szkoda, że nie umarłam w tej łodzi.

– Coś sobie wyobrażasz. Pewnie nie wsunąłem kartki dość daleko. Kiedy twój boy otworzył rano drzwi, musiało ją zwiać albo wgnieść w błoto. – Mówił z całym przekonaniem, na jakie się umiał zdobyć; było to zresztą zupełnie możliwe.

– Nie pozwól mi nigdy ciebie skrzywdzić – rzekła błagalnie, a każde jej zdanie zaciskało mocniej więzy na jego przegubach.

Wyciągnął do niej ręce i skłamał z mocą: – Nigdy mi nie zrobisz krzywdy. Nie trap się tym zgubionym listem. Przesadziłem. Właściwie nic tam nie było, co by ktoś obcy mógł zrozumieć. Nie martw się, kochanie.

– Słuchaj, drogi mój. Nie zostawaj dziś na noc. Jestem zdenerwowana. Czuję, że ktoś mnie śledzi. Powiedz teraz dobranoc i idź sobie. Ale wróć. Och, kochany mój, wróć.

Światło jeszcze się paliło w domku Wilsona, kiedy przechodził tamtędy. Otwierając drzwi własnego ciemnego domu, zobaczył na podłodze kawałek papieru. Był to dla niego dziwny wstrząs: jakby zgubiony list powrócił, niczym kot, do swojej pierwotnej siedziby. Ale kiedy go podniósł, okazało się, że to nie jego list, choć także miłosne posłanie. Był to telegram na jego adres biurowy, a podpis, pełny podpis ze względu na cenzurę, Luiza Scobie, spadł jak cios, zadany przez boksera o zasięgu dalszym niż jego własny. „List wysyłam jestem w drodze do domu byłam głupia stop całuję” – a dalej to nazwisko, oficjalne jak pieczęć.

Usiadł i powiedział głośno: – Muszę się zastanowić. – W głowie mu się kręciło, czuł mdłości. Pomyślał: „Gdybym był nigdy nie napisał tamtego listu, gdybym był trzymał Helenę za słowo i odszedł, jakże łatwo można by znowu urządzić życie”. Ale pamiętał swoje słowa sprzed dziesięciu minut: „Będę tu zawsze, jeśli mnie będziesz potrzebować, póki życia” – była to przysięga tak samo niestarta jak ślubowanie przy ołtarzu w Ealing.

Wiatr wstawał od morza; deszcze kończyły się tak, jak się zaczynały, orkanami. Zastłony wzdęły się; podbiegł do okien i zatrasnął je. Na górze okna sypialni tłukły się tam i z powrotem, szarpiąc się w zawiasach. Zamknął je i odwracając się spojrzął na pustą toaletkę, gdzie powrócą wkrótce fotografie i słoiki – zwłaszcza jedna fotografia. „Szczęśliwa istota – pomyślał – oto mój jedyny sukces.” Dziecko w szpitalu powiedziało: „Ojczy”, kiedy cień królika upadł na poduszkę; dziewczynę ściskającą album przeniesiono koło niego. „Czemu potrzebują właśnie mnie, czemu mnie – nudnego, podstarzałego oficera policji, który odpadł przy awansach? Nie mogę dać im nic takiego, czego by nie dostały gdzie indziej; czemu nie zostawią mnie w spokoju? Gdzie indziej jest młodsza, lepsza miłość, większe bezpieczeństwo.” Wydawało mu się czasami, że jedyną rzeczą, jaką mógłby z nimi podzielić, jest jego rozpacz.

Opierając się o toaletkę spróbował się modlić. Modlitwa Pańska była w jego ustach martwa jak prawniczy dokument; pragnął nie chleba powszedniego, pragnął o tyle więcej: szczęścia dla innych – i samotności i spokoju dla siebie samego. – Nie chcę już więcej planować – powiedział nagle głośno. – Nie potrzebowałyby mnie, gdybym umarł. Nikt nie potrzebuje umarłych. O umarłych można zapomnieć. O Boże, daj śmierć, zanim ja im dam nieszczęście. – Ale te słowa zabrzmiały dla niego samego me I od rama tycznie. Powiedział sobie, że nie wolno mu wpadać w histerię, tak dużo musi zaplanować; histeryk by temu nie podolał. Schodząc na dół pomyślał, że w tej sytuacji – w tej banalnej sytuacji – trzeba mu po prostu trzech czy czterech aspiryn. Wyciągnął z lodówki butelkę filtrowanej wody i rozpuścił aspirynę. Pomyślał, jakie by to było uczucie wypić śmierć tak zwyczajnie jak te aspiryny, których kwas utkwiał mu teraz w gardle. Księża uczą, że to grzech, za który nie ma odpuszczenia, ostateczny wyraz rozpacz, której się nie żałuje; oczywiście przyjmujemy naukę Kościoła. Ale uczą także, że Bóg łamie czasem własne prawa; czy jest dla Niego bardziej niemożliwe wyciągnąć miłosierną dłoń w mrok i chaos samobójstwa niż zbudzić samego siebie w grobie pod głazem? Chrystusa nie zamordowano, nie można zamordować Boga. Chrystus sam siebie zabił, zawiesił się na krzyżu tak pewnie jak Pemberton na swoim żelaznym pręcie.

Postawił szklankę i znowu pomyślał: „Nie wolno mi wpaść w histerię”. Szczęście dwóch istot ludzkich jest w jego ręku, musi się nauczyć zonglować nim, nie tracąc głowy. Przede wszystkim spokój i opanowanie. Wyciągnął swój dziennik i zaczął pisać pod datą 6 września, środa:

Kolacja z komisarzem. Zadowolająca rozmowa o W. Byłem u Heleny przez kilka minut. Telegram od Luizy, że jest w drodze do domu.

Zawahał się przez chwilę i napisał:

Książk Rank przyszedł przed kolacją na szklankę piwa. Trochę przemęczony. Potrzebuje urlopu.

Odczytał to ponownie i wykreślił dwa ostatnie zdania. Rzadko w tych zapiskach pozwalał sobie na wyrażanie opinii.

Rozdział drugi

Telegram chodził mu po głowie przez cały dzień; zwyczajne życie – dwie godziny w sądzie na sprawie o krzywoprzysięstwo – było nierealne jak kraj, który opuszcza się na zawsze. Mówi się; o tej godzinie w tej wiosce ci ludzie, których kiedyś znałem, siadają do stołu tak samo jak rok temu, kiedy tam byłem; ale nie ma się przekonania, że życie płynie tak jak zawsze, poza naszą świadomością. Cała świadomość Scobiego skupiła się na telegramie, na tym bezimiennym statku, prującym morze z południa na północ wzdłuż afrykańskiego brzegu. „Boże, przebac mi” – pomyślał, kiedy błysnęła mu myśl, że statek mógłby w ogóle nie dopłynąć. Jest w naszych sercach bezlitosny dyktator, gotów zgodzić się na nieszczęście tysiąca obcych ludzi, gdyby to miało dać szczęście tym kilku, których kochamy.

Po zakończeniu sprawy o krzywoprzysięstwo Fellowes, inspektor sanitarny, złapał Scobiego przy drzwiach.

– Niech pan przyjdzie dziś wieczorem na zrazy, panie Scobie. Dostaliśmy trochę prawdziwej argentyńskiej wołowiny. – Nie przyjmując zaproszenia to za wielki wysiłek w tym nierealnym świecie. – Będzie Wilson – rzekł Fellowes. – Mówiąc szczerze, pomógł nam z tą wmlowiną. Lubi go pan, prawda?

– Tak. Myślałem, że to pan go nie lubi.

– Och, klub musi dotrzymać kroku nowym czasom, zresztą najróżniejsi ludzie biorą się dziś do handlu. Przyznaję, że przesadziłem. Miałem chyba trochę w czubie. On był w Downham: ogrywaliśmy ich, kiedy byłem w Lancing.

Jadąc w kierunku dobrze znanego domu na wzgórzu, w którym sam kiedyś mieszkał, Scobie myślał obojętnie: „Muszę wkrótce porozmawiać z Heleną, nie powinna się tego dowiedzieć od kogo innego”. Życie powtarzało zawsze te same wzory: zawsze, prędzej czy później, trzeba było oznajmiać złe wiadomości, mówić pocieszające kłamstwa, pić gin dla odpędzenia smutków.

Wszedł do salonu. W drugim końcu długiego pokoju stała Helena. Poczł wstrząs na myśl, że nigdy dotychczas nie spotkał jej jako obcej osoby w cudzym domu, nigdy dotychczas nie widział jej w wieczorowej sukni.

– Państwo już się znacie, prawda? – rzekł Fellowes. W jego głosie nie było ironii.

Scobie pomyślał z dreszczem wstrętu do siebie samego: „Jacy jesteśmy sprytni; jak świetnie oszukujemy plotkarzy tej małej kolonii. Tak dobrze oszukiwać to powinno być niemożliwe dla kochanków. Wszakże mówi się o miłości, że jest spontaniczna, niebaczną...”

– Tak – powiedział. – Jestem starym przyjacielem pani Rolt. Byłem w Pende, kiedy ją przywieźli. – Stał przy stole w odległości kilku metrów, podczas gdy Fellowes mieszał cocktaile. Patrzył na nią – rozmawiała z panią Fellowes, rozmawiała swobodnie, naturalnie, jakby nie istniała ta chwila w ciemnym domku fińskim u stóp wzgórza, kiedy płakała w jego ramionach. „Gdybym zobaczył ją po raz pierwszy dzisiaj wieczór – myślał – czybym w ogóle poczuł miłość?”

– Która jest pani szklanka, proszę pani?

– Gin z angosturą.

– Żebym tak mógł namówić na to moją żonę. Nie cierpię tego jej ginu z pomarańczowym sokiem.

Scobie rzekł: – Gdybym wiedział, że pani tu ma być, zajechałbym po panią.

– Szkoda, że pan tego nie zrobił – odparła Helena. – Nigdy mnie pan nie odwiedza. – Zwróciła się do Fellowesa i powiedziała ze swobodą, która przeraziła Scobiego: – Taki był dla mnie dobry w szpitalu w Pende, ale myślę, że lubi tylko chorych.

Fellowes pokręcił rudawego wąsika, dolał sobie trochę ginu i rzekł: – On się pani boi. My wszyscy żonaci boimy się pani. – Przy słowach „żonaci” Scobie ujrzał zmęczoną, wyczerpaną postać na noszach, odwracającą się od nich obydwu jak od mocnego słońca. Powiedziała z fałszywą zalotnością: – Myśli pan, że mogę zaryzykować jeszcze szklankę?

– A, otóż i Wilson – rzekł Fellowes. Wilson zjawił się istotnie, ze swą różową, niewinną twarzą, z wyrazem nieufności do samego siebie, w źle związanym cummerbundzie. – Zna pan już wszystkich, prawda? Sąsiadujecie z panią Rolt.

– Jakoś nie spotkaliśmy się dotychczas – rzekł Wilson i automatycznie zaczął się rumienić.

– Nie rozumiem, co się dzieje z tutejszymi mężczyznami – powiedział Fellowes. – Pan i Scobie jesteście sąsiadami pani Rolt i żaden z was wcale jej nie widuje. – Scobie natychmiast poczuł wzrok Wilsona skierowany na niego z namysłem. – Ja nie byłbym taki nieśmiały – rzekł Fellowes nalewając gin.

– Doktor Sykes spóźnia się jak zwykle – zauważyła pani Fellowes z drugiego końca pokoju, ale w tej samej chwili stąpając ciężko po zewnętrznych schodach zjawiła się doktor Sykes; wyglądała poważnie w ciemnej sukni i moskitowych butach.

– Akurat na czas, żeby się czegoś napić, Jessie – rzekł Fellowes. – Co mam ci podać?

– Podwójna whisky – odparła lekarka. Błysnęła wokół grubymi szklami okularów i rzuciła:

– Dobry wieczór!

Kiedy szli na kolację, Scobie rzekł: – Musimy się zobaczyć – ale dostrzegając wzrok Wilsona dodał – w sprawie mebli.

– Mebli?

– Myślę, że uda mi się dać pani kilka dodatkowych krzeseł. – Byli jeszcze zbyt młodymi konspiratorami, nie wbili sobie dotychczas w pamięć całego systemu szyfrów: nie był pewien, czy rozumiała to urwane zdanie. Przez całą kolację siedział w milczeniu, lękając się chwili, kiedy będzie z nią sam na sam, bojąc się stracić najmniejszą sposobność. Kiedy sięgnął do kieszeni po chustkę, w palcach zaszeleścił mu telegram... „Byłam głupia stop ca łuję.”

– Pan naturalnie wie o tym więcej niż my, majorze – rzekła doktor Sykes.

– Przepraszam. Nie dosłyszałem...

– Mówiliśmy o sprawie Pembertona.

Więc już się z tego zrobiła sprawa w ciągu tych kilku miesięcy. Kiedy się coś staje sprawą, to jakby już nie dotyczyło ludzkiej istoty. W sprawie nie ma wstydu ani cierpienia. Chłopiec na łóżku został wyporządkowany i spreparowany, można go było załączyć do podręcznika psychologii.

– Właśnie mówiłem – rzekł Wilson – że wybrał dziwny sposób, żeby się zabić. Ja bym wołał proszki nasenne.

– Niełatwo dostać takie proszki w Bamba – rzekła lekarka. – To była pewnie nagła decyzja.

– Ja bym nie robił takiego szumu – rzekł Fellowes. – Gość ma prawo odebrać sobie życie, to jasne, ale po co tyle szumu. Większa porcja proszków nasennych, zgadzam się z Wilsonem, oto właściwy sposób.

– Musiałbyś jednakże dostać receptę – powiedziała doktor Sykes.

Scobie czując w palcach telegram przypomniał sobie list podpisany: D i k i, niedojrzały charakter pisma, ślady papierosów na krzesłach, powieści Wallace'a, stygmaty samotności. „Przez dwa tysiące lat – pomyślał – dyskutujemy o męce Chrystusa w taki właśnie, obojętny sposób.”

– Pemberton zawsze był idiotą – rzekł Fellowes.

– Proszki nasenne to z reguły kłopotliwa metoda – powiedziała doktor Sykes. Jej wielkie soczewki odbiły blask żarówek, kiedy zwróciła je, jak latarnia morska, w kierunku Scobiego. – Pańskie doświadczenie pouczyło pana z pewnością, jak bardzo kłopotliwa. Towarzystwa ubezpieczeniowe nie lubią proszków nasennych, a żaden coroner nie przyczyni się do świadomego oszustwa.

– Skąd mogą wiedzieć? – zapytał Wilson.

– Niech pan weźmie na przykład luminal. Nikt by nie mógł zażyć przypadkiem wystarczającej porcji luminalu...

Scobie spojrzął przez stół na Helenę; jadła powoli, bez apetytu, z oczami wbitymi w talerz. Miał wrażenie, że milczenie ich izoluje, poruszono temat, którego ludzie nieszczęśliwi nie potrafią omawiać bezosobowo. Znowu poczuł, że Wilson patrzy na nich, to na jedno, to na drugie – i zaczął rozpaczliwie szukać w myślach jakiegoś zdania, które by zakończyło ich niebezpieczną samotność.

Nawet milczeć nie mogli razem bez obawy. Zwrócił się do lekarki: – Jaki sposób pani by poleciła?

– No cóż, zdarzają się różne wypadki podczas kąpieli, ale nawet takie wypadki trzeba szeroko wyjaśniać. Jeśli ktoś jest dosyć odważny, żeby się rzucić pod samochód... to jednak zbyt niepewne...

– I kłopot dla kogoś innego – rzekł Scobie.

– Jeżeli chodzi o mnie – rzekła lekarka uśmiechając się spod swoich szkielec – to nie

miałabym trudności. W mojej sytuacji zaklasyfikowałabym się jako wypadek angina pectoris i prosiłabym jednego z kolegów, żeby mi przepisał...

Helena odezwała się z nagłą gwałtownością: – Co to za wstrętna rozmowa. Po co gadać o tym...

– Moja droga – rzekła lekarka obracając na nią nieprzyjazne promienie swych szkieł – kiedy się jest lekarzem tak długo jak ja, człowiek się orientuje, z kim ma do czynienia. Nie sądzę, żeby ktoś z nas mógł...

Pani Fellowes zwróciła się do Heleny: – Czy pani pozwoli jeszcze sałatki owocowej?

– Czy pani jest katoliczką? – spytał Fellowes. – Bo naturalnie katolicy mają w tej sprawie twarde zapatrywania.

– Nie, nie jestem katoliczką.

– Ale mam rację, prawda, panie Scobie?

– Uczą nas – odparł Scobie – że to grzech, za który nie ma odpuszczenia.

– Że poszlibyście za to do piekła?

– Do piekła.

– Ale naprawdę, majorze, poważnie – spytała lekarka – czy pan wierzy w piekło?

– O, tak, wierzę.

– W ogień i w męki?

– Chyba niezupełnie tak. Uczą nas, że to jest na pewno nieustające poczucie utraty.

– Ja bym się takim piekłem nie przejmował – rzekł Fellowes.

– Może nigdy nie utracił pan niczego, co by miało jakąś wartość – powiedział Scobie.

Właściwym obiektem tej prośzonej kolacji była argentyńska wołowina. Kiedy ją spożyli, przestało ich cokolwiek łączyć (pani Fellowes nie grała w karty). Fellowes zajął się piwem, a Wilson został wklonowany między kwaśne milczenie gospodyni i gadatliwość lekarki.

– Chodźmy łyknąć powietrza – zaproponował Scobie.

– Czy to mądrze?

– Wyglądałoby dziwnie, gdybyśmy tego nie zrobili – odparł.

– Idziecie oglądać gwiazdy? – zawołał Fellowes, nalewając piwo. – Nadrabia pan stracony czas, panie Scobie? Weźcie sobie szklanki.

Oparli szklanki na poręczy werandy. Helena powiedziała: – Nie znalazłam twojego listu.

– Nie przejmuj się tym, kochanie.

– Czy nie w tej sprawie chciałeś się ze mną widzieć?

– Nie.

Dostrzegł na tle nieba zarys jej twarzy, który będzie musiał zgasnąć, kiedy chmury nadciągną bliżej. Powiedział: – Kochanie, mam złe wiadomości.

– Ktoś wie o nas?

– Och nie, nikt nie wie. Zeszłej nocy dostałem telegram od mojej żony. Jest już w drodze do domu.

Szklanka spadła z poręczy i rozbiła się na dziedzińcu.

Jej wargi powtórzyły z goryczą słowa „do domu”, jakby tylko te słowa pojęła. Powiedział prędko, przesuając ręką po balustradzie – nie udało mu się dosięgnąć ręki Heleny: – Do jej domu. To już nigdy więcej nie będzie mój dom.

– O nie, to będzie twój dom. Teraz już będzie.

Ważąc każde słowo, mówił: – Nie chcę nigdy więcej mieć domu bez ciebie. – Chmury zasłoniły księżyc, jej twarz zgasła jak świeca w nagłym porywie wiatru. Poczuł, że on sam rusza teraz w podróż dalszą, niż kiedykolwiek zamierzał; wiedział, że patrząc wstecz zobaczyłby tylko zgliszcza. Nagle padło na nich oboje światło – otwarto gdzieś drzwi. Powiedział ostro: –

Uważać na zaciemnienie – i pomyślał: „Przynajmniej nie staliśmy obok siebie, ale jakże wyglądały nasze twarze?” Usłyszał głos Wilsona: – Myśleliśmy, że tu odbywa się jakaś walka. Słyszeliśmy, jak stłukła się szklanka.

– Całe piwo pani Rolt przepadło.

– Na miłość Boską, proszę mnie nazywać Heleną – powiedziała zmęczonym głosem – wszyscy tak do mnie mówią, panie majorze.

– Czy może przerwałem państwu?...

– Scenę nieokiełzanej namiętności – rzekła Helena. – Aż drzę cała. Chcę jechać do domu.

– Odwiozę panią – powiedział Scobie. – Robi się późno.

– Nie ufałabym panu, zresztą pani Sykes marzy o tym, żeby porozmawiać z panem o samobójstwach. Nie chcę rozbijać towarzystwa. Czy pan nie ma samochodu, panie Wilson?

– Naturalnie. Strasznie mi będzie miło.

– Może pan przecie zjechać ze mną na dół i zaraz wrócić.

– Ja też chodzę spać z kurami – rzekł Wilson.

– W takim razie tylko wejść i powiem dobranoc.

Kiedy Scobie znowu zobaczył jej twarz w świetle, pomyślał: „Czy nie zanadto się przejmuję? Czy to nie jest dla niej po prostu zakończenie błahego epizodu?” Słyszał, jak Helena mówi do pani Fellowes: – Naprawdę, ta argentyńska wołowina była cudowna.

– Musimy podziękować za to panu Wilsonowi. – Zdania fruwały tam i z powrotem jak wolanty. Ktoś się roześmiał (Fellowes albo Wilson) i powiedział: – Całkiem słusznie – a okulary lekarki rzuciły na sufit błysk: kropka kreska kropka. Nie mógł patrzeć na odjazd samochodu ze względu na zaciemnienie: słuchał, jak starter czknał kilkakrotnie, potem ruszył motor, a potem wszystko pograżyło się powoli w ciszę.

Lekarka powiedziała: – Powinni byli zatrzymać panią Rolt w szpitalu trochę dłużej.

– Czemu?

– Nerwy. Czułam to, kiedy podała mi rękę na pożegnanie.

Został jeszcze pół godziny i pojechał do domu. Ali czekał na niego jak zwykle, drzemiąc niewygodnie na progu kuchni. Poświecił Scobiemu latarką do drzwi. – Pani zostawić list – powiedział i wyciągnął kopertę z zanadza.

– Czemu nie położyłeś go na stole?

– Massa tam być.

– Jaki massa? – Ale drzwi były już otwarte i zobaczył Yusefa wyciągniętego w krześle; spał i oddychał tak lekko, że nie drgnął żaden włos na jego piersi.

– Ja mówić mu on iść – rzekł Ali z pogardą ale on zostać.

– Dobrze. Idź spać.

Miał takie uczucie, jakby życie zaciskało się wokół niego coraz ciasniej. Yusef nie był tu ani razu od tej nocy, kiedy przyszedł się dowiedzieć o Luizę i zastawić pułapkę na Tallita. Cicho, nie chcąc budzić śpiącego i pozwolić, by osaczył go jeszcze i ten problem, otworzył list od Heleny. Musiała go napisać zaraz po powrocie do domu. Czytał:

Ukochany mój, to poważna sprawa. Nie mogę ci tego powiedzieć, więc chcę się posłużyć piórem, tylko że dam list Alemu. Ufasz mu. Kiedy usłyszałam, że twoja żona wraca...

Yusef otworzył oczy i powiedział: – Proszę mi wybaczyć to najście, majorze.

– Czy chciałby pan się czegoś napić? Piwa? Ginu? Whisky mi się skończyła.

– Może mógłbym panu przysłać skrzynkę? – zaczął Yusef automatycznie i zaśmiał się. – Zawsze zapominam. Nie powinienem panu nic przysłać.

Scobie usiadł przy stole i rozłożył przed sobą list. Jego dalszy ciąg był sprawą najważniejszą w świecie. Powiedział: – Czego pan chce, panie Yusef? – czytał dalej:

Kiedy usłyszałam, że twoja żona wraca, byłam zła i rozgoryczona. To głupie z mojej strony. Nic nie zawiniłeś. Jesteś katolikiem. Chciałabym, żebyś nim nie był, ale nawet gdybyś nie był katolikiem, nie mógłbyś nie dotrzymać słowa.

– Niech pan skończy czytać, majorze, mogę poczekać.

– To naprawdę nic ważnego – rzekł Scobie, odrywając z trudem oczy od wielkich dziecinnych liter, od błędu ortograficznego, który odczuł jak ból w sercu. – Niech pan mi powie, czego pan chce – i jego oczy wróciły do listu.

Dlatego piszę. Bo zeszłej nocy obiecywałeś, że mnie nie opuścisz, a ja nie chcę, żebyś był ze mną związany obietnicami. Ukochany mój, wszystkie twoje obietnice...

– Panie majorze, kiedy panu pożyczyłem pieniądze, przysięgam, że to było z przyjaźni, tylko z przyjaźni. Nigdy nie chciałem o nic pana prosić, w ogóle o nic, nawet o te cztery procent. Nie byłbym nawet prosił o pańską przyjaźń... Byłem pańskim przyjacielem... To bardzo kłopotliwe, słowa są bardzo skomplikowane, panie majorze.

– Dotrzymał pan warunków umowy, panie Yusef. Nie uskarżam się na tę sprawę z kuzynem Tallita. – Czytał dalej:

...należą do twojej żony. Nic z tego, co mi mówisz, nie jest obietnicą. Proszę, proszę, zapamiętaj to. Jeśli nie chcesz nigdy więcej widzieć się ze mną, to nic nie pisz, nic nie mów. Ukochany, jeśli tylko chcesz przychodzić do mnie od czasu do czasu, przychodź od czasu do czasu. Powiem każde kłamstwo, jakiego sobie będziesz życzył.

– Naprawdę niech pan przeczyta do końca, majorze. Bo to, co mam powiedzieć, jest bardzo, bardzo ważne.

Ukochany, ukochany mój, rzuć mnie, jeśli chcesz, albo miej mnie jako swoją nałożnicę, jeśli chcesz.

Pomyślał: „Pewnie tylko słyszała to słowo, nigdy go na papierze nie widziała, przecie opuszczają je w szkolnych wydaniach Szekspira”.

Dobranoc. Nie martw się, ukochany.

Powiedział gwałtownie: – Dobrze, panie Yusef. Cóż takiego ważnego?

– Panie majorze, muszę mimo wszystko prosić pana o przysługę. To nie ma nic wspólnego z tymi pieniędzmi, które panu pożyczyłem. Jeśli może pan to zrobić dla mnie, to będzie tylko z przyjaźni.

– Jest już bardzo późno, niechże pan powie, o co chodzi.

– „Esperança” przyplynie tu pojutrze. Chciałabym, żeby ktoś zawiózł na nią małą paczkę i dał ją ode mnie kapitanowi.

– Co jest w tej paczce?

– Panie majorze, niech pan nie pyta. Jestem pańskim przyjacielem. Wolałabym, żeby to pozostało w tajemnicy. Nikomu to nic a nic nie zaszkodzi.

– Oczywiście nie mogę tego zrobić. Pan wie o tym.
– Zaręczam panu, majorze, dam słowo – pochylił się naprzód i położył rękę na czarnym futrze na piersi – dam słowo jak przyjaciel, że w paczce nie ma nic, nic dla Niemców. Żadnych diamentów przemysłowych, majorze.

– Brylanty?

– Nic dla Niemców. Nic, co by mogło zaszkodzić pańskiej ojczyźnie.

– Panie Yusef, chyba pan sobie nie wyobraża, że się na to zgodzę?

Opięte płócienne spodnie przycisnęły się do brzegu krzesła; Scobie myślał przez chwilę, że Yusef upadnie przed nim na kolana. Powiedział: – Majorze, ja pana błagam... to jest równie ważne dla pana, jak dla mnie. – Głos mu się naprawdę łamał ze wzruszenia. – Chcę być przyjacielem. Chcę być przyjacielem.

Scobie rzekł: – Wolę ostrzec pana, nim pan powie coś więcej, że komisarz wie o naszym układzie.

– Wierzę. Wierzę, ale to znacznie gorsza sprawa. Panie majorze, dam słowo honoru, to naprawdę nikomu nie zaszkodzi. Niech pan tylko spełni ten przyjacielski uczynek i już nigdy nie poproszę o nic podobnego. Niech pan to zrobi z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie ma mowy o łapówce. Nie proponuję łapówki.

Oczy Scobiego wróciły do listu:

Nie mogę ci tego powiedzieć, więc chcę się posłużyć piórem.

„...Służyć...” – czytał. Sługa sług Bożych. Niczym niemądry rozkaz, którego jednak musi usłuchać. Poczł się tak, jakby na zawsze już odwracał się od spokoju. Z otwartymi oczami, znając konsekwencje, wkroczył na terytorium kłamstwa, bez wizy powrotnej.

– Co pan mówił, panie Yusef? Nie zrozumiałem...

– Jeszcze raz pana proszę...

– Nie, panie Yusef.

– Panie majorze – rzekł Yusef prostując się sztywno na krześle i nagle przemawiając dziwnie oficjalnie, jakby już nie byli sami, jakby jeszcze ktoś trzeci przyłączył się do nich – czy pamięta pan Pembertona?

– Naturalnie.

– Jego boy przyszedł do mnie na służbę.

– Boy Pembertona? – „Nic z tego, co mi mówisz, nie jest obietnicą.”

– Boy Pembertona to boy pani Rolt.

Oczy Scobiego pozostały utkwione w liście, ale już nie czytał tego, na co patrzył.

– Jej boy przyniósł mi list. Widzi pan, poleciłem mu pilnie na wszystko... baczyć, tak się mówi, prawda?

– Bardzo dobrze zna pan angielski, panie Yusef. Kto panu to przeczytał?

– Obojętne.

Oficjalny głos nagle zamilkł i dawny Yusef znów mówił błagalnym tonem: – Och, panie majorze, co pana skłoniło do napisania takiego listu? Przecież to było wywoływanie wilka z lasu.

– Nie można zawsze być roztropnym, panie Yusef. Człowiek umarłby z obrzydzenia.

– Widzi pan, to pana oddało w moje ręce.

– Nie przejmowałbym się tym tak bardzo. Ale oddać troje ludzi w pańskie ręce...

– Gdybyż pan był zrobił przyjacielski uczynek...

– Niech pan mówi dalej. Musi pan dopełnić szantażu. Nie może pan odejść nie kończąc pogróżki.

– Chciałbym móc wykopać dziurę i włożyć do niej paczkę. Ale wojna toczy się niepomyślnie. Nie robię tego dla siebie, ale dla ojca i matki, dla przyrodniego brata, dla trzech sióstr, a mam też kuzynów.

– Całkiem spora rodzina.

– Widzi pan, jeśli Anglicy zostaną pobici, wszystkie moje składy stracą wszelką wartość.

– Co pan zamierza zrobić z listem?

– Słyszałem od telegrafisty, że pańska żona wraca i już jest w drodze. Każę jej dostarczyć ten list, jak tylko zejdzie na ląd.

Przypomniał sobie telegram: „Byłam głupia stop całuję...” „Przywitanie byłoby chłodne” – pomyślał.

– A jeśli dam paczkę kapitanowi „Esperanço”?

– Mój boy będzie czekał na przystani. W zamian za pokwitowanie kapitana wręczy panu kopertę z pańskim listem.

– Ufa pan swemu boyowi?

– Tak jak pan Alemu.

– A gdybym najpierw zażądał listu i dał panu słowo...

– Karą szantażysty jest to, że nie istnieją wobec niego długi honorowe. Byłby pan zupełnie w porządku, gdyby mnie pan oszukał.

– A jeśli by pan mnie oszukał?

– To by nie było w porządku. A zresztą dawniej byłem pańskim przyjacielem.

– Nieomal tak było – przyznał niechętnie Scobie.

– Jestem podłym Hindusem.

– Podłym Hindusem?

– Tym, co wyrzucił perłę – rzekł ze smutkiem Yusef. – To było w sztuce Szekspira, którą wystawiała tutaj intendentura. Zapamiętam to na zawsze.

– No – powiedział Druce – chyba będziemy musieli zabrać się do roboty.

– Jeszcze szklaneczkę – rzekł kapitan „Esperanço”.

– Lepiej nie jeśli mamy was wypuścić, nim zamkną zaporę. Do widzenia tymczasem, Scobie.

Kiedy zamknęły się drzwi kajuty, kapitan powiedział bez tchu: – Jestem tutaj nadal.

– Właśnie widzę. Mówiłem panu, że często zdarzają się pomyłki; meldunki nie idą tam, gdzie należy, akta giną.

– Nie wierzę w takie rzeczy – rzekł kapitan. – Wierzę, że to pan mi pomógł. – Pot spływał z niego powoli w dusznym powietrzu.

– Modłę się za pana podczas mszy i przywiozłem panu coś. Tylko to udało mi się kupić dla pana w Lobito. Bardzo mało znana święta posunął po stole medalik wielkości miedziaka. – Santa – nie pamiętam jej imienia. Zdaje mi się, że miała coś wspólnego z Angolą – objaśnił kapitan.

– Dziękuję – rzekł Scobie. Zdawało mu się, że paczka w kieszeni ciąży mu na udzie, jakby miała wagę pistoletu. Zaczekał, póki ostatnie krople porto nie spłynęły na dno kieliszka, i wychylił go. Powiedział: – Tym razem ja mam coś dla pana. – Straszliwa niechęć kurczyła mu palce.

– Dla mnie?

– Tak.

Jakże lekka była teraz paczuszka, kiedy leżała między nimi na stole. To, co w kieszeni ciążyło jak pistolet, mogło zawierać, dajmy na to, pięćdziesiąt papierosów. Powiedział: – Ktoś, kto wejdzie na pokład w Lizbonie razem z pilotem, zapyta, czy nie ma pan amerykańskich

papierosów. Da mu pan tę paczkę.

– Czy to sprawa państwowa?

– Nie. Państwo nigdy by tak dobrze nie zapłaciło. – położył na stole plik banknotów.

– To dla mnie niespodzianka – rzekł kapitan z dziwną nutą rozczarowania w głosie. –

Oddał się pan w moje ręce.

– Pan był w moich rękach – odparł Scobie.

– Nie zapomnę o tym. Ani moja córka. Nie ma ślubu kościelnego, ale jest wierząca. Ona też modli się za pana.

– Modlitwy, które mówimy w tym stanic, przecież się wcale nic liczą?

– Tak, ale kiedy przychodzi chwila łaski, zrywają się – kapitan podniósł tłuste ramiona niedorzecznym i wzruszającym ruchem zrywają się wszystkie naraz, jak ptaki.

– Wdzięczny będę za nie – rzekł Scobie.

– Naturalnie, może mi pan ufać.

– Naturalnie. Teraz muszę przeszukać pańską kajutę.

– Jednak nie bardzo mi pan ufa.

– Ta paczka – powiedział Scobie – nie ma nic wspólnego z wojną.

– Jest pan pewien?

– Jestem prawie pewien.

Rozpoczął rewizję. W pewnym momencie, zatrzymując się przed lustrem, zobaczył ponad własnym ramieniem twarz kogoś obcego; tłustą, spoconą, podejrzaną twarz. Zastanawiał się przez chwilę: „Któż to może być?”, nim zdał sobie sprawę, że to tylko nowy, nieznany wyraz litości, że dlatego twarz wydała mu się obca. Pomyślał; „Czy naprawdę należę do tych, nad którymi ludzie się litują?”

Księga trzecia

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Deszcze minęły, ziemia parowała. Chmury much obsiadły wszystko, szpital był pełen chorych na malarię. W dalszych częściach wybrzeża ludzie umierali na czarną febrę, a jednak przez jakiś czas trwało poczucie ulgi: jakby świat był znowu spokojny, odkąd ustało bębnienie po blaszanych dachach. Głęboki zapach kwiatów, unoszący się nad miastem, przeplatał się na korytarzach posterunku policji z wonią ogrodu zoologicznego. Godzinę po otwarciu zapory statek z Południa wpłynął do portu bez eskorty.

Gdy tylko statek rzucił kotwicę, Scobie wyruszył w łodzi policyjnej. Słowa powitania usztywniały mu wargi, dobierał zdania, które by brzmiały gorąco i szczerze, i myślał: „Jakże daleko zaszedłem, że muszę ćwiczyć powitanie”. Miał nadzieję, że zastanie Luizę w jednym z salonów. Byłoby łatwiej przywitać ją w obecności obcych ludzi. Ale nigdzie nie było jej śladu. Musiał się dowiadywać u płatniczego o numer jej kajuty.

Jeszcze i wtedy, rzecz prosta, spodziewał się, że ktoś z nią będzie. W tych czasach każda kajuta miała co najmniej sześciu pasażerów.

Ale kiedy zastukał i otwarto drzwi, nie było w kajucie nikogo prócz Luizy. Poczł się jak ktoś, kto puka do obcego domu z towarem na sprzedaż. Rzekl tonem pytającym: – Luiza?...

– Henryk! Wejdz. – Kiedy już był w kajucie, nie pozostało mu nic innego, jak pocałować ją. Unikał jej ust – usta ujawniają tak wiele – ale uparła się obrócić jego twarz i wycisnąć mu na wargach pieczęć powrotu. – Och, kochany mój, więc już jestem.

– Więc już jesteś – powiedział usiłując rozpaczliwie przypomnieć sobie te zdania, które wyćwiczył.

– One wszystkie są tak miłe – wyjaśniła. – Wyszły stąd, żebyśmy mogli być sami.

– Miałaś dobrą podróż?

– Zdaje mi się, że raz za nami gonili.

– Bardzo się niepokoiłem – rzekl. „Oto pierwsze kłamstwo – pomyślał – właściwie mogę już teraz rzucić się w to głową naprzód.” Powiedział: – Tak za tobą tęskniłem.

– Byłam głupia, że wyjechałam, kochany. – Przez okienko domy iskrzyły się w drgającym upale jak mika. Kajuta pachniała duszno kobietami, pudrem, lakierem do paznokci i koszulami nocnymi.

Powiedział: – Jedźmy na brzeg.

Zatrzymała go jeszcze chwilę. – Kochanie – rzekła – zrobiłam masę postanowień, kiedy tam byłam. Teraz wszystko ułoży się inaczej. Nie będę cię już więcej zanudzać. – Powtórzyła: – Wszystko ułoży się inaczej. – Pomyślał ze smutkiem, że to w każdym razie prawda.

Stojąc w oknie swego domu, gdy Ali i mały boy wnosili bagaże, spozierał na wzgórze, w stronę fińskich domków; miał takie uczucie, jakby jakieś obsunięcie się gruntu rozwarło nagle niezmierną przestrzeń między nim a domkami. Były tak dalekie, że początkowo nie czuł bólu, tak jak nie czuje się go wobec przeżycia z młodych lat, wspomnianego z ledwie uchwytną melancholią. „Czy moje kłamstwa naprawdę zaczęły się wtedy – myślał – kiedy napisałem tamten list? Czy naprawdę kocham ją bardziej niż Luizę? Czy w ogóle wgłębi serca kocham

którąś z nich, czy też tylko ta automatyczna, straszna litość kieruje się ku ludzkim potrzebom – i tylko je pogarsza? Wszelka ofiara wzywa do swego boku, do służby.

Z góry wypłaszano ciszę i samotność; wbijano gwoździe, jakieś ciężary spadały na podłogę i wstrząsały sufitem. Luiza podniosła głos rzucając różne, stanowcze rozkazy. Wszedł na górę i z progu zobaczył twarz w białym welonie od pierwszej komunii. Jej oczy patrzyły znów na niego; zmarła też powróciła. Życie jest odmienne bez zmarłych. Moskitiera, szara ektoplazma, zwiślała nad podwójnym łóżkiem.

– No, Ali – powiedział z cieniem uśmiechu (tylko cień uśmiechu udało mu się wywołać na tym seansie) – pani wróciła. Jesteśmy znowu wszyscy razem. – Jej różaniec leżał na toalecie; pomyślał o rozerwanym różańcu w kieszeni. Dawno zamierzał go naprawić; chyba już teraz nie warto.

– Kochanie – rzekła Luiza – tutaj już skończyłam. Ali może zrobić resztę. Chcę porozmawiać z tobą o tylu różnych rzeczach... – zeszała za nim na dół i od razu powiedziała: – Muszę dać firanki do prania.

– Nie znać na nich brudu.

– Biedactwo, nie widzisz tego, ale mnie tu nie było... Przyda mi się teraz większa półka na książki. Przywiozłam z sobą mnóstwo książek – dodała.

– Jeszcze nie powiedziałaś, co cię skłoniło...

– Kochany, będziesz się ze mnie śmiał. To taka bzdura. Ale nagle pojęłam, jaka byłam głupia, żeby się martwić sprawą twojego awansu. Powiem ci kiedyś, jak mi nie będzie przykro, że się ze mnie śmiejesz. – Wyciągnęła rękę i spróbowała dotknąć jego ręki. – Naprawdę cieszysz się?...

– I jak jeszcze – odparł.

– Czy wiesz, co mnie martwiło między innymi? Bałam się, że nie najlepszy z ciebie katolik, kiedy nie ma mnie w pobliżu, żeby cię do różnych rzeczy zachęcać, moje biedactwo.

– Rzeczywiście, nie zdaje mi się, żebym był...

– Czy często opuszczałeś mszę?

Odparł z wymuszonym humorem: – W ogóle nie wiem, czy kiedy byłem na mszy.

– Och, Tiki. – Opanowała się szybko i powiedziała: – Henryku kochany, pomyślisz, że jestem bardzo sentymentalna, ale jutro jest niedziela i chciałabym, żebyśmy razem przystąpili do komunii. To będzie znak, że znowu razem wkraczamy na właściwą, dobrą drogę.

To nadzwyczajne, jak wielu spraw nie dostrzega się wdanej sytuacji: właśnie tego nie przewidział.

– Naturalnie – powiedział, ale mózg odmówił mu chwilowo posłuszeństwa.

– Musisz dziś wieczór pójść do spowiedzi.

Nie zrobiłem nic bardzo strasznego.

– Opuszczenie mszy świętej w niedzielę to grzech śmiertelny, tak samo jak cudzołóstwo.

– Cudzołóstwo jest zabawniejsze – próbował odpowiedzieć frywolnie.

– Był najwyższy czas, żebym wróciła.

– Pójdę dziś po południu, po obiedzie. Nie mogę się spowiadać / pustym żołądkiem – rzekł.

– Wiesz co, kochany, ty się naprawdę zmieniłeś.

– Przecież żartowałem.

– Nic nie szkodzi, że żartujesz. Lubię to. Dawniej nieczęsto żartowałaś.

Sztuczna wesołość, żart wypowiedany suchymi wargami ciągnęło się to bez końca: podczas obiadu odłożył widelec, żeby znowu „palnąć” jakiś dowcip. – Kochany Henryku – powiedziała – jeszcze nigdy nie widziałam cię w tak świetnym humorze. – Grunt usunął mu się spod nóg i przez cały czas posiłku miał uczucie, że spada – rozstrojony żołądek, brak tchu, rozpacz – przecież nie można spaść w taką głębię i żyć dalej. Jego wesołość dobywała się niby krzyk z

przepaści.

Kiedy obiad się skończył (nie umiałby powiedzieć, co właściwie jadł), stwierdził: – No, muszę iść.

– Do księdza Ranka?

– Najpierw muszę zajrzeć do Wilsona. Mieszka obecnie w jednym z fińskich domków. Sąsiad.

– Chyba jest teraz w mieście?

– Zdaje mi się, że wraca na obiad.

Kiedy szedł pod górę, myślał: „Ileż to razy w przyszłości będę musiał odwiedzać Wilsona”. Jednak to nie było bezpieczne alibi. Wystarczy tylko na ten raz: wiedział, że Wilson jada obiad w mieście. Mimo to, aby się upewnić, zastukał do drzwi i osłupiał na chwilę, kiedy mu otworzył Harris.

– Nie spodziewałem się zastać pana.

– Miałem atak febry – rzekł Harris.

– Myślałem, że może Wilson jest w domu.

– Zawsze je obiad w mieście – odparł Harris.

– Chciałem tylko powiedzieć mu, że miło nam będzie, jeśli do nas zajrzy. Moja żona wróciła, wie pan.

– Zdawało mi się, że widzę przez okno jakiś ruch.

– Pan także musi nas odwiedzić.

– Nie jestem zbyt towarzyski – rzekł Harris garbiąc się w progu. – Prawdę mówiąc, boję się kobiet.

– Zbyt rzadko je pan widuje.

– Nie jestem stworzony na bawidamka – odparł Harris, nieudolnie usiłując okazać dumę. Scobie zdawał sobie sprawę, kiedy niechętnie szedł ku domkowi, gdzie mieszkała Helena, że Harris podgląda go nieładnie, jak asceta, którego nikt nie chce. Zapukał i poczuł, jak mu się wwierca w plecy krytyczny wzrok tamtego. Myślał: „Przepadło moje alibi, Harris powie Wilsonowi, a Wilson... Powiem, że ponieważ byłem tu, więc skorzystałem ze sposobności...” i poczuł, jak cała jego osobowość kruszy się, rozpada się powoli wśród kłamstw.

– Czemu pukałeś? – spytała Helena. Leżała na łóżku w mroku zaciągniętych firanek.

– Harris mnie obserwował.

– Nie myślałam, że przyjdiesz dzisiaj.

– Skąd się dowiedziałas?

– Każdy wie tutaj o wszystkim, tylko o jednym nie. Jakiś ty sprytny. Pewnie dlatego, że jesteś oficerem policji.

– Tak – usiadł na łóżku i położył dłoń na jej ręce; natychmiast spłynęli potem. Zapytał:

– Co ty robisz? Czy nie jesteś chora?

– Po prostu głowa mnie boli.

Powiedział mechanicznie nie słysząc nawet własnych słów: – Uważaj na siebie.

– Martwisz się czymś, kochanie – rzekła. – Czy stało się coś złego?

– Nic podobnego.

– Biedactwo, czy pamiętasz tę pierwszą noc, kiedy tu zostałeś? Nie martwiliśmy się niczym. Nawet zapomniałeś wziąć parasol. Byliśmy szczęśliwi. Czy nie wydaje ci się to dziwne? Byliśmy szczęśliwi.

– Tak.

– Czemu tak postępujemy, jeśli jesteśmy nieszczęśliwi?

– Błędem jest mieszać pojęcie szczęścia z pojęciem miłości – rzekł Scobie z rozpaczliwą

pedanterią, jakby mógł do nich obojga powrócić spokój, coś na kształt rezygnacji, gdyby Scobiemu udało się jakoś przerobić całą sytuację na opis z podręcznika, tak jak przerobili Pemberton.

– Czasem jesteś taki cholernie stary – powiedziała Helena, ale zaraz dała mu do zrozumienia ruchem ręki, że nie mówi tego poważnie.

„Dzisiaj nie może sobie pozwolić na kłótnię – pomyślał z litością – w każdym razie tak jej się zdaje.”

– Kochany mój – dodała Helena – o czym myślisz?

Nie powinno się okłamywać dwóch istot naraz, jeśli można tego uniknąć; to prowadzi do zupełnego chaosu. Ale kusiło go straszliwie, by skłamać, kiedy widział jej twarz na poduszce. Wydawała mu się podobna do jednej z tych roślin na filmach oświatowych, które rozwijają się i więdną w oczach. Już się na niej odcisnęła pieczęć wybrzeża, tak samo jak na Luizie. Powiedział:

– Mam pewien kłopot, który muszę sobie sam przemyśleć. Coś, czego nie przewidziałem...

– Powiedz mi to, kochanie. Co głowa... – Zamknęła oczy i zobaczył, jak usta jej tężeją w oczekiwaniu ciosu.

Odpark: – Luiza chce, żebym z nią poszedł na mszę i do komunii. Teraz jestem niby to w drodze do spowiedzi.

– Och, czy to wszystko? – spytała z ogromną ulgą.

Niesprawiedliwa irytacja wobec jej niewiedzy drgnęła w jego myślach jak nienawiść.

– Wszystko? – rzekł. – Wszystko? – Ale sprawiedliwość znów wzięła górę. Powiedział łagodnie: – Widzisz, jeśli nie przystąpię do komunii, ona się zorientuje, że coś jest nie w porządku, coś poważnego.

– Ale czy nie możesz po prostu przystąpić?

Odpark: – To oznaczałoby dla mnie... no, potępienie. Przyjąć tak mego Boga w stanie grzechu śmiertelnego...

– Ale na serio, przecież ty chyba nie wierzysz w piekło?

O to samo pytał mnie Fellowes.

Ja naprawdę nie rozumiem. Jeżeli wierzysz w piekło, to dlaczego teraz jesteś ze mną?

„Jakże często – pomyślał – brak wiary pozwala widzieć jaśniej niż wiara.”

Masz rację, oczywiście powiedział to powinno było zapobiec temu wszystkiemu. Ale chłopci na zboczach Wezuwiusza żyją dalej... A zresztą, wbrew całej nauce Kościoła człowiek ma to przekonanie, że miłość, wszelka miłość zasługuje na odrobinę miłosierdzia. Naturalnie będzie trzeba zapłacić, zapłacić straszliwie, ale nie wierzę, żeby się płaciło przez całą wieczność. Może będzie człowiekowi dany czas przed śmiercią...

– Żal na łożu śmierci – rzekła z pogardą.

– Nie byłoby łatwo – powiedział – żałować za to. – Scałował pot z jej ręki. – Mogę żałować za kłamstwa, za zmartwienia, za nieszczęścia, ale gdybym teraz umierał, nie wiedziałbym, jak żałować za miłość.

– No więc – powiedziała z tą samą nutą wzgardy, która jakby odrywała ją od niego i wiodła ku bezpiecznym brzegom – czy nie możesz pójść i ze wszystkiego się wypowiedzieć? Ostatecznie to nie znaczy, że więcej tego nie będziesz robił.

– Nie ma sensu iść do spowiedzi, jeśli się nie chce spróbować.

– Więc w takim razie – oznajmiła z triumfem – o czym tu gadać. Jesteś teraz w stanie grzechu śmiertelnego, tak uważasz. Co za różnica, jeśli dodasz jeszcze jeden grzech?

Pomyślał: „Ludzie pobożni powiedzieliby chyba, że to diabeł przemawia”. On jednak wiedział, że zło nigdy nie używa takich grubo ciosanych argumentów, na które można znaleźć odpowiedź. To przemawiała niewinność.

– Jest różnica, jest wielka różnica. To niełatwo wytłumaczyć. Obecnie... tyle że stawiam naszą miłość ponad... no, ponad moim bezpieczeństwem. Ale tamto jest naprawdę złem. Jak czarna msza: taki człowiek, co kradnie Najświętszy Sakrament, żeby go zbeczczyć. Uderzam Boga, kiedy jest słaby, kiedy jest w mojej mocy.

Odwróciła zmęczonym ruchem głowę i powiedziała: – Nic a nic nie rozumiem. Dla mnie to wszystko jakieś bujdy.

– Chciałbym i ja tak się na to zapatrywać. Ale ja w to wierzę.

Odparła ostro: – No, myślę. A może jednak to tylko wybieg? Jakoś z początku nie było tak często mowy o Bogu? Czy ty przypadkiem nie zaczynasz mnie traktować tak pobożnie, żeby sobie znaleźć wymówkę?...

– Moja droga – rzekł Scobie – przecież nigdy cię nie opuszczę. Muszę się tylko zastanowić, to wszystko.

Następnego rana Ali przyszedł ich obudzić kwadrans po szóstej. Scobie natychmiast otworzył oczy, ale Luiza spała dalej. Spędziła pracowity dzień. Scobie obrócił głowę na poduszce i patrzył na nią: oto twarz, którą kochał. Oto twarz, którą kocha. Przeraziła ją śmierć na morzu, a jednak wróciła, żeby mu było lepiej. Urodziła w męce jego dziecko i w męce patrzyła na śmierć tego dziecka. Zdawało mu się, że on sam uniknął tego wszystkiego. „Gdybym tylko umiał tak rzeczy ułożyć – myślał – żeby już nigdy więcej nie cierpiała.” Ale wiedział, że wyznaczył sobie niewykonalne zadanie. Mógł opóźnić cierpienie, oto wszystko; ale nosił je w sobie – była to infekcja, którą Luiza zarazi się nieuchronnie, prędzej czy później. Może działo się to już teraz, bo obróciła się i jęknęła przez sen. Przyłożył rękę do jej policzka, żeby ją uspokoić. „Gdyby tylko spała dalej, ja bym też spał, zaspiałbym, spóźnilibyśmy się na mszę, znów jeden problem odsunąłby się na później.” Ale mogło się zdawać, że jego myśli działają jak budzik; otworzyła oczy.

– Która godzina, kochany?

– Prawie wpół do siódmej.

– Musimy się śpieszyć.

Poczuł się tak, jakby uprzejmy i bezlitosny strażnik popędzał go przy ubieraniu się do egzekucji. Jednak ciągle odkładał zbawcze kłamstwo; zawsze istniała możliwość cudu. Luiza skończyła się pudrować (puder zmieniał się w ciasto z chwilą, kiedy dotykał skóry) i powiedziała: – Chodźmy już. – Czyżby w jej głosie zabrzmiała ledwie dosłyszalna nula triumfu? Wiele lat temu, w dzieciństwie, w tamtym, innym życiu, ktoś noszący jego imię, Henryk Scobie, grał w przedstawieniu szkolnym rolę Hotspura. Wybrano go ze względu na starszy wiek i wygląd, ale wszyscy mówili, że to była dobra kreacja. Teraz znowu musiał grać – będzie to chyba równie łatwe jak kłamać mową...

Oparł się nagle plecami o ścianę i położył dłoń na piersi. Nie potrafił zmusić mięśni, by naśladowały wyraz bólu, więc po prostu zamknął oczy. Luiza, patrząc w lustro, powiedziała:

– Przypomnij mi, żebym ci opowiedziała o księdzu Davisie z Durbanu. To bardzo dobry typ księdza, dużo większy intelektualista niż ksiądz Rank.

Scobiemu zdawało się, że Luiza już nigdy się nie obejrzy i nie zauważy go. Powiedziała: – No, już naprawdę musimy iść – i jeszcze marudziła przed lustrem. Kilka zlepionych potem kosmyków nie chciało się trzymać. Zobaczył wreszcie przez zasłone rzęs. jak odwraca się i patrzy na niego.

– Chodź, kochany – rzekła wyglądasz sennie.

Nadal trzymał oczy zamknięte i nie ruszał się z miejsca. Spytała ostro: – Tiki, co ci jest?

– Koniak.

– Czy jesteś chory?

Koniak – powtórzył ostro, a kiedy mu przyniosła koniak i poczuł jego smak na języku, doznał niezmiernego odprężenia: odroczenie egzekucji.

Westchnął z ulgą: – Już mi lepiej.

– Co się stało?

– Taki ból w piersi. Ale już dobrze.

– Czy miałeś to już kiedy dawniej?

– Raz czy dwa razy. Jak cię nie było.

– Musisz pójść do doktora.

– Och, nie warto się tym przejmować. Każdy powie tylko tyle, że jestem przemęczony.

– Nie powinnam była wyciągać cię z łóżka, ale chciałam, żebyśmy razem przystąpili do komunii.

– Boję się, że wszystko popsuję przez ten koniak.

– Nic nie szkodzi, Tiki. – Skaziła go niedbale na wiekuiłą śmierć. – Możemy pójść kiedy indziej.

Ukląkł w ławce i patrzył, jak Luiza klęka wraz z innymi przy balaskach; uparł się, że pójdzie z nią na mszę. Ksiądz Rank odwracając się od ołtarza podszedł do tamtych z Bogiem w rękach. Scobie pomyślał: „Bóg uniknął mnie tym razem, ale czy zawsze mnie uniknie? Domine non sum dignus... Domine non sum dignus... Domine non sum dignus...” Jego dłoń uderzyła ciągle w ten sam guzik munduru, sztywno jak na musztrze. Przez chwilę wydało mu się rzeczą okrutną i nierzetelną ze strony Boga, że się w taki sposób naraża jako człowiek, jako płatek chleba, najpierw w wioskach palestyńskich, a teraz tutaj, w tym gorącym porcie, i gdzie indziej, wszędzie, pozwalając, by ludzie robili z Nim, co zechcą. Chrystus powiedział bogatemu młodzieńcowi, żeby sprzedał wszystko i poszedł za Nim, ale to był łatwy, racjonalny krok w porównaniu z tym krokiem, jaki postawił Bóg oddając się na łaskę i niełaskę ludziom, którzy ledwo rozumieją znaczenie słowa: łaska. „Jakże rozpaczliwie Bóg musi kochać” – pomyślał ze wstydem. Ksiądz doszedł do Luizy w swym wolnym, przerywanym obchodzie i nagle Scobie pojął smak wygnania. Tam, gdzie klęczeli ci wszyscy ludzie, była kraina, do której on już nigdy nie wróci. Drgnęła w nim świadomość miłości, miłości, jaką się zawsze ma dla tego, co się utraciło – czy to będzie dziecko, czy kobieta, czy nawet cierpienie.

Rozdział drugi

Wilson wydarł ostrożnie kartkę z „Downhamianina” i podkleił ją grubym papierem. Spojrzał pod światło: nie dałoby się odczytać tabeli wyników sportowych, wydrukowanej na odwrocie jego wiersza. Następnie złożył dokładnie kartkę i wsunął ją do kieszeni; pewnie tam już zostanie, ale nigdy nic nie wiadomo.

Widział, jak Scobie jedzie do miasta. Teraz z biciem serca, łapiąc z trudem oddech, prawie tak samo jak wtedy, kiedy wchodził do burdelu, nawet z tą samą niechęcią – bo któż lubi w danej chwili zmieniać normalny bieg swego życia? – wyruszył w stronę domu Scobiego.

Zaczął sobie powtarzać to, co by według jego mniemania kto inny zrobił na jego miejscu: trzeba podjąć natychmiast watek; pocałować ją z całkowitą naturalnością, jeśli możliwe w usta, powiedzieć: tęskniłem za tobą. I żadnych wahań. Ale jego serce nadawało sygnały lęku, które głużyły myśl.

– Otóż i Wilson – rzekła Luiza. – Myślałam, że pan o mnie zapomniał – i wyciągnęła rękę. Przyjął ją niby porażkę.

– Napije się pan czegoś?

– Miałem nadzieję, że może pójdziemy na spacer.

– Jest za gorąco.
– Nie byłem tam, wie pani, od czasu...
– Gdzie „tam”? – Zdał sobie sprawę, że dla tych, którzy nie kochają, czas nigdy się nie zatrzymuje.

– Tam, przy dawnym posterunku.
Bąknęła z bezlitosnym brakiem zainteresowania:
– Ach tak.,, tak, ja też jeszcze tam nie byłam.
– Tej nocy, kiedy wróciłem – czuł ten okropny, młodzieńczy rumieniec, intensywnie występujący mu na twarz – spróbowałem napisać wiersz.

– Co? Pan, panie Wilson?
Powiedział z furją: – Tak, ja, pan Wilson. Czemu nie? I wydrukowali go.
– Wcale nie żartowałam. Po prostu zdziwiłam się. Kto go wydrukował?
– Nowe pismo pod nazwą „Krağ”. Płacą niewiele, rzecz prosta.
– Czy mogłabym to przeczytać?

Wilson odparł bez tchu: – Mam go tutaj. – Wyjaśnił: – Po drugiej stronie było coś, czego nie mogłem znieść. Po prostu zanadto nowoczesne jak dla mnie. – Patrzył na nią z łapczywym zakłopotaniem.

– Całkiem ładniutkie – powiedziała blado.
– Widzi pani inicjały?
– Nigdy dotychczas nikt nie zadedykował mi wiersza.

Wilsonowi zrobiło się niedobrze; chciał usiąść. „Po co w ogóle – myślał – człowiek bierze się do tej upokarzającej sprawy; po co sobie wyobraża, że jest zakochany?” Czytał gdzieś, że miłość wymyślili w jedenastym wieku trubadurzy. Czemu nie zostawili nam samej zmysłowości? Powiedział jadowniczo i beznadziejnie: – Kocham panią. – Pomyślał: „Kłamstwo; to słowo coś znaczy tylko w druku”. Oczekiwał jej śmiechu.

– Och, nie, panie Wilson – rzekła – nie. Nieprawda. To tylko gorączka tropikalna.
Rzucił się na ślepo: – Ponad wszystko w świecie.
– Nikt tak nie kocha, proszę pana – odparła łagodnie.
Zaczął chodzić niespokojnie tam i z powrotem, szorty powiewały, machał wycinkiem „Downhamianina”.

– Powinna pani wierzyć w miłość. Pani jest katoliczką. Czy Bóg nie ukochał świata?
– O tak – odparła – Bóg to potrafi, ale niewielu spośród nas.
– Kocha pani swego męża, tak pani mówiła. I dlatego pani wróciła.

Luiza powiedziała ze smutkiem: – Myślę, że go kocham. Jak mogę. Ale to nie taka miłość, jaką pan chciałby sobie wyobrazić. Żadnych zatrutych pucharów, wiecznego żalu, czarnych żagli. My nie umieramy z miłości, panie Wilson, jeśli naturalnie nie liczyć tego, co się dzieje w książkach. Tylko czasem jakiś chłopiec się zgrywa. Nie zgrywajmy się, panie Wilson, to żadna przyjemność w naszym wieku.

– Nie zgrywam się – powiedział z wściekłością, w której usłyszał akcent aktorski. Stanął przed jej biblioteką, jakby to był świadek, o którym zapomniał.

– Ale o n i , czy się zgrywają?
– Nie bardzo – odparła. – I dlatego wolę ich od p a n i c h poetów.
– A mimo wszystko wróciła pani. – Twarz jego rozblęśla szpetnym natchnieniem. – A może to była tylko zazdrość?

– Zazdrość? – spytała. – O cóż takiego ja bym mogła być zazdrosna?
– Byli ostrożni – rzekł Wilson – ale nie tak bardzo.
– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Ten cały Tiki i Helena Rolt.

Luiza zamierzyła się i nie trafiając w policzek, uderzyła go w nos, który zaczął krwawić. Powiedziała: – Za to, że pan go nazwał Tiki. Nikomu poza mną nie wolno tego robić. Pan wie, że on tego nie znosi. Proszę, niech pan weźmie moją chustkę, jeśli pan nie ma swojej.

Wilson powiedział: – Strasznie łatwo mi krew leci. Czy pani pozwoli, że się położę na plecach? – Wyciągnął się na podłodze między stołem a spizarką, wśród mrówek. Najpierw Scobie widział jego łzy w Pende, a teraz znowu to.

– Może by panu włożyć klucz za kołnierz? – spytała Luiza.

– Nie. Nie, dziękuję. – Krew zaplamiła kartkę „Downhamianina”.

– Naprawdę, bardzo mi przykro. Mam nieznośne usposobienie. To pana wyleczy. – Ale jeśli ktoś żyje romansowością, niechajby się z niej nigdy nie wyleczył. Świat ma zbyt wielu odstępców od tej czy innej wiary. Z pewnością lepiej udawać, że się w coś wierzy, niż błądzić w tej strasznej próżni między okrucieństwem i rozpaczą.

– Nic mnie nie wyleczy, Luizo. Kocham panią. Nic – powiedział z uporem i krwawił w jej chustkę.

– Jakie by to było dziwne – rzekła – gdyby było prawdziwe.

Mruknął pytająco z podłogi.

– To znaczy – wyjaśniła – gdyby pan istotnie był jednym z tych ludzi, którzy naprawdę kochają. Myślałam, że Henryk jest taki. Byłoby dziwne, gdyby się okazało, że to właśnie pan.

Poczuł dziwny strach, że mimo wszystko ocenią go zgodnie z tym, co sam sądzi: podobnie mógłby się czuć jakiś młodszy oficer sztabowy widząc, że bitwa przyjmuje zły obrót, a ludzie biorą poważnie jego twierdzenie, jakoby potrafił dać sobie radę z czołgami. Jest już za późno, aby przyznać, że nie umie się nic ponad to, co się wyczytało w pismach technicznych. „O miłości poetyczna, półptaku i półaniele.” Krwawiąc w chustkę złożył ostrożnie wargi do wielkodusznego zdania: – Myślę, że kocha na swój sposób.

– Kogo? – spytała Luiza. – Mnie? Czy tę Helenę Rolt, o której pan mówi? Czy po prostu siebie samego?

– Nie powinienem był tego powiedzieć.

– A czy to nieprawda? Odsłońmy rąbek prawdy, panie Wilson. Nie ma pan pojęcia, jak jestem zmęczona krzepiącymi kłamstwami. Czy jest piękna?

– Ach, nie, nie. Nic podobnego.

– Naturalnie jest młoda, a ja mam już swoje lata. Ale z pewnością jest trochę zniszczona po tym wszystkim, co przeszła.

– Jest bardzo zniszczona.

– Ale nie jest katoliczką. Ma szczęście. Jest wolna, panie Wilson.

Wilson usiadł i oparł się o nogę stołu. Powiedział ze szczerą namiętnością: – Na miłość Boską, niech pani nie mówi do mnie Wilson.

– Panie Edwardzie. Edku. Edziu.

– Znowu mi krew idzie – rzekł posępnie i położył się z powrotem na podłodze.

– Co pan o tym wie, panie Edziu?

– Chyba wolałbym: Edwardzie. Więc widziałem, jak wychodził z jej domku o drugiej rano. Był tam wczoraj po południu.

– Był u spowiedzi.

– Harris go widział.

– Pan go niewątpliwie obserwuje.

– Jestem przekonany, że Yusef się nim posługuje.

– To niesłychane. Pan się posuwa za daleko.

Stała nad nim, jakby był trupem. Ścisnął w dłoni zakrwawioną chustkę. Żadne z nich nie usłyszało samochodu i kroków przed progiem. Obojgu dziwnie było usłyszeć trzeci głos, z zewnątrz, odzywający się w tym pokoju, który stał się zamknięty, intymny i duszny jak loch.

– Czy stało się może co złego? – Był to głos Scobiego.

– To tylko... – rzekła Luiza i gestem wyraziła zdziwienie, jakby pytała, od którego miejsca zaczyna się wyjaśniać. Wilson jął się gramolić, ale ledwie stanął, znowu krew popłynęła mu z nosa.

– Chwileczkę – powiedział Scobie i wyciągnawszy pęk kluczy wpuścił je Wilsonowi za kołnierz. – Zobacz pan – rzekł – staroświeckie lekarstwa są zawsze najlepsze. – I rzeczywiście krwawienie ustało po paru sekundach. – Nie powinien pan nigdy kłaść się na plecach – mówił Scobie rozsądnie. – A po drugie niech pan zawsze używa gąbki z zimną wodą. Przecież pan wygląda jak po bijatyce, panie Wilson.

– Zawsze kładę się na plecach – rzekł Wilson. – Choruję na widok krwi.

– Napije się pan czegoś?

– Nie – rzekł Wilson. – Nie. Muszę już iść.

Wyciągnął nie bez trudności klucze i ogon koszuli zostawił na wierzchu. Odkrył to dopiero wtedy, kiedy po powrocie do fińskiego domku Harris zwrócił mu na to uwagę. „Więc tak wyglądałem odchodząc, a oni patrzyli za mną stojąc obok siebie.” Spojrzał ponad obrazem spieczonej ziemi i smutnych blaszanych domków w kierunku Scobiego, jakby badał plac boju po porażce. Zastanawiał się, jak by wyglądała ta cała beznadziejna scena, gdyby był został zwycięzcą. Ale w ludzkiej miłości nie istnieje taka rzecz jak zwycięstwo: jedynie kilka błahych sukcesów taktycznych przed ostateczną klęską śmierci lub obojętności.

– Czego on chciał? – spytał Scobie.

– Chciał się do mnie zalecać.

– Czy kocha się w tobie?

– Myśli, że tak. Trudno wiele więcej wymagać, prawda?

– Zdaje się, że uderzyłeś go dosyć mocno w nos? – rzekł Scobie.

– Rozgniewał mnie. Powiedział na ciebie: Tiki. Kochanie, on ciebie szpieguje.

– Wiem o tym.

– Czy jest niebezpieczny?

– Mógłby być niebezpieczny, w pewnych warunkach. Ale to byłaby moja wina.

– Henryku, czy ty się nigdy na nikogo nie wściekasz? Czy ci to nie szkodzi, że on się do mnie zaleca?

– Byłbym hipokrytą, gdybym się o to gniewał. Zdarzają się ludziom takie rzeczy. Wiesz, całkiem sympatyczni, zwyczajni ludzie jednak się zakochują.

– Czy ty się kiedyś zakochałeś?

– O tak, tak. – Patrzył na nią uważnie dobywając uśmiech. – Ty wiesz, że tak.

– Henryku, czy ty się naprawdę źle czułeś rano?

– Tak.

– Czy to nie była tylko wymówka?

– Nie.

– No więc, kochanie, idźmy razem do komunii jutro rano.

– Jeśli tylko chcesz – rzekł. Oto była chwila, o której wiedział, że przyjdzie. Z brawurą, by pokazać, że mu nie drżą ręce, wziął szklanekę. – Wypijemy?

– Jeszcze za wcześnie, kochany – rzekła Luiza.

Wiedział, że mu się przygląda bacznie, tak jak i wszyscy inni. Odstawił szklanekę i powiedział: – Muszę jeszcze pojechać na posterunek po papiery. Kiedy wrócę, będzie już czas, żeby się

czegoś napić.

Prowadził samochód niepewnie, wzrok mu się ćmił, w głowie mu się kręciło. „O Boże – myślał – do jakichże decyzji zmuszasz ludzi znienacka, nie dając im czasu do namysłu. Jestem zanadto zmęczony, żeby myśleć; to by trzeba opracować na papierze jak zadanie matematyczne, do wyniku powinno się dochodzić bez bólu.” Tymczasem było mu dosłownie niedobrze z bólu, czkał nad kierownicą. „Trudność w tym – myślał – że z góry znamy rozwiązanie. My, katolicy, jesteśmy potępieni z powodu naszej wiedzy. Nie potrzebuję nic wymyślać, jest tylko jedno rozwiązanie: uklęknąć przy konfesjonale i powiedzieć: »Od czasu mojej ostatniej spowiedzi popełniłem cudzołóstwo tyle to razy« – i tak dalej, i tak dalej. Usłyszeć, jak mi ksiądz Rank mówi, żebym unikał okazji, nie widywał się nigdy z tą kobietą sam na sam (te straszne, abstrakcyjne określenia: Helena – ta kobieta; okazja – a nie przerażone dziecko, ściskające album i nadśluchujące wycia Bagstera za drzwiami; owa chwila spokoju, mroku, czułości i litości – cudzołóstwo). A ja robię akt żalu, obiecuję nigdy więcej Ciebie nie obrazić, a jutro komunია: wzięcie do ust Boga w stanie łaski – jak to określają. Oto właściwe rozwiązanie – nie ma innego. Ratować własną duszę, a ją zostawić Bagsterowi i rozpaczy. Trzeba być rozsądnym – mówił sobie – i zgodzić się na to, że rozpacz nie trwa wiecznie (czy to prawda?), że miłość nie trwa wiecznie (ale czy to właśnie nie jest powodem, że rozpacz trwa?), że za parę tygodni czy miesięcy Helena wróci znów do równowagi. Przeżyła czterdzieści dni w otwartej łodzi i zgon swego męża. Czyż nie potrafi przeżyć zwyczajnego zgonu miłości? Tak jak ja to potrafię, jak wiem, że potrafię.”

Zatrzymał się pod kościołem i siedział bezradnie za kierownicą. Śmierć nigdy nie przychodzi wtedy, kiedy się jej najbardziej pragnie. „Naturalnie – pomyślał – istnieje zwyczajne, uczciwe, błędne rozwiązanie: opuścić Luizę, zapomnieć o tym prywatnym ślubowaniu, zrezygnować z posady. Zostawić Helenę Bagsterowi czy też Luizę – jakim losom?... Jestem w pułapce – powiedział sobie dostrzegając w lusterku obcą twarz bez wyrazu – w pułapce.” Wysiadł jednak z samochodu i wszedł do kościoła. Czekając, aż ksiądz Rank usiądzie w konfesjonale, ukląkł i modlił się: mówił jedyną modlitwę, jaką mu się udawało skleić:.. Uciekły mu nawet słowa Ojciec nasz i Zdrowaś Maryjo. Modlił się o cud: „Boże, przekonaj mnie, dopomóż mi, przekonaj mnie. Pozwól mi uczuć, że jestem ważniejszy niż to dziecko”. Podczas modlitwy widział nie twarz Heleny, ale to umierające dziecko, które nazwało go ojcem, twarz na fotografii patrząca z toaletki, twarz czarnej dwunastoletniej dziewczynki, zgwałconej i zabitej przez marynarza, która wytrzeszczała na niego ślepo oczy w żółtym świetle naftowej lampy. „Pozwól mi postawić moją duszę na pierwszym miejscu. Daj mi uwierzyć w Twoje miłosierdzie dla tej, którą opuszczę.” Usłyszał, jak ksiądz Rank zamyka drzwiczki konfesjonau. Młodości zmusiły go, by znów uklęknąć. „Boże – powiedział – jeśli zamiast tego miałbym opuścić Ciebie, ukarż mnie, ale daj tamtym trochę szczęścia.” Podeszedł do konfesjonau. Pomyślał: „Może się jeszcze zdarzyć cud. Nawet ksiądz Rank może choć raz znajdzie słowo, właściwe słowo...” Klęcząc przy kratkach – było tam tyle miejsca, ile w postawionej pionowo trumnie – rzekł: – Od ostatniej spowiedzi popełniłem cudzołóstwo.

– Ile razy?

– Nie wiem, ojciec, wiele razy.

– Czy jesteś żonaty?

– Tak. – Przypomniał sobie ten wieczór, kiedy ksiądz Rank niemal załamał się w jego obecności przyznając, że nie udawało mu się nieść pomocy... Czy on także, mimo że walczył o utrzymanie anonimowości konfesjonau, przypomniał sobie teraz ten wieczór? Scobie chciał powiedzieć: „Proszę mi pomóc, ojciec. Proszę mnie przekonać, że postąpiłbym słusznie zostawiając ją Bagsterowi. Proszę zrobić coś, bym uwierzył w miłosierdzie Boskie” i klęczał w

milczeniu czekając; ale nie poczuł najłżejszego drgnienia nadziei. Ksiądz zapytał:

- Czy to jedna kobieta?
- Tak.
- Musisz unikać widywania się z nią. Czy to możliwe?

Potrząsnął głową.

– Jeśli musisz się z nią widywać, nie powinieneś nigdy być z nią sam na sam. Czy obiecujesz, że nigdy tego nie zrobisz, obiecujesz Bogu, nie mnie?

„Jakie to głupie z mojej strony – pomyślał – że oczekiwałem magicznego słowa. Oto formułka tak często stosowana wobec tylu ludzi. Ludzie zapewne obiecują i odchodzą, i wracają, i znów się spowiadają. Czy istotnie wierzą, że będą próbować? Oszukują co dzień ludzi, ale nie mam zamiaru oszukiwać samego siebie ani Boga.”

- Nie warto, żebym to obiecywał, ojcze.
- Musisz obiecać. Nie możesz pragnąć celu, nie pragnąc zarazem środków.

„A jednak można – pomyślał – można; można pragnąć zwycięskiego pokoju, nie pragnąc spustoszenia miast.”

Ksiądz powiedział: Przecież nie potrzebuję ci mówić, że w sakramencie pokuty i w rozgrzeszeniu nie ma żadnego automatyzmu. To, czy otrzymasz przebaczenie, zależy od twego duchowego usposobienia. Nie warto przychodzić tutaj i klękać bez przygotowania. Zanim tu przyjdiesz, musisz znać zło, jakie wyrządziłeś.

- Znam je.
- I musisz mieć szczere postanowienie poprawy. Mamy nakazane wybaczać bratu naszemu siedemdziesiąt siedem razy i nie trzeba się obawiać, że Bóg będzie mniej miłosierny od nas. ale nikt nie może wybaczyć temu, kto nie żałuje. Lepiej zgrzeszyć siedemdziesiąt razy i za każdym razem żałować, niż zgrzeszyć raz i nigdy nie żałować.

Widział, jak ksiądz podnosi rękę, by zetrzeć pot z oczu; był to jakby gest zmęczenia. „Po co zatrzymywać go w tej niewygodzie? Ma rację oczywiście. Byłem głupi, wyobrażając sobie, że w tym dusznym pudle znajdę jakieś przekonanie...”

- Myślę, że źle zrobiłem przychodząc tutaj, ojcze.
- Ja nie chcę ci odmawiać rozgrzeszenia, ale sądzę, że jeśli teraz odejdziesz i wszystko ponownie przemyślisz, wrócisz tu w lepszym usposobieniu.
- Tak, ojcze.
- Będę się modlić za ciebie.

Wydało się Scobiemu, kiedy odszedł od konfesjonału, że jego kroki wyprowadziły go pierwszy raz poza widnokrąg nadziei. Nie było nadziei nigdzie tam, gdzie zwracał oczy: martwa postać Boga na krzyżu, gipsowa Matka Boska, ohydne stacje przedstawiające szereg zdarzeń, które miały miejsce dawno temu. Zdawało mu się, że została mu możliwość poszukiwań tylko na terytorium rozpacz.

Pojechał na posterunek, zabrał jakieś papiery i wrócił do domu.

- Długo cię nie było rzekła Luiza.

Nie wiedział jeszcze, jakie wypowie kłamstwo, a już zjawilo się na jego wargach. – Ten ból wrócił, więc odczekałem chwilę.

- Czy myślisz, że możesz coś wypić?
- Tak, póki nikt nie mówi, bym tego nie robił.
- I pójdziesz do doktora?
- Naturalnie.

Tej nocy śniło mu się, że jest w łodzi unoszonej z prądem takiej samej podziemnej rzeki, jaką płynął bohater jego dzieciństwa. Allan Quatermain, w kierunku zaginionego miasta Milosis. Lecz

Quatermain miał towarzyszy, a on był sam. bo nie można było uważać zwłok na noszach za towarzysza. Miał poczucie, że trzeba się śpieszyć: mówił sobie, że ciała w tym klimacie psują się bardzo szybko, i chwycił już w nozdrza woń rozkładu. Nagle siedząc tak i kierując łódź na środek prądu, zdał sobie sprawę, że to nie zwłoki tak cuchną, tylko jego własne żywe ciało. Poczł się tak, jakby krew przestała krążyć mu w żyłach. Kiedy spróbował podnieść rękę, zwiła mu od ramienia, bezwładna. Zbudził się; to Luiza podniosła jego rękę.

– Kochany, czas już iść – powiedziała.

– Iść? – zapytał.

– Idziemy razem na mszę. – Ponownie zdał sobie sprawę, jak pilnie Luiza mu się przygląda. Czy warto było próbować dalszych opóźniających kłamstw? Zastanawiał się, co mógł jej powiedzieć Wilson Czy on sam potrafi tak kłamać tydzień po tygodniu znajdując jakieś powody – praca, zły stan zdrowia, zapomnienie by uniknąć tego, co miało się stać przy balaskach? Pomyślał beznadziejnie: „Już jestem potępiony, więc mogę tak czy owak pójść do samego końca”. – Tak – powiedział – naturalnie, już wstaję. – I nagle zaskoczyło go, że Luiza wkłada w jego usta wymówkę, daje mu szansę.

– Kochany – rzekła – jeśli źże się czujesz, leż dalej. Nie chcę wyciągać cię siłą na mszę.

Wydalo mu się, że wymówka jest zarazem pułapką. Widział, w którym miejscu położono darń nad ukrytymi palikami. Przyjmując wymówkę, którą mu proponowała, przyznałby się oczywiście do winy. Postanowił raz na zawsze, za każdą cenę w wieczności oczyścić się teraz w jej oczach, dać jej pewność, której potrzebowała. Powiedział: – Nie, nie. Idę z tobą. – Kiedy wchodził obok niej do kościoła, było tak, jakby wkraczał tu po raz pierwszy; obcy człowiek. Niezmierzona odległość dzieliła go już od tych ludzi, którzy klęczą, modlą się i za chwilę przyjmą Boga w pokoju. Ukląkł i udawał, że się modli. Słowa mszy brzmiały jak oskarżenie. „Wnijdę do ołtarza Bożego, do Boga, który uwesela młodość moją.”

Nigdzie jednak nie było wesela. Spojrzał w górę pomiędzy swych dłoni. Wydawało mu się, że gipsowe podobizny Najświętszej Panny i świętych wyciągają ręce do wszystkich poz.a nim jednym. Był na tym przyjęciu nieznanym gościem, którego nikomu nie przedstawiono. Łagodne, malowane uśmiechy kierowały się w inną stronę było to nie do zniesienia. Kiedy msza doszła do *Kyrie Eleison*. znowu spróbował się modlić. „Panie, zmiłuj się... Chryste, zmiłuj się... Panie, zmiłuj się...” – ale wstyd i strach przed czynem, który miał popełnić, zmroziły jego mózg. Ci upadli księża, którzy odprawiali czarne msze konsekrując Hostię nad ciałem nagiej kobiety, przyjmując Boga wśród niedorzecznego, przerażającego rytuału, dokonywali przynajmniej aktu potępienia z emocją większą od ludzkiej miłości. Robili to z nienawiści do Boga albo z jakiegoś dziwnego, perwersyjnego nabożeństwa do Jego nieprzyjaciela. Ale on nie kocha zła ani też nic nienawidzi Boga. Jakże mógł nienawidzić tego Boga, który z własnej woli oddaje się w jego ręce? Miał zbezczścić Boga. bo kochał kobietę – czy to chociaż była miłość, czy tylko uczucie litości i odpowiedzialności? Próbował znowu usprawiedliwić się: „Sam dasz sobie radę. Co dzień przeżywasz krzyż. Możesz tylko cierpieć. Nigdy nie możesz zginąć. Przyznaj, że musisz ustąpić pierwszego miejsca tamtym”. Patrząc, jak ksiądz nalewa do kielicha wino i wodę. jak na ołtarzu przygotowuje się jego potępienie niby potrawa, myślał: „Ja muszę stanąć na ostatnim miejscu; jestem podkomisarzem policji, służy pode mną stu ludzi, na mnie spoczywa odpowiedzialność. Czuwać nad innymi to mój zawód. Jestem stworzony, by służyć”.

Sanclus, Sanelus, Sanctus. Rozpoczął się kanon mszy świętej: szept księdza Ranka przy ołtarzu pędził bezlitośnie ku konsekracji... Dni życia naszego pokojem obdarzaj, a od wiecznego potępienia nas wybaw...” – Pax, pacis, pacem; wszystkie przypadki słowa „pokój” bębniły mu w uszach przez cały ciąg mszy. Myślał: „Odrzuciłem na zawsze nawet nadzieję pokoju. Na mnie spoczywa odpowiedzialność. Wkrótce pójdę w moich oszukańczych zamiarach

za daleko, by móc się kiedykolwiek cofnąć”.

– Hoc est enim Corpus... Zadźwięczał dzwonek i ksiądz podniósł w palcach Boga, lekkiego teraz jak opłatek, którego przyjscie leżało na sercu Scobiego ciężko jak ołów. – Hic est enim calix Sanguinis... i drugi dzwonek.

Luiza dotknęła jego ręki.

– Kochany, czy dobrze się czujesz? Pomyślał: „Oto druga szansa. Nawrót moich bólów. Mogę wyjść. Doprawdy, któż cierpi ból, jeśli nie ja?” Ale wiedział, że gdyby teraz wyszedł z kościoła, pozostałoby tylko jedno: pójść za radą księdza Ranka, załatwić swoje sprawy, zdezerterować, wrócić za parę dni i przyjąć Boga z czystym sumieniem i ze świadomością, że zepchnął niewinność z powrotem tam, gdzie było jej właściwe miejsce: pod fale Atlantyku. Niewinność powinna umierać młodo, jeśli nie ma zabijać ludzkich dusz.

„Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam...”

Nic mi nie jest rzekł. Poczł ukłucie dawnej tęsknoty; podnosząc wzrok na krzyż nad ołtarzem myślał dziko: „Masz oto swoją gąbkę umaczaną w żółci. Ty mnie zrobiłeś tym, czym jestem. Masz pchnięcie włócznią”. Nie potrzebował otwierać mszału, by wiedzieć, jak kończy się ta modlitwa. „Przyjęcie ciała Twego, Panie Jezu Chryste, które ja niegodny spożywać się ważę. niech mi się nie obróci na sąd i potępienie.” Zamknął oczy i pozwolił wejść ciemności. Msza zdążyła ku końcowi: „Domine. non sum dignus... Domine. non sum dignus... Domine, non sum dignus...” U stóp szafotu otworzył oczy i zobaczył! stare Murzynki człapiące do balasek. kilku żołnierzy, mechanika, jednego ze swych policjantów, kancelistę z banku; sunęli statecznie ku Pokojowi. Scobie pozazdrościł im prostoty i dobroci. Tak. teraz, w lej właśnie chwili byli dobrzy.

Idziesz, kochany? spytała Luiza i znowu dotknęła go jej ręka: uprzejma, stanowcza ręka detektywa. Wstał, poszedł za Luizą i ukląkł przy niej jak szpieg w obcym kraju, który nauczył się jego obyczajów i posługuje się jego językiem niczym tubylec. „Teraz tylko cud może mnie wybawić” mówił sobie, patrząc, jak ksiądz przy ołtarzu otwiera tabernakulum. Ale Bóg nigdy nie zrobi cudu, aby wybawić siebie samego. „Jestem krzyżem myślał Scobie. On nigdy nie wypowie słowa, które by Go wybawiło od krzyża, ale gdyby przynajmniej drzewo było tak zrobione, by nic nie czuło, gdyby gwoździe były niewrażliwe, jak sobie to ludzie wyobrażają.”

Ksiądz zszedł po stopniach od ołtarza, niosąc Boga. Ślina wyschła Scobiemu w ustach: czuł się lak. jakby mu wyschły żyły. Nie mógł podnieść oczu. Widział tylko ornat księdza niby czaprak najeżdżającego nań średniowiecznego rumaka; szelest stóp. natarcie Boga. Gdyby tylko łucznicy wypuścili strzały z zasadzki... I przez chwilę śnił, że kroki księdza rzeczywiście ustały. „Może coś się jeszcze stanie, nim do mnie dojdzie; jakaś niewiarygodna przeszkoda...” Lecz otworzył usta (nadszedł czas) i spróbował po raz ostatni pomodlić się: „O Boże, ofiarowuję Ci moje potępienie. Weź je. Użyj go dla innych”. Poczł na języku blady, papierowy smak wyroku, który skazywał go po wszystkie czasy.

Rozdział trzeci

Dyrektor banku pociągnął łyk wody z lodem i wykrzyknął tonem, w którym była serdeczność nic tylko zawodowa: Pewnie się pan strasznie cieszy, że pańska żona zdążyła przyjechać przed Bożym Narodzeniem.

Jeszcze daleko do Bożego Narodzenia – rzekł Scobie.

– Czas leci, kiedy deszcze ma się już za sobą mówił dyrektor jakimś nowym, ochoczym tonem. Scobie nigdy dotąd nie słyszał w jego głosie owej optymistycznej nuty. Przypomnił go sobie, że łąził lam i sam niby bocian i setki razy w ciągu dnia przystawał przed książkami medycznymi.

– Przyszedłem tu... zaczął Scobie.

– W sprawie ubezpieczenia na życie? Czy może chodzi o kredyt?

– Nie. tym razem nie w tych sprawach.

– Pan wie, że zawsze najchętniej postaram się pomóc, w każdym wypadku.

Jakże spokojnie siedział przy biurku. Scobie zapytał ze zdumieniem: Czy pan zaprzestał swoich codziennych ćwiczeń?

– Ach, to wszystko było funta kłaków nie warte – rzekł dyrektor. – Czytałem za dużo książek.

– Chciałem zajrzeć do pańskiej encyklopedii lekarskiej – wyjaśnił Scobie.

– Niech pan lepiej pójdzie do doktora – poradził nieoczekiwanie Robinson. – Mnie doprowadził do porządku doktor, a nie książki. Ile jeszcze czasu byłbym zmarnował... Mówię panu, ten nowy doktor ze szpitala, młody gość, to najlepszy człowiek, jakiego tu przysłali od czasu odkrycia tej kolonii.

– I doprowadził pana do porządku?

– Niech pan pójdzie do niego. Nazywa się Travis. Niech się pan na mnie powoła.

– Mimo wszystko, gdybym mógł zajrzeć...

– Encyklopedia jest na półce. Trzymam ją tam, bo te tomiska wyglądają poważnie. Kierownik banku powinien być człowiekiem czytany. Ludzie uważają, że powinienem urzędować wśród solidnych książek.

– Cieszę się, że wyleczyli panu żołądek.

Kierownik znowu pociągnął łyk wody. Powiedział: – Już się o to nie troszczę. Sprawa wygląda tak, Scobie, że jestem...

– Och nic, tak sobie głośno myślę.

Scobie otworzył encyklopedię na słowie „Angina” i czytał:

Rodzaj bólów. Określa się je zazwyczaj jako ściskanie, jakby obcegi ścisnęły pierś. Ból jest umiejscowiony w środku klatki piersiowej, pod mostkiem. Może się rozchodzić na obie ręce, częściej jednak na lewą albo na kark, albo schodzić do jamy brzusznej. Trwa kilka sekund, najwyżej około minuty.

Zachowanie się chorego. Jest ono charakterystyczne. Chory zachowuje całkowity bezruch, niezależnie od sytuacji, w jakiej się znajduje...

Wzrok Scobiego przeszedł szybko po tytułach:

PRZYCZYNA BÓLÓW. LECZENIE. KONIEC CHOROBY.

Odłożył książkę na półkę.

– No – powiedział – może wpadnę do tego pańskiego Travisa. Raczej do niego niż do pani Sykes. Mam nadzieję, że doda mi otuchy tak jak panu.

– Wie pan, mój wypadek – rzekł wymijająco dyrektor – ma specjalne cechy.

– Mój wydaje się dosyć prosty.

– Wygląda pan doskonale.

– Och, tak, czuję się zupełnie dobrze, poza tym, że miewam od czasu do czasu bóle i źle sypiam.

– To skutek pańskich obowiązków.

– Być może.

Zdawało się Scobiemu, że posiał już dość ziarna – na jakie żniwo? Sam nie umiałby tego

powiedzieć. Pożegnał się i wyszedł w oślepiające światło ulicy. Hełm trzymał w ręku i pozwolił, by słońce uderzało prostopadle w jego rzadkie siwiejące włosy. Przez całą drogę do posterunku gotów był przyjąć karę, ale został odtrącony. Podczas tych ostatnich trzech tygodni miał wrażenie, że potężni muszą stanowić osobną kategorię – podobnie jak młodzi ludzie, przeznaczeni na jakąś niezdrową zagraniczną placówkę przez swoją kompanię handlową, są traktowani inaczej niż zwyczajni urzędnicy, są odcięci od codziennej roboty, chroni się ich starannie przy specjalnych biurkach, tak by najgorsze mogło nastąpić później. Zdawać się mogło, że się teraz wszystko udaje. Słońce mu nie szkodzi, sekretarz kolonialny zaprosił go na kolację... Czuł się odtrącony przez niepowodzenie.

Komisarz powiedział: – Niech pan wejdzie. Mam dla pana dobre wiadomości – i Scobie przygotował się na jedno więcej odtrącenie.

– Baker nie przyjedzie. Potrzebują go w Palestynie. W końcu zdecydowali się wyznaczyć na mojego następcę właściwego człowieka.

Scobie usiadł na oknie i patrzył, jak mu drży ręka na kolanie. „Więc to wszystko nie musiało się zdarzyć. Gdyby Luiza była została, nigdy bym nie pokochał Heleny, nigdy by mnie nie szantażował Yusef, nigdy bym nie popełnił aktu rozpacz. Byłbym nadal sobą samym, tym kimś, kto leży zmagazynowany w piętnastoletnich notatkach, a nie pękniętym odlewem. Lecz powodzenie, rzecz prosta, przychodzi tylko dlatego – mówił sobie – że zrobiłem to wszystko. Należę do kompanii diabła. A on pilnuje swoich spraw na tym świecie. Będę iść teraz od sukcesu do sukcesu; piekielne powodzenie” – myślał ze wstrętem.

– Myślę, że decydującym czynnikiem było zdanie pułkownika Wrighta. Zrobił pan na nim wrażenie.

– To przychodzi za późno, panie komisarzu.

– Czemu za późno?

Jestem za stary na to stanowisko. Trzeba kogoś młodszego.

– Głupstwo. Ma pan ledwie pięćdziesiąt lat.

– Zdrowie mi nie dopisuje.

– Pierwszy raz słyszę.

– Właśnie mówiłem to dzisiaj Robinsonowi w banku. Miewam bóle i źle sypiam. – Mówił szybko, wybijając rytm na kolanie. – Robinson uważa Travisa za wyrocznie. Zdaje mi się, że Travis rzeczywiście dokazał z nim cudów.

– Biedny Robinson.

– Czemu biedny?

– Zostało mu dwa lata życia. Mówię to panu poufnie.

Istoty ludzkie nigdy nie przestają zdumiewać: a więc to wyrok śmierci wyleczył Robinsona z jego wymagowanych dolegliwości, jego książek lekarskich, jego codziennego spaceru od ściany do ściany. „Przypuszczam – myślał Scobie – że właśnie takie są skutki, kiedy się już wie najgorsze: człowiek zostaje sam z tym najgorszym; to jakby spokój.” Wyobrażał sobie Robinsona rozmawiającego ponad biurkiem ze swym samotnym towarzyszem. – Mam nadzieję, że wszyscy będziemy umierać tak spokojnie – powiedział. – Czy Robinson jedzie do domu?

– Nie sądzę. Chyba będzie musiał wkrótce pójść do szpitala.

Scobie pomyślał: „Szkoda, że nie wiedziałem, na co patrzę”.

Robinson demonstrował rzecz najbardziej godną zazdrości, jaką można posiadać: szczęśliwą śmierć. Ten turnus będzie miał wysoki procent wypadków śmiertelnych – może zresztą nie laki wysoki, jeśli je liczyć pamiętając o Europie: najprzód Pemberton, potem dziecko w Pende, teraz Robinson... Nie, to niedużo, ale nie wziął przecież pod uwagę wypadków czarnej febry w szpitalu wojskowym.

– Więc tak te sprawy stoją – rzekł komisarz. – W następnym turnusie zostanie pan komisarzem. Pańska żona się ucieszy.

„Muszę wytrzymać jej radość bez gniewu – pomyślał Scobie – jestem winowajcą i nie mam prawa krytykować. Nigdy więcej nie wolno mi się złościć.” Powiedział: – Jadę do domu.

Przy samochodzie stał Ali rozmawiając z drugim boyem, który umknął, kiedy dojrzał Scobiego.

– Któż to był, Ali?

– Mój mały brat, pan – rzekł Ali.

– Nie znam go, prawda? Ta sama matka?

– Nie, pan, ten sam ojciec.

– Co on robi?

Ali kręcił korbą, pot spływał mu z twarzy, nie odzywał się.

– U kogo pracuje, Ali?

– Pan?

– Pytam, u kogo pracuje.

– U pana Wilsona, pan.

Motor ruszył i Ali wgramolił się na tylne siedzenie.

– Czy on ci robił kiedy jakieś propozycje, Ali? To znaczy nie mówił ci, żebyś donosił, co robisz, za pieniądze? – Widział w lusterku twarz Alego, zaciętą, upartą, zamkniętą i kamienną jak wylot pieczary.

– Nie, pan.

– Mnóstwo ludzi się mną interesuje, dobrze płacą za donosy. I uważają, że jestem zły człowiek, Ali.

– Ja boy pana – powiedział Ali patrząc nań w lusterku.

„Jedną z cech oszustwa – pomyślał Scobie – jest to, że traci się zmysł zaufania. Jeśli ja mogę kłamać i zdradzać, mogą to również inni.

Wielu ludzi postawiłoby wszakże na moją uczciwość i przegrałoby stawkę. Czemu miałbym przegrywać stawkę na Alego? Mnie nie złapali i jego nie złapali, oto wszystko.” Okropne przygnębienie pochyliło mu głowę ku kierownicy. „Wiem, że Ali jest uczciwy, i wiem o tym od piętnastu lat; staram się po prostu znaleźć sobie towarzysza w krainie kłamstwa. Czy następne stadium polega na tym, że psuje się innych?”

Kiedy przyjechali, Luizy nie było w domu. Ktoś musiał wpaść i wziąć ją na spacer – może na plażę. Nie spodziewała się, że Scobie wróci przed zachodem słońca. Zostawił dla niej karteczkę: „Zawożę Helenie trochę mebli. Wróć wcześniej, mam dla ciebie dobre wiadomości” – i pojechał samotnie do fińskich domków, poprzez smutną i pustą porę południa. Widać było tylko sępy zgromadzone przy drodze nad zdechłym kurczakiem, zwieszające nad nim starcze szyje; ich skrzydła sterczały na wszystkie strony jak połamane parasole.

– Przywiozłem ci drugi stół i parę krzesel. Czy jest tu gdzieś twój boy?

– Nie, jest na targu.

Całowali się teraz na przywitanie oficjalnie, jak brat z siostrą. Kiedy było już po szkodzie, cudzołóstwo stawało się tak samo nieważne jak przyjaźń. Płomień liźnął ich i przeszedł karczowiskiem; nic po nim nie zostało prócz uczucia odpowiedzialności i samotności. Tylko idąc boso można było wyczuć w trawie żar.

– Przerwałem ci obiad.

– Och, nie. Właściwie już skończyłam. Zjedz trochę sałatki owocowej.

– Czas już, żebyś miała nowy stół. Ten się cały kiwa – powiedział i zaraz dodał: – Koniec końców robią mnie komisarzem.

- Twoja żona się ucieszy.
- Dla mnie to w ogóle nie ma znaczenia.
- Ależ naturalnie, że ma – rzekła porywczo.

Oto była jedna z jej konwencji: że tylko ona cierpi. Przez, długi czas wzbierał się jak Koriolan przed ukazywaniem swoich ran, ale prędzej czy później nie wytrzyma: ubierze w słowa ból, aż jemu samemu wyda się on nierealny. „A może – pomyślał – ona ma jednak rację? Może ja wcale nie cierpię?”

– Oczywiście – powiedziała – komisarz musi stać ponad wszelkim podejrzeniem, prawda, jak Cezar. – Jej powiedzeniom, tak samo jak jej ortografii, brakowało ścisłości. – To chyba znaczy, że już koniec z nami.

– Wiesz, że nie istnieje dla nas koniec.

– Och, ale komisarz nie może mieć kochanki ukrytej w fińskim domku. – Żądło tkwiło oczywiście w słowie „ukrytej”, ale jakże mógłby sobie pozwolić na najmniejszą irytację, kiedy pamiętał list, który do niego napisała, składając siebie w ofierze, by nią rozporządził wedle swej woli – zatrzymał ją lub odtrącił? Ludzie nie mogą być bezustannie heroiczni: tym, którzy wyrzekli się wszystkiego – dla Boga czy dla miłości – trzeba czasem w myślach pozwolić na cofnięcie wyrzeczenia. Jakże wielu nie popełniło nigdy heroicznego czynu, choćby nierozważnie. A liczy się właśnie czyn.

– Jeśli komisarz nie będzie mógł cię zachować, to nie zostanie komisarzem.

– Nie opowiadaj głupstw. Ostatecznie – rzekła z udanym rozsądkiem i zorientował się, że to jeden z jej złych dni – co nam z tego przyjdzie?

– Jeśli chodzi o mnie, to dużo – odparł i pomyślał: „Czy znów kłamię na pociechę?” Było teraz tak wiele kłamstw, że nie umiał już śledzić kłamstw małych i nieważnych.

– Może godzina czy dwie, co któryś tam dzień, kiedy ci się uda wysliznąć. Nigdy nie będziemy mieli całej nocy.

Powiedział beznadziejnie: – Och, mam różne plany.

– Jakie plany?

– Jeszcze nie są skryształizowane – odparł.

Wycisnęła cały kwas, na jaki ją było stać, i powiedziała:

– Zawiadom mnie na czas. Żebym mogła się zastosować do twoich życzeń, rozumiesz.

– Moja droga, nie przyszedłem tu, żeby się kłócić.

– Zastanawiam się czasem, po co tu przychodzisz.

– No, dziś przywiozłem ci meble.

– Ach, tak, meble.

– Mam tu samochód, wezmę cię na plażę.

– Och, nie, nie trzeba, żeby nas tam widziano razem.

– Co za głupstwa. Zdaje mi się, że jest tam Luiza.

– Na miłość Boską – rzekła Helena – nie każ mi patrzeć na tę próżną kobietę.

– Więc dobrze. Wezmę cię na spacer samochodem.

– To będzie bezpieczniej, prawda?

Scobie wziął ją za ramiona i powiedział: – Nie myślę ciągle o bezpieczeństwie...

– Sądziłam, że myślisz.

Poczuł nagle, że kończy się jego odporność, i huknął na nią: – Nie tylko ty się poświęcasz. – Z rozpaczą dostrzegął w oddali scenę, która się ku nim zbliżała jak orkan przed deszczami: wirująca kolumna ciemności zakryje wkrótce cały nieboskłon.

– Naturalnie, praca czasem cierpi na tym – rzekła z dziecięcym sarkazmem. – Te wszystkie kradzione kwadransy.

– Straciłem nadzieję – rzekł.
– Co to znaczy?
– Przekreśliłem przyszłość. Skazałem się na potępienie.
– Nie rób melodramatu – odparła. – Nie wiem, o czym mówisz. Zresztą dopiero co powiedziałeś mi o przyszłości: nominacja na komisarza.
– Mówię o prawdziwej przyszłości, tej, która trwa.
– Jeśli czegoś nienawidzę, to tego twojego katolicyzmu. Myślę, że to są skutki, jak się ma pobożną żonę. Co za bujda. Gdybyś naprawdę wierzył, nie byłbyś tutaj.
– Ale ja wierzę i jestem tutaj – mówił jakby stropiony. – Nie umiem tego wytłumaczyć, ale tak jest. Mam oczy otwarte. Wiem, co robię. Kiedy ksiądz Rank doszedł do balasek z Najświętszym Sakramentem...
Helena krzyknęła szyderczo i niecierpliwie: – Już mi to opowiadałeś. Starasz się zrobić na mnie wrażenie. Akurat tak samo wierzysz w piekło jak ja.
Chwycił ją za przeguby, ścisnął z wściekłością i powiedział:
– Nie wymigasz się w ten sposób. Wierzę, mówię ci. Wierzę, że jestem potępiony na całą wieczność, chyba że stanie się cud. Jestem policjantem. Wiem, co mówię. To, co zrobiłem, jest o wiele gorsze od morderstwa. Morderstwo to czyn. Uderzenie, pchnięcie, strzał: jest dokonane, mija. A ja nieustannie noszę w sobie zgniliznę. Wrosła we mnie. Nigdy się jej nie pozbędę.
Odrzucił jej ręce ku kamiennej podłodze niby ziarno. – Nie mów nigdy, że nie dałem dowodów miłości.
– Masz na myśli miłość do twojej żony? Bałeś się, że ona wszystko wykryje.
Gniew spłynął zeń. Powiedział: – Miłość do was obu. Gdyby chodziło tylko o nią, wyjście byłoby proste i łatwe. – Zakrył oczy rękami czując, że rośnie znów fala hysterii. – Nie mogę znieść widoku cierpienia, a cały czas je wywołuję. Chcę się stąd wydostać, chcę się wydostać.
– Dokąd?
Histeria i uczciwość cofnęły się: chytróść wróciła przez próg jak kundel. – Och, miałem na myśli urlop – powiedział. – Źle sypiam. I miewam jakieś dziwne bóle.
– Kochanie, czy nie jesteś chory? – Wirujący słup sunął dalej, orkan ogarniał innych; był już poza nimi. – Kochanie, jestem wstrętna. Czuję się zmęczona i czasem mam już dosyć wszystkiego, ale to nic nie znaczy. Czy byłeś u doktora?
– Pójdę niedługo do Trávisa, lego, co pracuje w szpitalu.
– Wszyscy mówią, że lepsza jest doktor Sykes.
– Nie, nie chcę iść do niej. – Teraz, kiedy minęły już gniew i histeria, widział ją dokładnie taką, jaka była tego pierwszego wieczora, kiedy wyły syreny. „O Boże – pomyślał – nie mogę jej opuścić. Ani Luizy. Ty nie potrzebujesz mnie tak, jak one mnie potrzebują. Masz swój zbożny lud, swoich świętych, błogosławionych. Dasz sobie radę beze mnie.”
A teraz wezmę cię na spacer samochodem – powiedział. – To nam obojgu dobrze zrobi.
W półmroku garażu ujął znów jej ręce i pocałował ją. – Tutaj nie ma obcych oczu... – powiedział. – Wilson nie może nas zobaczyć. Harris nie patrzy. Boye Yusefa...
– Drogi mój, opuściłabym cię jutro, gdyby to miało pomóc.
– To by nie pomogło. Pamiętasz, że pisałem do ciebie list, który zaginął. Starłem się tam wszystko powiedzieć wyraźnie, czarno na białym. Tak, żeby już nie być więcej ostrożnym. Napisałem, że kocham cię bardziej niż moją żonę... – Zawahał się. – Bardziej niż Boga. – Kiedy to mówił, usłyszał czyjś oddech za plecami przy samochodzie. Rzucił ostro:
– Kto tam?
– Co, kochanie?
– Ktoś tu jest. – Obszedł auto z drugiej strony i powtórzył ostro: – Kto tam jest? Wyłazić.

- To Ali – rzekła Helena.
- Co tu robisz, Ali?
- Pani mnie wysłać – odparł Ali. – Ja tu czekać na pan, powiedziec pani byc tu. – Ledwo można go było dojrzeć w cieniu.
- Czemu czekałeś tutaj?
- Głowa robić mi humbug – powiedział Ali. – Ja spać, mało, mało spać.
- Nie strasz go – rzekła Helena. – Mówi prawdę.
- Idź do domu – powiedział Scobie – i powiedz pani, że zaraz przyjdę. – Patrzył, jak Ali wędruje w jaskrawym słońcu między fińskimi domkami. Boy ani razu się nie obejrzał.
- Nie przejmuj się nim – rzekła Helena. – Nic a nic nie zrozumiał.
- Jest u mnie od piętnastu lat – powiedział Scobie. Po raz pierwszy w ciągu tych lat wstydził się teraz przed Alim. Przypomniał sobie tę noc po śmierci Pembertona, kiedy Ali z kubkiem herbaty w ręku podtrzymywał go w trzęsącej się ciężarówce, a potem przypomniał sobie boya Wilsona, umykającego wzdłuż ścian posterunku.
- W każdym razie możesz mu ufać.
- Nie umiem – rzekł Scobie. – Straciłem zmysł zaufania.

Luiza spała naborze, a Scobie siedział przy stole z otwartym dziennikiem. Zapisał pod datą 31 października:

Komisarz powiedział mi dziś rano, że mam być jego następcą. Zawiozłem trochę mebli do H. R. Powiedziałem Luizie o tym. Ucieszyła się.

Tamto życie – proste, niczym nie zakłócone, zbudowane z faktów – leżało pod ręką na kształt rzymskich fundamentów. To było życie, które rzekomo wiódł; nikt, kto by czytał te zapiski, nie uzmysłowiłby sobie ciemnej, zawstydzającej sceny w garażu, rozmowy z portugalskim kapitanem, Luizy trafiającej po omacku na bolesną prawdę, Heleny oskarżającej go o hipokryzję Powinno być tak, jak tutaj piszę – myślał – jestem za stary, żeby się wzruszać. Jestem za stary, żeby być oszustem. Kłamstwa – to dobre dla młodych. Mają przed sobą dość prawdy w ciągu całego życia, by móc się z kłamstw wyleczyć.” Spojrzał na zegarek, 11.45, i napisał:

„Temperatura o godz. 14.00 – 33”.

Jaszczurka śmignęła po ścianie, malutkie szczęki zwarły się na ćmie. Coś zaskrobało pod drzwiami – pewnie pies? Znowu odłożył pióro, a samotność usiadła naprzeciw niego za stołem. Któż był mniej samotny od niego: żona na górze, kochanka o kilkaset metrów stąd. A jednak to usiadła samotność, jak towarzysz, z którym nie trzeba rozmawiać. Wydało mu się, że nigdy jeszcze nie był tak bardzo samotny.

Nie istniał już nikt, komu by mógł mówić prawdę. Nie wolno, żeby się o pewnych rzeczach dowiedział komisarz, żeby dowiedziała się Luiza. Nawet to, co mógł powiedziec Helenie, miało swoje granice: po co niepotrzebnie zadawać cierpienie, kiedy poświęciło się tak wiele, by go uniknąć? A do Boga mógł mówić tylko tak, jak się mówi do nieprzyjaciela – było między nimi rozgoryczenie. Przesunął ręką po stole; miał takie uczucie, jakby jego samotność też się poruszyła i dotknęła jego palców. „Ty i ja – powiedziała samotność – ty i ja.” Przyszło mu na myśl, że ludzie z zewnątrz mogliby mu zazdrościć, gdyby znali fakty: Bagster zazdrościłby mu Heleny, Wilson Luizy. „To dopiero cicha woda!” – wykrzyknąłby Fraser oblizując wargi.

„Wyobrażaliby sobie – myślał ze zdumieniem że mi to coś daje; ale chyba nigdy nikomu nie było dane mniej.” Została mu odjęta nawet litość nad samym sobą, bo znał dokładnie rozmiary własnej winy. Miał wrażenie, jakby sam siebie wygnał tak głęboko w pustynię, że jego skóra przybrała barwę piasku.

Skrzypnęły drzwi, otwierane powoli za jego plecami. Scobie nie poruszył się. „Oto wpełzają szpiedzy – pomyślał. – Czy to Wilson, czy Harris, czy boy Pembertona, czy Ali?”

– Massa – szepnął jakiś głos i bosa stopa plasnęła na cementowej podłodze.

– Kto ty jesteś? – spytał Scobie nie odwracając się.

Różowa dłoń położyła na stole papierową kulkę i zniknęła mu ponownie z oczu. Głos powiedział: – Yusef mówić ty iść bardzo cicho i nikt nie widzieć.

– Czego znowu chce Yusef?

– On posyłać prezent, mały prezent. – Drzwi się zamknęły i wróciła cisza. Samotność powiedziała: „Otwórzmy to razem, ty i ja”.

Scobie podniósł papierową kulkę; była lekka, ale miała małe, twarde jądro. W pierwszej chwili nie domyślał się, co to takiego. Sądził, że to kamyczek, włożony tam jako ciężarek, i spodziewał się znaleźć list, którego oczywiście nie było. Komuż by Yusef ufał na tyle, by mu dyktować? Wreszcie Scobie dotarł do twardego środka. Był to brylant. Zupełnie się nie znał na brylantach, ale zdawało mu się, że ten jest wart przynajmniej tyle, ile wynosił jego dług u Yusefa. Zapewne otrzymał wiadomość, że kamienie, które wysłał na „Esperancę”, doszły szczęśliwie do celu. To była oznaka wdzięczności, nie łapówka – tłumaczyłby Yusef kładąc twardą dłoń na szczerym płytkowym sercu.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, w progu stał Ali. Trzymał za rękę popłakującego boya. Powiedział:

– Ten śmierzący boy Mende on iść koło domu. On próbować drzwi.

Boy wybuchnął ze strachem pomieszanym z wściekłością.

– Ja boy Yusefa. Ja przynieść list – wskazał na stół, gdzie leżał kamień w zwitku papieru. Oczy Alego pobiegły za gestem tamtego. Scobie rzekł do swej samotności: „Ty i ja musimy myśleć szybko”. Krzyknął na boya:

– Czemu ty przyjść jak złodziej?

Boy miał chude ciało i melancholijne, łagodne oczy wszystkich ludzi z plemienia Mende. Powiedział: – Ja nie złodziej – z tak lekkim naciskiem na pierwszym słowie, że niekoniecznie musiała to być impertynencja. – Massa mnie mówić ty iść bardzo cicho.

Scobie rzekł: – Odnieś to z powrotem Yusefowi i powiedz mu, że chciałbym wiedzieć, skąd bierze takie kamienie. Myślę, że kradnie diamenty; w końcu to wykryję. Jazda. Zabieraj to. Ali, wyrzuć go. – Ali wypchnął boya za drzwi; Scobie usłyszał szelest ich stóp na ścieżce. Czy przypadkiem nie szepotali ze sobą? Podeszedł do drzwi i krzyknął za nimi: – Powiedz Yusefowi, że przyjdę do niego niedługo i zrobię piekło palaver. – Trzasnęła drzwiami i pomyślał: – „Ali wie tak dużo”. Poczłufność do swego boya: płynęła z prądem krwi jak gorączka. „On może mnie zgubić – pomyślał – może doprowadzić do ich zguby.”

Nalał sobie szklanekę whisky i wyciągnął z lodówki butelkę wody sodowej. Luiza zawołała z góry:

– Henryku!

– Tak, kochanie?

– Czy już dwunasta?

– Zdaje się, że już niedługo.

– Nie będziesz nic pił po dwunastej, dobrze? Pamiętasz o jutrze? – Naturalnie, pamiętał, opróżniając szklanekę: był to pierwszy listopada, dzień Wszystkich Świętych, nadchodzą

Zaduszki, noc zmarłych. Jakiż duch zjawi się na powierzchni whisky?

– Przystąpisz do komunii, prawda, kochany?

„Nie będzie temu końca – pomyślał ze znużeniem – czemu miałbym teraz stawiać granice? Równie dobrze mogę się potępić w ten sposób aż do ostatka.” Jego samotność była jedynym duchem, jakiego musiał wywołać alkohol, kiwała doń poprzez stół, popijała z jego szklanki. „Następna sposobność – mówiła samotność – to będzie Boże Narodzenie, pasterka, nie uda ci się uniknąć tego, o czym wiesz, i żadna wymówka ci nie pomoże, a potem...” Długi łańcuch świąt i wczesnych mszy na wiosnę i w lecie rozwijał się jak wieczny kalendarz. Nagle zarysowała się przed jego oczami skrwawiona twarz, oczy zamknięte pod nieustannym gradem uderzeń; pijana od ciosów głowa Boga, słaniająca się na boki.

– Pójdiesz, prawda, Tiki? – zawołała Luiza jakby z nagłą trwogą, jakby podejrzenie znów na nią tchnęło, i pomyślał znowu, czy naprawdę można zaufać Alemu. A stara mądrość kupców i rezydentów odpowiedziała mu: „Nigdy nie ufaj czarnym. W końcu zawsze cię zawiodą. Miałem przez piętnaście lat takiego boya...” Duchy podejrzeń wyszły w tę noc umarłych i skupiły się wokół jego szklanki.

– O, tak, kochanie, pójdę.

„Wystarczy Ci wyrzec słowo – powiedział Bogu – a pułki anielskie...” – Ręką, na której miał pierścień, uderzył pod oko i zobaczył, jak pęka posiniaczona skóra. „I znowu na Boże Narodzenie” – pomyślał, wgniatając twarz Dziecka w brud stajni. Krzyknął ku schodom: – Co mówiłaś, kochana?

– Och, tylko tyle, że taką mamy jutro uroczystość. Jesteśmy razem, i ten awans na komisarza. Życie jest piękne, Tiki. – Oto moja nagroda – powiedział zuchwale do swojej samotności, rozchlapując whisky po stole, rzucając duchom wyzwanie: róbcie choćby i największe zło, patrząc, jak Bóg krwawi.

Rozdział czwarty

Pewien był, że Yusef pracuje do późna w swoim biurze na przystani. Biały piętrowy budynek stał opodal drewnianego mola, na skraju Afryki, tuż za wojskowym składem benzyny; widać było kreskę światła spod zasłony okna od strony lądu. Scobie wyszukiwał sobie przejście między pakami. Policjant na służbie zaszalutował. – Spokój, kapralu?

– Spokój, pan.

– Czy patrolowaliście od strony Kru Town?

– O, tak, pan. Spokój, pan. – Wiedział, że odpowiedź jest zbyt szybka, aby mogła być prawdziwa.

– Szczury portowe się tam kręcą, co?

– O, nie, pan. Wszystko spokoj jak grób. – Zwietrzała literackość tego zdania dowodziła, że kapral kształcił się w szkole misyjnej.

– No, to dobranoc.

– Dobranoc, pan.

Scobie poszedł dalej. Wiele tygodni upłynęło już, odkąd widział się z Yusefem: nie spotkał go od czasu tej nocy, kiedy dokonany został szantaż. Scobie czuł teraz jakąś dziwną tęsknotę do swego prześladowcy. Biały budynek magnetyzował go, jakby tam był ukryty jedyny jego towarzysz, jedyny człowiek, któremu może zaufać. Szantażysta znał go w każdym razie tak jak nikt inny. Scobie mógł usiąść naprzeciw tej tłustej, niedorzecznej postaci i mówić całą prawdę. W tym nowym świecie kłamstwa szantażysta był na swoim terenie; znał ścieżki. Mógł radzić, nawet pomagać... Spoza skrzyni zjawił się Wilson. Latarka Scobiego oświetliła jego twarz jak mapę.

– O, Wilson – rzekł Scobie – późno pan wychodzi.

– Tak – odparł Wilson, a Scobiemu nasunęła się nieprzyjemna myśl: „Jak on mnie nienawidzi”.

– Ma pan przepustkę do przystani?

– Tak.

– Niech się pan trzyma z daleka od Kru Town. Niebezpiecznie tam samemu. A jak tam nos, już dobrze?

– Tak – rzekł Wilson. Nie próbował się ruszyć z miejsca. Widocznie to już był jego sposób: zastawiać drogę. Człowiek, którego trzeba obchodzić.

– No, już idę, dobranoc, panie Wilson. Niech pan kiedy do nas zajrzy. Luiza...

Wilson powiedział: – Kocham ją, panie Scobie.

– Tak myślałem – rzekł Scobie. – Ona pana lubi.

– Kocham ją – powtórzył Wilson. Zaczął skubać brezent okrywający skrzynię i dodał: – Pan nie może wiedzieć, co to znaczy.

– Co to znaczy?...

– Miłość. Nie kocha pan nikogo, tylko swoją własną osobę, własną nędzną osobę.

– Pan jest przemęczony, panie Wilson. To klimat. Niech pan pójdzie się położyć.

– Nie postępowałyby pan w taki sposób, gdyby ją pan kochał.

Ponad czarną tonią dobiegł od niewidocznego okrętu dźwięk gramofonu, który grał jakąś popularną, smętną melodię. Wartownik zawołał coś pytająco pod posterunkiem policji wojskowej, ktoś odrzucił hasło. Scobie spuścił latarkę; oświetlała tylko moskitowe buty Wilsona.

– Miłość nie jest taka prosta, jak pan sobie wyobraża. Czyta pan za dużo wierszy.

– Co by pan zrobił, gdybym powiedział jej wszystko o pani Rolt?

– Ależ powiedział jej pan, panie Wilson. Pańskie domysły. Ale Luiza woli moją wersję.

– Kiedyś zniszczę pana, panie Scobie.

– Czy jej się to na coś przyda?

– Ja bym potrafił ją uszczęśliwić – oznajmił Wilson szczerze. Jego łamiący się głos przeniósł Scobiego o piętnaście lat wstecz – do człowieka o tyle młodszego niż ten lichy osobnik, który słucha Wilsona na brzegu morza łowiąc uchem pod słowami cichy plusk wody ssącej drewniane pale. Powiedział łagodnie: – Próbowałby pan. Wiem, że pan by próbował. Może... – ale sam nie miał pojęcia, jak się miało skończyć to zdanie, jaka nieokreślona pociecha dla Wilsona otarła się o jego myśli i odeszła. Zamiast tego chwyciła go irytacja na tę niezdatną, romantyczną postać obok skrzyni, postać tak pełną ignorancji, a jednak wiedzącą tak wiele. Powiedział: – Tymczasem chciałbym, żeby pan przestał mnie szpiegować.

– To mój zawód – przyznał Wilson* a jego buty poruszały się w świetle latarki.

– To, co pan wykrywa, jest takie błahe.

Zostawił Wilsona przy skrzyniach i odszedł. Kiedy wchodził na schody biura Yusefa, dostrzegł, odwracając się, niewyraźne zgęszczenie ciemności w miejscu, gdzie Wilson stał, patrzył i nienawidził. Pójdzie do domu i wystosuje raport: o godz. 23.25 z a u w a ż y ł e m majora Scobiego udającego się niewątpliwie na umówione spotkanie...

Scobie zapukał i poszedł prosto tam, gdzie Yusef pół leżał za biurkiem, z nogami na blacie, dyktując czarnemu kanceliście. Nie przerywając zdania – ...pięćset bel w zapalniczki, siedemset pięćdziesiąt w wiaderka z piaskiem, sześćset sztucznego jedwabiu w kropki... – spojrzał na Scobiego z nadzieją i obawą. Następnie rzekł ostro do kancelisty: – Wyjdź. Ale wrócisz tu. Powiedz boyowi, że nie przyjmuję nikogo. – Zdjął nogi ze stołu, wstał i wyciągnął tłustą rękę.

– Witam majora. – Ręka opadła jak zbyt ciężki kawałek materiału. – Po raz pierwszy zaszczyca

pan moje biuro.

– Nie wiem właściwie, po co tu przyszedłem, panie Yusef.

– Dawno się już nie widzieliśmy. – Yusef usiadł i oparł głowę na dłoni wielkiej jak półmisk. – Czas płynie tak różnie dla dwóch ludzi – prędko albo powoli. Zależnie od ich przyjaźni.

– Pewnie jest jakiś syryjski wiersz na ten temat.

– Tak, tak – rzekł Yusef skwapliwie.

– Powinien pan przyjaźnić się z Wilsonem, a nie ze mną. On czytuje wiersze. Ja mam umysł prozaiczny.

– Może whisky, panie majorze?

– Nie odmówię. – Zasiadł po drugiej stronie biurka, między nimi stanął nieunikniony niebieski syfon.

– Jak się miewa pani Scobie?

– Czemu mi pan posłał ten brylant, panie Yusef?

– Byłem pańskim dłużnikiem, majorze.

– Nie, nic podobnego. Spłacił mnie pan kawałkiem papieru.

– Staram się z całej siły zapomnieć, że to się w ten sposób odbyło. Mówię sobie, że to była przyjaźń, na dnie tego była przyjaźń.

– Nigdy nie warto samego siebie okłamywać, panie Yusef. Zbyt łatwo jest przejrzeć kłamstwo.

– Panie majorze, gdybym pana częściej widywał, stałbym się lepszym człowiekiem. – Woda sodowa syczała w szklankach, Yusef pił łapczywie. Powiedział: – Czuję w głębi serca, że pan jest niespokojny, przygnębiony... Zawsze marzyłem, żeby pan przyszedł do mnie, jak pan będzie miał zmartwienie.

Scobie rzekł: – Śmieszyla mnie dawniej myśl, że mógłbym kiedykolwiek przyjść do pana.

– W Syrii mamy taką bajkę o lwie i o myszy...

– My mamy tę samą bajkę, panie Yusef. Ale nigdy nie myślałem o panu jako o myszy, a ja nie jestem żaden lew.

– Pan się martwi panią Rolt. I swoją żoną, panie majorze?

– Tak.

– Niech się pan nie wstydzi przede mną. Miałem w życiu dużo kłopotów z kobietami. Teraz jest lepiej, bo już wiem, jak postępować: nic człowieka nie powinno obchodzić. Mówi się każdej; nic mnie nie obchodzi, śpię, z kim mi się podoba, chcesz mnie czy nie, nic mnie nie obchodzi. Zawsze pana zechcą, majorze. – Westchnął nad swoją szklanką. – Czasem marzyłem, żeby mnie już nie chciały.

– Posunąłem się bardzo daleko, żeby nie dopuścić do mojej żony...

– Wiem, jak daleko się pan posunął, majorze.

– Nie, nie zna pan całej mojej drogi. Ta sprawa z diamentami była całkiem drobna w porównaniu...

– Tak?

– Nie zrozumiałby pan tego. Tak czy owak teraz jeszcze ktoś wie: Ali.

– Pan mu przecież ufa?

– Myślę, że mu ufam. Ale on wie także o panu. Wszedł do pokoju zeszłej nocy i widział brylant. Pański boy zachował się bardzo niedyskretnie.

Wielka, szeroka dłoń przesunęła się po stole.

– Załatwię się z moim boyem.

– Brał przyrodni Alego jest boyem Wilsona. Widują się.

– To rzeczywiście źle – rzekł Yusef.

Scobie opowiedział mu już o wszystkich swoich troskach – z wyjątkiem najgorszej. Miał dziwne uczucie, że po raz pierwszy w życiu złożył swój ciężar gdzie indziej. A Yusef podjął ów ciężar – najwyraźniej go podjął. Dźwignął się z krzesła i ruszył do okna wpatrując się w zielone firanki, jakby to był krajobraz. Podniósł rękę do ust i zaczął obgryzać paznokcie – trzask, trzask, trzask, zęby zamykały się kolejno na każdym paznokciu. Potem zaczął to samo z drugą ręką.

– Myślę, że właściwie nie ma się czym martwić – rzekł Scobie. Poczul się nieswojo, jakby przypadkiem puścił w ruch potężną maszynę, którą nie umiał kierować.

– To źle, kiedy się nie ufa – rzekł Yusef. – Powinno się mieć zawsze boyów, na których można polegać. Pan musi zawsze więcej o nich wiedzieć, niż oni o panu. – Taka widocznie była jego koncepcja zaufania.

– Zawsze mu ufałem – rzekł Scobie.

Yusef spojrział na swoje obgryzione paznokcie i ugryzł jeszcze raz. Powiedział: – Niech się pan nie martwi. Nie pozwolę na to, by się pan martwił. Niech pan mnie to wszystko zostawi, majorze. Ja się przekonam, czy może mu pan ufać. – Wygłosił przerażające twierdzenie: – Ja się panem zaopiekuję.

– Jakże pan to potrafi?

„Nie czuję się urażony” – pomyślał ze zmęczonym zdziwieniem. – „Opiekują się mną” – i spłynęło nań coś takiego, jakby spokój dziecinnego pokoju.

– Niech mi pan nie stawia pytań, majorze. Niech pan mnie to zostawi tym razem. Ja się w tych rzeczach orientuję. – Odchodząc od okna Yusef zwrócił na Scobiego oczy jak zamknięte teleskopy: martwe, miedziane. Robiąc szeroką, wilgotną dłońią kojący ruch, jak niańka, powiedział: – Pan tylko napisze karteczkę do swojego boya, majorze, żeby tu przyszedł. Ja z nim porozmawiam. Mój boy mu ją zanieś.

– Przecież Ali nie umie czytać.

– To jeszcze lepiej. Pośle mu pan przez mego boya jakiś znak, żeby pokazać, że boy przychodzi od pana. Pański sygnet.

– Co ma pan zamiar zrobić, panie Yusef?

– Mam zamiar pomóc panu, panie majorze. To wszystko.

Powoli, niechętnie Scobie zaczął ściągać sygnet.

– On jest u mnie piętnaście lat – powiedział. – Dotychczas zawsze mu ufałem.

– Zobacz pan – rzekł Yusef – wszystko będzie dobrze. – Wyciągnął dłoń, by wziąć sygnet, i ręce ich zetknęły się: jakby dwaj konspiratorzy dawali sobie wzajem poręczenie. – Tylko kilka słów.

– Sygnet nie chce zejść – rzekł Scobie. Czuł jakąś dziwną niechęć. – Zresztą to niepotrzebne. Przyjdzie tu, jeśli pański boy mu powie, że go potrzebuję.

– Nie przypuszczam. Nie lubią w nocy chodzić do przystani.

– Ale jemu nic nie grozi. Nie będzie sam. Pański boy wróci tu razem z nim.

– Och, tak, tak, naturalnie. Ale jednak myślę... gdyby pan jednak coś posłał, żeby dać dowód... no, że to nie pułapka... Widzi pan, boyowi Yusefa wierzą akurat tak samo jak Yusefowi.

– Więc niech przyjdzie jutro.

– Lepiej teraz – rzekł Yusef.

Scobie obszukał kieszenie; pod jego paznokciami zazgrzytał rozerwany różaniec. Powiedział: – Niech to weźmie, ale właściwie nie trzeba... – i zamilkł patrząc w te nieprzeniknione oczy.

– Dziękuję – rzekł Yusef. – To bardzo dobre. – Dodał od progu: – Niech się pan rozgości, majorze. Niech pan sobie naleje whisky. Muszę dać instrukcje mojemu boyowi...

Nie było go bardzo długo. Scobie nalał sobie trzecią szklanekę whisky, a potem rozsunął firanki od strony morza, zgasiwszy uprzednio światło (w małym biurze było bardzo duszno) i pozwolił odrobinie wiatru z zatoki wsąć się do pokoju. Księżyc wschodził i okręt ćwiczebny lśnił jak bryła szarego lodu. Scobie podszedł niespokojnie do drugiego okna, przez które widać było ponad przystanią rudery i śmietniska dzielnicy krajowców.

Zobaczył, że wraca stamtąd kancelista Yusefa, i pomyślał, jak mocno musi Yusef dzierżyć władzę nad szzurami portowymi, skoro jego kancelista może przejść samotnie przez ich dziedziny. „Przyszedłem tu po ratunek – powiedział sobie – i opiekują się mną – jak i czym kosztem?” Był to dzień Wszystkich Świętych. Scobie przypomniał sobie, jak mechanicznie, prawie bez strachu i wstydu, ukląkł po raz drugi przy balaskach i patrzył na podchodzącego doń księdza. Nawet ów akt potępienia może stać się równie nieważny jak byle jaki nawyk. Myślał: „Serce mi stwardniało”. Wyobraził sobie skamieniałe muszki, które znajdują się na plaży; kamienne zwoje niby arterie. Można uderzyć Boga o jeden raz za dużo. A potem – czy w ogóle obchodzi człowieka, co się dzieje? Wydało mu się, że zgnił tak dalece, iż nie warto już podejmować żadnego wysiłku. Bóg zamieszkał w jego ciele, a ciało jego psuło się coraz szerzej wokół tego ziarna.

– Czy panu za gorąco? – odezwał się głos Yusefa. – Zostawmy pokój w ciemności. Ona jest życzliwa dla przyjaciół.

– Bardzo długo pana nie było.

Yusef odparł w sposób jakby umyślnie wymijający: – Trzeba było dopatrzeć wielu rzeczy.

Wydało się Scobiemu, że teraz albo nigdy musi spytać, jakie są plany Yusefa, ale własna zgnilizna nużyła go, wiązała mu język.

– Tak gorąco – rzekł – spróbujmy zrobić przeciąg – i otworzył okno od strony przystani. – Ciekaw jestem, czy Wilson poszedł do domu.

– Wilson?

– Obserwował mnie, jak szedłem do pana.

– Niech się pan nie martwi. Myślę, że będzie można polegać na pańskim boju.

Scobie spytał z ulgą i nadzieją:

– Czy to znaczy, że pan ma wpływ na niego?

– Proszę nie pytać. Zobacz pan.

Nadzieja i ulga odeszły. Scobie powiedział:

– Panie Yusef, ja m u s z ę się dowiedzieć...

Ale Yusef rzekł:

– Zawsze marzyłem o takim właśnie wieczorze: dwie szklanki, ciemność i dużo czasu, żeby porozmawiać o ważnych sprawach, majorze. O Bogu. O rodzinie. O poezji. Bardzo wysoko cenię Szekspira. Królewska intendentura ma świetnych aktorów; nauczyli mnie cenić klejnoty angielskiej literatury. Wariuję za Szekspirem. Czasem z powodu Szekspira chciałbym umieć czytać, ale jestem za stary, aby się uczyć. I myślę, że może straciłbym pamięć. To by było z ujmą dla interesów i chociaż nie żyję dla interesów, muszę robić interesy, aby żyć. Jest tyle tematów, które chciałbym z panem poruszyć. Chciałbym usłyszeć, jaka jest pańska filozofia życiowa.

– Nie mam żadnej.

– Nić, którą trzyma pan w ręku, idąc przez las.

– Zgubiłem drogę.

– Taki człowiek jak pan, majorze, nie gubi drogi. Mam wielki podziw dla pańskiego charakteru. Jest pan człowiekiem sprawiedliwym.

– Nigdy nim nie byłem, panie Yusef. Nie znałem siebie samego, oto wszystko. Wie pan, jest takie przysłowie, że początek i koniec stoją obok siebie. Kiedy się urodziłem, siedziałem tu z

panem pijąc whisky i wiedząc...

– Wiedząc co, panie majorze?

Scobie opróżnił szklanek. Powiedział:

– Pański boy musiał z pewnością dojść do mojego domu.

– Ma rower.

– Więc już powinien iść z powrotem.

– Nie trzeba się niecierpliwić. Może będziemy musieli długo tak siedzieć, majorze. Pan wie, jacy są boye.

– Myślałem, że wiem. – Zauważył, że drży mu lewa ręka, oparta na biurku, więc włożył ją między kolana, żeby ją unieruchomić. Przypomnił sobie długi trek wzdłuż granicy, niezliczone posiłki w cieniu lasu – Ali gotował w starej puszcze po sardynkach – i znowu wróciło do wspomnienia ostatniej jazdy do Bamba: długie wyczekiwanie na prom, nadchodzący atak febry i Ali zawsze pod ręką. Stał pot z czoła i myślał przez chwilę: „To tylko choroba, atak febry. Wkrótce się obudzę”. Zdarzenia ostatnich sześciu miesięcy – pierwsza noc w domku fińskim, list, który mówił zbyt wiele, przemycone brylanty, kłamstwa, przyjęcie sakramentu dla uspokojenia kobiety – wszystko to wydawało się tak samo niematerialne jak cienie nad łóżkiem rzucone przez lampę naftową. Powiedział sobie: „Budzę się” – i usłyszał syreny wyjące na alarm, tak samo jak tamtej nocy, tamtej nocy... Potrząsnął głową i zobaczył na jawie Yusefa siedzącego w ciemnościach po drugiej stronie biurka, poczuł smak whisky, przekonał się, że nic się nie zmieniło. Powiedział zmęczonym głosem: – Powinni już tutaj być.

Yusef odparł: – Pan wie, jacy są boye. Przestraszą się syren i zaraz się chowają. Musimy siedzieć i rozmawiać, majorze. To wielka sposobność dla mnie. Nie chcę, żeby w ogóle nadszedł ranek.

– Ranek? Nie mam zamiaru czekać do rana na Alego.

– Może się przestraszy. Dowie się, że go pan wyszedł, i ucieknie. Czasami boye wracają do puszczy...

– Głupstwa pan mówi, panie Yusef.

– Jeszcze jedna whisky, panie majorze?

– Dobrze, dobrze. – Pomyślał: „Czy w dodatku zaczynam pić?” Zdawało mu się, że nie pozostał mu żaden kształt, nic, czego by można dotknąć ręką i powiedzieć: to jest Scobie.

– Panie majorze, chodzą wieści, że nareszcie stanie się zadość sprawiedliwości i że ma pan zostać komisarzem.

Odparł ostrożnie: – Nie myślę, żeby do tego przyszło.

– Chciałem tylko powiedzieć, panie majorze, żeby pan się o mnie nie martwił. Pragnę pańskiego dobra, niczego tak bardzo nie pragnę. Wymknę się z pańskiego życia. Nie będę młyńskim kamieniem. Wystarczy mi dzisiejsza noc – ta długa rozmowa w ciemnościach na różne tematy. Zapamiętam tę noc na zawsze. Nie będzie się pan musiał martwić. Dopilnuję tego.

Przez okno za głową Yusefa spośród płataniny szop i składów nadbiegł krzyk: ból i trwoga. Wypłynął jak tonące zwierzę, które chwyta powietrze, i zapadł znów w ciemność pokoju, w whisky, pod biurko, w kosz na śmieci; odtrącony, skończony krzyk.

Yusef rzekł zbyt szybko. – Pijany. – Szczeknął trwożnie: – Dokąd pan idzie, majorze? To niebezpiecznie samemu.

Tak widział Scobie Yusefa po raz ostatni – sylwetka nalepiona na ścianie sztywno i krzywo – światło księżyca lśniło na syfonie i na dwóch pustych szklankach. U stóp schodów stał kancelista patrząc ku przystani. Oczy świeciły mu się od księżyca i jak gwoździe na jezdni wskazywały, gdzie skręcić.

Nic się nie ruszało w pustych składach po obu stronach, wśród worów i skrzyń, kiedy

przesuwał po nich światło latarki. Jeśli były tu przedtem szczury, ten krzyk zapędził je z powrotem do nor. Kroki jego budziły echo wśród ruder. Odezwało się gdzieś wycie psa. Można było szukać na próżno w tych komyszach aż do rana. Cóż więc doprowadziło go do ciała tak szybko i pewnie, jakby sam był wybrał miejsce zbrodni? Skręcając tu i tam uliczkami z drzewa i brezentu czuł w czole jakiś nerw, który mu sygnalizował, gdzie jest Ali.

Ciało leżało, skręcone i nieważne jak pęknięta sprężyna, pod stosem pustych blaszanek po nafcie. Wyglądało, jakby je tu przywlekli, by doczekało ranka i sępów. Scobie miał chwilę nadziei, nim obrócił ciało; bo wszakże w drogę ruszyło dwóch boyów. Szara szyja była kilkakrotnie rozplątana. „Tak – pomyślał – teraz mogę mu zaufać.” Żółte gałki oczne, żyłkowane czerwono, wpatrywały się weń jak oczy obcego człowieka. Jakby to ciało odrzuciło go, nie przyznawało się do niego: nie znam ciebie. Poprzysiął głośno, histerycznie: – Na Boga, dostanę człowieka, który to zrobił. – Ale nieszczerłość zwiędła pod anonimowym wejrzeniem. Pomyślał: „Ja jestem tym człowiekiem. Czyż nie wiedziałem przez cały czas w pokoju Yusefa, że coś się knuje? Czy nie mogłem żądać wyjaśnień?”

Jakiś głos odezwał się: – Pan?

– Kto tam?

– Kapral Laminah, pan.

– Czy nie widzieliście tu gdzie pękniętego różańca? Poszukajcie dokładnie.

– Nie, nic nie widzieć, pan.

Scobie pomyślał: „Gdybym przynajmniej mógł zapłakać, gdybym mógł poczuć ból. Czy naprawdę stałem się aż tak zły?” Popatrzył niechętnie na ciało. Opary benzyny leżały dokoła w ciężkiej nocy. Przez chwilę ujrzał zwłoki jako coś bardzo małego, ciemnego, bardzo odległego – niby kawałek rozerwanego różańca, którego szukał. Kilka czarnych paciorków i na końcu obraz Boga skręconego w męce. „O Boże – pomyślał – zabiłem Cię; służyłeś mi przez te wszystkie lata, a ja w końcu zabiłem Cię.”

Bóg leżał tutaj, pod bańkami po nafcie. Scobie poczuł łzy w ustach, sól w pęknięciach warg. „Służyłeś mi, a ja ci się tak odpłaciłem. Byłeś mi wierny, a ja nie chciałem ci zaufać.”

– Co to, pan? – szepnął kapral klękając przy zwłokach.

– Kochałem go – powiedział Scobie.

Część druga

Rozdział pierwszy

Kiedy tylko Scobie przekazał urzędowanie Fraserowi i zamknął biuro na resztę dnia, ruszył do fińskich domków. Prowadził samochód z oczami półprzymkniętymi, patrząc prosto przed siebie. „Dziś, teraz skończę z tym, za wszelką cenę” – mówił sobie. Życie znowu się zacznie. Już się skończył koszmar miłości: umarł bezpowrotnie – zdawało się Scobiemu – poprzedniej nocy, pod bańkami po nafcie. Żar słońca padał mu na ręce, pot przykleił je do kierownicy.

Tak się skupił nad tym, co miało przyjść: otwarcie drzwi, kilka słów i zamknięcie drzwi – na zawsze, że o mało nie minął Heleny. Schodziła ze wzgórza w jego kierunku z gołą głową. Nawet nie zauważyła samochodu. Musiał pobiec za nią, by ją złapać. Kiedy się odwróciła – była to twarz, którą widział w Pende: zgnębiona, zniweczona, bez wieku, jak potłuczone szkło.

– Co tu robisz? W słońcu, bez kapelusza?

Powiedziała niepewnie: – Szukam cię – i stała drżąc na laterycie.

– Chodź do auta. Dostaniesz porażenia.

Wyraz chytryści pojawił się w jej oczach. – Czy to aż tak łatwo? – spytała, ale posłuchała go.

Usiedli w samochodzie obok siebie. Wydawało się, że nie ma powodu, by jechać dalej; można było pożegnać się równie dobrze tu, jak tam. Powiedziała: – Dowiedziałam się rano o Alim. Czy to ty zrobiłeś?

– Nie poderżnąłem mu gardła własnoręcznie – rzekł. – Ale umarł dlatego, że ja istnieję.

– Czy wiesz, kto to zrobił?

– Nie wiem, kto trzymał nóż. Pewnie jakiś szczur portowy. Boy Yusefa, który był z Alim, zniknął. Może to on zrobił, a może on też nie żyje. Nigdy niczego nie udowodnimy. Wątpię, czy Yusef to zamierzał.

– Ty wiesz – powiedziała – że to oznacza koniec z nami. Nie mogę już więcej niszczyć ciebie. Nic nie mów. Pozwól mnie mówić. Nigdy nie myślałam, że tak będzie. Inni ludzie mają przecież sprawy miłosne, które zaczynają się i kończą, i są szczęśliwi, ale nam to nie idzie. Z nami chyba jest tak: wszystko lub nic. Więc musi być nic. Proszę cię, nic nie mów. Myślę o tym od tygodni. Odejdę, zaraz odejdę.

– Dokąd?

– Prosiłam cię, żebyś nic nie mówił. Nie pytaj.

Widział w szybie blade odbicie jej rozpacz. Poczul się tak, jakby go rozdzierano.

– Drogi mój – rzekła – nie myśl, że to łatwo. Nigdy nie robiłam nic równie trudnego. O tyle łatwiej byłoby umrzeć. Jesteś częścią wszystkiego. Nigdy więcej nie będę mogła spojrzeć na fiński domek albo na forda. Ani skosztować ginu. Patrzeć na czarną twarz. Nawet łóżko... trzeba spać w łóżku. Nie wiem, gdzie mogłabym odejść od ciebie. Nie warto mówić, że za rok będzie już dobrze. Ale muszę przeżyć ten rok, wiedząc cały czas, że ty gdzieś jesteś. Mogłabym wysłać telegram albo list i musiałbyś go przeczytać, nawet gdybyś nie odpowiedział.

„O ile łatwiej by jej było, gdybym umarł” – pomyślał.

– Ale nie wolno mi pisać – dodała. Nie płakała. Kiedy spojrzął na nią ukradkiem, oczy miała

suche i czerwone, takie, jakie pamiętał ze szpitala: wyczerpane. – Najgorsze będą przebudzenia. Zawsze jest chwila, kiedy się zapomina, że wszystko się zmieniło.

Powiedział:

– Ja także jechałem tu, żeby się pożegnać. Ale są rzeczy, których nie potrafię zrobić.

– Nic nie mów, drogi mój. Przecież jestem teraz grzeczna. Nie widzisz, że jestem grzeczna? Nie musisz odchodzić ode mnie, to ja odchodzę od ciebie. Nigdy się nawet nie dowiesz, dokąd. Mam nadzieję, że się zanadto nie rozwłóczę?

– Nie – odparł – nie.

– Cicho bądź, mój drogi. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Będziesz mógł skończyć z tym. Będiesz znów katolikiem – tego przecież naprawdę chcesz, prawda, a nie całego stada kobiet?

– Chcę przestać zadawać cierpienie – powiedział.

– Chcesz spokoju, kochanie. Będziesz miał spokój. Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze. – Położyła mu rękę na kolanie i zaczęła wreszcie płakać z tego wysiłku, żeby mu dodać otuchy. Pomyślał: „Skąd się u niej wzięła ta rozdzierająca czułość? Jakże szybko dochodzą do starości, gdzie one się tego uczą?”

– Słuchaj, kochany. Nie przychodź do domku. Otwórz z tej strony drzwiczki samochodu. Zacięły się. Pożegnamy się po prostu tutaj, pojedziesz do domu albo do biura, jeśli wolisz. To o tyle łatwiej. Nie martw się o mnie. Dam sobie jakoś radę.

„Uniknąłem tej jednej śmierci, a teraz mam je wszystkie.” Nachylił się i szarpnął drzwiczki; poczuł jej łzy na policzku. Ich ślad sparzył go.

– Nic nie stoi przecież na przeszkodzie, żebyśmy się pocałowali na pożegnanie, drogi. Nie pokłóciliśmy się. Nie było sceny. Nie mamy do siebie żalu.

Kiedy się pocałowali, odczuł na ustach ból, jak bicie ptasiego serca. Siedzieli bez ruchu, w milczeniu; drzwiczki auta stały otworem. Kilku czarnych robotników schodzących ze wzgórza zerknęło ciekawie do wnętrza samochodu.

– Nie mogę uwierzyć – powiedziała – że to już ostatni raz; że wyjdę, a ty odjedziesz i już nigdy więcej się nie zobaczymy. Nie będę wychodzić z domu, o ile się tylko da, póki całkiem stąd nie wyjadę. Będę tu, na górze, a ty tam, na dole. O Boże, chciałabym nie mieć tych mebli, które mi przywiozłeś.

– To zwykłe służbowe meble.

– Jedna trzcina złamała się w tym krześle, na którym za gwałtownie usiadłeś.

– Kochanie moje, kochanie, tak nie można.

– Nic nie mów, mój drogi. Naprawdę jestem całkiem grzeczna, ale nie mogę rozmawiać o tych rzeczach z nikim innym. W książkach jest zawsze jakiś powiernik. Ale ja nie mam powiernika. Muszę raz wszystko powiedzieć.

„Gdybym umarł – pomyślał znowu – uwolniłaby się ode mnie; o umarłym zapomina się dość prędko, nikt nie myśli o umarłym – co on teraz robi, z kim jest? A to właśnie jest dla niej tak ciężkie.”

– Już, kochany mój, już robię to. Zamknij oczy. Policz wolno do trzystu, a ja zniknę ci przez ten czas z oczu. Zawróć prędko samochodem i jedź jak szatan. Nie chcę widzieć, jak odjeżdżasz. Zatkam uszy. Nie chcę słyszeć, jak zmieniasz bieg pod wzgórzem. Samochody robią to sto razy na dzień. Nie chcę słyszeć, jak ty zmieniasz bieg.

„O Boże – modlił się, a ręce ociekały mu potem na kierownicy – zabij mnie teraz, teraz. Mój Boże, nigdy nie będziesz miał żalu bardziej doskonałego. Co za ohyda ze mnie. Noszę z sobą cierpienie jak odór potu. Zabij mnie. Skończ mnie. Robactwo nie musi samo się wytępieć. Zabij mnie. Teraz. Teraz. Nim znowu uderzę C i e b i e.”

– Zamknij oczy, drogi. Już koniec. Naprawdę koniec. – Dodała z rozpaczą: – Jak to jednak

głupio.

Powiedział: – Nie zamknę oczu. Nie opuszczę cię. Obiecałem.

– Ty mnie nie opuszczasz. To ja ciebie opuszczam.

– Tak się nie da, kochanie. Kochamy się. Tak się nie da. Przyszedłbym dziś wieczór, żeby zobaczyć, jak się czujesz. Nie mógłbym zasnąć...

– Ty zawsze możesz zasnąć. Jeszcze nigdy nie widziałam takiego śpiocha. Och, kochanie, spójrz, zaczynam znowu śmiać się z ciebie, tak jakbyśmy wcale się nie żegnali.

– Nie żegnamy się. Jeszcze nie.

– Ale przecież ja ci tylko szkodzę. Nie mogę ci dać żadnego szczęścia.

– Tu nie chodzi o szczęście.

– Ja się już zdecydowałam.

– Ja także.

– Ach, drogi mój, co my właściwie robimy? – Uległa mu zupełnie. – Mnie to nic nie szkodzi, że będzie dalej, tak jak jest. Nic mi nie szkodzi kłamstwa. Ani w ogóle nic.

– Mnie to zostaw. Muszę się zastanowić. – Przechylił się nad nią i zamknął drzwiczki. Nim się kłamka zatrzasnęła, powziął decyzję.

Scobie patrzył na małego boya, jak sprząta po kolacji, patrzył, jak wchodzi i wychodzi, patrzył, jak bosa stopy plaskają po podłodze.

– Kochany, ja wiem – powiedziała Luiza – że to straszne, ale trzeba się z tym pogodzić. Już nic nie możesz pomóc Alemu.

Nowa paczka książek przyszła z Anglii. Patrzył, jak Luiza rozcina kartki jakiegoś tomu poezji. Było w jej włosach więcej siwizny, niż kiedy wyjeżdżała do Afryki Południowej, ale wyglądała, tak mu się zdawało, o całe lata młodziej, bo zwracała większą uwagę na kosmetykę: jej toaletka była zagracona słoikami, flaszkami i tubkami, które sobie przywiozła z Południa. Śmierć Alego niewiele dla niej znaczyła; czemu by miało być inaczej? To tylko poczucie winy nadawało Lak wielką wagę tej śmierci. Poza tym nie boleje się nad śmiercią. Kiedy był młody, wyobrażał sobie, że miłość ma coś wspólnego ze zrozumieniem, ale z wiekiem przekonał się, że żaden człowiek nie rozumie drugiego człowieka. Miłość jest pragnieniem, by zrozumieć, ale pragnienie umiera wcześniej wśród ciągłych niepowodzeń. A miłość pewnie też umiera albo zmienia się w to bolesne przywiązanie, w lojalność, w litość... Luiza siedzi obok czytając wiersze, a tysiąc mil dzieli ją od męki, która wstrząsa jego ręką i wysusza mu usta. „Rozumiałaby mnie – myślał – gdybym był w książce, ale czyja bym ją rozumiał, gdyby była bohaterką powieści? Nie czytuję takich książek.”

– Czy nie masz nic do czytania, kochany?

– Wybacz, ale nie bardzo mam ochotę czytać.

Zamknęła książkę; zdał sobie sprawę, że bądź co bądź i ona dźwiga swoje brzemię: starała się pomóc.

Czasem myślał ze zgrozą, czy też ona przypadkiem nie wie o wszystkim; czy ta zadowolona twarz, którą nosi od czasu przyjazdu, nie jest jednak maską nieszczęścia. Powiedziała:

– Pomówmy o Bożym Narodzeniu.

– Jeszcze daleko do Bożego Narodzenia – odparł prędko.

– Przyjdzie, zanim się spostrzeżesz. Zastanawiałam się, czy nie moglibyśmy wydać przyjęcia. Zawsze szliśmy gdzieś na kolację. Byłoby miło zaprosić kogoś do nas. Może na wigilię.

– Jak uważasz.

– Potem moglibyśmy wszyscy pójść na pasterkę. Naturalnie ty i ja musielibyśmy pamiętać, żeby nic nie pić po dziesiątej, ale inni mogliby robić, co się komu podoba.

Spojrzał na nią z chwilowym przyływem nienawiści: siedziała przed nim taka zadowolona, taka – zdawało mu się – próżna, urządzając jego potępienie. Miał zostać komisarzem. Dostała to, czego chciała: oto sukces w jej guście. Dla niej wszystko już było w porządku. „Kochałem tamtą kobietę zhysterizowaną – myślał – która czuła, że świat śmieje się z niej poza jej plecami. Kocham niepowodzenie; nie umiem kochać sukcesu. A ona wygląda teraz, jakby odniosła nie wiem jaki sukces; należy do zbawionych.” Ujrzał na tej szerokiej twarzy, jak na ekranie, ciało Alego pod blaszankami po nafcie, udręczone oczy Heleny i wszystkie twarze ludzi zgubionych, towarzyszy jego wygnania – niecnotliwego łotra, żołnierza z gąbką. Rozważając to, co zrobił i co zamierza zrobić, pomyślał z miłością: „Nawet Bogu się nie wiedzie...”

– Co ci jest, Tiki? Czy ciągle się martwisz?

Nie mógł przecież wypowiedzieć błagania, które miał na wargach: „Pozwól mi znowu litować się nad tobą, bądź zawiedziona, niepowabna, niechże ci się nie wiedzie, tak żebym znowu mógł cię pokochać, bez tego gorzkiego rozdarcia między nami. Czasu jest niewiele. Chcę i ciebie kochać, przed końcem”.

– To ten ból – powiedział wolno. – Już minął. Ale kiedy się zbliża – przypomniał sobie zwrot z encyklopedii – to jakby ścisnęły obcegi.

– Musisz iść do doktora, Tiki.

– Pójdę jutro. I tak chciałem iść ze względu na bezsenność.

– Bezsenność? Ależ Tiki, ty zawsze śpisz jak suseł.

– Od tygodnia już nie.

– Coś sobie wyobrażasz.

– Nie. Budzę się koło drugiej i już nie mogę zasnąć. Zасыpiam dopiero tuż przed wstawaniem. Nie martw się. Dostanę jakieś proszki.

– Nie znoszę tych wszystkich narkotyków.

– Nie będę tego zażywać tyle, żeby mi groził nałóg.

– Musimy doprowadzić cię do porządku przed Bożym Narodzeniem, Tiki.

– Wszystko będzie w porządku przed Bożym Narodzeniem. – Przeszedł sztywno przez pokój udając ruchy człowieka, który się boi, że ból może wrócić, i położył rękę na jej piersi. – Nie martw się. – Nienawiść opuściła go przy tym dotknięciu – mimo wszystko nie wiodło jej się aż tak dobrze: nigdy nie będzie żoną komisarza policji.

Kiedy poszła spać, wyciągnął swój dziennik. W tych zapiskach przynajmniej nigdy nie kłamał. W najgorszym wypadku – opuszczał. Odnotowywał temperaturę równie dokładnie jak kapitan w dzienniku okrętowym. Nigdy nic nie przesadził ani nie umniejszył i nigdy nie pozwolił sobie na rozmyślanie. Zapisywał tu jedynie fakty.

1 listopada. Wczesna msza św. z Luizą. Rano sprawa o kradzież u pani Onoko. Temperatura o godz. 14 – 32,5°. Odwiedziłem Y. w biurze. Ali zamordowany.

Relacja była równie jasna i prosta jak tamtym razem, kiedy zapisał: „K. umarła”.

2 listopada.

Siedział dłuższą chwilę nad tą datą, tak długo, że po chwili Luiza zawołała nań z góry. Odparł ostrożnie: – Idź spać, kochanie. Jeżeli posiedzę dłużej, może uda mi się zasnąć, jak należy. – Ale już teraz, wyczerpany dniem i wszystkimi planami, które należało powziąć, o mało nie zdrzemnął się nad stołem. Podszedł do lodówki, owinął w chustkę kawałek lodu, przyłożył go do czoła i trzymał, dopóki senność nie odeszła.

2 listopada.

Podjął znów pióro; oto podpisuje swój wyrok śmierci.

Widziałem się z Heleną przez kilka minut. (Było bezpieczniej nie przemilczać faktów, do których mógłby się dokopać kto inny.)

Temperatura o godz. 14 – 33°. Wieczorem nawrót bólów. Obawiam się angina pectoris.

Przerzucił stronicie zapisków z ostatniego tygodnia i w kilku miejscach dodał notatki:

„Spałem bardzo źle. Zła noc. Bezsenność trwa”.

Przejrzał uważnie zapiski: będą wszakże czytane przez coronera, przez inspektorów ubezpieczeniowych. Miał wrażenie, że nie odznaczają się niczym szczególnym. Następnie znowu przyłożył łód do czoła, by odpędzić sen. Dochodziło dopiero wpół do pierwszej; lepiej nie kłaść się spać przed drugą.

Rozdział drugi

- To mnie tak ściska – powiedział Scobie – jak obcęgi.
- I co pan wtedy robi?
- No cóż, nic. Siedzę, jak mogę najspokojniej, póki ból nie minie.
- Jak długo trwa?
- Trudno określić, ale chyba nie dłużej niż minutę.

Nastąpiło badanie stetoskopem, przewidziane w rytuale. Było doprawdy coś klerykalnego we wszystkim, co robił doktor Travis; powaga, nieomal wielebność. Może dlatego, że był młody, traktował ciało z wielkim szacunkiem: kiedy opukiwał pierś, robił to powoli, uważnie, nad słuchując z bliska tak, jakby się spodziewał, że ktoś lub coś mu odstuka. Łacińskie słowa wpływały cicho z jego ust, jak we mszy świętej – „sternum” zamiast „pacem”.

- A poza tym – rzekł Scobie – jeszcze sprawa bezsenności.

Młody człowiek zasiadł znów za biurkiem i począł stukać chemicznym ołówkiem. W kąciку ust miał fioletowy ślad, który zdawał się zdradzać, że doktor ssie ołówek w chwilach nieuwagi. – To zapewne nerwy – rzekł – obawa przed bólem. Nieważne.

– Dla mnie ważne. Czy nie mógłby mi pan przepisać czegoś? Kiedy już raz zasnę, to dobrze, ale godzinami leżę bezsenne, czekając... Czasem ledwo mogę pracować. A policjant, pan wie, musi być przytomny.

– Naturalnie – rzekł doktor. – Zaraz to załatwimy. Evipan, oto czego panu trzeba. – Więc to aż tak łatwe. – A jeśli chodzi o ból... – Stuk, stuk ołówkiem. – Nie ma pewności, rzecz prosta... Niech pan pilnie obserwuje okoliczności towarzyszące atakom... to, co je przypuszczalnie wywołuje. Wtedy będziemy mogli zupełnie to uregulować, nawet prawie zupełnie usunąć.

- Ale co mi brakuje?

– Istnieją takie dwa słowa – powiedział doktor – które zawsze wywołują wstrząs u laika. Chciałbym, żebyśmy mogli nazwać raka takim symbolem jak na przykład H₂O. Ludzie by się o wiele mniej przejmowali. To samo dotyczy słowa angina.

- Myśli pan, że to angina pectoris?

– To ma wszelkie cechy angina pectoris. Ale można żyć z anginą całe lata, nawet pracować w miarę. Musimy się dokładnie przekonać, na ile pana będzie stać.

- Czy powinienem powiedzieć to mojej żonie?

- Nie ma powodu, żeby jej nie mówić. Obawiam się, że ta sprawa może oznaczać emeryturę.
- To wszystko?
- Może pan umrzeć z najróżniejszych powodów, nim angina da panu radę, byle tylko uważać.
- Ale z drugiej strony przypuszczam, że to się może stać każdej chwili?
- Nie mogę ręczyć za nic, majorze. Nie jestem nawet pewien, czy to naprawdę angina

pectoris.

– Porozmawiam poufnie z komisarzem. Nie chcę alarmować mojej żony, póki nie będziemy całkiem pewni.

– Na pańskim miejscu powiedziałbym jej to, co panu mówiłem. To by ją przygotowało. Ale proszę jej powiedzieć, że pan może żyć całe lata, byle tylko uważać.

– A bezsenność?

– Po tym będzie pan spał.

Siedząc w samochodzie, z paczuszką obok siebie, myślał: „Teraz trzeba tylko wybrać datę”. Przez dłuższą chwilę nie zapalał motoru. Ogarnęło go uczucie strachu, jakby istotnie otrzymał z rąk doktora wyrok śmierci. Jego wzrok zatrzymał się na schludnej pieczęci; lak czerwieniał jak wyschnięta rana. „Muszę nadal uważać – myślał – bardzo uważać. Jeśli to możliwe, nikt nie powinien niczego nawet podejrzewać.” Chodzi tu nie tylko o jego ubezpieczenie; trzeba chronić szczęście innych. Łatwiej niż o samobójstwie można zapomnieć o tym, że człowiek w średnim wieku zmarł na angina pectoris.

Rozpieczętował paczkę i przestudiował sposób użycia. Nie miał pojęcia, jak duża dawka jest śmiertelna, ale wystarczy z pewnością, jeśli zażyje dziesięciokrotną porcję. To znaczy, że przez dziewięć nocy z rzędu należy odkładać porcję i chować ją na dziesiątą noc. Musi wymyślić więcej dowodów choroby w dzienniku, który powinien prowadzić do samego końca – do dwunastego listopada. Trzeba będzie poumawiać się na następny tydzień. W jego zachowaniu nie może być ani cienia pożegnań. Była to najgorsza zbrodnia, jaką może popełnić katolik; niechże więc będzie popełniona w sposób doskonały.

Najprzód komisarz... Pojechał w stronę posterunku i zatrzymał samochód przed kościołem. Uroczystą powagę zbrodni odczuwał niemal jako szczęście. Nareszcie było to działanie. Zbyt długo grzebał się i paprał. Dla pewności włożył paczkę do kieszeni i wszedł niosąc swoją śmierć. Stara mammy zapalała świeczkę przed figurą Matki Boskiej. Druga siedziała ze złożonymi rękami i wpatrywała się w ołtarz; obok niej stał koszyk na zakupy. Poza tym kościół był pusty. Scobie usiadł z tyłu. Nie był usposobiony do modlitwy, co by mu z niej przyszło? Kiedy się jest katolikiem, ma się gotowe rozwiązania: żadna modlitwa nie jest skuteczna w stanie grzechu śmiertelnego. Spoglądał na tamte dwie kobiety ze smutną zazdrością. Były nadal mieszkankami krainy, którą opuścił. Oto, co mu zrobiła ludzka miłość: zrabowała mu miłość wieczności. Nie ma sensu udawać, jak mógłby udawać młodzik, że się to opłaca. Ale jeśli nie może się modlić, może przynajmniej rozmawiać siedząc tak z tyłu, możliwie najdalej od Golgoty.

„O Boże, jestem jedynym winowajcą – mówił – bo przez cały czas wiedziałem, jakie jest rozwiązanie. Woląłem sprawić ból Tobie niż sprawić go Helenie albo mojej żonie, bo nie mogę oglądać Twego cierpienia. Mogę je tylko sobie wyobrazić. Ale istnieją granice tego, co mogę zrobić Tobie – lub im. Nie mogę opuścić żadnej z nich, póki żyję, ale mogę umrzeć i usunąć się z ich krwi. Chorują przeze mnie, a ja mogę je wyleczyć. I ty także, Boże, chorujesz przeze mnie. Nie mogę Cię nadal tak obrażać, miesiąc po miesiącu. Nie mogę myśleć o tym, by po wigilii – w święto Twoich urodzin – podejść do ołtarza i przyjąć Twoje Ciało i Krew dla kłamstwa. Nie mogę tego zrobić. Będzie Ci lepiej, jeśli mnie utracisz raz na zawsze. Wiem, co robię. Nie proszę o zmiłowanie. Zamierzam się potępić – cokolwiek by to miało oznaczać. Tęskniłem za spokojem, a już nigdy więcej nie zaznam spokoju. Ale Ty będziesz miał spokój, kiedy stanę poza

Twoim zasięgiem. Na nic się nie zda zamiatać podłogę, żeby mnie znaleźć, albo szukać mnie za górami. Będiesz mógł zapomnieć o mnie, Boże, na całą wieczność.”

Ręka jego ścisnęła paczkę w kieszeni, było to jak obietnica.

Nikt nie jest w stanie długo wypowiadać samotnego monologu; zawsze wypłynie z czasem drugi głos. Każdy monolog staje się prędzej czy później dyskusją. Tak i teraz – nie mógł uciszyć tego drugiego głosu. Przemawiał on z czeluści jego ciała; jakby odezwał się Sakrament, który zamieszkał tam na jego wieczne potępienie:

„Mówisz, że mnie kochasz, a jednak zrobisz mi to, zrabujesz mi siebie na zawsze. Stworzyłem cię z miłością. Płakałem twoimi łzami. Nigdy się nawet nie dowiesz, do czego cię zbawiłem. Zasiałem w tobie pragnienie pokoju, tak abym pewnego dnia mógł nasycić to pragnienie i patrzeć na twoje szczęście. A teraz odtrącasz inne, stawiasz mnie poza swoim zasięgiem. Nie ma wielkich liter, które by nas dzieliły, kiedy rozmawiamy z sobą. Kiedy zwracasz się do mnie, nie mówisz: o Panie, tylko po prostu: ty. Jestem pokorny jak pierwszy lepszy żebrak. Czy nie mógłbyś mi zaufać, tak jak ufasz wiernemu psu? Byłem ci wierny przez dwa tysiące lat. Teraz powinieneś tylko poprosić księdza, podejść do konfesjonału, wypowiadać się... Żal już się zjawił, chwycił cię za serce. Nie żalu ci brak, tylko paru prostych uczynków: trzeba pójść do fińskiego domku i pożegnać się. Albo też, jeśli musisz, odtrącaj mnie nadal, ale już bez dalszych kłamstw. Idź do domu, pożegnaj się z żoną i żyj z kochanką. Jeśli będziesz żył, wrócisz do mnie prędzej czy później. Jedna z nich będzie cierpieć, ale czy nie możesz zaufać mi, że zatroszczę się o to, by cierpienie nie było zbyt wielkie?”

Głos zamilkł w czeluści, a własny jego głos odpowiedział z rozpaczą:

„Nie. Nie ufam Ci. Kocham Cię, ale nigdy Ci nie ufałem. Jeśli ty mnie stworzyłeś, to i Ty także stworzyłeś owo poczucie odpowiedzialności, które nosiłem zawsze jak wór cegieł. Nie bez powodu jestem policjantem – człowiekiem odpowiedzialnym za porządek, za to, by sprawiedliwości stawało się zadość. Nie ma innego zawodu dla człowieka takiego jak ja. Nie mogę złożyć na Ciebie mojej odpowiedzialności. Gdybym mógł, byłbym kim innym. Nie mogę zgodzić się na cierpienie jednej z nich, aby zbawić siebie. Jestem odpowiedzialny i muszę spełnić obowiązek tak, jak potrafię. Śmierć człowieka chorego to dla nich tylko krótkie cierpienie: każdy musi umrzeć. Wszyscy godzimy się na śmierć; to na życie nie możemy się zgodzić”.

„Dopóki żyjesz, mogę mieć nadzieję. Nie ma wśród ludzi takiej beznadziejności jak beznadziejność Boga. Czy nie mógłbyś przynajmniej żyć dalej tak jak teraz?” – prosił głos za każdym odezwaniem się obniżając warunki, jak handlarz na targu. Tłumaczył: – „Są gorsze uczynki”.

„Jednak nie – rzekł – nie, to niemożliwe. Kocham Cię i nie będę dalej obrażał Cię przy Twoim własnym ołtarzu. To jest impas, widzisz, Boże, impas” – mówił ściskając paczkę w kieszeni. Wstał, odwrócił się plecami do ołtarza i wyszedł. Dopiero kiedy zobaczył swoją twarz w lusterku samochodowym, zdał sobie sprawę, że ma oczy podsiniałe od wstrzymywanych łez. Pojechał na posterunek. Do komisarza.

Rozdział trzeci

3 listopada. Wczoraj powiedziałem komisarzowi, że lekarz stwierdził angina pectoris i że będę musiał pójść na emeryturę, jak tylko uda się znaleźć następcę. Temperatura o godz. 14 – 33°. Dużo lepsza noc wskutek evipanu.

4 listopada. Byłem z Luizą na mszy o 7.30, ale nie doczekałem się komunii wobec obawy nawrotu bólów. Wieczorem powiedziałem Luizie, że będę musiał pójść na emeryturę przed końcem turnusu. Nie wspomniałem o anginie, tylko o osłabieniu serca. Znów dobra noc wskutek

evipanu. Temperatura o godz. 14 – 31°.

5 listopada. Kradzieże lamp na Wellington Street. Rano długo w sklepie Azikawe badałem sprawę pożaru w magazynie. Temperatura o godz. 14 – 31,5°. Zawiozłem Luizę do klubu na Wieczór Książki.

6 – 10 listopada. Po raz pierwszy opuściłem codzienne zapiski. Bóle częstsze, nie chcę robić nic ponad to, co konieczne. Ściska jak obcęgi. Trwa około minuty. Zjawia się, jeśli przejdę więcej niż kilometr. Kilka ostatnich nocy spałem źle mimo evipanu, może z obawy przed bólami.

11 listopada. Byłem znów u Trávisa. Chyba już nie ma wątpliwości, że to angina pectoris. Powiedziałem to dziś wieczór Luizie, ale powiedziałem też, że mogę żyć całę lala, byle uważać. Rozmowa z komisarzem w sprawie wyjazdu wkrótce, ale nie wcześniej niż za miesiąc, bo za dużo spraw w sądach, które chcę rozpatrzeć w najbliższych tygodniach. Przyjąłem zaproszenie do Fellowesa na 13 bm., do komisarza na 14 bm. Temperatura o godz. 14 – 30”.

Scobie odłożył pióro i osuszył napięstek na bibule. Była punkt szósta, dwunastego listopada, Luiza pojechała na plażę. Umysł miał jasny, ale nerwy drgały mu od ramienia do przegubu. „Dotarłem do końca” – pomyślał. Ileż lat minęło, odkąd szedł poprzez deszcz do fińskiego domku i ryczały syreny; chwila szczęścia. Czas umrzeć – po tylu latach.

Ale trzeba jeszcze porobić różne oszustwa, tak jakby miał przeżyć tę noc, trzeba się pożegnać – on jeden tylko będzie wiedział, że to są pożegnania. Podeszedł pod wzgórze bardzo wolno, na wypadek gdyby go obserwowano – czyż nie był człowiekiem chorym? – i skręcił w bok przy fińskich domkach.

Nie mógł tak umrzeć bez słowa – jakiego słowa? „O Boże – modlił się – niechaj to będzie właściwe słowo”. Ale kiedy zastukał, nie było odpowiedzi, ani słowa odpowiedzi. Może pojechała na plażę z Bagsterem?

Drzwi nie zamknięto na klucz; wszedł. Lata przeszły przez jego mózg, ale tutaj czas się zatrzymał. Może to ta sama butelka, z której boy podkradał gin – kiedyż to było? Służbowe krzesła drugiego gatunku stały sztywno dokoła jak w dekoracjach filmowych. Nie mógł uwierzyć, żeby kiedykolwiek przesuwano te krzesła i puf, ofiarowany bodaj że przez panią Carter. Na łóżku poduszka nie została wygładzona po drzemce; położył rękę na ciepłym zagłębieniu, które zachowało kształt głowy. „O Boże – modlił się – odchodzę na zawsze od was wszystkich; pozwól jej wrócić na czas; pozwól mi raz jeszcze ją zobaczyć.” Ale upalny dzień chłódł wokół niego, a nikt nie przychodził. O 6.30 Luiza wróci z plaży. Nie mógł już dłużej czekać.

„Muszę zostawić jakąś wiadomość – pomyślał – a może, zanim ją napiszę, Helena wróci.” Poczul w piersi skurcz gorszy niż wszystkie bóle, które wymyślał dla Trávisa. „Nigdy więcej jej nie dotknę. Zostawię innym jej usta na najbliższe dwadzieścia lat.” Większość kochanków ludzi się myślą o tym, że za grobem połączą się na wieki, ale on znał wszystkie rozwiązania: dążył ku wieczystemu nienasytleniu. Rozejrzał się za kawałkiem papieru, ale nie było nic, nawet podartej koperty. Zdawało mu się, iż dostrzegł teczkę na listy, ale okazało się, że to album ze znaczkami. Otwierając go na chybił trafił, bez żadnego powodu poczul, że los śle jeszcze jedną strzałę: pamiętał wszakże ten właśnie znaczek i okoliczności, w jakich został poplamiony ginem.

„Będzie musiała go wydrzeć – pomyślał – ale to dla niej bez znaczenia.” Powiedziała mu, że po wydarciu znaczka nie zostaje ślad. Nie miał w kieszeniach ani kawałka papieru. W nagłym przypływie zazdrości podniósł małą zieloną podobiznę Jerzego VI i napisał pod spodem

atramentem: Kocham Cię. Nie będzie mogła tego usunąć – pomyślał, zawiedziony i okrutny – to się nie da wymazać.” Przez chwilę miał wrażenie, że zastawił pułapkę na nieprzyjaciela, ale to przecież nie był nieprzyjaciel. Czyż nie usuwa się z jej ścieżki jak jakieś niebezpieczne szczątki rozbitej maszyny? Zamknął za sobą drzwi i zszedł powoli ze wzgórza; jeszcze mogła nadejść. Wszystko, co teraz robił, robił po raz ostatni – dziwne to uczucie. Nigdy już nie będzie szedł tą drogą; a w pięć minut później, dobywając z szafy nową butelkę ginu, pomyślał: „Już nigdy nie otworzę takiej butelki”. Było coraz mniej czynności, które dałoby się powtórzyć. Wkrótce pozostanie już tylko jedna czynność – niepowtarzalna: połknięcie. Stał wążąc w dłoni butelkę ginu i myślał: „A potem zacznie się piekło i nie będę już im zagrażać: Helenie, Luizie i Tobie”.

Podczas kolacji umyślnie mówił o najbliższym tygodniu, zganił się za to, że przyjął zaproszenie Fellowesa, i tłumaczył, że nie może się wykręcić od kolacji z komisarzem następnego dnia: tyle jest spraw do omówienia.

– Tiki, czy nie ma nadziei, że po odpoczynku, po długim odpoczynku...

– Gdybym dalej ciągnął, to nie byłoby uczciwe ani wobec nich, ani wobec ciebie. Mogę się w każdej chwili skończyć.

– Więc naprawdę emerytura?

– Tak.

Zaczęła omawiać sprawę ich przyszłej siedziby. Poczul śmiertelne zmęczenie; musiał skupić całą wolę, żeby okazać zainteresowanie tym czy innym fikcyjnym miasteczkiem, takim czy innym domem, gdzie – wiedział to – nigdy nie zamieszkają.

– Nie chciałabym, żebyśmy się ulokowali na przedmieściu, najbardziej by mi odpowiadał stary domek w Kent, tak żeby móc łatwo dostać się do Londynu.

Powiedział: – Naturalnie wszystko zależy od tego, na co sobie będziemy mogli pozwolić. Nie dostanę zbyt wysokiej emerytury.

– Będę pracować – rzekła Luiza. – Łatwo jest o pracę podczas wojny.

– Mam nadzieję, że damy sobie radę bez tego.

– Mnie by to nie szkodziło.

Nadeszła pora spoczynku; poczul strasliwą chęć, by nie pozwolić jej odejść. Kiedy raz odejdzie, nie pozostanie już nic innego, tylko umrzeć. Nie wiedział, jak ją zatrzymać – poruszyli już wszystkie wspólne tematy. Odezwał się: – Posiedzę tu jeszcze chwilę. Może zechce mi się spać, jeśli zostaną z pół godziny dłużej. Nie chcę zażywać evipanu, jeśli da się tego uniknąć.

– Jestem bardzo zmęczona po plaży. Chyba już pójdę.

„Kiedy odejdzie – pomyślał – pozostanę już na zawsze sam.”

Serce mu biło i odczuwał straszną nierzeczywistość tego wszystkiego, jakby mdłości. „Nie wierzę, żebym to miał zrobić. Za chwilę wstanę, pójdę spać i życie znowu się zacznie. Nic i n i k t nie może mnie zmusić, żebym umarł.” Chociaż głos nie przemawiał już z jego wnętrza, było tak, jakby dotknęły go palce, błagalne palce, jakby mu posłały nieme, rozpaczliwe wezwanie, jakby usiłowały go powstrzymać...

– Co ci jest, Tiki? Źle wyglądasz. Chodź spać.

– Nie zasnąłbym – powiedział z uporem.

– Czy nie mogłabym ci jakoś pomóc? – spytała Luiza. – Kochany, zrobiłabym wszystko...

– Jej miłość była niby wyrok śmierci. Powiedział do tych rozpaczliwie czepiających się palców: „O Boże, to gorsze niż kamień młyński. Nie mogę jej sprawiać bólu, albo tamtej, i nie mogę Tobie nadal sprawiać bólu. O Boże, jeśli mnie tak kochasz, jak wiem, że mnie kochasz, pomóż mi opuścić Cię. Boże drogi, przebacz mi!” Ale słabe palce nie puszczały wątłego chwytu. Nigdy dotychczas nie pojmował tak jasno jasności Boga.

– Nic mi nie jest, kochanie – rzekł. – Nie chciałbym cię zatrzymywać. – Jednak z chwilą, kiedy się zwróciła w stronę schodów, znowu się odezwał: – Przeczytaj mi coś. Dostałaś dziś jakąś nową książkę. Przeczytaj mi coś.

– To ci się nie będzie podobać, Tiki. To wiersze.

– Nic nie szkodzi. Może mnie to uśpi. – Prawie nie słuchał, kiedy czytała. Ludzie powiadają, że nie można kochać dwóch kobiet, ale czymże było owo wzruszenie, jeśli nie miłością? Owo łapczywe wchłanianie tego, czego już więcej nie miał ujrzeć? Siwiejące włosy, linie ścięgien na twarzy, coraz masywniejsze ciało – jej piękność nigdy nie przykuwała go tak jak to. Nie włożyła butów moskitowych, jej pantofle domagały się naprawy. „Nie piękność jest tym, co kochamy – myślał – tylko niepowodzenie: niepowodzenie nerwów, niepowodzenie ciała, niemożność pozostania na zawsze młodym. Piękność jest niby sukces: nie możemy kochać jej długo.” Poczł straszliwe pragnienie, by ją chronić... „Wszakże to właśnie zamierzam zrobić, zamierzam ochronić ją od siebie na zawsze.” Uderżyły go przelotne słowa wiersza. Czytała:

*Wszystko upada. Oto moja ręka
I tyle innych – nic ich nie obroni,
Nic, przed upadku słabością bezwładną.
Lecz Ktoś był zawsze i jest, czyje dłonie
Wśród wszech-upadku – ciche – nie opadną.*

Słowa te brzmiały jak Prawda, ale odrzucił je. Pocięcha może przyjść zbyt łatwo. „Te ręce – pomyślał – nigdy nie powstrzymają mojego upadku; wysliznę się z palców, jestem naoliwiony fałszem, oszustwem.” Zaufanie było językiem martwym, zapomniał jego gramatyki.

– Kochany, o mało nie zasnąłeś.

– Tylko przez chwilę.

– Pójdę już na górę. Nie siedź za długo. Może dziś nie będziesz potrzebował evipanu.

Patrzył, jak odchodzi. Jaszczurka tkwiła nieruchomo na ścianie. Nim Luiza doszła do schodów, zawołał ją z powrotem. – Powiedz dobranoc, zanim sobie pójdziesz. Może potem już będziesz spać.

Pocałowała go przelotnie w czoło, a on mimochodem pogładził jej rękę. Tej ostatniej nocy nie powinno być nic dziwnego, nic takiego, co by mogła wspominać z żalem.

– Dobranoc, Luizo. Wiesz, że cię kocham – rzekł ze staranną niefrasobliwością.

– Naturalnie, ja ciebie także.

– Tak. Dobranoc, Luizo.

– Dobranoc, Tiki.

Tyle tylko mógł zrobić bez obawy.

Kiedy usłyszał, że drzwi na górze się zamknęły, wyciągnął pudełko papierosów, w którym trzymał dziesięć dawek evipanu. Dodał dla większej pewności dwie dawki. To, że zażył w ciągu dziesięciu dni o dwie dawki za dużo, z pewnością nie wywoła podejrzeń. Następnie pociągnął długi łyk whisky i siedział bez ruchu czekając na odwagę, trzymając tabletki niby ziarno w dłoni. „Teraz – pomyślał – jestem absolutnie sam.” Oto był punkt zamierzania.

Jednakże mylił się. Nawet samotność ma głos. To ona powiedziała doń: „Wyrzuć te tabletki. Nigdy już nie uda ci się zebrać dostatecznej ilości. Będziesz uratowany. Przestań się zgrywać. Pójdź na górę, wejdź do łóżka i porządnie się wyśpij. Rano obudzi cię boy, pojedziesz na posterunek, do zwyczajnej, codziennej pracy.” Głos zatrzymał się na słowie „zwyczajnej”, jakby mógł się zatrzymać na słowie „szczęśliwej” lub „spokojnej”.

– Nie – rzekł głośno Scobie – nie. – Wepchnął tabletki do ust, po sześć na raz, i zapił

dwoma haustami. Następnie otworzył dziennik i napisał pod datą dwunastego listopada: „Byłem u H. R. Wyszła. Temperatura o godz. 14” – i raptownie przerwał, jakby w tej chwili chwycił go ostateczny ból. Potem usiadł sztywno wyprostowany i czekał długą – zdawało się – chwilę na jakąś oznakę zbliżającej się śmierci; nie miał pojęcia, w jaki sposób do niego przyjdzie. Próbował się modlić, ale Zdrowaś Maryjo uciekło mu z głowy i czuł uderzenia serca jak bicie zegara. Usiłował zmówić akt żalu. Kiedy jednak doszedł do słów: – Żałuję i proszę o przebaczenie – nad drzwiami utworzyła się chmura, spłynęła na cały pokój i nie mógł sobie przypomnieć, czego właściwie powinien żałować. Aby siedzieć prosto, musiał się trzymać oburącz, ale zapomniał, dlaczego się tak trzyma. Miał wrażenie, że słyszy gdzieś daleko odgłosy bólu. – Burza – powiedział głośno – zanoszą się na burzę. – Chmura rosła, spróbował wstać, żeby zamknąć okna. – Ali – zawołał – Ali! – Wydawało mu się, jakby ktoś poza tym pokojem szukał go, wołał, więc zrobił ostatni wysiłek, by wskazać, że jest tutaj. Stanął na nogi i usłyszał, jak młot jego serca wybija odpowiedź. Miał do przesłania jakąś wieść, ale ciemność i burza wtłoczyły mu ją na powrót w piersi, a przez cały czas poza domem, poza światem, który dudnił w jego uszach jak ciosy młota, chodził ktoś próbując wejść, ktoś, kto wzywał pomocy, kto go potrzebował. Na to wołanie o pomoc, na krzyk ofiary Scobie automatycznie zebrał się w sobie, by działać. Przywłókł z nieskończonej odległości swą świadomość, by dać jakąś odpowiedź. Rzekł głośno: – Drogi Boże, kocham... – ale wysiłek był za wielki i nie czuł już swego ciała, kiedy uderzyło o podłogę, ani nie słyszał cichego brzęku medalika, kiedy potoczył się jak miedziak pod lodówkę, medalika ze świętą, której imienia nie znał.

Część trzecia

Rozdział pierwszy

Wilson powiedział: – Trzymałem się z daleka, póki mogłem, ale przyszło mi na myśl, że może się jakoś przydam.

- Wszyscy okazali mi tyle serca – rzekła Luiza.
- Pojęcia nie miałem, że był tak chory.
- Pańskie szpiegowanie na nic się w tym wypadku nie zdało, prawda?
- To mój zawód – rzekł Wilson – i kocham panią.
- Jakże gładko posługuje się pan tym słowem.
- Nie wierzy mi pani?
- Nie wierzę nikomu, kto mówi: kocham, kocham, kocham. To zawsze znaczy: ja, ja, ja.
- Więc nie zostanie pani moją żoną?
- Chyba się na to nie zanosz, ale z czasem... może... Nie wiem co potrafi zdziałać samotność.

Ale nie mówmy nigdy więcej o miłości. To było j e g o ulubione kłamstwo.

- Wobec was obu.
- Jak ona to przyjęła?
- Widziałem ją dziś po południu na plaży z Bagsterem. I słyszałem, że ostatniej nocy w klubie była dosyć rozwyrzona.
- Ona nie ma cienia godności własnej.
- Nigdy nie mogłem pojąć, co on w niej widział. Ja nigdy pani nie zdradzę, Luizo.
- Wie pan, że nawet odwiedził ją tego dnia, kiedy umarł.
- Wszystko jest tu napisane. W jego dzienniku. W dzienniku nigdy nie kłamał. Nigdy nie pisał o tym, czego nie myślał, na przykład o miłości.

Trzy dni minęły od czasu, kiedy śpiesznie pochowano Scobiego. Doktor Travis podpisał świadectwo zgonu – angina pectoris.

W tym klimacie dokładne oględziny zwłok były trudne, a zresztą i tak niepotrzebne, chociaż doktor Travis sprawdził na wszelki wypadek ilość zużytego ewipanu.

– Czy pani wie – rzekł Wilson – że kiedy dowiedziałem się od swego boya, że umarł w nocy tak nagle, pomyślałem, że to samobójstwo.

– Dziwne, jak mi łatwo mówić o nim – rzekła Luiza – teraz, kiedy już odszedł. A jednak kochałam go naprawdę, panie Wilson. Tak, kochałam go, ale wydaje mi się, że tak zupełnie odszedł...

Było tak, jakby niczego nie zostawił w domu, tylko kilka ubrań i gramatykę języka Mende; na posterunku policji szufladę pełną gratów i parę zardzewiałych kajdanków. Dom się nie zmienił. Na półkach stało jak zawsze pełno książek; Wilsonowi wydało się, że to musiał zawsze być jej dom, nie jego. Czy więc tylko wyobraźnia powodowała, że głosy ich brzmiały trochę głucho, jakby dom był pusty?

– Czy wiedziała pani przez cały czas o niej? – spytał Wilson.

– Dlatego wróciłam do domu. Pani Carter pisała do mnie. Twierdziła, że wszyscy o tym mówią. Naturalnie on sobie nigdy nie zdawał z tego sprawy. Myślał, że jest taki sprytny. I prawie

mnie przekonał, że się to skończyło. Przecież tak przystępował do komunii.

– Jak on to godził ze swoim sumieniem?

– Widać niektórzy katolicy jakoś to robią. Idą do spowiedzi i znów zaczynają wszystko od nowa. Ale myślałam, że on był jednak bardziej uczciwy. Kiedy ktoś umrze, zaczynają wychodzić na jaw różne sprawy.

– Brał pieniądze od Yusefa.

– Teraz mogę w to uwierzyć.

Wilson położył rękę na ramieniu Luizy i rzekł: – Jestem szczery, Luizo. Kocham cię.

– Wierzę w to. Naprawdę. – Nie pocałowali się, było na to za wcześnie, ale siedzieli w pustym pokoju trzymając się za ręce, słuchając, jak sępy łążą po blaszanym dachu.

– Więc to jest jego dziennik – rzekł Wilson.

– Pisał w nim wtedy, kiedy umarł. Och, nic ciekawego, po prostu temperatura. Zawsze zapisywał temperaturę. Nie był romantyczny. Bóg wie, co ona w nim widziała, że tak go chciała.

– Czy pozwolisz, że to przejrzę?

– Jeśli chcesz – odparła. – Biedny Tiki, nie ma już żadnych tajemnic.

– Jego tajemnice nie były nigdy zbyt tajne. – Odwrócił stronę, przeczytał, znów odwrócił stronę. Powiedział: – Czy bardzo dawno cierpiał na bezsenność?

– Zawsze mi się zdawało, że spał jak suseł, choćby się działo nie wiem co.

– Czy zauważyłaś – powiedział Wilson – że wpisał te kawałki o bezsenności później?

– Skąd wiesz?

– Porównaj tylko kolor atramentu. A te notatki o zażywaniu evipanu to wszystko bardzo dokładne, bardzo wypracowane. Ale przede wszystkim kolor atramentu. To znamienne.

Przerwała mu ze zgrozą: – Och nie, nie mogł tego zrobić. Mimo wszystko on przecież był katolikiem.

– Pozwól mi tylko wejść na jedną szklaneczkę – dopraszał się Bagster.

– Wypiliśmy już cztery na plaży.

– Jeszcze tylko jedna jedyna szklaneczka.

– No dobrze – powiedziała Helena.

Nie było chyba żadnej racji, o ile się orientowała, żeby komukolwiek czego bądź odmawiać, teraz czy kiedy indziej, zawsze.

Bagster rzekł: – Wiesz, że dziś pierwszy raz pozwoliłaś mi wejść. Milutko się tu urządziłaś. Kto by się spodziewał, że fiński domek może być taki przytulny? – Zaczerwienieni, pachnący ginem, jedno i drugie... „ładna z nas para” – pomyślała.

Bagster pocałował ją mokro w górną wargę i znowu się rozejrzał. – Ha, ha – powiedział – pocziwa butelczyna. – Kiedy wypili jeszcze jeden gin, zdjął kurtkę mundurową, powiesił ją bardzo ostrożnie na krześle i oznajmił: – No, wyszliśmy z korkociągu, czas pomówić o miłości.

– Czy koniecznie? – spytała Helena. – Teraz?

– Gazu – rzekł Bagster. – Niedaleko do zmroku. Oddamy stery Jasiowi...

– Kto to jest Jaś?

– Naturalnie pilot automatyczny. Jeszcze dużo się musisz nauczyć.

– Na miłość Boską, ucz mnie innym razem.

– Wymarzona pora na kraksę – rzekł Bagster, kierując ją stanowczym ruchem w stronę łóżka.

„Czemu nie – pomyślała – czemu nie? Jeśli tego chce? Bagster jest równie dobry jak każdy inny. Nie ma na świecie nikogo, kogo bym kochała, a co poza światem, to się nie liczy, więc dlaczego by im nie pozwolić na te ich kraksy – jak mówi Bagster – jeśli istotnie chcą tego?”

Leżała niemo na łóżku, zamknęła oczy i w ciemnościach czuła, że nic się nie dzieje. „Jestem sama” – pomyślała bez litości nad sobą, stwierdzając fakt, jakby mógł to zrobić jakiś badacz czy podróżnik, którego towarzysze wymarli z głodu i zimna.

– Na Boga, niewiele wykazujesz entuzjazmu – rzekł Bagster. – Czy nie kochasz mnie choć trochę, Heleno? – I jego alkoholowy oddech przewiał wśród jej ciemności.

– Nie – odparła. – Nie Kocham nikogo.

Powiedział z wściekłością: – Kochałaś Scobiego – i dodał szybko: – Przepraszam, to świństwo tak mówić.

– Nie Kocham nikogo – powtórzyła. – Nie można Kochać umarłych, prawda? Przecież nie istnieją, prawda? To tak, jakby się kochało ptaka moa, prawda? – Wypytywała go, jakby oczekiwała odpowiedzi nawet od Bagstera.

Miała oczy zamknięte, bo w ciemnościach czuła się bliższa śmierci, śmierci, która jego pochłonęła. Łóżko lekko zadrżało, kiedy Bagster się z niego zabierał, krzesło skrzypnęło, kiedy zdjął swą kurtkę. – Nie taki ze mnie drań, Heleno – powiedział. – Nie jesteś dziś w nastroju. Zobaczymy się jutro?

– Chyba tak. – Nie było powodu, żeby komu bądź czegokolwiek odmawiać, ale poczuła olbrzymią ulgę, że ostatecznie niczego nie zażądano.

– Dobranoc, dziewczuszko – rzekł Bagster. – Pokażę się niedługo.

Otworzyła oczy i zobaczyła obcego człowieka w siwym mundurze, grzebiącego się przy drzwiach. Obcemu można wszystko powiedzieć – obcy przechodzą i zapominają jak istoty z innego świata. – Czy wierzysz w Boga? – zapytała.

– No cóż, chyba tak – odparł Bagster muskając wąsa.

– Ja bym tak chciała – rzekła Helena – tak bym chciała.

– No cóż, proszę ciebie – odparł Bagster – masa ludzi wierzy. Muszę już iść. Dobranoc.

Była znów sama w ciemnościach za powiekami, a pragnienie szarpało się w jej ciele jak dziecko; jej wargi poruszyły się, ale nie potrafiła przypomnieć sobie i powiedzieć nic więcej, tylko: – Na wieki wieków, amen... – Resztę zapomniała. Wyciągnęła rękę i dotknęła drugiej poduszki, jakby może istniała mimo wszystko jedna szansa na tysiąc, że nie jest sama, a jeśliby teraz nie była sama, nie byłaby nią już nigdy więcej.

– Nigdy bym tego nie zauważył, proszę pani – rzekł ksiądz Rank do Luizy.

– A Wilson zauważył.

– Jakoś nie potrafię czuć sympatii dla kogoś, kto jest aż tak spostrzegawczy.

– To jego zawód.

Ksiądz rzucił na nią przelotnie okiem.

– Jako buchaltera?

Powiedziała bezbarwnym głosem: – Czy ksiądz nie potrafi mnie jakoś pocieszyć?

„Och, te rozmowy – pomyślał – które prowadzi się w domu zmarłego, to nicowanie wszystkiego na trzecią stronę, te dyskusje, pytania, żądania – tyle hałasu wokół skraju milczenia.”

– Dużo pociech otrzymała pani w życiu. Jeśli prawdą jest to, co przypuszcza Wilson, to raczej zmarły potrzebuje naszej pociechy.

– Czy ksiądz wie to wszystko, co ja o nim wiem?

– Naturalnie, że nie, proszę pani. Była pani przez piętnaście lat jego żoną, nieprawdaż? Ksiądz wie tylko rzeczy nieważne.

– Nieważne?

– No, mam na myśli grzechy – rzekł ksiądz niecierpliwie. – N i k t nie przychodzi do nas,

żeby się spowiadać ze swoich cnót.

- Przypuszczam, że ksiądz wie o pani Rolt. Prawie wszyscy o tym wiedzą.
- Biedna kobieta.
- Nie rozumiem, czemu biedna.
- Żal mi każdego, kto jest szczęśliwy i nieświadomy, i tak się uwikła z jednym z nas.
- On był złym katolikiem.
- Nie znam chyba głupszego komunału – rzekł ksiądz.
- A na koniec to... ta ohyda. Musiał wiedzieć, że sam siebie skazuje na potępienie.
- Tak, wiedział o tym doskonale. Nigdy nie ufał w miłosierdzie; tylko w miłosierdzie – dla innych.

– Nie warto nawet modlić się...

Ksiądz zatrzasnął dziennik i powiedział z wściekłością: – Na miłość Boską, niech pani sobie nie wyobraża, że pani albo ja wiemy cokolwiek o Boskim miłosierdziu.

– Kościół twierdzi...

– Wiem, że Kościół tak twierdzi. Kościół wie, jak wyglądają reguły. Ale nie wie, co się dzieje bodaj w jednym ludzkim sercu.

– Więc ksiądz myśli, że jest jakaś szansa? – rzekła ze znużeniem.

– Tak bardzo jest pani na niego rozgoryczona?

– Nie ma już we mnie żadnej goryczy.

– A według pani Bóg miałby być bardziej rozgoryczony od kobiety? – nalegał szorstko ksiądz, ale Luiza uchyliła się przed argumentami nadziei.

– Ach dlaczego, dlaczego musiał tak wszystko poplątać?

– To może dziwne – powiedział ksiądz – że mówię w ten sposób o kimś, kto postępował aż tak źle, ale myślę, o ile go znałem, że on naprawdę kochał Boga.

Przed chwilą twierdziła, że nie czuje żadnej goryczy, lecz jeszcze trochę jej wypłynęło, jak łzy z wyczerpanych już przewodów. – Z pewnością nie kochał nikogo innego – rzekła.

– Kto wie, może pani ma rację – powiedział ksiądz.

Objaśnienia

- CORONER – urzędnik prowadzący śledztwa w sprawach zgonów, których przyczyną był wypadek lub okoliczności wątpliwe.
- COUEIZM – metoda doktora Coué; polegała na leczeniu autosugestią.
- CUMMERBUND – szeroki pas z materiału używany przez Anglików w koloniach do stroju wieczorowego.
- GUNGA DIN – imię własne bohatera popularnego filmu o Hindusach.
- HELIO – przyrząd do sygnalizacji świetlnej odbijający promienie słońca.
- HUMBUG – właściwie: oszustwo. W angielsko-murzyńskiej gwarze słowo uniwersalne określające ból, niepokój, trudności itd.
- JIGGER – pchła piaskowa – pasożyt, który wchodzi w skórę stóp, najczęściej pod paznokcie, powodując bolesne obrzmienia.
- KANUT (Kanut przeciw fali...) zwany Wielkim, król Anglii, Danii i Norwegii (XI wiek). Legenda opowiada, że Kanut kazał (bezsukutecznie) się cofnąć morskim falom, by uzmysłwić dworzanom – którzy twierdzili, że nic nie oprze się rozkazom króla – głupotę ich pochlebstw.
- MAMMY – pierwotnie amerykańska nazwa murzyńskiej mamki; później nazwa Murzynki w ogóle.
- M.I.5 – Military Intelligence 5 – jeden z głównych oddziałów angielskiego wywiadu wojskowego.
- MIASTA LAMENTU – Sodoma i Gomora.
- MOA – wymarły gatunek ptaków.
- NAVICERT – świadectwo wydane w neutralnym porcie przez konsula brytyjskiego, stwierdzające, że ładunek statku został zbadany i nie zawiera przemytu.
- PALAVER – dyskusja, kłótnia (z portugalskiego).
- PUNKAH – wielki wiszący wachlarz, poruszany zwykle za pomocą sznura.
- TREK – podróż (z holenderskiego)
- UAC – United Africa Company – potężne towarzystwo handlowe, monopolizujące – praktycznie rzecz biorąc – handel W. Brytanii z jej afrykańskimi koloniami.

Żadna postać w tej książce nie jest wzorowana na żywej osobie. Geograficzne tło powieści wzięte zostało z tej części Afryki Zachodniej, którą osobiście poznałem – to nieuniknione, ale chcę stwierdzić jasno i wyraźnie, że w mojej książce nie zjawia się żaden były lub obecny mieszkaniec tej właśnie kolonii. Nawet fikcyjna kolonia musi mieć swych urzędników, na przykład komisarza policji czy sekretarza kolonialnego. Nie chcąc, by utożsamiano tego rodzaju postacie, występujące w mojej książce, z rzeczywistymi ludźmi, mam szczególny powód po temu: wspominam bowiem z wielką wdzięcznością uprzejmość i względy, jakich doznałem od sekretarza kolonialnego, komisarza policji oraz ich personelu w kolonii, gdzie pracowałem w latach 1942 – 1943.

Na str. 217 cytuję wiersz R. M. Rilkego.

GRAHAM GREENE